

WILLIAM BERNHARDT

KONTYNUATOR TRADYCJI THRILLERÓW
PRAWNICZYCH GRISHAMA

Okrutna
sprawiedliwość


AMBER
SREBRNA
SERIA


AMBER
SREBRNA
SERIA

William Bernhardt

Okrutna sprawiedliwość

Prolog

1

Dwadzieścia pięć lat wcześniej

– Tu jest ciemno, tatusiu.

Chłopiec nie pamięta, ile czasu spędził w zamknięciu, przywiązany do krzesła. Nie wie, która godzina ani jaki dzień. Wie tylko, że jest głodny, spragniony i przerażony.

Śmiertelnie przerażony.

– Tatusiu, proszę cię. Nie lubię ciemności.

Linka wrzyna mu się w nadgarstki, piecze w skórę. Nogi i krocze są wilgotne i obolałe. Nie pamięta, ile razy się zmoczył. To trwa tak długo.

– Tato? Mamo? Pomóżcie mi, proszę.

Wie, że tam siedzą. Tata słucha, może nawet się śmieje. Mama też tam jest. Nie śmieje się, ale też nie robi niczego, by pomóc synowi. Nigdy mu nie pomaga. Udaje, że nie słyszy, że nie wie, co się dzieje a przecież wie bardzo dobrze.

Chłopiec kołysze się w tył i w przód, napręża ręce.

– Tatusiu, proszę! Nie mogę już wytrzymać. Zrobię wszystko, co każesz, naprawdę wszystko, przyrzekam...

Drzwi się otwierają. Strumień światła oślepia chłopca, który zaciska powieki; następnie otwiera je powoli, przyzwyczajając oczy do światła.

Sylwetka ojca wisi nad nim jak góra. Chłopiec nie widzi jego twarzy, tylko potężne ciało na tle drzwi. Jest jak wielki cień, który nie ma końca, jak zły duch.

Nagle chłopca ogarnia jeszcze większy strach niż przedtem, gdy był sam.

– Jesteś brudny – warczy ojciec. Chłopiec nie widzi pięści ojca, lecz wie, że zaciskają się w ciemności niczym olbrzymie tarany. Chce uciekać, ale sznur trzyma mocno.

– Czy jesteś gotów przyjąć karę? – grzmi ojciec.

– Ale ja nic nie zrobiłem, tatusiu. Naprawdę.

– Milcz! – Ogromna pięść spada na twarz chłopca. – Mam dość twoich kłamstw!

Kłamstwo to grzech przeciwko Bogu. Czy tego nie pojmujesz, głupcze?

Chłopiec chce odpowiedzieć, ale nie może wydobyć głosu z drżących ust.

– Sprawdziłem twoją pościel. Znow była mokra. – Ojciec pochyła się. Jego ogromna głowa zasłania światło. – Pamiętasz, jaką karę ci obiecałem, jeśli to się powtórzy?

– Ja... nie chciałem, tatusiu. Próbowałem się powstrzymać, ale...

– Brudny, obleśny szczeniak. Nie myśl sobie, że nie wiem, co robisz, kiedy nie ma mnie w domu. Widziałem, jak się dotykasz. Widziałem, jakim wzrokiem spoglądasz na matkę, kiedy paraduje po mieszkaniu w bieliźnie i szpilkach jak jakaś...

Pochyla się jeszcze bardziej, aż nosem prawie dotyka twarzy syna. Chłopiec czuje jego gorący, przesiąknięty zapachem whisky oddech.

– Jesteś brudny i taki pozostaniesz, dopóki nie poniesiesz kary.

– Nie, proszę – błaga chłopiec drżącym głosem.

– Musisz ponieść karę.

– Nie chcę cierpieć, tatusiu. Proszę!

Ojciec prostuje się. Jego głos dziwnie się uspokaja.

– Przyprowadziłem ci kogoś.

Podnosi małego pluszowego zwierzaka.

– Oliver! – woła chłopiec na widok misia. – Dziękuję, tatusiu. Tak bardzo za nim...

Ojciec cofa zabawkę gwałtownym ruchem.

– Nie zgadzasz się przyjąć kary, więc Oliver poniesie ją za ciebie.

– Nie! – krzyczy chłopiec z szeroko otwartymi oczami. Zrozumiał, co ojciec zamierza zrobić. – Tatusiu, nie. Proszę cię!

Ojciec chwytą głowę misia w swoje ogromne ręce i odrywa. Biała pianka wysypuje się przez szyję.

– Neeee! – krzyczy chłopiec zachłystując się pianką, która wpada do jego ust. – Zabijesz go!

– Oliver jeszcze nie umarł, ale zaraz umrze, ponieważ go zdradziłeś.

Ojciec wyciąga zapalniczkę z tylnej kieszeni spodni. Płomień rzuca dziwny blask na jego twarz. Oczy czerwienieją, wyziera z nich zło jak z wizerunków szatana, które chłopiec widział w matczynej Biblii.

– Nie rób tego, tatusiu! Proszę cię!

Ojciec podpala misia z zabawki zostaje tylko kłębek rozżarzonych włókien, który ciska do kosza.

– Zabiłeś go! – zawodzi chłopiec. Po jego policzkach płyną łzy. – Zabiłeś Olivera!

– Nie, nie ja – odpowiada ojciec. – Ty go zabiłeś. Byłeś złym, nieprzyzwoitym chłopcem i nie chciałeś przyjąć kary, więc Oliver musiał ją ponieść za ciebie. Zginął przez ciebie. Ty go zabiłeś. – Zaplata na piersi potężne ręce. – Czy teraz jesteś gotów przyjąć karę?

Chłopiec nie może odpowiedzieć. Krztusi się, płacze, szlocha.

– Pytam, czy jesteś gotów? – grzmi ojciec.

– Tak, chyba tak – szepcze chłopiec.

Ojciec prostuje się.

– Teraz lepiej. Grzeczni chłopcy zawsze przyjmują karę. Tatuś będzie bardzo szczęśliwy, jeśli poniesiesz karę.

Chłopiec nie słyszy dalszych słów. Oddała się już, odchodzi do tego miejsca, w którym kryje się zawsze, gdy ojciec go karze. Tylko w ten sposób może znieść ból i poniżenie. Tylko w ten sposób może przeżyć.

Tam będzie marzył o lepszym świecie. Świecie bez ciemnych, zamkniętych pomieszczeń, bez bólu. Świecie, w którym nie ma ojca, w którym sam będzie katem, a nie ofiarą.

2

Dziesięć lat wcześniej

Sierżant Sandstrom prowadzi samochód patrolowy obwodnicą wokół Philbrook. Światła w muzeum się nie palą. Nikt nie zauważy, że jedzie odrobinę zbyt szybko. Byleby zagłuszyć te przeklęte organki.

– Hej, uważaj trochę! – Partner Sandstroma, chłopak o dziecięcej twarzy i gęstych, czarnych kręconych włosach odbija się od drzwi wozu. Siła uderzenia wytrąca harmonijkę z jego dłoni.

– Przepraszam, zagapiłem się – kłamie Sandstrom. Morelli jest w porządku jak na żółtodzioba prosto z akademii, lecz Sandstrom nie mógł dłużej znieść piosenek Dylana a Morelli śpiewa jeszcze gorzej niż Dylan, o ile to w ogóle możliwe. – A więc przygrywałeś w nocnych klubach?

– Aha. Graliśmy z kumplem w pizzeriach, barach studenckich i różnych takich knajpkach.

– I rzuciłeś karierę dla szacownej profesji stróża prawa?

– Wiesz, jak to jest. Co noc to samo. Burza oklasków, laski rzucające się do stóp i błagające, żebyś został ojcem ich dzieci. Po pewnym czasie staje się to męczące.

– Jasne. Dla twojej żony pewnie też.

– Trafiałeś w dziesiątkę. – Wyjmuje z kieszeni koszuli fotografię.

– O rany! – wzdycha Sandstrom. – Chyba nie zaczniesz się znów rozczulać nad jej zdjęciem?

– Nie mogę się powstrzymać – mówi z uśmiechem Morelli. – Ale przyznasz, że jest śliczna?

Sandstrom skręca mocno kierownicę w lewo.

– Ile razy mam ci powtarzać, że tak zachowują się tylko nowożeńcy? Musisz przez to przejść, jak wszyscy.

Morelli nie spuszcza oczu ze zdjęcia.

– Bo gliniarz nie może sobie pozwolić, żeby go coś rozpraszało. Trzeba być... skupionym, uważnym.

Tak naprawdę Sandstromowi chodzi o to, że nie cierpi patrzeć, jak wielkie miłości młodych policjantów rozwiewają się we mgle. Zna już te historie. Jeszcze rok, dwa, a ta ślicznotka, do której Morelli robi słodkie oczy, stanie się najbardziej uciążliwym obowiązkiem w jego życiu. Ale nie ma sposobu, aby mu o tym powiedzieć.

Sandstrom pracuje w policji od trzynastu lat, a jego partner dopiero zaczyna terminować w tym fachu. Michelangelo A. Morelli – dla przyjaciół Mike – skończył filologię angielską i z jakiegoś przewrotnego powodu poszedł do akademii policyjnej. Tak po prostu. Mike jest dokładnie taki jak wszyscy rekruci. Młoda twarz nienaznaczona uciążliwością patroli, idealizm i naiwność granicząca z komizmem. I ten denerwujący zwyczaj cytowania podejrzanym fragmentów Szekspira.

– Chyba jestem najszcześniejszym facetem na świecie – stwierdza Mike, pieszcząc wzrokiem fotografię.

– Mhm.

– Nie uwierzyłybyś, co zrobiła przedwczoraj. Wracam do domu, a tam czeka na mnie nowiutki samochód. Chevrolet corvette. Co ty na to?

– Corveta? Rany boskie, możesz sobie pozwolić na taki wóz?

– O to samo spytałem żonę. A ona mówi: „Kochanie, jeśli chodzi o twoje szczęście, pieniądze nie grają roli”.

Jakie to słodkie, myśli Sandstrom. Nie wiadomo tylko, czy bank będzie podobnego zdania.

– Więc dlaczego przyjechałeś dziś rano tym zdezelowanym dodgem?

– Julia chciała zrobić zakupy, więc wzięła nowy samochód.

– Ach, rozumiem.

Jeżdżą – a właściwie ślizgają się – ulicami Utica Hills, najbogatszej dzielnicy willowej Tulsy. Luksusowa enklawa podstarzałych bogaczy. Sandstrom nie cierpi patrolować tej okolicy. Rzadko zdarzają się tu przestępstwa uliczne o tej porze, lecz szacowni mieszkańcy lubią wiedzieć, że chłopcy w niebieskich mundurach (a

właściwie brązowych) pilnują ich basenów i ferrari. A ponieważ dzięki swym kontom w bankach w dużej mierze decydują o tym, kto zostanie burmistrzem i kto zasiądzie w radzie miejskiej – a co za tym idzie, kto będzie szefem policji – więc zazwyczaj dostają to, czego chcą.

– A jak twoja ślicznotka przystosowuje się do roli żony gliniarza? – pyta Sandstrom.

Mike chowa fotografię do kieszeni na piersi.

– Julia jest niesłychanie wyrozumiała. Chodzi jej tylko o to, żebym był szczęśliwy. Nie narzeka, kiedy wracam późno w nocy. O ile nie jestem zbyt zmęczony, żeby... – Rumieni się. – No, wiesz.

– Chłopcze, ja naprawdę nie chcę o tym słuchać.

– Pragniemy mieć dziecko...

– O rany...

– Julia chce dziewczynkę, a ja chłopczyka. Takiego malutkiego, kędziorowatego, wykapanego Morellego. I mam nadzieję, że będę dla niego w połowie tak dobry, jak mój ojciec dla mnie. – Uśmiech na twarzy nowicjusza przygasa nieco. – Próbujemy od pół roku, ale na razie bez powodzenia.

– Sześć miesięcy to prawie nic. Moja siostra Amelia i jej mąż próbowali przez osiem lat i dopiero wtedy szczęście się do nich uśmiechnęło. Teraz mają pięcioro dzieci.

– Naprawdę? Julia zastanawiała się, czy nie powinniśmy pójść do lekarza. Jej ojciec jest lekarzem, więc Julia uważa, że istnieją lekarstwa na wszystko.

– Jej ojciec jest lekarzem?

– Kardiologiem.

– Bogaty?

– Jak cholera.

I ty chcesz zapewnić jej szczęście z pensji gliniarza? Dopiero teraz Sandstrom naprawdę zaczyna się martwić o partnera. To małżeństwo ma jeszcze mniejsze szanse, niż myślał.

– Julia kupuje wszystkie domowe zestawy do testów ciążowych. Co noc robi sobie trzy dla pewności. Jak dotąd nic.

– Nie martw się, stary. Macie dużo czasu.

Mike wzrusza ramionami i wciska się w fotel.

– Też tak myślę. Ale chciałbym mieć dziecko. Nasze dziecko.

Radio zaczyna skrzeczeć. Sandstrom podnosi mikrofon i rozmawia z dyspozytorką. Dla nieprzyzwyczajonych uszu Mike'a wymiana zdań brzmi jak ciąg niezrozumiałych chrząknięć i trzasków.

– Jedziemy.

Sandstrom odkłada mikrofon na miejsce i przyciska pedał gazu.

– Co się stało? – pyta Mike.

– Wygląda na paragraf sto osiemdziesiąt siedem.

A więc morderstwo.

– Kto kogo załatwił?

Sandstrom bierze zakręt prawie na dwóch kołach.

– Na razie nie wiadomo ani kto, ani kogo.

– Gdzie?

– Klub Utica Greens.

– Coś takiego! A narzędzie zbrodni? Kij do gry w polo?

– Blisko. Kij, ale golfowy.

– Kij golfowy? Jak...?

Mike nie kończy pytania. Sandstrom przemyka przez bramę i parkuje obok innego samochodu policyjnego.

– Widziałeś kiedyś zamordowanego człowieka, Morelli?

– Na zdjęciach – odpowiada ostrożnie Mike.

Sandstrom klepie go po plecach.

– A więc przygotuj się. Bo to nie to samo.

Wita ich policjant niewiele starszy od Mike'a. Wskazuje niewielki budynek na szczycie wzgórza obok pola golfowego.

– To magazyn – wyjaśnia patrolowy Tompkins. – Ofiara znajduje się w środku. Nie ruszałem jej. Przyjechałem tu jako pierwszy. Nie było jeszcze nikogo z wydziału zabójstw.

Wspinając się po zboczach wzgórza, Mike dostrzega jakiś ruch na ganku budynku klubowego oddalonego o pięćdziesiąt metrów. Zdaje mu się, że w świetle księżycyca mignęły jasne włosy.

– Patrzcie! – woła Mike wskazując budynek. – Tam jesteście jakaś kobieta. Widzicie, jak ucieka? Chyba jest w jasnej sukience.

– Nic nie widzę – mówi Tompkins mrużąc oczy.

– Cały wieczór nie gadał o niczym innym oprócz swojej cudownej żony. No i teraz ma przywidzenia.

– Naprawdę kogoś widziałem – upiera się Mike. Dobia do budynku i zaczyna się rozglądać za postacią, którą przelotnie spostrzegł. Ale nikogo nie znajduje. Przeszukawszy najbliższą okolicę, wraca do kolegów.

– No i gdzie ta ślicznotka w bieli? – pyta Sandstrom.

– Nie ma. Chyba mi się przyśniła – odpowiada Mike.

– Nic nie szkodzi – rzuca uspokajająco Tompkins. – Mamy już podejrzanego.

Wchodzą do magazynu. Przy drzwiach kuli się młody czarny mężczyzna. Po

jego przerażonej twarzy spływają łzy.

– Oto podejrzany – wyjaśnia Tompkins.

Mike rozgląda się.

– Tak. A gdzie jest...?

Nie kończy pytania. Odpowiedź znajduje się w rogu pomieszczenia.

Wszystko jest czerwone od krwi.

Sandstrom miał rację. Na zdjęciach wyglądało to całkiem inaczej.

– O mój Boże – zachłystuje się Mike. Słowa zamierają mu na ustach. Czuje, jak żołądek podchodzi mu do gardła. – O mój Boże. O mój Boże.

Stoi jak wryty, powtarzając w kółko te same słowa; Sandstrom odprowadza go do łazienki, gdzie może zwymiotować.

– Spokojnie. Postaraj się o tym zapomnieć.

Stojąc przygarbiony nad muszlą klozetową, Mike wie, że nigdy nie zapomni tego, co widział. Choćby żył bardzo długo, choćby zobaczył nie wiadomo ile trupów.

Nigdy.

Nad głową kobiety i grudami zakrzepłej krwi na jej szyi unosiły się chmury komarów. Stała przybita do ściany, jakby ukrzyżowano ją za niewyobrażalne grzechy.

3

Teraźniejszość

Harold Rutheford spotkał się z żoną przed wejściem do głównego holu eleganckiego klubu Utica Greens. Trzymał na ramieniu kij golfowy; na jego czole perliły się krople potu.

– A gdzie Abie? – spytał Harold.

– Wysłałam go do zdjęcia – odparła Rachel. – Czyż nie po to się spotkaliśmy?

Rutheford zacisnął wargi w charakterystycznym, subtelnym geście wyrażającym poirytowanie, który zawsze tak bardzo denerwował jego żonę.

– Chciałem, żebyśmy zrobili sobie zdjęcie wszyscy razem.

– Do wspólnego zdjęcia mieliśmy pozować o dziesiątej. Spóźniłeś się piętnaście minut – stwierdziła ostro Rachel. – A poza tym spójrz, jak wyglądasz.

Ona też potrafi okazywać gniew.

Rutheford zerknął na zegarek.

– Miałem zebranie zarządu.

Wzrok Rachel wyrażał niedowierzenie.

– Byłeś na zewnątrz.

- Rozmawialiśmy przy grze.
- To nie tłumaczy twojego spóźnienia.
- Rutheford spoglądał na żonę zdumiony.
- Nie mogłem tak po prostu odejść.
- Dlaczego?
- Podniósł wzrok.
- Nic nie rozumiesz.
- Cywilizacja zachodnia nie upadłaby tylko dlatego, że wyszedłeś ze spotkania zarządu klubu golfowego kilka minut wcześniej.
- Mam pewne obowiązki...
- Masz obowiązki wobec syna i rodziny! Przechwalasz się kolegom, jakim to jesteś wspaniałym ojcem, każesz nam robić zdjęcia, żeby mieć co powiesić na ścianie, ale kiedy przychodzi co do czego, rodzina jest na samym końcu.
- To nieprawda.
- Prawda. Czasami zdaje mi się, że nigdy nie chciałeś...
- Rutheford przerwał jej ostrym spojrzeniem.
- Nie mogę uwierzyć, że coś takiego powiedziałaś. Kocham mojego syna.
- A czy on o tym wie?
- To zaskoczyło Harolda.
- Co za idiotyczne pytanie. Oczywiście, że wie.
- Jesteś tego pewien?
- Tak – odparł Harold. – Na pewno wie.

Royce czekał cierpliwie, aż chłopiec wejdzie do sali klubowej. Wykorzystywał czas przeglądając zdjęcia, które zrobił tego ranka polaroidem. To nie, to też nie. Za jasne. Przeżółcone. To też do niczego.

Skrzypnięcie ciężkich drewnianych drzwi rozległo się echem w wielkiej sali. Royce pozbiierał szybko zdjęcia, wrzucił do torby i stanął za aparatem.

- Ty pewnie jesteś Abie – powiedział, zerkając na listę. – Abie Rutheford.
- Tak.

Chłopiec wyglądał na jakieś dziesięć lat. Miał ciemne kręcone włosy, które spadały potarganymi lokami na czoło. Ubrany był w luźną koszulkę i czapkę baseballową z napisem Drillers.

Wyglądał uroczo.

Royce podniósł dłoń do ust, aby ukryć uśmiech.

To ten.

– Zdawało mi się, że to miał być portret rodzinny – powiedział Royce czekając, aż chłopiec usadowi się na stołku.

– To prawda – potwierdził chłopiec smutnym głosem. – Ale tata się nie zjawił.
– Jaka szkoda. – Royce nastawił aparat. – Czy tata będzie chciał tani zestaw dziesięciu zdjęć, standardowy z dwudziestoma pięcioma zdjęciami, czy może de luks z sześćdziesięcioma?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Tata pewnie nie kupi żadnego zdjęcia.

Royce nastawił ostrość.

– Wygląda na to, że jesteś fanem Drillersów.

– I co z tego?

– Czy tata zabiera cię na mecze?

Udawany uśmiech Abiego zniknął.

– Nie.

– Dlaczego nie?

Abie nie odpowiedział.

– Możesz mi powiedzieć. Jestem tylko fotografem, nikomu nie wygadam.

Abie zastanowił się przez chwilę.

– Tata nigdzie mnie nie zabiera. Mówi, że baseball to gra dla prostaków. – Skrzyżował ramiona. – On mnie chyba nienawidzi.

Royce skinął współczująco głową.

– A mama?

– Ona nie. Ciągłe kłóci się z tatą. Nie znoszę, kiedy się kłóca.

– Biedaku. – Royce podszedł z uśmiechem do chłopca i przycisnął dłoń do jego policzka. – Przechyl głowę. Jeszcze trochę. Teraz dobrze.

Poprawił ubranie Abiego, przesuwając dłońmi po jego ramionach i nogach.

– Świetnie. Jaki wspaniały chłopiec. Marzenie fotografa.

Przyłożył oko do celownika i nacisnął. Zrobił dwa razy tyle zdjęć co zwykle. Chciał mieć pewność, że zrobi jak najlepszą fotografię dla przyjaciela.

– Jesteś wspaniałym modelem – zauważył. – Myślałeś kiedyś o karierze zawodowego modela?

– Model? Co za głupia praca. Ja zostanę baseballistą.

– No tak, oczywiście. – Royce wykorzystał cały film w aparacie, a potem na wszelki wypadek zrobił jeszcze dwa zdjęcia polaroidem. – No, to powinno wystarczyć.

Chłopiec zeskoczył ze stołka.

– Mogę już iść?

– Oczywiście. – Royce poklepał Abiego po głowie. – Miłego dnia, aniołku.

Skończywszy pracę, Royce spakował sprzęt i pojechał prosto do mieszkania

przyjaciela, które znajdowało się w przybudówce domu w północnej dzielnicy miasta.

– Co ty tu robisz? – spytał tamten nieprzyjaznym tonem. – Przecież mówiłem ci, że masz tu nie przychodzić.

– Nie mogłem czekać – rzucił entuzjastycznie Royce. – Byłem pewien, że mnie pochwalisz. Mam coś, co na pewno ci się spodoba.

– Zdziwiłbym się. Od tygodni nie przyniosłeś nic ciekawego.

– Tak szybko zapominasz. To ja znalazłem dzieciaka, który... – Royce przerwał w pół słowa. Zrozumiał, że nie powinien tego mówić.

– Tak, ty jesteś za to odpowiedzialny. Prawda? – Oczy przyjaciela wyglądały jak dwa paciorki pod ciężkimi brwiami. – Nie zapomniałem, możesz mi wierzyć.

Royce sięgnął do torby. Ze zdenerwowania upuścił ją, mocując się z zamkiem.

– To nie była moja wina – wymamrotał. – Staram się jak najlepiej i niewiele za to dostaję.

– Załatwiłem ci tę robotę w klubie golfowym, zgadza się?

– Tak, tak. – Royce wyciągnął zdjęcie z polaroida. – Spójrz.

Tamten wyrwał mu je z rąk. Wstrzymał oddech.

– Zrobiłeś to w klubie?

– Tak. Dzisiaj rano.

Przyjaciel zmarszczył brwi. Trochę za blisko domu.

– Kto to?

– Nie wiesz?

– Myślisz, że znam wszystkie dzieciaki w mieście? Jak się nazywa?

– Odwróć.

Przyjaciel odwrócił fotografię; zdziwienie na jego twarzy powoli zamieniło się w zachwyty.

– Świetnie, doskonale.

Royce westchnął z ulgą.

– A więc... to ten?

– Tak, to on – potwierdził mężczyzna szeptem. – Właśnie jego chcę.

Część pierwsza

Nie bądź frajerem

Rozdział 1

Ben otworzył drzwi swojego biura i trzech mężczyzn z walizczkami zerwali się jak na komendę.

– Panie Kincaid! – zawołali chórem.

Ludzie Billa, pomyślał z niechęcią Ben. Wszędzie by ich rozpoznał. Dlaczego wszyscy oczekują, że Ben będzie płacił rachunki w terminie? Żaden z jego klientów tego nie robi.

– Przepraszam panów. Śpieszę się na ważne spotkanie.

Zamachali przed nim fakturami, ale Ben wyminął ich zrećznie i skierował się do biurka Jonesa.

– Jones – poprosił ściszym głosem. – Powiedz mi, że mam ważne spotkanie.

Asystent Bena przesunął po biurku grubą aktówkę.

– Jeszcze lepiej. Masz być w sądzie. Sprawa Johnsona, pamiętasz? Zaczęła się w zeszłym tygodniu. Sędzia Hart czeka.

– Oczywiście, że pamiętam – blefował Ben. – Pijaństwo w miejscu publicznym, prawda?

– Blisko. Nieobyczajne zachowanie.

Ben przejrzał pobieżnie akta.

– Otóż to. Gdzie Christina?

– Pan wybaczy. – Jeden z członków brygady walizkowej dotknął ramienia Bena. – Nazywam się Scott Scofield i reprezentuję firmę Arctic Breath Air Company. Chciałbym...

– To pan zakładał klimatyzację w biurze.

– W każdym razie moja firma. Ja osobiście nie uczestniczyłem w instalacji jednostki. – Scofield poprawił krawat. – Z przykrością zanotowaliśmy znaczne opóźnienie zapłaty należności za usługę.

Ben wskazał maszynę.

– To pudło nie działało ani przez sekundę!

– Może powinien pan rozważyć naszą ofertę przedłużonej gwarancji. Rzecz jasna, nie leży w mojej gestii proponowanie tego, gdy zalega pan z uregulowaniem rachunku, ale kiedy już go pan ureguluje, i zakładając, że nie poczyni pan zmian

w jednostce ani nie będzie próbował sam jej naprawić, może pan skorzystać z naszego przedłużonego serwisu. Ta jednostka...

Scotfield trajkotał dalej. Ben czekał cierpliwie, aż przerwie dla zaczerpnięcia oddechu. Nie zamierzał poprzestać na wysłuchaniu standardowej gadki akwizytora. To była poważna sprawa. Od miesiąca w Tulsie utrzymywała się temperatura ponad trzydzieści pięć stopni. Sierpień w tym mieście nigdy nie należał do chłodnych, lecz tego lata upały dawały się we znaki jak nigdy. Ben nie przepadał za latem, zwłaszcza kiedy klimatyzacja w mieszkaniu działała sporadycznie, a w biurze – w ogóle.

Ben wyczuł, że Scotfield za chwilę przerwie, i wykorzystał sposobność.

– W tej chwili nie mam przy sobie ani centa, a nawet gdybym miał, to ta wasza jednostka stoi tu wyłącznie dla ozdoby...

– Dług musi być spłacony, proszę pana.

– Otwórz oczy, kolego. To jest najgorsza część śródmieścia Tulsy. Nie ma tu nic oprócz lombardów i nędznych knajp. Mój personel pracuje za połowę pensji, asystent zaś pisze na odwrocie starych akt, bo nie stać go na kupno papieru. Myśli pan, że mogę wyrzucać pieniądze na niedziałające klimatyzatory?

– Pański status finansowy mnie nie interesuje.

– Dzięki za wyrozumiałość.

– Jeśli nie zlikwiduje pan natychmiast zaległości, będziemy zmuszeni zwrócić się do agencji odbioru należności...

– Nic z tego. Złożyłem formalny wniosek zgodnie z klauzulą gwarancji w kontrakcie.

– Ach, ci prawnicy – westchnął Scotfield.

– A jeśli spróbujecie majstrować przy moim rachunku, zawlokę waszą firmę do sądu za zniesławienie i nadużycie! – ciągnął Ben.

– Pan mi grozi? – spytał Scotfield.

– I nie poprzestanę na tym, jeśli...

– Za chwilę masz być w sądzie – wtrącił Jones. – Sprawa Johnsona.

Ben przerwał w pół słowa.

– Tak. Nie mam teraz czasu, Scotfield. Niech pan pogada z moim asystentem.

– Wielkie dzięki, szefie.

– Gdyby ktoś przyszedł, to jestem w sądzie... – Jones chwycił Bena za ramię i pociągnął. – Co znowu?

Jones wskazał okno wychodzące na ulicę.

– Uwaga. Klient.

Ben spojrział przez okno. Ulicą szedł czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku z okazałą reklamówką.

– No dobrze, umów mnie z nim. Muszę już zniknąć.

Chciał się odwrócić, ale Jones znów złapał go rękę.

– Przyjrzyj mu się.

– Patrzę, Jones, lecz nie dostrzegam nic, co skłaniałoby mnie do spóźnienia się i wywoływania gniewu sędzi Hart.

– Też mi detektyw – sarknął Jones. – Patrzy, ale nie widzi.

– No dobrze, Sherlocku. Oświeć mnie.

– Spójrz na jego samochód. Widzisz coś?

– Nic szczególnego poza tym, że jest to stary, zdezelowany ford pinto ze strzaskanym przodem.

Scofield spróbował wtrącić się znów do rozmowy.

– Panie Kincaid, nalegam...

– Odchrzań się, Scofield. Mamy do wykonania poważną robotę detektywistyczną. No dobrze, Jones, jego samochód to wrak. I co z tego?

– Zwróć uwagę na odpryski farby wokół miejsca zderzenia. Są świeże. A teraz popatrz na tego człowieka. Kuleje. Co to oznacza?

– Wypadek samochodowy – mruknął Ben. – Obrażenia ciała.

– Wynagrodzenie w zależności od wyniku sprawy – dodał Jones. – Szybka ugoda. Łatwe pieniądze. Wypłata dla personelu. Wysłannicy wierzycieli zmywają się. Musisz wziąć tę sprawę.

– Wycwanileś się, Jones.

– Lubię regularnie jeść posiłki, jeśli to miałeś na myśli. A od czerwca pracuję za połowę pensji. To oczywiście więcej niż zarabia producent urządzeń klimatyzacyjnych, ale...

– No dobrze. Wezmę tę sprawę.

Jones zatrzepotał rzęsami.

– Jesteś moim bohaterem.

Ben zwrócił się w stronę tylnego wejścia, ale drogę zastąpiło mu pozostałych dwóch ludzi z teczkami. Zrobił w tył zwrot i ruszył do głównych drzwi, lecz tu czekała na niego...

– Julia! – wykrztusił Ben. – Tyle czasu... tak długo... – Zaczerpnął powietrza. – Co ty tu robisz?

– Przyszłam cię odwiedzić, oczywiście.

Julia Kincaid Morelli Collins, siostra Bena, wprawnie trzymała w ramionach maleńkiego synka. Jej długie kasztanowe włosy muskały puciołowatą twarzyczkę dziecka.

– Masz dla mnie chwilę?

– Prawdę mówiąc...

– Oto twój siostrzeniec, Joey. – Julia uniosła dziecko. – Joey, przywitaj się

z wujkiem Benem.

– Nie nazywaj mnie tak, bo czuję się, jakbyś nakładała na mnie obowiązek gotowania mu ryżu.

Julia pominęła uwagę milczeniem.

– Powiesz wujkowi cześć? – Przeniosła wzrok na Bena. – Ma siedem miesięcy i dopiero zaczyna mówić. Powiedz „Cześć, wujku. Jak się masz!”

Joey nie spełnił prośby, co wujek uznał za dowód przytomności umysłu. Ben przyjrzał się siostrze. Bardzo się zmieniła od czasu ostatniego spotkania. Nic w tym dziwnego – widzieli się ostatnio ponad dwa lata temu.

Znacznie zeszczuplała. Niewątpliwie przyczyniła się do tego praca na dyżurce szpitala w Glasgow w Montanie, a poza tym drugi rozwód zaraz po urodzeniu Joeya i stres wiążący się z samotnym wychowywaniem dziecka. Bena coś jednak zaniepokoiło w wyglądzie tej nowej, zmienionej na lepsze Julii.

– I co słyhać? – spytał.

– Nie uwierzysz. – Joey zdradzał oznaki niepokoju: zaczął się wiercić i drapać piąstkami po buzi. Julia podniosła go na ramię, żeby mu się odbiło, i przełożyła do drugiej ręki. – Skończył mi się obowiązkowy kontrakt w szpitalu w Glasgow i otrzymałam ofertę studiów podyplomowych w Connecticut. To wyjątkowa propozycja.

– A więc przeprowadzasz się?

– Chciałabym, ale jest pewien problem. – Uśmiechnęła się do Joeya, po czym wytarła kroplę śliny z jego buzi. – Aż trudno uwierzyć, że tak długo się nie widzieliśmy, Ben. Dlaczego?

– Zdawało mi się, że za mną nie przepadasz – powiedział niepewnie Ben.

– Nie wygłupiaj się. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Zawsze mówiłaś, że jestem dziwakiem.

– Naprawdę? Tak mi przykro.

– Twierdziłaś, że nikt mnie nie obchodzi poza mną samym.

– Na pewno tak nie myślałam.

– Naskarzyłaś mamie, że próbowałem utopić cię w basenie, kiedy miałaś osiem lat.

– Bo tak było, ale nie wracajmy do przeszłości.

Wyjęła chusteczkę higieniczną z torebki na pieluchy i wytarła buzię Joeya.

– Nie powinienesz być stawać po stronie Mike’a w czasie naszego rozwodu.

Mike Morelli był pierwszym mężem Julii i kolegą Bena ze studiów. Od pewnego czasu pracował w wydziale zabójstw policji w Tulsie.

– On uważa, że stanąłem po twojej stronie.

– Myli się. Jak zwykle zresztą.

Ben skierował swą uwagę na dziecko.

– Uroczy bąbel, prawda?

– O tak. I bardzo rozwinięty jak na swój wiek. Umie już siadać w łóżeczku. Za miesiąc lub dwa zacznie chodzić. Weź go na ręce.

– Nie, lepiej nie – powiedział szybko Ben.

– Daj spokój. Przecież to twój siostrzeniec. Nie pokruszy ci się w rękach. Potrzymaj go tylko przez chwilę.

Ben wyciągnął niepewnie ręce. Nie żywił urazy wobec Joeya, ale nie miał najmniejszego pojęcia o dzieciach. Nie wiedział nawet, jak go złapać.

– Nie tak – pouczyła go Julia. – Teraz może podnieść główkę, a ty trzymasz od spodu jego ciało.

Zrobił, jak mu kazała. Joey przyglądał się wujkowi, gulgocząc po cichu.

– Polubił cię, widzisz?

– Jeśli tak mówisz.

– Połechtaj go po dolnej wardze. Uwielbia to.

Ben usłuchał siostry. Dziecko uśmiechnęło się leciutko.

– Przepraszam pana.

Ben odwrócił się. Przed nim stał mężczyzna, którego Jones wypatrzył za oknem.

– Nazywam się Ernest Hayes. Dla przyjaciół Ernie. Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałbym pogadać z panem o sprawie...

– Zgoda.

– Tak od razu?

– Tak. Z przyjemnością.

Ernie zawahał się.

– Będę z panem szczerzy, panie Kincaid. Nie mam za dużo pieniędzy.

– Nie szkodzi. Zapłata będzie uzależniona od wyniku sprawy. Mój asystent wręczy panu formularze, przedstawi warunki i tak dalej. Oto mój podpis. – Ben napisał swoje nazwisko na formularzu. – Omówimy szczegóły, kiedy wrócę z sądu.

– O rety! To łatwiejsze niż mi się zdawało.

Ben mrugnął do Jonesa.

– Zadowolony?

– Wniebowzięty.

– Proszę wybaczyć, panie Kincaid. – Scofield znów się włączył. – Moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

– Gdyby wasze urządzenia klimatyzacyjne były równie wytrzymałe jak pan, nie musiałbym się martwić o to, że to dziecko poczuje zapach mojego potu.

– Doprawdy! Jeśli to miał być żart!... – Scofield wyglądał na wstrząśniętego.

– Nie może pan dać mi chwili spokoju? Próbuję zaprzyjaźnić się z siostrzeńcem.

– Nie śmiałybym w tym przeszkadzać – wtrącił Jones, – ale zdaje się, że zapomniałeś o sądzie.

– O rany! o której się zaczyna?

– O dziewiątej. – Jones zerknął na zegarek z myszką Mickey. – Czyli pięć minut temu.

– Wielkie nieba! – Ben odsunął na bok Scofielda ramieniem, w którym trzymał dziecko. – Julio, nie lubię w ten sposób znikać, ale...

Zamarł w bezruchu.

– Julia?

Ben odwrócił się. Julii nie było.

A on został z dzieckiem na rękach.

Rozdział 2

- Gdzie ona się podziała?!! – wrzasnął Ben.
- Wsiadła do zielonego kabrioletu i odjechała – wyjaśnił jeden z brygady facetów z walizkami.
- Odjechała? To jakiś żart?
- Dlaczego miałbym żartować? Widać było, że bardzo jej się śpieszy.
- Ben wznosił oczy do nieba.
- Cała Julia. Tylko ona mogła odjechać i zapomnieć o dziecku. To nie do wiary!
- Zachowaj spokój, szefie – odezwał się Jones wstając zza biurka.
- Zachować spokój? Jak tu zachować spokój? Mam iść do sądu, a tymczasem moja siostra znika i zostawia mnie z... tym. – Ben spojrzał na zawiniątko, które trzymał w ramionach.
- Maleńkie niebieskie oczy Joeya rozszerzyły się. Spoglądał przez chwilę na twarz wujka, a potem rozplakał się w głos.
- Ojej. – Ben przytulił dziecko. – Nie chciałem cię urazić... Nie bierz tego do siebie, ale muszę się stawić w sądzie, sam rozumiesz...
- On ma dopiero siedem miesięcy, szefie. Wydaje mi się, że nie rozumie powagi sytuacji.
- Rany julek. – Ben kołysał dziecko niezgrabnie w przód i w tył. Joey płakał wniebogłosy. Ben próbował oprzeć go sobie na piersi. Płacz nieco przycichł.
- Jones, on płacze!
- Zauważyłem, szefie. Wszyscy zauważyli.
- Czyżbym uraził jego uczucia?
- Śmiem przypuszczać, że raczej chodzi o mokrą pieluszkę.
- Ben odsunął dziecko na długość ramienia.
- Naprawdę?
- A może jest głodny? Trudno powiedzieć.
- To ty masz być detektywem. Wykaż się umiejętnością dedukcji.
- Jones zaczął przeszukiwać czerwoną torbę, którą Julia zostawiła na podłodze.
- O, zabawki. Dużo zabawek i to całkiem fajnych.
- Jones, przestań się bawić jego zabawkami!

– No dobrze. – Jones zmarszczył brwi. – Kilka zmian ubranek i pieluszki, kilkanaście pieluszek. Hmm.

– Co to znaczy, hmm?

– To znaczy – mówił powoli Jones – że Julia raczej nie zostawiła dziecka przez pomyłkę.

– Jak to?

– Pamiętasz, co powiedziała Julia? Mówiła, że chce rozpocząć studia podyplomowe w Connecticut, ale jest pewien problem. Problem polegał na tym, że miała siedmiomiesięczne dziecko. – Jones uściśnął ramię Bena. – Zostawiła więc dziecko z wujkiem Benem.

– Ze mną? – Ben zarumienił się. – Ale ja... nie mogę mieć dziecka. Jestem prawnikiem!

Zerknął na Joeya, którego pucołowate policzki zaczerwieniły się od łez.

– Przykro mi, mały. Gdybym wiedział, dlaczego płaczesz, mógłbym ci pomóc. Ale nie wiem. – Ben podniósł raptownie wzrok na Jonesa. – Weź go, Jones.

– Ja? Nie mam pojęcia, jak się obchodzić z dzieckiem.

– To się naucz. Ja muszę iść do sądu.

– Co ja mam z nim zrobić? To jest biuro prawne albo coś w tym rodzaju, a nie żłobek.

Ben przysunął Joeya do piersi Jonesa. Kwilenie dziecka znów zamieniło się w głośny płacz.

– Jesteś zaradnym facetem, Jones. Coś wymyślisz. Muszę dotrzeć do sądu, zanim sędzia Hart wsadzi mnie za kratki za obrazę sądu.

Jones ostrożnie wziął dziecko w ramiona.

– O rany, szefie... Jeśli to zrobię...

– Wiem. Będę twoim dłużnikiem.

– Już nim jesteś. To będzie dług, o jakim większość mężczyzn nawet nie ma pojęcia.

Po pięciominutowym sprincie ulicami rozpalonego słońcem śródmieścia Ben dotarł do budynku sądu powiatowego w Tulsie przy skrzyżowaniu Piątej Alei i ulicy Denver. Windy były tu najwolniejsze we wszechświecie, a Ben nie mógł sobie pozwolić na czekanie, więc dysząc ciężko ruszył biegiem na szóste piętro. Wśliznął się do sali sędziny Sary Hart, licząc po cichu, że ujdzie mu to płazem.

Nic z tego.

– Panie Kincaid, jak to miło, że zaszczycił nas pan swoją obecnością.

– Przepraszam, pani sędzio. Spóźnienie wynikało nie z mojej winy.

Sędzina skinęła głową.

– Znowu problemy z wierzycielami?

– Nie, to znaczy, nie tylko. Ktoś podrzucił mi dziecko.

– Dziecko? – Sędzina zsunęła okulary na czubek nosa. – Czyżby miało to związek z jakimś nieznanym epizodem z pańskiej przeszłości?

Ben uśmiechnął się. Sędzina słynie z surowości, ale przynajmniej ma poczucie humoru.

– Nie, szanowna pani. Chodzi raczej o nieoczekiwane obowiązki rodzinne.

– Pan wybaczy, że nie możemy kontynuować tej intrygującej rozmowy, ale zastępca prokuratora okręgowego już się niecierpliwi. Zna pan prokuratora Bullocka, więc nie muszę pana ostrzegać, że potrafi być uparty.

Ben zerknął na Jacka Bullocka siedzącego przy stole prokuratorów. O tak, znał go aż za dobrze. Zanim Ben przeprowadził się do Tulsy, pracowali razem w biurze prokuratora okręgowego w Oklahoma City. Jack Bullock był szefem Bena. Więcej niż szefem – był jego mentorem, idolem, bohaterem.

Przez całe lato pracowali razem przy kilku nadzwyczaj skomplikowanych sprawach oszustw finansowych; Bullock jako główny prokurator, a Ben jako pomocnik zbierający materiały. Ben czuł się wniebowzięty. Nie dlatego że Bullock był doskonałym prawnikiem – chociaż był – ale dlatego że wierzył w to, co robił. Pracując u boku Bullocka, Ben czuł się jak rycerz na krucjacie, jak na pierwszej linii bitwy dobra ze złem. Pracowali ramię w ramię, strzegąc litery prawa i wsadzając za kratki łobuzów. Ich pracę – a właściwie życie – przepełniało poczucie sensu zaprawione optymizmem oraz idealizmem, którego Benowi rzadko dane było później doświadczyć.

Zdawało mu się wówczas, że zostanie w biurze prokuratora na zawsze. A później wynikły nieprzewidziane okoliczności, które pokazały, że się mylił. Okoliczności, które przewróciły jego życie do góry nogami.

Los często czyni z nas głupców.

– Proszę o dwie minuty na konsultację z moim asystentem i klientem.

– Kolejne opóźnienie, panie mecenasie?

Ben podniósł kciuk i palec wskazujący.

– Takie malutkie, pani sędzio.

Sędzina zdjęła okulary i położyła na ławie.

– Powinnam wsadzić pana do więzienia za obrazę sądu, ale nie mogę się doczekać pańskiego przesłuchania następnego świadka, więc tego nie zrobię. Przynajmniej na razie. Ma pan dwie minuty, panie Kincaid. Malutkie.

Ben cisnął aktówkę na stół, skinął głową Bullockowi, przywitał się szybko z klientką, dziesiętnastoletnią blondynką imieniem Jessie (Jezebel) Johnson. Kilka miesięcy wcześniej uciekła z domu i wylądowała w Tulsie bez centa w kieszeni.

Twierdziła, że przez kilka dni po przybyciu do miasta kręciła się po ulicach; właśnie wtedy podszedł do niej główny świadek oskarżenia i zaproponował ciekawy sposób zarobienia pieniędzy.

Ben rozejrzał się po sali za swoją asystentką, Christiną McCall. Odnalazł ją bez trudu. Burza włosów w kolorze świeżych truskawek falowała nad jej głową, dodając kilka centymetrów do metra pięćdziesięciu trzech. Naprawdę przyciągała jednak oczy mozaika barw poniżej. Christina miała na sobie białą bluzkę bez rękawów, szeroką niebieską spódnicę w żółte kropki, zielone skarpetki i czarno-białe mokasyny.

– Co ty na siebie włożyłaś? – spytał Ben na jej widok. – To jest sąd, a nie odpust.

– To moja letnia garderoba – odparła Christina wykonując zamaszysty piruet. Spódnica i włosy zawirowały efektownie. – Mówiłam ci, że w sobotę odwiedziłam pchli targ, pamiętasz?

– Tak. Perspektywa ujrzenia cię w nowej garderobie bardzo mnie zaintrygowała. Ale teraz zmieniłem zdanie.

– Nie zamierzam nosić w taką pogodę wełnianego kostiumu – zaperzyła się Christina. – Musisz przyjąć mnie taką, jaka jestem.

Ben zastanowił się nad słowami asystentki.

– Została jedna minuta, panie Kincaid – przypomniała sędzina.

– Cudownie. Christina, masz jakiś pomysł na moje przesłuchanie?

– Oczywiście. Czyż nie jestem twoją wierną, niezawodną adiutantką? Całą noc śledzałam nad protokołem z wstępnego przesłuchania i wreszcie odkryłam rażącą rozbieżność. Prawdziwe *faux pas*. Sęk w tym, że jest to trochę *outré*, albo nawet *risqué*...

Ben przewrócił oczami słysząc wątpliwej jakości francuszczyznę Christiny.

– Czy mogłabyś wyrażać się jaśniej?

– Nic nie wskórasz, jeśli nie zapytasz o pewne delikatne aspekty ludzkiej sfery erotycznej, w której to dziedzinie czujesz się żałośnie bezradny.

– To nieprawda.

– Prawda. Nigdy nie zapomnę wyrazu twojej twarzy, kiedy w moim mieszkaniu niechcący przełączyłeś telewizor na kanał Playboya. I o mało nie wyzionąłeś ducha w czasie naszej wycieczki do zoo.

Ben zauważył groźne spojrzenie sędziny.

– Nie czas na skromność, Christina. Mów.

Rozdział 3

Po przerwie Bullock powołał na świadka powoda. Był to Harvey Applebee, łysiejący mężczyzna w średnim wieku. Na pierwszej rozprawie zeznał, że Jezebel złożyła mu propozycję na rogu Jedenastej Ulicy i Cincinnati. Zaprowadziła go do „ośrodka zdrowia”, gdzie mieszkała z pięcioma innymi pracującymi dziewczynami, zdjęła ubranie z siebie i z niego, a potem pomogła mu wejść do gorącej kąpieli. Powód nie zgłaszał żadnych skarg, dopóki w drzwiach nie pojawili się ludzie z obyczajówki. Zaproponowano mu uwolnienie od zarzutów w zamian za zeznanie.

– Co powiedziała do pana pozwana na ulicy? – spytał Bullock.

Applebee odchrząknął.

– Stwierdziła, że przydałoby mi się trochę ćwiczeń fizycznych, a później zaprosiła do siedziby swojej... firmy.

Jezebel, która siedziała obok Bena, zachichotała. Ben dał jej kuksańca w bok.

– Czy mówiła, że posiada specjalistyczne umiejętności... trenerki gimnastyki?

– Zademonstrowała sporo... elastyczności i zaproponowała pewne pozycje... to znaczy ćwiczenia, które jej zdaniem bardzo by mi pomogły.

Bullock zaczął zdradzać oznaki niecierpliwości.

– Panie Applebee, proszę przestać owijać w bawełnę. – Z ław dla publiczności gruchnęła salwa śmiechu. Ben zarumienił się po same uszy. – Do rzeczy. Czy panna Johnson zaproponowała panu stosunek seksualny?

– Nie przypominam sobie, by użyła takich słów.

– Czy pana... dotknęła?

– Emocjonalnie?

Bullock zazgrzytał zębami.

– Nie. Czy jakaś część jej ciała zetknęła się z pana ciałem?

– Kiedy?

– Przed pańskim wejściem do balii.

– Nazywała ją świątynią relaksu.

– Mniejsza z tym.

– Chyba nie. Dotykała moich ubrań, rzecz jasna, ale ciała raczej nie.

Bullock z trudem hamował gniew.

– Panie Applebee, czyżby próbował pan zmienić swoje wcześniejsze zeznanie?

Najwyraźniej chciał w ten sposób przypomnieć świadkowi o tym, że zwolnienie od odpowiedzialności jest warunkowe, pragnąc jednocześnie uniknąć przypominania ławie przysięgłych o tym, że zeznanie zostało kupione.

– Ależ nie. Dotykała mnie później.

– Dobrze. Gdzie pan wtedy był?

– W świątyni relaksu.

Bullock przeniósł wzrok na sufit.

– Co pan miał na sobie?

– Szorty. Panna Johnson zdjęła z siebie wszystko.

– Znajdował się pan w pozycji stojącej czy siedzącej?

– Siedzącej.

– A gdzie pan siedział?

– Na dnie balii. To znaczy... świątyni relaksu.

– Gdzie pana dotykała?

– Hm... To bardzo osobiste pytanie.

– Obawiam się, że musi pan na nie odpowiedzieć – wtrąciła sędzia.

Applebee wiercił się na krześle.

– Dobrze, proszę pani. Tylko, że... Nie chciałbym tego mówić, zwłaszcza w obecności kobiet.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – warknął Bullock.

– Dotykała... – Applebee wyciągnął szyję i rozluźnił krawat. – Dotykała mojego małego Elvisa.

Ben wbił spojrzenie w notes. Cóż za wspaniały zawód uprawiał! Warto było przecierpieć trzy lata studiów prawniczych.

– A jaką częścią swojego ciała dotykała pana panna Johnson?

– Panie prokuratorze – wtrąciła sędzia. – Czy nie możemy zostawić niektórych rzeczy wyobraźni przysięgłych?

– Oczywiście, jeśli pani sobie tego życzy. Panie Applebee, czy owo dotyknięcie miało charakter przypadkowy?

– O nie.

– Czy panna Johnson zachowywała się przy tym... niezręcznie?

– Ależ nie. Wręcz przeciwnie, była nadzwyczaj zręczna.

– Co zdarzyło się po tym, jak pana dotykała?

– Wtedy wkroczyła policja – westchnął ciężko Applebee.

– No właśnie. – Bullock zmierzył świadka surowym spojrzeniem. – Ale pan nie poczuł się rozczarowany, prawda?

– Nie, skądże znowu. Poczuję ulgę. Zacząłem podejrzewać, że panna Johnson

wcale nie jest wykwalifikowaną instruktorką gimnastyki.

Ben i Christina spojrzeli po sobie.

– To wszystko – rzekł Bullock odstępując od świadka.

– Dobrze. Czy chce pan zadać świadkowi dodatkowe pytania, panie Kincaid? – spytała sędzina.

– Tak, pani sędzio – odparł Ben zrywając się na równe nogi.

– Proszę bardzo. Jeśli ma pan dość odwagi.

Ben stanął w połowie drogi między ławą prokuratora i świadkiem.

– Proszę powiedzieć, panie Applebee, czy kiedykolwiek wcześniej siedział pan w balii z gorącą wodą?

– Nie.

– Czy było to dla pana... nieprzyjemne?

– Nie, raczej nie. Było to całkiem... stymulujące.

– Jak głęboka była woda?

Applebee zmarszczył brwi. Wyglądało na to, że prokurator nie przygotował go na tego rodzaju pytanie.

– Od dna do powierzchni było około dziewięćdziesięciu centymetrów. Może trochę więcej.

– Rozumiem. – Ben zbliżył się do świadka. – Powiedział pan wcześniej, że siedział na dnie balii.

– Zgadza się.

– Czy później pan się poruszał?

– Nie. – Na czole świadka ukazała się głęboka zmarszczka.

– Pani sędzio, nie rozumiem, po co pan Kincaid zadał to pytanie – wtrącił Bullock.

– Zaraz wyjaśnię, pani sędzio – powiedział Ben.

– Bardzo proszę, panie mecenasie. Zamieniamy się w słuch.

Ben odwrócił się do świadka.

– A zatem siedział pan na dnie balii, kiedy panna Johnson rzekomo dotykała pańskiego... małego Elvisa.

– Zgadza się.

– Panie Applebee, bądźmy szczerzy wobec przysięgłych. Prokurator obiecał panu zwolnienie od odpowiedzialności w zamian za zeznanie, prawda?

– Hm... – Świadek zerknął niepewnie na Bullocka. – Tak, to prawda.

– Zeznaje pan dzisiaj, ponieważ prokurator zaproponował panu zwolnienie od odpowiedzialności, jeśli złoży pan zeznanie przeciwko Jessie.

– To nie jest jedyny powód....

– Proszę przyznać, panie Applebee. Wszedł pan do tej balii nie po to, żeby

poprawić swoją kondycję fizyczną. Liczył pan na zbliżenie seksualne.

– Wcale nie! Myślałem, że to dobre dla zdrowia!

Ben spojrział na świadka z uśmiechem niedowierzania.

– Czyżby?

– Naprawdę! – powiedział Applebee z oburzoną miną. – Tak właśnie myślałem.

– A co pan myślał, kiedy pozwana zdjęła ubranie?

Applebee splótł nerwowo palce.

– Myślałem, że to bardzo... terapeutyczne...

– Rzeczywiście. Naga kobieta przytula się do pana w balii z gorącą wodą, a pan bierze to za hydroterapię?

– To wcale nie było tak...!

– Nie było?

– Ona nie przytulała się do mnie w tej balii. To znaczy świątyni.

– Nie przytulała się?

– Nie! – zaprzeczył Applebee. – Nawet się nie zamoczyła.

– Rozumiem. – Ben odwrócił się z uśmiechem do przysięgłych. – To samo powiedział pan na pierwszym przesłuchaniu. Wcale się nie zamoczyła.

– Właśnie tak. To niesamowita kobieta.

Applebee otworzył usta, a potem zamknął.

– Jeśli woda miał dziewięćdziesiąt centymetrów głębokości, to nawet po odjęciu kilkunastu centymetrów na... pośladki, pańskie podbrzusze pozostaje ponad siedemdziesiąt centymetrów pod wodą. Panna Johnson nie mogłaby dotknąć pana... chyba że pański mały Elvis ma ponad siedemdziesiąt centymetrów długości.

Na twarzach sędziów pojawiły się uśmiechy rozbawienia. Starsza kobieta zakryła oczy.

– Czy ma? – spytał natarczywie Ben.

Brwi Applebee'ego spotkały się pośrodku jego czoła.

– Czy ma co?

– Czy mały Elvis ma długość siedemdziesięciu centymetrów?

– Teraz?

– Lub kiedy indziej. Nie jestem drobiazgowy.

– Pani sędzio! Muszę zaprotestować! – krzyknął prokurator.

– Rzeczywiście musi pan – zgodziła się sędzina. – Ale czy ma pan jakieś uzasadnione powody?

– Pan Kincaid kpi sobie ze świadka.

– Czy to zabronione w sądzie? Czyżby zmieniły się przepisy, od czasu gdy skończyłam uczelnię?

– Pytanie pana mecenas nic nie wnosi do sprawy!

– Nie mogę się z tym zgodzić – wtrącił Ben. – Moje pytanie dotyczy wiarygodności świadka.

– Zgadzam się ze zdaniem pana Kincaida – stwierdziła sędzina. – Proszę kontynuować.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. Panie Applebee, powtarzam pytanie: Czy mały Elvis ma siedemdziesiąt centymetrów średnicy?

– Nie wiem tego... dokładnie.

– A więc ile?

– Nie mam pojęcia.

– Ale to łatwo sprawdzić, prawda? – Ben wyjął z kieszeni marynarki miarę krawiecką.

– Co to ma znaczyć?! – wykrzyknął z przerażeniem Applebee.

Ben zwrócił się do sędziny.

– Wysoki Sądzie, wnoszę o pokazanie wymienionego dowodu ławie przysięgłych.

– Co, co? – wymamrotał Applebee.

Sędzina potarła palcem miejsce, w którym okulary dotykały nosa. Lekki uśmieszek igrał na jej ustach.

– Co pan na to, panie Bullock?

Bullock zamachał rękami.

– Wysoki Sądzie, świadek chyba nie musi... pokazywać dowodu przysięgłym?

– Trudno w takim razie oczekiwać od przysięgłych, by przyjęli zeznanie świadka za dobrą monetę.

– Ale musi być jakiś inny sposób. Może jakieś badanie medyczne?

– Nie zgadzam się – wtrącił Ben. – Zgodnie z przepisami, zeznanie osoby trzeciej nie może się równać z... bezpośrednim badaniem.

– Nie powiedział mi pan, że będę musiał robić coś takiego – zaprotestował Applebee, zwracając się wprost do Bullocka. – Nic z tego. Poza tym taki pomiar nie byłby miarodajny. Okoliczności są teraz inne niż wtedy w świątyni.

– Jestem pewien, że możemy stworzyć takie same okoliczności jak w świątyni – zaproponował Ben.

– Nie będę się pobudzał w sądzie! – zawołał Applebee.

– Wysoki Sądzie! Nie mogę zmuszać mojego świadka do obnażania się w obecności przysięgłych.

– Panie Bullock – powiedziała surowo sędzina. – To pan powołał tego świadka i doprowadził do zeznania, które rozpoczęło tę linię przesłuchania. Muszę dać panu Kincaidowi możliwość podważenia wiarygodności...

– Ani mi się śni! – stwierdził Applebee splatając ręce na piersi. – I nie ma

takiego sędziego, co by mnie do tego zmusił. Nie ma mowy!

Sędzina zakryła usta.

– Panie Bullock, uważam, że powinien się pan zastanowić, czy powinien pan powoływać tego świadka.

– Ależ Wysoki Sądzie! Bez tego świadka nie mam żadnych dowodów!

– Cieszę się, że pan to przyznaje. Sąd podziela pańskie zdanie. Może powinien pan naradzić się ze swoim pomocnikiem.

Bullock wymamrotał kilka słów do asystentki.

– Wysoki Sądzie, po rozważeniu wszystkich okoliczności postanowiliśmy wycofać oskarżenie – ogłosił po chwili.

Jezebel klasnęła w dłonie.

Sędzina zerknęła na Bena.

– Jak rozumiem, nie zgłasza pan sprzeciwu?

– Najmniejszego, Wysoki Sądzie. Postanowiliśmy nawet sami zapłacić nasze koszty postępowania.

– To bardzo rozsądne, panie mecenasie. – Sędzina przeprosiła przysięgłych i ogłosiła zakończenie rozprawy. – Oddalam oskarżenie. Sąd udaje się na przerwę.

Ben dogonił sędzinę.

– Pani sędzio, jeszcze raz przepraszam za spóźnienie. I za to... zamieszanie w czasie rozprawy. Wiem, że to nie pierwszy raz. Bardzo mi przykro.

– Nie szkodzi, panie Kincaid – odparła sędzina z uśmiechem. – Przyzwyczaiłam się już, że pańskie sprawy bywają trochę osobliwe. Ale muszę przyznać, że są zabawne.

Rozdział 4

Jessie podziękowała Benowi gorąco.

– Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś nie zgodził się mi pomóc. Dixie miała absolutną rację. „Benowi możesz zaufać”, powiedziała. – Jessie pocałowała Bena w policzek. – Miała rację.

– Dzięki... – wymamrotał Ben.

– Nie myśl sobie, że zapomniałam o twoim honorarium. – Sięgnęła za bluzkę po zwitek banknotów. Na oko było tam ponad sto dolarów. – Wiem, że to niewiele, ale chcę, żebyś...

– Jessie, czy to wszystkie pieniądze, jakie masz? – spytał Ben.

– Tak...

– Zatrzymaj je – powiedział marszcząc brwi.

– Ale...

– I kup sobie bilet powrotny do domu.

– Do domu! Myślisz...

– Tak właśnie myślę. Albo chociaż poszukaj nowego mieszkania i pracy.

– No dobrze... jeśli jesteś tego pewien...

– Jestem.

Jessie pocałowała Bena w usta.

– Dixie miała rację. Jesteś najlepszy.

A na pewno najtańszy, pomyślał Ben odprowadzając ją wzrokiem.

Ruszył z powrotem do ławy, ale Jack Bullock zastąpił mu drogę.

Ben wyciągnął z uśmiechem dłoń.

– Miło cię znów widzieć, Jack. Nawet jeśli...

– A więc taką wybrałeś drogę, Ben? – przerwał mu Bullock.

– Jaką drogę? Nie wiem, o czym mówisz.

– Mówię o tym, że marnujesz swój talent pomagając prostytutkom wracać na ulicę.

Ben wzruszył ramionami.

– Jessie jest zwykłą nastolatką, która uciekła z domu i nie wiedziała, co ze sobą począć...

– Nie wstawiaj mi tu swojej mowy obrończej. Jestem Jack Bullock, pamiętasz mnie jeszcze? Znam trochę życie.

– Nie rozumiem.

– To ja nie rozumiem, Ben. Nie mogę pojąć, jak to się stało, że zająłeś się obroną tych wszystkich szumowin, które próbowaliśmy razem wsadzać za kratki, wypruwając sobie flaki.

– Jack, każdy ma prawo do obrony.

– Daruj sobie ten wykład z etyki adwokackiej. Nie musisz mnie uświadamiać, że nawet ostatnia łajza ma prawo do obrony. I wiem, że zawsze znajdzie się jakiś dobroczyńca gotów tę obronę zapewnić. Nie mogę tylko uwierzyć, że ty dajesz się na to nabrać.

– To tylko jedna sprawa.

– Jedna z wielu. Dużo o tobie słyszałem, od kiedy sprowadziłem się do Tulsy. Wyrobiłeś sobie reputację faceta ratującego z opresji kryminalistów, których policja łapie z największym trudem.

– Wielu z tych ludzi zostało bezpodstawnie oskarżonych, Jack. Niektórzy z nich byli równie niewinni jak...

– Ale z ciebie naiwniak. Ludzie, których aresztuje policja, prawie zawsze mają coś na sumieniu – jeśli nie to, o co się ich oskarża, to coś innego. Dobrze o tym wiesz.

– Być może, ale Karta Praw nakazuje...

– Przestań zachowywać się jak uczeń, Ben. Wszyscy musimy w końcu dorosnąć, musimy widzieć ten świat taki, jaki jest.

– Każdy ma prawo do uczciwego procesu. Tak stanowi prawo.

– Daj spokój. To, co dzisiaj zrobiłeś, nie miało nic wspólnego z prawem. To było zręczne obejście prawa.

– Ale...

– Prawo powinno być prawem dla każdego, i kropka. Żadnych wyjątków.

– Nie można traktować ludzi jak cyfry w roczniku statystycznym, Jack. Niektórzy nie mają odpowiedniego wykształcenia i nie mogą sobie pozwolić...

Bullock potrząsnął głową.

– Powtarzasz oklepane, pseudodemokratyczne slogany. Bronisz się, bo wiesz, że mam rację. Zawiodłem się na tobie, Ben. Jak mogłeś upaść tak nisko?

Ben poczuł pieczenie w oczach.

– Jack, nie wiem, co powiedzieć...

– Kiedy pracowaliśmy razem, nasza praca coś znaczyła, była ważna. Ramię w ramię walczyliśmy z wrogiem, stawialiśmy czoło złu, broniliśmy dobra.

– Nie musisz mi o tym przypominać, Jack. Ten okres był najważniejszym.

– Daruj sobie tanie pochlebstwa. Poświęciłem ci wiele czasu, nauczyłem wszystkiego, co sam umiałem. Nie mogę uwierzyć, że wykorzystujesz teraz tę wiedzę przeciwko sprawiedliwości. Nie mogę uwierzyć, że zaprzedałeś się wrogowi.

– Zaprzedałem się? Nie stać mnie nawet na płacenie rachunków.

– Wierzyłem, że odegrasz na tym świecie pozytywną rolę. Myślałem, że coś osiągniesz. Ty zaś uciekasz się do tanich sztuczek w sądzie, by puścić winnego z powrotem na ulicę. Masz zamiar spędzić resztę życia broniąc każdego drobnego rzezimieszka, który poczęstuje cię łzawą opowieścią o nieudanym życiu?

– Moją powinnością jest bronić klienta z pełnym zaangażowaniem.

Bullock uniósł lekko górną wargę.

– Staram się oczyścić ulice tego miasta, uczynić ten stan przyzwoitym miejscem do życia, wychowania dzieci. I szczerze mówiąc, mam dość przyglądania się sabotowaniu mojej pracy przez drobnych cwaniaków gotowych sprzedać duszę za dolara.

– Jack – powiedział cicho Ben. – Byłeś dla mnie jak ojciec... a nawet więcej.

– A ty byłeś dla mnie jak syn. Właśnie dlatego tak bardzo mnie boli to, co się z tobą stało. – Odwrócił się. – Ktoś musi ci przypomnieć, o co w tym wszystkim chodzi. Ktoś musi udzielić ci lekcji.

– Mam to potraktować jak groźbę?

Bullock zaczął pakować swoje rzeczy do teczki.

– Mam wielu przyjaciół w sądzie. I nie tylko.

– Co to ma znaczyć, Jack?

– Jak długo jeszcze masz zamiar bronić w sądzie śmieci tego świata? – Bullock spojrzął Benowi w oczy. – Ktoś musi cię wyprostować, Ben, zanim będzie za późno.

Z tymi słowami Bullock wyszedł z sali.

Christina zbliżyła się do Bena.

– O co mu właściwie chodziło?

Ben odwrócił się z wolna.

– To była najbardziej przygnębiająca rozmowa, jaką miałem w życiu.

– Słyszałam, jak mówił o prostowaniu cię. Jezu Chryste, można by pomyśleć, że nigdy w życiu nie przegrał sprawy.

– Nie o to chodzi. On po prostu bardzo mocno wierzy w to, co robi.

– Tak czy siak, powinieneś przez jakiś czas unikać spraw kryminalnych.

Wygląda na to, że Bullock zagiął na ciebie parol.

– Bullock nie rządzi całym systemem sprawiedliwości.

– Owszem, ale może ci poważnie zaszkodzić.

Ben już dawno nauczył się, że instynktowi Christiny należy ufać. Pracował z nią przy różnych sprawach i jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby zawiodło ją przecucie.

To była jej największa zaleta – większa nawet niż wiedza prawnicza, choć i ta była niemała.

– Christina, pracujemy razem od dość dawna. Czy ja robię coś złego?

– Złego? Co masz na myśli?

– No wiesz, czy nie przyczyniam się do wzrostu przestępczości, czy nie kieruję szumowin z powrotem na ulicę.

– Takich jak ja, na przykład? – Ben bronił Christiny przed sądem kilka lat temu, gdy została oskarżona o morderstwo.

– To była wyjątkowa sprawa. Przeważnie jest inaczej.

– Och, dość już tych smętków – przerwała Christina. – Powinieneś cieszyć się ze zwycięstwa, a nie obwiniać. Gratuluję zręcznego przesłuchania. Byłeś fantastyczny.

– To nic wielkiego.

– Też coś. Wiele się nauczyłeś, kolego. Kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy, rumieniłeś się wypowiadając słowa „stosunki małżeńskie”.

– Wszyscy musimy kiedyś dorosnąć – odparł Ben. Te słowa zadźwięczały echem w jego uszach. – Dzięki za znalezienie nieścisłości w zeznaniu Applebee’ego. Siedziałaś pewnie nad tym protokołem pół nocy.

– Cieszę się, że tak świetnie ci poszło. Przez chwilę obawiałam się, że sama będę musiała zająć się tym przesłuchaniem.

– Ty też na pewno doskonale dałabyś sobie radę. Mówię poważnie. – Christina odpląciła za komplement anielskim uśmiechem. – Nie uwierzyłybyś, co się stało rano w biurze.

– A co się stało?

– A więc... – Kątem oka Ben spostrzegł swojego nowego klienta, czarnego mężczyznę w średnim wieku, który wyraźnie kulejąc stanął właśnie w drzwiach sali sądowej. – To zbyt skomplikowane. Powiedz, umiałabyś zmienić pieluszkę?

– Co takiego?

– Muszę porozmawiać z klientem. Poczekasz chwilę?

Ben przywitał się z mężczyzną i przedstawił go Christinie.

– Nie musiał pan przychodzić do sądu, panie Hayes. Miałem zamiar wrócić do biura.

– Nie ma sprawy. Poza tym pomyślałem, że może uda mi się zobaczyć pana w akcji.

– Spóźnił się pan. Sprawa została oddalona.

– O! To znaczy, że jest pan dobry, prawda?

Ben wyglądał na zakłopotanego.

– To doprawdy nic wielkiego. To zasługa Christiny...

– Czytałem o panu, panie Kincaid, w tej gazecie, co to ją rozdają

w restauracjach. – Kilka miesięcy wcześniej w dwutygodniku „Tulsa People” ukazał się artykuł o prowadzonej przez Bena sprawie przeciwko organizacji rasistowskiej z Arkansas. – Pan naprawdę walczy w obronie zwykłych ludzi, co? Tak pisali w tej gazecie. Podobno musiał pan mocno zakasać rękawy i wziąć się za bary z chłopcami z Ku-Klux-Klanu. Ale pokonał ich pan. Od razu wiedziałem, że właśnie pana chcę. Rozmawiałem z adwokatami w całym mieście i żaden nie chciał mi pomóc. Mówią, że to beznadziejna sprawa. Ale przeczytałem ten artykuł, zobaczyłem zdjęcia i nabrałem pewności, że tylko pan może pomóc mojemu chłopakowi.

– Pańskiemu... chłopakowi?

– Mojemu Leemanowi. Skończył już dwadzieścia osiem lat i nie jest już właściwie chłopcem, ale nie szkodzi. Nie uwierzyłby pan, o co go oskarżają. Oj, ciężko mu było w życiu. A będzie jeszcze ciężiej. – Hayes z wigorem potrząsnął dłonią Bena. – Jak to dobrze, że pan wziął jego sprawę. Tym bardziej, że nie mam grosza przy duszy.

Christina popatrzyła na Bena z wyrzutem, jak gdyby po raz kolejny postradała zmysły.

– Chwileczkę. Zdawało mi się, że chodziło o pański wypadek samochodowy.

Hayes przechylił ze zdziwieniem głowę.

– A gdzie tam. Skąd panu to przyszło do głowy?

– Mój asystent zobaczył maskę pańskiego samochodu i...

– Któryś z moich chłopaków wjechał na latarnię przy Riverside Drive. Pewnie wypił o jednego drinka za dużo w Orpha’s Lounge a może nawet o dwa. Czy możemy wytoczyć komuś o to sprawę?

– Nie polecałbym. – Ben wciągnął głęboko powietrze. – Może nie powinienem tego mówić, ale wygląda na to, że ma pan kłopoty z chodzeniem.

– No cóż, synu. Mam sześćdziesiąt trzy lata.

– Sześćdziesiąt trzy? – zdziwił się Ben. Hayes nie wyglądał na więcej niż czterdzieści pięć.

– Zgadza się. Od pięciu lat siedzi mi w nodze ten artretyzm. Najgorzej dokucza, kiedy na dworze jest upał. A Bóg mi świadkiem, że tu zawsze jest upał.

– Ach... sprawa nie dotyczy obrażenia ciała?

– Nie, skąd. Chcę wyciągnąć z kłopotów mojego chłopaka. Dlatego się tak ucieszyłem, kiedy zgodził się pan go bronić.

– Wie pan, jestem ostatnio bardzo zajęty.

– Tak. Dlatego od razu wypełniłem wszystkie formularze, co mi dał pański sekretarz. Powiedział, że wszystko załatwione jak należy.

Ben zerknął błagalnie na Christinę, która wzruszyła bezradnie ramionami. Ben przejrzał formularz z uzgodnionymi warunkami umowy, podpisanymi przez obie

strony. Pięknie.

– A więc o co jest oskarżony pański syn?

Ernie Hayes zwiesił głowę i ukrył twarz w twardych, żyłastych dłoniach.

– Morderstwo, panie Kincaid. Morderstwo pierwszego stopnia.

Rozdział 5

– Morderstwo? – Myśli kłębiły się w głowie Bena. A więc sprawa kryminalna, i to najgorszego rodzaju. – Kto był ofiarą?

– Cudzoziemka. Nie umiem wymówić jej nazwiska. Zabito ją w klubie golfowym, w którym pracował mój chłopak. Policja uważa, że on to zrobił. Wszyscy tak uważają.

Morderstwo z zimną krwią, pomyślał Ben. I to akurat teraz. „....Jak długo jeszcze masz zamiar bronić w sądzie śmieci tego świata?”

– A co mówi pański syn?

– Niełatwo się z nim dogadać.

– Nie chce panu powiedzieć, co się stało?

– Nie o to chodzi, że nie chce. Z jego głową jest trochę nie tak.

– Przykro mi. Chce pan powiedzieć, że...

– Jest upośledzony umysłowo. Taki się już urodził, biedak. Wiem, że teraz używa się na to innych słów, żeby nikogo nie dotknąć, ale taka jest prawda. On jest niedorozwinięty.

– A więc tak naprawdę nie wie pan, czy syn zabił tę kobietę, czy nie.

Ernie Hayes podniósł wyżej głowę.

– Tu się pan myli. Znam mojego chłopaka i wiem, że nikogo by nie zabił. On nie skrzywdziłby nawet muchy.

„Ale z ciebie naiwniak”. Słowa Bullocka znów zadźwięczały Benowi w głowie. „Ludzie, których aresztuje policja, prawie zawsze mają coś na sumieniu – jeśli nie to, o co się ich oskarża, to coś innego. Dobrze o tym wiesz”.

– Nie słyszałem nic o tym morderstwie. Kiedy to się stało?

– Jakieś dziesięć lat temu.

– Dziesięć lat temu! – Ben otworzył szeroko oczy. – I dopiero teraz ma się odbyć proces? Jak to możliwe?

– Niech mi pan nie każe tłumaczyć tych wszystkich prawniczych treli moreli. Wiem tyle, że go aresztowali, zabrali do jakiegoś szpitala, a teraz odsyłają na proces.

To brzmiało nieprawdopodobnie. Jeśli tak się rzecz naprawdę ma, to byłoby to rekordowe naruszenie prawa oskarżonego do szybkiego procesu. Ben zanotował

w pamięci, że musi sprawdzić tło tej sprawy w bardziej wiarygodnym źródle.

– Na kiedy wyznaczono termin rozprawy?

– Na przyszły tydzień.

– Przyszły tydzień! – Koszmar powiększał się z każdą chwilą. – A postawienie w stan oskarżenia? A wstępne przesłuchanie?

– Tym wszystkim zajmował się jakiś inny facet.

– Inny facet? – Ben uświadomił sobie rozmiar swej konsternacji, gdy zauważył, że tylko powtarza słowa Hayesa. – Inny prawnik?

– Jakiś stary dureń wyznaczony przez sędziego. Nie podobał mi się. Chcę, żeby pan poprowadził sprawę mojego syna. Tylko pan może mu pomóc.

Ben nie podzielał opinii Hayesa, choć była dla niego pochlebna. Wiedział z doświadczenia, że większość obrońców z urzędu robi dobrą robotę mimo olbrzymiego nawału spraw. Najgorsze, że umowa została już podpisana.

– Nie będę mógł się zająć obroną pańskiego syna, dopóki nie uzyskam pewności, że mam jakieś szanse powodzenia i wątpię, czy uda mi się przygotować w ciągu tygodnia.

– Da pan sobie radę, jestem pewien. Zrobił pan kiedyś coś podobnego.

– Tak?

– Aha. W Arkansas. Czytałem o tym w gazecie.

– Tak, ale tam były pewne okoliczności łagodzące. – Ben spojrzał Hayesowi głęboko w oczy. – Musi pan zrozumieć, że umowa, którą podpisaliśmy, nie jest wiążąca. Nie znałem okoliczności. Poza tym kodeks nie zezwala na prowadzenie sprawy kryminalnej bez wynagrodzenia.

– Czy to znaczy, że nie będzie pan bronił mojego Leemana?

– Po prostu... – „Jak długo jeszcze masz zamiar bronić w sądzie śmieci tego świata?” – Musi pan zrozumieć...

Ernie Hayes nie spuszczał z Bena swoich czarnych oczu.

– Ja naprawdę... – zająknął się Ben. – Spotkam się z pańskim synem. Porozmawiam z nim. Ale to wszystko, co mogę panu obiecać.

Hayes skoczył zwawo do Bena i uściśnął mocno jego dłoń.

– Wielkie dzięki, panie Kincaid. Chwała Bogu. Wiedziałem, że pan mnie zrozumie.

Ernie potrząsnął jeszcze kilka razy ręką Bena, a potem wyszedł z sali.

Ben zauważył, że nie kulał już tak wyraźnie jak na początku.

Rozdział 6

Mężczyzna kroczył chodnikiem ze zdjęciem z polaroida w dłoni. Palcami drugiej ręki muskał metalowy płot otaczający plac zabaw. Czuł się idiotycznie w rudej peruce i okularach ze zwykłymi szklami. Ale to było konieczne.

Musiał spędzić trochę czasu ze swym nowym małym ukochanym, musiał zdobyć jego przyjaźń i zaufanie a to wymaga czasu. Musiał też zadbać o to, żeby Abie nie zobaczył dokładnie jego twarzy.

Niemal natychmiast dostrzegł chłopca stojącego samotnie między huśtawką a minikaruzelą. Abie Rutheford z nikim się nie bawił. Chłopiec zmarszczył czoło i położył dłoń na biodrze w czarującej pozie dziecięcej wyniosłości.

Prześliczne dziecko. Fotografia nie ukazywała jego urody. Ale czy zdjęcie może oddać takie nieskazitelne piękno? Tak bardzo pragnął wziąć tego chłopca w ramiona, przytulić do piersi. Zaopiekować się nim, obdarzyć uczuciem.

Minął plac zabaw i skręcił za rogiem. Nie mógł pozwolić się zauważyć, nawet w przebraniu. Na to było jeszcze za wcześnie. Najpierw musiał nawiązać kontakt.

Zerknął na zegarek. Za trzy godziny w prywatnej szkole skończą się zajęcia. Chłopiec mieszkał w pobliżu i prawdopodobnie chodził do domu pieszo. Przez Dwudziestą Pierwszą Aleję i Woodward Park. To dobrze.

Mężczyzna przeszedł na drugą stronę ulicy i rozejrzał się za spokojnym miejscem, gdzie mógłby spędzić trzy godziny. Nie mógł jednak oprzeć się pokusie spojrzenia jeszcze raz na swoje nowego wybranka.

Wzruszył się.

– Jesteś mój, Abbie Rutheford – szepnął. – Tylko mój”.

Rozdział 7

Ben wszedł do biura obrońców z urzędu, aby sprawdzić akta Leemana Hayesa. Wyjaśnił, że został poproszony o reprezentowanie go w sądzie i właśnie się zastanawia, czy się tego podjąć. Zakładając, że Leeman nie wyrazi sprzeciwu, adwokaci z urzędu zgodzili się przekazać sprawę Benowi. Nie dlatego że uważali ją za nieważną. Ale jeśli czterech ludzi musi bronić w ponad tysiącu spraw kryminalnych rocznie, przydaje się każda pomoc.

Przed wyjściem do zakładu, gdzie trzymano Leemana, Ben przejrzał pobieżnie akta sprawy. Zagadka dziesięcioletniej zwłoki wnet się wyjaśniła. Leeman został aresztowany niemal natychmiast po odkryciu morderstwa. Adwokat, który wkrótce zmarł, wniósł o przeprowadzenie całej serii badań medycznych i psychiatrycznych. Obejrząwszy wyniki badań, sędzia orzekł, że stan psychiczny Leemana nie gwarantuje, iż będzie on mógł zeznawać we własnej obronie, a zatem zgodnie z konstytucją nie może być sądzony.

Leeman trafiał do kolejnych placówek terapeutycznych. Wszystkie orzeczenia były podobne, zmieniały się tylko użyte sformułowania. Leeman Hayes urodził się z wadą genetyczną powodującą głęboki niedorozwój psychiczny. Zaburzenia o charakterze neurologicznym wpływały na jego postrzeganie i reakcje wobec świata zewnętrznego. Leeman był jak gdyby oddzielony od wszystkich warstwą grubej gazy.

W raporcie lekarskim znalazło się stwierdzenie, że Leeman jest dobrze usposobiony do ludzi, ale czasami wybucha gniewem. W czasie owych ataków, zwłaszcza wobec ograniczonej możliwości odbierania bodźców zewnętrznych, jego zachowanie może być całkowicie nieprzewidywalne.

Latami przenoszono Leemana z jednego centrum psychiatrycznego do drugiego, aż do wiosny tego roku, kiedy to opiekujący się nim psychiatra, doktor Herbert Fischer, oświadczył niespodziewanie, że pacjent jest psychicznie zdolny do wzięcia udziału w procesie, i skierował sprawę z powrotem do sądu. Ben zorientował się, że sędzia odnosił się do orzeczenie lekarza bez entuzjazmu, ale nie miał wyboru. Musiał sprawę przyjąć.

Ku zaskoczeniu Bena, w aktach nie znalazły się żadne dowody potwierdzające

niewinność Leemana. Wbrew zdecydowanemu oświadczeniu doktora Fischera, protokoły przesłuchań oskarżonego wskazywały, że Leeman nie był w stanie powiedzieć niczego w swojej obronie. Pojęcie upływu czasu było dlań całkowicie niezrozumiałe. Wszystkie wysiłki skierowania jego uwagi na wypadki sprzed dziesięciu lat spęły na niczym. Ben musiałby startować od zera.

Gdyby wziął tę sprawę.

„... Ale z ciebie naiwniak”.

W takich okolicznościach tylko szalenie podjąłby się obrony Leemana.

Klinika znajdowała się w południowej części Tulsy koło Shadow Mountain, tuż przy Sześćdziesiątej Pierwszej Alei. Po krótkiej rozmowie z lekarzem dyżurnym, doktorem Montague, Ben otrzymał pozwolenie na widzenie się z Leemanem Hayesem. Przed gabinetem lekarza dyżurnego siedziała za biurkiem wysoka czarnoskóra kobieta; na jej identyfikatorze widniało imię Vera. Doktor poprosił ją o zaprowadzenie Bena do sali, gdzie znajdował się Leeman.

Ben chciał zapytać Verę o Leemana, lecz nie miał pewności, czy jest ona pielęgniarką, sekretarką czy jeszcze kimś innym; nie chciał też urazić jej pytaniem o funkcję. Postanowił wy badać ją po swojemu.

– A więc... pracuje pani z doktorem Montague?

– Tak. Codziennie.

– Rozumiem. – Szli sterylne czystym szpitalnym korytarzem. – Doktor pewnie na pani polega w codziennej pracy.

– To prawda.

– Pewnie dogląda pani często pacjentów.

– Tym zajmują się pielęgniarki.

A więc nie pielęgniarka.

– Czy... zajmuje się pani przygotowaniem sprawozdań doktora Montague’a?

– Tak. Wszystkie jego raporty przechodzą przez moje ręce.

Bingo.

– Więc jest pani jego sekretarką.

Vera zerknęła na Bena z góry.

– Blisko. Jestem lekarzem.

Gdyby była w pobliżu szafka, Ben chętnie by się w niej schował.

– Przepraszam. Pomyślałem...

– Pomyślał pan, że jako kobieta mogę być albo pielęgniarką, albo sekretarką.

– Ależ nie – odparł Ben, choć w duchu musiał przyznać, że rozważając wszystkie możliwości, nie przyszło mu do głowy, iż Vera może być lekarką. – Pomyślałem, że skoro zajmuje się pani papierkową robotą, to jest pani sekretarką

doktora. Bóg mi świadkiem, że to właśnie robi mój sekretarz.

– Zajmuję się tym, bo muszę. Jestem zwykłym lekarzem, a on specjalistą – psychiatrą klinicznym specjalizującym się w chorobach umysłowych. Jako zwykły lekarz ogólny przerzucam papiery, robię notatki i całą nudną robotę. Niedługo przyjdzie mi jeszcze pewnie myć jego jaguara.

Ben uznał, że to odpowiednia chwila na zmianę tematu.

– Czy Leeman Hayes potrafi komunikować się z otoczeniem?

– Tylko na podstawowym poziomie. Jego umiejętności werbalne są znacznie mniejsze niż najbardziej niepełnosprawnych umysłowo osób.

– Niepełnosprawnych umysłowo...?

– To najnowszy politycznie poprawny eufemizm na upośledzenie umysłowe. Wiem, że trudno za tym nadażyć. Gdyby ludzie poświęcali opracowywaniu lekarstw połowę tego czasu, który spędzają na wymyślaniu nowych określeń, pewnie mielibyśmy już środek na przeziębienie.

– Czy... niepełnosprawność umysłowa Leemana przejawia się tym, że nie potrafi się porozumiewać z otoczeniem? – Ben kontaktował się już z takimi ludźmi i zawsze udawało mu się z nimi rozmawiać. – Dlaczego?

– Dużo pan wie o upośledzeniu umysłowym?

– Nie, raczej niewiele – przyznał Ben.

– Proszę więc wybaczyć, jeśli to co powiem, zabrzmie jak wykład. Upośledzeniem umysłowym dotkniętych jest trzy procent obywateli naszego kraju. Podobno przyczyna tych anomalii leży w uwarunkowaniach genetycznych.

– Podobno?

Vera poprawiła okulary.

– Statystyki dowodzą, że ogromna większość osób dotkniętych upośledzeniem pochodzi z biednych rodzin. Jeśli to genetyka, to dlaczego choroba ta tak często atakuje ubogich? To żadne wytłumaczenie.

– A jakie jest pani zdaniem prawdziwe wytłumaczenie?

– Wydaje mi się, że upośledzenie bierze się z biedy oraz zespołu negatywnych uwarunkowań społecznych i kulturowych oraz niedostatku bodźców intelektualnych w pierwszych latach rozwoju dziecka. Wczesne lata są decydujące – stymulacja zmysłowa, werbalna, emocjonalna oraz ćwiczenia pewnych podstawowych umiejętności. Sęk w tym, że większość biednych ludzi nie ma czasu ani możliwości, aby zapewnić ją swoim dzieciom. A czasami nie posiada odpowiedniego wykształcenia dającego świadomość, co należy robić.

– Jak poważnie upośledzony jest Leeman?

– Osiemdziesiąt siedem procent przypadków to osoby dotknięte tak zwanym łagodnym upośledzeniem. Są w stanie skończyć sześć klas szkoły podstawowej

i zazwyczaj mogą się same utrzymywać. Dziesięć procent stanowią osoby średnio upośledzone. Mogą osiągnąć poziom drugiej klasy szkoły podstawowej i nauczyć się podstaw komunikacji. Trzy procent przypadków to upośledzeni głęboko lub bardzo głęboko. Osoby dotknięte głębokim upośledzeniem wymagają opieki przez całe życie, choć potrafią zrobić same niektóre rzeczy. Osoby z bardzo głębokim upośledzeniem tego nie potrafią.

– W aktach przeczytałem, że Leeman jest średnio upośledzony.

– To prawda, choć znajduje się w dolnej części skali i nie posiada właściwie żadnych umiejętności werbalnych. Kiedy po raz pierwszy trafił do ośrodka, nic nie umiał powiedzieć. Od tamtej pory nauczył się kilku słów. Dosłownie kilku. Proszę pamiętać, że Leeman rozumie to i owo z tego, co się wokół niego dzieje. Potrafi wykonywać proste zadania. Umie posługiwać się rękami i sprawnie się poruszać. Nie potrafi tylko mówić.

– W aktach znalazłem informację o tym, że Leeman cierpi na fenylokotenurię.

– Zgadza się. Jest to anomalia metabolizmu wywołana błędem genetycznym. Trochę jak syndrom Downa. Objawia się egzemą, zaburzeniami uwagi i nieprzyjemnym zapachem ciała.

– Nie ma na to lekarstwa?

– Właściwie jest. Przynajmniej w niektórych przypadkach można zapobiec fenylokotenurii u dzieci dotkniętych tym zaburzeniem metabolizmu zmieniając ich dietę, zanim choroba spowoduje nieodwracalne zmiany w mózgu. Niestety, rodziców Leemana nie stać było na pierwszorzędnych lekarzy i kosztowne leczenie. Nie mieli nawet ubezpieczenia a więc choroba nie została wykryta i dlatego Leeman musi cierpieć.

Milczeli przez dłuższą chwilę.

– Po tym wszystkim, co pani powiedziała, dziwię się, że Leeman mógł pracować w klubie golfowym.

– Och, był wyśmienitym tragarzem – odparła Vera. – Nie mógł wprawdzie doradzić graczowi, jakiego kija użyć, ale noszenie torby po polu nie sprawiało mu większego wysiłku. Był silny, nie narzekał i znał pole jak własne podwórko. Nikt nie wymagał od niego umiejętności mówienia.

Ben skinął głową.

– Czy Leeman jest pilnowany?

– Właściwie nie w końcu przebywa w różnych ośrodkach od dziesięciu lat. Na pewno nie ucieknie. Nie sądzę, żeby po ucieczce wiedział, dokąd się udać.

– Czy doktor Montague zajmował się leczeniem Leemana?

– Nie on uznał go za zdolnego do odbycia procesu, jeśli o to pan pyta. Tamten uczony mąż mieszka w Ponca City. Spędził z Leemanem dwie godziny, a potem

wydał wyrok. Wyrok, który wprawił nas wszystkich w osłupienie.

– Więc uważa pani, że Leeman nie jest zdolny świadczyć w swojej obronie?

– Uważam, że jego stan nie uległ zmianie. Leeman pozostał upośledzony umysłowo. Nie można go wyleczyć. Można najwyżej starać się poprawić jego umiejętność komunikowania się z otoczeniem lub nauczyć wykonywania jakiejś pracy. Ale nic więcej. Zdolny do świadczenia w swojej obronie? To absurd. Nie był do tego zdolny dziesięć lat temu i teraz nie jest.

Zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami.

– Jak więc wytłumaczy pani to orzeczenie?

– Względami politycznymi.

– Co takiego?

– Słyszał pan. Oraz wątpliwą pozycją psychiatrii jako nauki.

– Nie rozumiem...

– Wbrew temu, co mówią niektórzy lekarze, psychiatrii nadal nie można zaliczyć do nauk w ścisłym tego słowa znaczeniu a nasza wiedza na temat zaburzeń umysłowych pozostawia bardzo wiele do życzenia. Dwaj kompetentni lekarze mogą wydać orzeczenia diametralnie różne a jeśli jeden z tych lekarzy jest arcykonserwatystą święcie przekonany, że morderca musi ponieść karę...

– To prawdopodobieństwo wydania orzeczenia dopuszczającego do procesu jest znacznie większe. Czy to właśnie przydarzyło się Leemanowi Hayesowi?

Vera uśmiechnęła się lekko.

– Proszę mnie o to nie pytać. Jestem tylko zwykłym lekarzem ogólnym. Co ja mogę wiedzieć?

Rozdział 8

Leeman Hayes siedział na podłodze pod ścianą i składał plastikowe części modelu białego samochodu. Ben miał nieduże pojęcie o samochodach, ale wiedział, że jest to piękny sportowy wóz. Rozejrzał się po pokoju. Wszędzie stały gotowe pomalowane modele. Leeman najwyraźniej specjalizował się w modelach środków transportu: można tu było znaleźć wszystko od „Titanica” do statku kosmicznego „Enterprise”.

Leeman był rosląm mężczyzną o szerokiej, okrągłej jak księżyc twarzy. Miał ciastowatą skórę i wydzielał jakiś duszny, nieokreślony zapach. Nad paskiem jego spodni zwisały fałdy skóry. Mimo rzucającej się w oczy ociężałości wyczuwało się w tym ciele prawdziwą siłę.

Oczy Leemana utkwione były w jeden punkt, a jego język podwinięty do górnej wargi. Ben prawie czuł wysiłek, z jakim Leeman kierował uwagę na część samochodu, którą właśnie przyklejał.

– Przepraszam – odezwał się cicho Ben, żeby go nie przestraszyć.

Leeman wcale się nie przestraszył. Wręcz przeciwnie – wcale nie zareagował. Ben wyczuł, że Leeman zauważył jego wejście, ale nie wzbudziło to jego zainteresowania.

– Nazywam się Ben Kincaid. Jestem adwokatem.

Leeman podniósł wzrok, ale nie z powodu słów Bena. Skończył przyklejać błotnik samochodu i rozglądał się za następną częścią. Miał wypryski na policzkach i brodzie. Nadmierne otłuszczenie nadawało jego twarzy ciastowaty wygląd i wyraz ciągłej niepewności. Spoglądał na Bena nie jak na nieznaną osobę, lecz jak na nową formę życia.

Ben przyjrzał się dokładniej Leemanowi. Nie tyle jego wygląd, ile zachowanie świadczyło, że coś jest nie tak. Głową spoczywającą pod dziwnym, nienaturalnym kątem wstrząsały krótkie, spazmatyczne ruchy. Oczy wydawały się poruszać niezależnie od twarzy.

– Go... towe. – Leeman wymawiał dokładnie sylaby, jak gdyby każdy dźwięk wymagał specjalnego wysiłku.

– Wiem, że masz już adwokata, ale on jest zajęty, więc twój ojciec pomyślał, że

ja mógłbym ci pomóc.

Twarz Leemana rozjaśniła się na dźwięk słowa „ojciec”.

– Tata. – Jego oczy latały we wszystkie strony. – Tata?

– Przykro mi, ale nie ma go tu teraz. Przyszedł do mojego biura i poprosił, żebym reprezentował cię w sądzie. Jeszcze nie podjąłem decyzji. Najpierw chciałem z tobą porozmawiać. Ojciec jest twoim prawnym opiekunem, więc wystarczyłaby jego zgoda. Ja jednak chciałem się upewnić, że ty nie masz nic przeciwko temu, bym poprowadził sprawę w końcu to ty masz stanąć przed sądem.

Leeman nie zareagował. Wsadził ręce do kieszeni, co sprawiło mu wiele trudu, gdyż sztruksowe spodnie były zbyt ciasne. Wypuszczona ze spodni koszuli nosiła ślady wielu rozlanych posiłków.

Prawda uderzyła Bena z siłą kija baseballowego. Po odroczeniu procesu za pierwszym razem jakaś dobra liberalna dusza uznała, że skierowanie Leemana do ośrodka będzie najbardziej humanitarnym rozwiązaniem.

Człowiek ten popełnił straszliwy błąd. Zamiast dać Leemanowi szansę uczciwego procesu, skazał go na dożywocie.

– Czy masz coś przeciwko temu, że zostanę twoim adwokatem?

Ben nie potrafił odgadnąć, czy Leeman zrozumiał jego słowa.

Leeman przekręcił głowę w jedną stronę, potem w drugą.

– Tata?

– Twój tata mnie tu przysłał. Jak powiedziałem, to był jego pomysł.

– Dobrze. – Leeman uśmiechnął się przelotnie i skierował uwagę z powrotem na swój model.

– Piękny samochód sklejasz – zauważył Ben. Musiał sobie przypominać, żeby nie zwracać się do Leemana jak do dziecka. To był niedorozwinięty umysłowo dorosły, a nie jego siostrzeniec. – Sam je wszystkie zrobiłeś?

Oczy Leemana rozjaśniły się.

– Wszystkie.

– Kiedy byłem mały, próbowałem skleić model Supermana roztrzaskującego ścianę z cegły. Beznadziejnie skopałem robotę. Mój Superman wyglądał jak narzeczona Frankensteina.

Leeman podniósł z dywanu część modelu w kształcie talerza.

– Czytałem w aktach, że lubisz muzykę. Czy to prawda?

Leeman podrzucił głowę na dźwięk słowa „muzyka”. W milczeniu podszedł do szafki w ścianie.

Znajdował się tam zestaw stereofoniczny: radio, gramofon i dwa głośniki. Niewyszukany sprzęt, ale też nie najgorszy. Dwie półki poniżej wypełniały płyty, setki płyt. Większość okładek była mocno wytarta i zniszczona.

Ben zerknął na tytuły.

– To twoje płyty?

Leeman z entuzjazmem skinął głową.

– Ty?

– Tak, lubię muzykę. To był mój ulubiony przedmiot w szkole. W wolnych chwilach gram jeszcze czasem na pianinie. – Ben wyciągnął niebieską okładkę płyty. – Mam ten album. Nowojorska Orkiestra Filharmoniczna pod dyktando Leonarda Bernsteina gra Piątą Symfonię Beethovena. Co o tym sądzisz?

Leeman wzruszył obojętnie ramionami.

– Też tak myślę. Wspaniały dyrygent, ale to nie jest jego najlepsze nagranie. Wydaje mi się, że za bardzo chciał być odkrywca.

Leeman wskazał kilka płyt odłożonych z boku.

– To wszystko są nagrania Piątej Symfonii? Masz dobry gust, Leeman.

Leeman wyjął jeden z albumów.

– Roger Norrington. Też mam tę płytę. Wspaniałe nagranie. Wszystkie instrumenty z epoki. Doskonała interpretacja. To twój ulubiony album?

Leeman potrząsnął głową i dotknął palcem kolejnej płyty.

Ben wstrzymał oddech.

– Hans Schmidt-Isserstedt. Wiedeńska Orkiestra Filharmoniczna, rok sześćdziesiąty szósty. Nagranie analogowe. – Wyciągnął płytę i przycisnął do piersi. – Szukałem tego albumu przez całe życie. Znaczący twierdzą, że to najlepsze, najbardziej autentyczne wykonanie Piątej Symfonii. Ale płyta od dawna nie jest już tłoczona. Obszedłem wszystkie sklepy z używanymi płytami w Tulsie i nigdzie jej nie znalazłem. Skąd ją masz?

– Tata – odparł Leeman.

Ben nie był zaskoczony.

– Leeman, jesteś szczęściarzem. Oddałbym wszystko za tę płytę. – Zerknął na zegarek. Dość tych uprzejmości. Czas zabrać się do pracy. – Leeman, chciałbym ci zadać kilka pytań. Czy rozumiesz, o co zostałeś oskarżony?

Błogi spokój na twarzy Leemana ustąpił miejsca rozpaczy połączonej z przerażeniem.

– Lekarz stwierdził, że jesteś zdolny do zeznawania w swojej obronie. Musimy udowodnić, że miał rację, zgoda? Potrzebuję twojej pomocy.

Z szeroko otwartych oczu Leemana wyczaiła całkowita bezradność. Były tylko dwie możliwości: albo Leeman nie chce się bronić, nie chce nawet rozmawiać o tym, co się stało dziesięć lat temu, albo lekarz w Ponca City postradał zmysły twierdząc, że chłopak jest zdolny do świadczenia w swojej obronie.

– Czy znałeś kobietę, która została zabita?

Leeman odwrócił się i zamknął szafkę.

– Czy widziałeś, co się stało w klubie golfowym tego wieczora?

Żadnej odpowiedzi. Leeman zachowywał się tak jak wtedy, gdy Ben wszedł do pokoju – jak gdyby go nie było.

– Leeman, musisz mi powiedzieć, co wiesz o tym morderstwie.

– Hon... da – rzekł Leeman.

– Honda?

– Honda. – Leeman podniósł ręce, jak gdyby prowadził wóz. – Honda.

– No tak. Jeżdżę hondą accord z osiemdziesiątego drugiego roku. Skąd wiedziałeś?

Leeman zwrócił twarz w stronę okna. Ustawił prawą dłoń na czole, jak gdyby osłaniał oczy przed słońcem.

– Widzisz?

Rzeczywiście. Okno pokoju Leemana wychodziło na parking. Musiał zobaczyć samochód Bena.

– Znasz się na samochodach, prawda? – Ben nie mógł pozwolić tak łatwo odwieść się od tematu. – Wracajmy do morderstwa. Powiedz mi, co się wtedy stało?

Leeman odwrócił się.

– Lub co widziałeś, co wiesz. Wszystko może mieć znaczenie.

Leeman nie odpowiedział, nie poruszył się nawet.

Ben złapał go za ramiona i odwrócił. Leeman płakał. Łzy spływały po jego nalanych policzkach i brodzie, skapywały na poplamioną koszulę. Wargi drżały.

Ben cofnął się.

– Przykro mi, Leeman. Nie chciałem... Nie spodziewałem się, że...

Zrezygnował z kolejnych pytań. To było bezcelowe. Wszyscy stanowią lekarze nie przekonaliby Bena, że ten człowiek może zeznawać w swojej obronie. Być może, Leeman rozumie to i owo, ale nie potrafi mówić. Jeśli w jego głowie znajdowały się jakieś informacje, były zamknięte jak w sejfie.

– Muszę już iść.

– Honda?

– Tak. Pojadę hondą. Ale wrócę, nawet jeśli nie wezmę twojej sprawy.

Leeman wpatrywał się w niego intensywnie.

– Następnym razem poproszę cię, żebyś puścił mi tę płytę i nie będzie żadnych tłumaczeń.

– Tłumaczeń – powtórzył jak echo Leeman z uśmiechem zaczął nucić wstęp do drugiej części Piątej symfonii, starannie przyklejając obręcz koła modelu.

Rozdział 9

Ben z wawym krokiem szedł korytarzem posterunku policji w centrum Tulsy. Zatrzymał się przed szarym biurowym przepierzeniem z plakieta „Sierżant M. Morelli, Wydział Zabójstw”. Na szczęście zastał detektywa.

– Co słychać, Sherlocku?

Mike podniósł wzrok z jego ust wystawała wykałaczką.

– Jakoś leci. A u ciebie?

– Ale miałem poranek, nie uwierzyłbyś... – Przerwał w pół słowa. – Zaraz, zaraz. Coś mi tu nie pasuje.

– Słucham?

– Czegoś mi tu brakuje. – Strzelił palcami. – Mam! Fajka! Gdzie się podziała?

Mike przesunął wykałaczkę w drugi kącik ust.

– W sejfie. Zamknięta.

– I dlatego ssiesz ten patyk? Ach, rozumiem. Próbujesz rzucić palenie.

– Wszyscy znajomi przez to przeszli.

– I jak ci idzie? Zawsze mi się zdawało, że wdychanie dymu jest częścią twojego wizerunku twardego macho.

– Nie mówiąc o uzależnieniu od nikotyny.

– Więc niełatwo przestać?

Mike zazgrzytał zębami.

– Przytyłem pięć kilo od zeszłego tygodnia. Właśnie wtedy przerzuciłem się na wykałaczki.

– Jestem z ciebie dumny, kolego – roześmiał się Ben. – Przy wejściu powiedzieli mi, że nie jesteś dzisiaj w sosie. Teraz rozumiem.

– Nie dlatego. To przez tego pedofila, który nie daje mi spać.

– Pedofila?

– Tak. Pedofila i wielbiciela pornografii.

Ben zmarszczył czoło.

– Chciałbym o tym usłyszeć?

– Wątpię. Ten zboczony sukinsyn dostał już w swoje łapy czterech małych chłopców i nadal jest na wolności, strasząc wszystkie dzieci w mieście. Nie

uwierzyłbyś, co on wyprawia z tymi dziećmiakami. Pękłoby ci serce. Tego nie można nazwać zwykłą pedofilią. Bydlak lubuje się w przemocy i torturach.

– Macie rysopis?

– Jeszcze nie. Żaden z chłopców nie przeżył spotkania z tym draniem.

Benowi zaschło w gardle.

– Jak trafiają w jego ręce?

– Nie wiemy, jak wybiera ofiary, ale kiedy już wpadną w jego łapy, dręczy je i zmusza do pozowania do obrzydliwych zdjęć. Znaleźliśmy kilka pisemek domowej roboty.

Mike otworzył szufladę, ale po chwili wahania zamknął z powrotem.

– Nieważne. Daję ci słowo, że zemdliłoby cię na ich widok.

– Nie możecie iść śladem wydawcy?

– Nic z tego. Pornografia stała się przemysłem chałupniczym. Każdy, kto ma komputer i odpowiedni program do obróbki graficznej, albo nawet maszynę do pisania i kpiarkę, może wydrukować magazyn pornograficzny. Przesyłają te rzeczy pocztą elektroniczną albo faksem. Prawie nie ma możliwości wytropienia ich.

– Skąd pewność, że zdjęcia mają związek z napastowaniem dzieci i morderstwami?

– Mam tę pewność, bo znaleźliśmy w tych magazynach zdjęcia wszystkich zaginionych chłopców. To nie może być zbieg okoliczności a nawet gdyby był, to i tak ścigalibyśmy amatorów dziecięcej pornografii. Granica między wielbicielem porno i zbrodnicem jest cieniutka i łatwo ją przekroczyć. Pokaż mi faceta mającego obsesję na punkcie tych zdjęć, a gwarantuję ci, że pewnego dnia spróbuje zrealizować swoje fantazje na jakimś dziecku. Długo będzie poprzestawał na marzeniach, będzie zbierał w sobie odwagę, ale kiedyś to uczyni a te zdjęcia podsycają wyobraźnię, zaostrzają apetyt. Sprawiają, że chore pragnienia nigdy nie znikną z ich głów.

Mike położył sobie dłoń na czole.

– Ten bydlak zamordował swoje trzy pierwsze zabawki. Ostatnia ofiara wybiegła na ulicę i wpadła prosto pod samochód na ulicy Memorial. Przeszukaliśmy całą okolicę, ale nie znaleźliśmy drania. Nie wiemy, skąd uciekał ten chłopiec. Może wyskoczył z samochodu na światłach. – Mike potrząsnął głową. – Dziecko pozostaje w stanie głębokiej śpiączki i nie ma szans, aby...

Ben złapał Mike'a za ramię.

– Nie mów nic więcej.

Mike opanował skurcz twarzy.

– Słusznie.

– Macie jakieś poszlaki?

– Nie wolno ich ujawniać. Chłopiec miał na głowie czerwoną czapkę baseballową, kiedy zniknął. Nie miał jej, gdy potracił go samochód. Dużo bym dał, żeby znaleźć tę czapkę w samochodzie jakiegoś bydlaka. – Przegryzł wykałaczkę. – Ale prawdopodobieństwo wynosi mniej więcej jeden do stu milionów.

– Jestem pewien, że prędzej czy później go złapiesz – powiedział Ben. – Nikt nie pracuje tak ciężko jak ty.

– Owszem. Ale chcę go złapać, zanim zrujnuje życie kolejnego dziecka. Albo mu je odbierze. – Klepnął dłonią w pulpit. – Ale dość o moich kłopotach. Co u mojego ulubionego pianisty, a obecnie postrachu prokuratorów?

– Jakoś sobie radzę w miarę możliwości.

Ben znał Mike'a od czasów studenckich na Uniwersytecie Oklahoma. Łączyła ich serdeczna przyjaźń, przez rok mieszkali nawet w jednym pokoju. Dawali wówczas koncerty w piwnych klubach i pizzeriach – Ben był pianistą, a Mike śpiewał i grał na gitarze. Wszystko układało się doskonale, dopóki Mike nie zakochał się w Julii, młodszej siostrze Bena.

Poślubiwszy Julię, Mike zarzucił plany dalszej edukacji i wymyślał kolejne plany zarobienia pieniędzy, aby zapewnić Julii utrzymanie na takim poziomie, do jakiego przywykła. Nic z tego nie wyszło. Małżeństwo rozpadło się wkrótce po skończeniu przez Mike'a akademii policyjnej. Kulminacją nieudanego związku stał się długi, kłótlivy rozwód. Ben znalazł się między młotem i kowadłem.

– Zwrócono się do mnie z prośbą o przejęcie sprawy Leemana Hayesa.

Mike zachnął się.

– Masz do tego żyłkę, co? Musiałeś chyba usiąść i zacząć się zastanawiać: Czy może być coś bardziej ponurego niż reprezentowanie w sądzie białego rasisty? Wiem! Proces Leemana Hayesa!

– A więc pamiętasz tę sprawę?

– Przyjacielu, tego zabójstwa nigdy nie zapomnę. Nigdy. Zdarzyło się wieczorem podczas mojego pierwszego patrolu. Była to pierwsza ofiara morderstwa, jaką widziałem.

– Naprawdę? Zajmowałeś się tą sprawą?

– Nie. Byłem tylko na miejscu zbrodni. Ale... – Zniżył głos. – Gdybyś zobaczył tę kobietę, jej zakrwawione, zmasakrowane ciało... Tego widoku nigdy byś nie zapomniał, gwarantuję ci to. Ja nie zapomnę. Bóg mi świadkiem.

– Widzę, że ta sprawa naprawdę utkwiała ci w pamięci.

– Zmieniła moje życie, jeśli chcesz znać prawdę. Tego wieczora postanowiłem, że chcę pracować w wydziale zabójstw.

– Aby zapobiec tak makabrycznym morderstwom?

– Nie. Wiedziałem, że zabójstwa zawsze będą się zdarzać. Chciałem tylko

przyczynić się do tego, żeby nieludzkim kanaliom dopuszczającym się takich zbrodni nie uchodziło to bezkarnie. – Mike podniósł powoli głowę. – Wiele ryzykujesz, stary. Tej sprawy nie życzyłbym najgorszemu wrogowi.

– Kto się nią zajmuje z ramienia prokuratury?

– Podobno Myrna Adams.

Ben westchnął z ulgą.

– Już się bałem, że to Bullock.

Mike przesunął wykałaczkę w drugi kącik ust.

– Słyszałem o waszej potyczce dzisiaj rano.

– Tak szybko?

– Plotki rozchodzą się w mgnieniu oka. W końcu jesteśmy na państwowym garnuszku. Tak naprawdę nic przecież nie robimy.

– Jasne a więc jakie dowody zdobyła prokuratura?

– Może powinieneś zapytać o to Myrnę?

– Tak zrobię i wiem, że mi powie. Tyle, ile będzie musiała. Nie więcej.

Mike wstał i przeciągnął się.

– Chyba będę ci mógł pomóc w końcu prokurator ma obowiązek przedstawić dowody uniewinniające.

– Tak jest napisane w książkach. Ale zawsze muszę napisać tonę wniosków, żeby cokolwiek dostać i prawdę mówiąc, nie mam na to czasu.

Mike przesunął dłonią po swoich czarnych kręconych włosach.

– Jasne. Czy wiesz, jak dokonano zbrodni?

– Wiem, że ofiara była kobietą i że zamordowano ją w klubie golfowym.

– Utica Greens w magazynie koło pola golfowego.

– Jak się nazywała ofiara?

– Maria Escondita Alvarez.

– Skąd pochodziła?

– z Peru. Sześć miesięcy wcześniej złożyła podanie o wizę wjazdową do Stanów Zjednoczonych. Podejrzewam, że biurokracja w Peru jest jeszcze gorsza niż u nas. Dostała ją dopiero na tydzień przed morderstwem. Wtedy przyjechała do Tulsy.

– Dlaczego?

– Tego nie dowiedzieliśmy się nigdy. Prowadziliśmy śledztwo, u nas i w Peru, ale nic z tego nie wyszło. Nie miała rodziny, a przyjaciół można było policzyć na palcach jednej ręki. Wydała prawie wszystkie pieniądze na to, żeby tu przyjechać a kiedy już się tutaj dostała, ktoś ją zamordował.

– Masz jakąś teorię?

– Każesz mi spekulować?

Ben skinął głową.

– Do Stanów Zjednoczonych z Peru przerzucanych jest mnóstwo narkotyków, zwłaszcza kokainy. Może była w to zamieszana. Powiadają, że przeciętna długość życia handlarza narkotyków po rozpoczęciu działalności wynosi mniej niż dziesięć lat a wiadomo, że na uzależnienie od kokainy mogą sobie obecnie pozwolić tylko członkowie klubów golfowych.

– Jak zginęła?

Mike wbił w niego wzrok.

– Ty naprawdę nie wiesz nic o tej sprawie. Nie słyszałeś o tym, jak ją zabito?

– Nie znam szczegółów.

– Ciągle zapominam, że mieszkasz w Tulsie dopiero od kilku lat. Ci, którzy mieszkali tu wtedy, na pewno tego nie zapomną. Maria została wielokrotnie uderzona w głowę kijem golfowym.

– I to ją zabiło?

– Nie. Zginęła, kiedy morderca przebił jej szyję złamanym kijem.

Ben oparł niepewnie rękę na stojącym obok krześle.

– Morderca przyspilił Marię do ściany, jakby chciał ją ukrzyżować w satanistycznym zabójstwie rytualnym. Wisiała tam, cała zakrwawiona, w poszarpanym ubraniu, kiedy wszedłem do magazynu. Miejsce zbrodni i użyta broń wskazywały na to, że nie było to morderstwo z premedytacją – raczej zabójstwo dokonane pod wpływem chwilowego impulsu przez rozjuszonego napastnika ze śmiertelnością bronią w ręku.

Benowi stanęło przed oczami zdanie z ekspertyzy psychiatrycznej Leemana. Nagłe wybuchy gniewu. Hm...

„... Jak długo jeszcze masz zamiar bronić w sądzie śmieci tego świata?”

– Dlaczego policja aresztowała Leemana Hayesę? – spytał Ben.

– Leeman od kilku miesięcy pracował w klubie golfowym. Nie był najinteligentniejszym pomocnikiem, jakiego można sobie wyobrazić – upośledzony umysłowo, sam zresztą wiesz – ale starał się i jakoś sobie radził. Wszyscy go lubili. Do momentu gdy znaleziono go na miejscu zbrodni w środku nocy. Na ciele ofiary pełno było jego odcisków palców i na narzędziu zbrodni.

– Ale on tam pracował, więc...

– To nie wyjaśnia, co tam robił w nocy.

– Ale odciski palców...

– Leeman mógł mieć wcześniej w ręku ten kij golfowy. Ale jeśli tak, to gdzie się podziały odciski palców mordercy? Gdyby wytarł kij, to wytarłby także odciski Leemana i dlaczego Leeman zostawił swoje odciski na ciele ofiary? To trudne do wytłumaczenia. Nie pamiętam wszystkich szczegółów, ale były chyba jeszcze jakieś dowody. Zdaje się, że w szafce Leemana znaleziono rzeczy należące do ofiary.

– A więc na tym opiera się oskarżenie?

– I na przyznaniu się do winy.

Ben poczuł nagle wielki ciężar na ramionach.

– Leeman przyznał się do winy?

– Można to tak określić. Przesłuchiwaaliśmy go, ale nie był w stanie odpowiedzieć na pytania, w każdym razie nie werbalnie. Któryś z policjantów poprosił Leemana, żeby pokazał, co się stało i zrobił to. Na naszych oczach odegrał całą scenę.

– I co?

– Sam możesz obejrzeć. To jedna z pierwszych kaset wideo nagranych w wydziale. Ale mogę ci powiedzieć, że zobaczysz, jak Leeman Hayes zabija kijem golfowym Marię Alvarez.

Ben postanowił, że musi jak najszybciej zobaczyć nagranie.

– Dzięki za cenne wskazówki, Mike. Nie zapomnę ci tego.

– Nie ma sprawy. Jak zobaczysz siostrzyczkę, rzuć jakieś ciepłe słowo na mój temat.

Ben podniósł palec.

– A właśnie... – Opowiedział Mike'owi, co zdarzyło się rano.

Mike słuchał w osłupieniu.

– Nie do wiary!

– Tak. Trudno uwierzyć, że mogła zostawić dziecko w taki sposób.

– Och, temu akurat wcale się nie dziwię – odparł Mike. – To pasuje do Julii jak ulał. Nie mogę tylko uwierzyć, że zostawiła dziecko z tobą.

– Przepraszam, czy coś ze mną jest nie tak?

Mike klepnął kumpla po ramieniu.

– Na swój sztywniacki, lekko neurotyczny sposób jesteś całkiem w porządku. Ale trudno ci nazwać wzorowym członkiem rodziny.

– Protestuję!

– Daj spokój, Ben. Nigdy nie byłeś w dobrej komitywie z rodziną a na pewno nie ze swoją siostrą. Kiedy ostatnio widziałeś się z matką? Większość facetów leciałaby na skrzydłach, żeby ucałować mamuszkę, która ma tyle gotówki a ty ile razy w roku ją odwiedzasz? w święta Bożego Narodzenia, jeśli za bardzo nie pada.

– Z mamą dobrze się rozumiemy.

– A z ojcem? Tak go wkurzyłeś, że wykluczył cię spośród swoich spadkobierców!

Z twarzy Bena zniknęły wszelkie oznaki dobrego humoru.

– Nie wiesz, o czym mówisz, Mike.

Morelli wyciągnął ręce.

– Czyżbym trafił cię w czułe miejsce? Przepraszam, stary. Chciałem tylko wyjaśnić, dlaczego zdziwiłem się na wieść, że Julia wybrała na opiekuna swego dziecka właśnie ciebie, człowieka, który zraził do siebie skutecznie całą rodzinę. Czy kogoś pominąłem?

Jest ktoś, o kim myślałem kiedyś jak o swoim ojcu, ale to już przeszłość. „...Zawiodłem się na tobie, Ben. Jak mogłeś upaść tak nisko?”

– Julia niedługo wróci – powiedział Ben. – Jestem tego pewien. Założę się, że będzie u mnie jeszcze przed wieczorem.

– Sam siebie oszukujesz.

Ben manipulował nerwowo palcami przy aktówce.

– Mówiłeś mi, że niedawno widziałeś się z Julią. Czy wyglądała na... zdenerwowaną? Zestresowaną?

Mike wzruszył ramionami.

– Nie bardziej niż normalnie. Ale to było ponad rok temu. Po urodzeniu dziecka kobiety często się zmieniają.

– Być może. – Ben zaczął zbierać się do wyjścia. Zatrzymał się w drzwiach. – Jeśli dojdzie do najgorszego, czy zgodziłbyś się popilnować dziecka od czasu do czasu?

– Dziecka mojej byłej żony? – Zdumienie na twarzy Mike’a powoli zmieniło się w uśmiech. – Pamiętam, że kiedyś byłem gotów zrobić dla Julii absolutnie wszystko. Żeby tylko została ze mną jeszcze jeden dzień, jeszcze jedną noc.

Wziął głęboki oddech i głośno wypuścił powietrze.

– Jasne, przyjacielu. Mogę zaopiekować się tym bobasem. Daj tylko znać, kiedy mam przyjść. Przyniosę pizzę i piwo.

Rozdział 10

Carlee Crane obserwowała, jak Dave wprowadza ich dwóch synów w tajniki sztuki posługiwania się scyzorykiem.

– Patrzcie. – Powoli otworzył i zamknął scyzoryk. – Teraz weźcie noże w prawe ręce, a drewno w lewe i pamiętajcie, żeby zawsze ciąć od siebie, nie do siebie. Jasne?

Ethan, który właśnie skończył sześć lat, zmierzył ojca sceptycznym spojrzeniem.

– Dlaczego?

Dave skierował spojrzenie w niebo. Ethan zadawał ostatnio to pytanie coraz częściej.

– Żeby się nie skaleczyć.

– Gdybyś pociągnął ostrze do siebie, na pewno skaleczyłbyś się w rękę – wyjaśnił Gavin, ośmioletni mądrała. – A znając ciebie, na pewno zarznąłbyś całą naszą czwórkę jednym cięciem.

– Nie mów tak do brata, Gavin – upomniała Carlee.

– Chcę tylko, żeby Ethan nie pozbawił nas życia tak jak ten chłopak w serialu „Piątek trzynastego”.

– Twój brat to nie Jason.

– Nie wiem. Można się go przestraszyć, kiedy założy maskę hokejową.

Carlee uśmiechnęła się. To właśnie jej rodzina i nic nie można było na to poradzić.

Włączyła małe radio turystyczne. Terry Gross przeprowadzał właśnie wywiad z kolejnym muzykiem jazzowym.

– No dobrze, wracamy do lekcji – powiedział Dave.

– Ojej – westchnął Ethan. – Czy to konieczne?

– Tak, konieczne – odparł zdecydowanie Dave. – Chyba nie chcesz się skaleczyć?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział sobie Dave. – Prawdziwi traperzy nigdy się nie kaleczą.

Znow się zaczyna, pomyślała Carlee. Przyjechali na kemping Turner Falls

w Arbuckle Mountains dwa dni temu i od tej chwili Dave ani na chwilę nie przestał wpajać dzieciom swego regulaminu zachowań niedozwolonych, który można by zatytułować „Czego nie robią prawdziwi traperzy”. Nie wchodzi do wody zaraz po jedzeniu. Nie rozpalaj ogniska, dopóki nie zbudujesz ochronnego pierścienia z kamieni. Nie ustawiaj namiotu na spadzistym gruncie. Dave wzmacniał wymowę swoich lekcji powtarzaniem raz po raz ostrzeżeniem: „Tylko głupi traperzy postępują w ten sposób”. Najwyraźniej uważał, że nic bardziej nie przeraża chłopców jak perspektywa bycia głupim traperem a prawda była taka, że Gavin i Ethan przywiązywaliby zapewne większą uwagę do słów ojca, gdyby zagroził im odebraniem kieszonkowych gier komputerowych.

Po audycji muzycznej w radiu nadawano wiadomości. Carlee poruszyła gałką potencjometru. „... Na temat zbliżającego się procesu Leemana Hayesa o zabójstwo, które zdarzyło się dziesięć lat temu. Hayes został oskarżony o zamordowanie obywatelki Peru w magazynie klubu golfowego Utica Greens”.

– Słyszałeś? – spytała Carlee. – Pracowałam tam kiedyś.

Nikt jej nie usłyszał. Mężczyźni skierowali całą uwagę na scyzoryki i kawałki drewna.

– Morderstwo w Utica Greens – mruknęła do siebie. – Dziwne, że nic nie pamiętam.

Jednak wymawiając te słowa, nagle poczuła, że coś się nie zgadza.

Carlee zerknęła na zegarek. Zbliżała się pora kolacji, co oznaczało, że musiała zdecydować, którą puszkę otworzyć. David odgrażał się, że nauczy się gotować i będzie przyrządzał różne obozowe przysmaki w rodzaju szaszłyków i placków ziemniaczanych, ale w końcu i tak Carlee została kuchmistrem – kuchmistrem na wakacjach a kuchmistrz oznajmił, że Bóg musiał mieć jakiś powód, by stworzyć jedzenie w konserwach.

Wiedziała, że będzie musiała się zabrać do roboty, ale jakoś nie mogła wykrzesać z siebie energii. Tak przyjemnie było obserwować męża i dzieci, cieszyć się wiatrem rozwiewającym jej długie włosy, patrzeć na słońce zachodzące za górami.

Konserwy mogą poczekać.

– Po pierwsze – ciągnął Dave, – trzeba zdecydować, co chcesz wyciąć. Co będziesz wycinał, Gavin?

– O rany, nie wiem.

– Co ci przypomina ten kawałek drewna?

Gavin wpatrywał się intensywnie.

– Wygląda jak sześcian.

– To prawda, ale... Nie masz wyobraźni?

– Chyba nie – odparł Gavin. – Kawałek drewna to kawałek drewna, i już.

– Wszystko przez te gry komputerowe – podsumował Dave zerkając na żonę. – Gry komputerowe i MTV. Zaśmiejają im głowy bzdurami. Jeszcze trochę, a dzieci w ogóle nie będą umiały wykorzystywać wyobraźni i utrzymać uwagi dłużej niż trzy minuty.

– Może powinieneś dać im przykład – zaproponowała Carlee.

– To jest myśl – mruknął Dave. – Teraz rozumiem, dlaczego zrobiłaś magisterium z pedagogiki. – Podniósł swój nóż i kawałek drewna. – Patrzcie.

– Czy to długo potrwa? – jęknął Ethan.

– A co, masz randkę?

– Nie, ale jestem trochę głodny.

Dave zagryzł wargę.

– Tylko minutę, zgoda? a więc. Zdaje mi się, że mój kawałek drewna wygląda jak... – Dave rozejrzał się w końcu jego wzrok spoczął na żonie. – Jak wasza mama.

– Mamo! – Gavin i Ethan zakrztusili się ze śmiechu. – Tata uważa, że wyglądasz jak kawałek drewna!

– Jestem zaszczyczona.

– Na razie jeszcze tego nie widać, ale patrzcie.

Dave odłupał gruby kawałek.

– Tato, czy nie powinieneś ciąć od siebie? – zauważył Gavin.

– Siedź cicho i patrz – przerwał mu Dave. – Teraz tak... i tak... tak... aajaj!

Upuścił nóż. Chłopcy podskoczyli.

– Co się stało? – spytała Carlee. – Co zrobiłeś?...

Nie dokończyła pytania, bo wszystko było jasne. Wbrew zasadom, których uczył chłopców, Dave pociągnął nóż do siebie i skaleczył się w rękę.

– Mocno? – spytała Carlee blednąc.

Dave ścisnął dłoń drugą ręką, a krew przelewała się między palcami.

– Przynieś apteczkę! – krzyknął Dave.

Carlee wpatrywała się w dłoń męża. Czerwona krew spływała po jego ramieniu i kapała na ziemię, tworząc kałużę w powietrzu unosiła się słodkawa woń.

Carlee poczuła, że robi jej się niedobrze. Oparła się o ziemię, ale nadal nie mogła oderwać wzroku od Dave'a. Patrzyła na jego ręce umazane krwią...

Nagle zobaczyła coś innego. Była... gdzie indziej. Stała przed oknem i zaglądała do wnętrza jakiegoś budynku. Widziała kobietę opartą o ścianę w rogu. Kobieta była cała zakrwawiona. Krew tryskała na jej ubranie, ścianę i podłogę...

– Carlee, pomożesz mi czy nie?

Głos męża dochodził z bardzo daleka, jakby nierealny. Prawdziwe było to, co widziała. Ta biedna kobieta przyparta do ściany. Krzyczała głośno, rozpaczliwie...

Coś uderzyło ją ponownie, tym razem w szyję. Przerażliwy krzyk zamarł i zamienił się w rżenie. Krew bluznęła fontanną, zalała całe pomieszczenie... Słodkawa woń wypełniła powietrze...

Carlee krzyknęła.

– Co się z tobą dzieje? Straszysz dzieci!

Zamknęła oczy. Zakrwawiona kobieta rozpląnęła się. Carlee otworzyła oczy i ujrzała nad sobą pochylonego Dave'a. Leżała na ziemi na wznak.

Dave nadal trzymał się za dłoń, lecz krew już nie płynęła.

– Nic ci nie jest?

– Chyba nie... – Carlee zwilżyła językiem wargi. Zaschło jej w gardle. – Nie wiem, co mi się stało.

Dave zmarszczył czoło.

– Przyniosę apteczkę.

– Poczekaj...

Odszedł.

Wrócił po chwili z dłonią owiniętą gazą.

– To nic poważnego – powiedział. – Rana krwawiła mocno, ale to tylko powierzchowne zacięcie. – Usiadł koło żony. – Powiedz, co się stało?

To jest coś poważnego, pomyślała Carlee. Nie otwierała oczu. Wszędzie jest krew.

– Słyszysz mnie, Carlee?

– Trzeba jej pomóc – powiedziała głośno Carlee. – Trzeba pomóc tej biednej kobiecie.

– Carlee? – Dave ujął żonę za ramiona. – O czym ty mówisz?

Carlee potrząsnęła głową i spojrzała na męża. Nie wiedziała, jak zacząć.

– Co się stało?

– To... to chyba widok krwi...

– Zachowywałaś się, jakbyś była w transie.

Carlee spostrzegła, że chłopcy stoją obok z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Nie martwcie się, nic mi nie jest. Naprawdę. Tylko... – Obejrzała dłoń Dave'a. – Szybko się zagoi.

– Wiem. Chodzi o ciebie. Mówiłaś coś o krwi i... kobiecie.

Naprawdę? Carlee nie pamiętała, co mówiła. Ale wiedziała, że Dave nie kłamie i rzeczywiście coś widziała.

Zamknęła oczy i usiłowała sobie przypomnieć. Na próżno. Obraz zniknął.

– Coś mi się zdawało – powiedziała uspokajająco. – To pewnie z głodu. – Poklepała chłopców po plecach. – Chyba czas zjeść kolację. Jakies propozycje?

– Bo ja wiem – odezwał się Gavin. – Pewnie znowu fasolka?

Carlee roześmiała się. Poszli do namiotu. Przygotowując kolację, starała się rozwiać zły nastrój. Czuła, że Dave ją obserwuje. Wiedział, że coś się stało. Coś poważnego. Dlatego się martwił.

Carlee pomyślała, że to całkiem naturalne, że mąż się o nią martwi. To, co się stało, było bardzo dziwne. To było inne niż wszystko, co... pamiętała.

Rozdział 11

Wieżowiec banku Oklahoma Tower, najwyższy budynek w Tulsie, w świetle zachodzącego słońca rzucał długi cień na centrum miasta. Ben starał się trzymać w tym cieniu, wcale jednak nie było mu przez to chłodniej. Zstępując z chodnika, poczuł wiszącą w powietrzu wilgoć. Jak w piekarniku, pomyślał.

Usłyszał głośny płacz już na ulicy. Rzucił się pędem i po chwili otworzył drzwi.

Joey leżał na biurku Jonesa, wkładając w krzyk całą siłę swoich małych płuc. Twarz mu się zarumieniła, a z nosa ciekło. Jones stał nad dzieckiem, zatykając sobie uszy.

– Nie wiem, co robić! – wrzasnął wysokim tonem, niewiele się różniącym od głosu Joeya. – Próbowałem wszystkiego. Brałem go na ręce, a potem kładłem. Mówiłem i nie mówiłem. Kołysałem i podrzucałem do góry!

Złapał Bena za kłapy marynarki.

– Próbowałem mu nawet śpiewać, a ja nie śpiewam, Bóg mi świadkiem. Zdaje mi się, że mam to nawet zagwarantowane w umowie a teraz musiałem przypomnieć sobie idiotyczne pioseneczki, i na nic! Nie wiem, co mam robić!

– A więc jak sobie radzisz z opieką nad dzieckiem?

Jones patrzył na Bena osłupiałym wzrokiem.

– Ten twój siostrzeniec doprowadzi mnie do szaleństwa.

– Przykro mi to słyszeć. – Ben musiał przekrzykiwać płacz dziecka. – Co jest z nim nie tak?

– Gdybym to wiedział. Pytam go od godziny, ale nie odpowiada.

Lewe oko Jonesa drgnęło. Wszystko wskazywało na to, że jest bliski załamania nerwowego.

– On ma dopiero siedem miesięcy, Jones. Jeszcze nie umie mówić.

– A nie mógłby chociaż od czasu do czasu skinąć głową?

W tym momencie do biura weszła Christina obładowana papierami. Obaj mężczyźni spojrzeli na nią z nadzieją.

– Wielkie nieba! Coście zrobili temu biednemu dziecku?

– Podejrzewam, że chodzi raczej o to, czego nie zrobiliśmy – mruknął Ben.

Christina rzuciła akta na biurko.

– No i co tak stoisz? Podnieś go.

Ben spojrział na nią oniemiałym wzrokiem.

– Kto? Ja?

– Tak! To przecież twój siostrzeniec. Podnieś go.

Ben zerknął na zapłakanego malca.

– Prawdę mówiąc... nie wiem jak.

– Nigdy go jeszcze nie trzymałeś?

– Julia włożyła mi go w ramiona, ale tylko raz...

– Coś takiego! Nie niańczyłeś nigdy dziecka w wolnych chwilach, żeby zarobić parę dolarów? Nie musisz odpowiadać. Pewnie dzwoniłeś po prostu do banku, żeby przywieźli ci trochę pieniędzy. – Podeszła do dziecka. – On ma z siedem miesięcy, nie jest już taki kruchy. – Christina podniosła dziecko i podała Benowi. – Widzisz? Wystarczy go potrzymać. O, tak.

Ben objął dziecko. Krzyk jakby odrobinę przycichł.

– To nie takie trudne, prawda? – spytała Christina.

– Tak – zgodził się Ben. – Ale on nadal płacze.

– Słuszna uwaga. Czym go nakarmiliście?

Jones i Ben spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

– Trzeba go było nakarmić?

– Tak, trzeba było. – Christina ścisnęła palcami skronie. – Dobrze z was mamusie, nie ma co.

– A co on je?

– Nie jestem pewna. – Christina zaczęła przerzucać zawartość torby z pieluszkami. – Może trzeba go karmić piersią.

– Zaraz, zaraz – odezwał się Ben. – Nie ma mowy...

– Nic lepiej nie mów. – Wyjęła z torby puszkę mleka. – Jest.

– Bogu dzięki. Otwieracz leży na lodówce.

Christina znalazła w torbie pustą butelkę i nalała mleka.

– On pewnie lubi podgrzewane, ale na razie musi się zadowolić tym. – Podała butelkę Benowi. – Daj mu to.

– Tutaj? Teraz?

– Tak! Tu i teraz.

Ben przesunął nieco Joeya na piersi i spróbował włożyć mu butelkę do ręki.

– Trzymaj, kolego. Jedz.

Christina potrząsnęła głową.

– Wątpię.

Wzięła butelkę i zbliżyła smoczek do buzi dziecka. Joey przestał płakać i zaczął ssać zawzięcie.

– Zwycięstwo – powiedział cicho Ben.

– Hurra – dodała Christina. – Widzisz, jak na ciebie patrzy? Jesteś teraz jego bohaterem.

– To świetnie. Teraz musimy tylko jak najszybciej odnaleźć Julię.

Christina uniosła kartkę papieru.

– Znalazłam to w torbie na pieluszki.

Ben odczytał wiadomość na głos, nie przestając karmić dziecka.

„Drogi Benie: przykro mi, że muszę ci to zrobić, ale nie mam do kogo zwrócić się o pomoc. Wiesz, jak mi było ciężko ostatnimi czasy. Ta praca w Connecticut to dla mnie wielka szansa stanięcia znów na własnych nogach. Może ostatnia. Nie przyjmą mnie, jeśli zjawię się z dzieckiem. Będę pracować w oddziale pogotowia cztery dni w tygodniu. Opiekunka do dziecka nie rozwiązałyby sprawy, a jako samotna matka na pewno nie dałabym sobie rady. Terry nie odezwał się do mnie od rozwodu. Nawet nie przychodzi do Joeya. Twierdzi, że to nie jego dziecko, ale to zwykła wymówka, żeby nie dawać mi pieniędzy na utrzymanie synka. Nie wiem nawet, gdzie on teraz jest. Nie mogłam skontaktować się z mamą. Ty jesteś moją ostatnią szansą. Zaopiekuj się moim maleństwem. Kizia-mizia”.

Christina złożyła kartkę i włożyła z schowała do torby.

– Kizia-mizia?

Ben przewrócił oczami.

– Dziecinne przezwisko. Nazywałem tak Julię, kiedy bawiliśmy się razem. Mieliśmy trzy, może cztery lata. – Potrząsnął głową. – Już o tym zapomniałem.

– Myślałam, że między wami nigdy się nie układało.

– To prawda... To znaczy... – Ben zmarszczył brwi. – Mniejsza z tym. Mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie. Nie mogę zajmować się dzieckiem Julii, zwłaszcza jeśli mam wziąć tę sprawę w przyszłym tygodniu. Jones, dzwoni do mojej matki.

Jones uniósł brwi.

– Czyżby zbliżało się Boże Narodzenie?

– Cha, cha.

Matka Bena była bogatą matroną mieszkającą w Nichols Hills, najlepszej dzielnicy Oklahoma City. Nikt ze współpracowników Bena nie miał okazji jej poznać, jednak sam Ben powtarzał zawsze, że jest „zimna jak lód” i „wiecznie z niego niezadowolona”. Raz po raz proponowała synowi wsparcie finansowe, zwłaszcza po śmierci ojca Bena, który zostawił go bez grosza, lecz Ben niezłomnie odmawiał przyjęcia pieniędzy.

– Postaraj się wytropić mamę. Może ona coś wymyśli w końcu to jej jedyny wnuczek.

- Zrobi się.
 - Dobrze, a potem spróbuj znaleźć Julię,
 - Tak jest, szefie.
 - A gdzie się podziewa Loving? – Loving był prywatnym detektywem i wielkim twardzielem. – Nie widziałem go dzisiaj.
 - Rozpracowuje jakąś sprawę.
 - Wiesz coś o tym?
 - Niewiele, ale notatka na dzisiejszej stronie kalendarza brzmi: „Doprowadzić Guntharpe’a do rozpaczy”.
 - Biedny Guntharp.
 - Też mu współczuję.
 - Poproś Lovinga, żeby przyszedł do mnie jutro z samego rana. Musimy się wszyscy zebrać. Do jutra powinienem wiedzieć, czy biorę sprawę tego morderstwa.
 - Ja też mam być? – spytała Christina.
 - Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś przyszła do mnie jutro przed rozpoczęciem pracy.
- Christina rozpromieniła się.
- Uważasz, że spotkanie z kimś tak wspaniałym uszczęśliwi cię na cały dzień.
 - Niezupełnie... Obawiam się, że trzeba będzie nakarmić znów Joeya.
- Uśmiech zamarł na ustach Christiny.
- Jestem pewna, że będzie czekał cierpliwie do rana, żeby ci o tym przypomnieć.
- Musisz się jeszcze wiele nauczyć. A propos, panowie... kiedy ostatnio zmienialiście dziecku pieluszkę?
- Ben i Jones wymienili kolejne spojrzenie.
- Może powinniście wyjąć notesy – zaproponowała Christina.

Rozdział 12

Mężczyzna w rudej peruce nie był pewien, jak zaczęła się bójka. Śledził Abiego, od chwili gdy chłopiec wyszedł ze szkoły, czekając na okazję. Dwóch chłopców przeszło przez ulicę i zbliżyło się do Abiego. Obaj wyglądali na starszych o rok lub dwa. Jeden jadł hot doga, a drugi wymachiwał kijem baseballowym.

– Popatrz na tego bogatego lalusia – powiedział starszy. – Wydaje mu się, że jest baseballistą. – Strącił z głowy Abiego czapkę. – To maminsynek.

– Masz rację, Jeremy – zgodził się drugi chłopiec. – Maminsynek, maminsynek. Abie to maminsynek – podśpiewywał.

– Nieprawda! – krzyknął Abie. Schylił się po czapkę. Starszy chłopiec go przewrócił.

– Co się stało, Abie? Straciłeś równowagę? Może zawołasz lokaja, żeby ci pomógł?

Roześmiali się w głos. Starszy sprzątnął czapkę sprzed ręki Abiego.

– Wiesz co, Seth, podoba mi się ta czapka. Wezmę ją sobie.

– Oddaj! – zawołał Abie. Na twarzy zostały mu zadrapania od upadku na beton. – To moja czapka!

– Tak? – zdziwił się szyderczo Jeremy. – Kto mnie do tego zmusi, maminsynku?

Mężczyzna w peruce dostrzegł okazję, na którą czekał. Wkroczył w środek i odepchnął łobuzów od Abiego.

– Co tu się dzieje? – spytał.

Jeremy podniósł kij, ale mężczyzna odebrał mu go bez trudu.

– No i co teraz? – powiedział robiąc zamach kijem. – Może ja powinienem potraktować was tak, jak wy potraktowaliście tego chłopca?

Obaj już chcieli uciekać. Mężczyzna szybkim ruchem złapał za kołnierz mniejszego z nich, Seta, i odwrócił.

– Masz na imię Abie, tak? – spytał mężczyzna.

Abie skinął głową.

– Słyszałem, że tak się do ciebie zwracali. Jak myślisz, co powinienem zrobić z Seta?

– Nie wiem.

– To zależy od ciebie. Jego los w twoich rękach. Ja uważam, że powinien zostać ukarany.

– O rany... – wymamrotał Abie.

– Kara jest bardzo ważna, Abie. Zwłaszcza w przypadku niegrzecznych chłopców takich jak ten. Wybierz dla niego karę. – Zerknął na Seta, na którego twarzy malowało się przerażenie. – Żałujesz teraz, że nie byłeś miłszy dla mojego przyjaciela Abiego, prawda?

– Niech mi pan nic nie robi. Mój tata jest w domu i...

– Cicho. No więc co, Abie?

– Może... – Abie wyciągnął niepewnie rękę. Wyjął hot doga z ręki Seta i rozpląszczył go na twarzy chłopca. Kawałki bułki z musztardą przykleiły się do policzków. – I kto jest teraz maminsynkiem?

Mężczyzna puścił kołnierz Seta, który rzucił się do ucieczki.

– Nieźle to załatwiłeś, Abie.

Abie wzruszył ramionami.

– Ja nie miałem nic do roboty. Wszystko to pana zasługa.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

– Mam na imię... Sam.

Abie niepewnie uściśnął mu dłoń.

– Czemu cię zaczepili?

– Nie wiem. Nic im nie zrobiłem.

– To dlatego że twój tata jest bogaty, tak? Słyszałem, co mówili.

Abie kopnął kamień leżący na ulicy.

– Chyba tak. To niesprawiedliwe.

– Oczywiście. Przecież to nie twoja wina, że tata ma dużo pieniędzy, prawda?

– Pewnie. Ja ich wcale nie potrzebuję. Ja bym wolał... – Spojrzał na obcego, zmarszczył czoło i zamilkł.

– Nie bój się, nikomu nie powiem. – Mężczyzna uśmiechnął się ciepło. – Wolałbyś, żeby tata spędzał więcej czasu z tobą zamiast w pracy, prawda?

– To nie przez pracę – wybuchnął Abie. Zdawało się, że pękła w nim jakaś emocjonalna bariera. – Tak naprawdę to on nie pracuje. Wszystko przez znajomych z tego głupiego klubu golfowego. Przez tych starych tłustych grubasów i te kobiety...

– Nie lubisz ich, prawda?

Abie wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Mama ich nie lubi.

Mężczyzna skinął głową.

– Odprowadzę cię do domu, co ty na to? Łobuzy mogą wrócić.

– Jasne.

Szli obok siebie. Abie odchrząknął.

– Zapomniałem panu podziękować.

– Nie trzeba. Jestem pewien, że poradziłbyś sobie.

– Starliby mnie na miazgę.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Jeśli chcesz, mogę ci pokazać, jak się bronić.

– Naprawdę? – Abie złapał nieznajomego za ramię. Po ciele mężczyzny przebiegł przyjemny dreszcz. – Umie pan walczyć?

– Pokazałbym ci tyle, że na pewno wystarczyłoby na tych dwóch. Jesteś dobrze zbudowany i wysportowany.

– Tata mówi co innego.

Skręcili w Dwudziestą Pierwszą Aleję i weszli do parku. Po kilku minutach znaleźli się przed domem Abiego.

– Dziękuję, że pozwoliłeś mi się odprowadzić, Abie. Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

– Ja też. – Abie zagryzł wargę. – Proszę pana... Sam... nie powiesz mojemu tacie o tym, że się ze mnie wyśmiewali, prawda?

– Oczywiście, że nie powiem. Możesz mi zaufać. Dochowam sekretu a ty nie

powiesz nikomu o mnie, zgoda?

– Pewnie... Masz jakieś kłopoty?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Ależ skąd. Tylko twojemu tacie mogłoby się nie spodobać, że odprowadziłem cię do domu.

– No jasne. Na pewno powiedziałyby, że sam powinienem umieć się bronić albo coś takiego. Jemu nigdy nie podobają się moi przyjaciele. – Abie zerknął na stylową willę. – Muszę już iść.

Odwrócił się.

– Sam?

– Tak?

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Co?

– Dlaczego mi pomogłeś?

Mężczyzna szczerze się zdumiał.

– Bez żadnego szczególnego powodu, Abie. Chcę być twoim przyjacielem.

Abie uśmiechnął się i pobiegł do domu.

Rozdział 13

Porucznik Morelli wypluł nasiąkniętą śliną wykałaczkę. Niech szlag trafi te pozbawione smaku kawałki drewna, pomyślał. Chyba drzazga weszła mi w język.

Kiedy palacze stali się współczesnymi zadżumionymi? W końcu to była tylko fajka. Aromat w gruncie rzeczy się nie liczył. Mike lubił bawić się tytoniem, ubijakiem, wyciorkami. To pomagało mu się odprężyć, uprzyjemniało nocne dyżury i niekończące się odprawy. Lubiał ciepło fajki w ręku. Ha! Czasami zapominał nawet pykać. Prawdopodobnie puszczał więcej nikotyny do warstwy ozonowej niż wdychał do płuc. Czy to takie groźne?

Ale po co palić? To groźne uzależnienie, bez którego można dać sobie radę. Jeśli Jane Fonda rzuciła palenie, to i on może. Otworzył pudełko mieszczące pięćset wykałaczek i wsadził jedną do ust.

Mike miał już dość zagłębiania się w brudy tego śledztwa. Przeczytał akta kilkunastu pedofilów i zbierało mu się na wymioty. Słowa, a jeszcze bardziej obrazy odcisnęły się w pamięci. Zdjęcia nagich ośmiolatków. Gwałty analne, fellatio. Mike myślał już tylko o tym, żeby zająć uwagę czymś innym.

To nie było w porządku. Ciężko pracował, żeby trafić do wydziału zabójstw i znaleźć się jak najdalej od wydziału przestępstw obyczajowych a teraz musiał pracować nad sprawą, gdzie morderstwa dzieci łączyły się z przestępstwami seksualnymi. Krwawy pedofil najgorszego gatunku.

Ale też dobrych gatunków nie było wcale. Mike siedział nad aktami całą noc, starając się nadrobić zaległości w dziedzinach, których starannie unikał w akademii. Wszystko to wydawało mu się odrażające i niepojęte. Mike potrafił zrozumieć niektóre morderstwa. Uważał, że każdy może zabić, jeśli zmuszą go do tego okoliczności. Każdy może ukraść – tego nauczył się z lektur Victora Hugo. Ale pedofilia przekraczała granice jego wyobraźni.

Oto dowiedział się, że obraz pedofilów, jaki w sobie utrwalił – zaślinionych potworów z najgorszej dzielnicy miasta – jest całkowicie fałszywy. Pedofile trafiają się we wszystkich środowiskach, wszystkich przedziałach zarobkowych. Zdaniem psychiatrów, od dzieciństwa wiedzą, że różnią się od innych.

A ponieważ są świadomi tego, czego chcą, układają sobie życie zgodnie

z zainteresowaniami. To nie przypadek, że tak wielu zбочeńców podejmuje pracę nauczycieli, organizatorów obozów dla dzieci czy opiekunów harcerskich. Jeśli wiesz, czego chcesz, znajdziesz też sposób, by to osiągnąć. Dlatego pedofile świadomie wybierają prace zapewniające kontakt z dziećmi, zwłaszcza w roli zaufanych opiekunów.

Mike uważał, że większość ekspertyz psychologicznych to stek bezużytecznych bzdur i dlatego skrupulatnie ich unikał. Jednak w tym przypadku nie było innego wyjścia: pedofile to bez wątpienia ludzie chorzy umysłowo. Jak się okazało, psychiatrzy dzielą pedofilów na dwie kategorie: do pierwszej należeli ci, którzy napastowali dzieci, kiedy nadarzała się okazja. Eksperymentowali – z homoseksualizmem, ze zwierzętami, z dziećmi. Do drugiej kategorii zaliczali się prawdziwi, zdeterminowani pedofile. Wybierali seks z dziećmi, bo to lubili. Koniec, kropka.

Zjawisko napastowania seksualnego dzieci ukazuje cykliczność przestępstwa. Niemal wszyscy pedofile byli w dzieciństwie wykorzystywani seksualnie. Po osiągnięciu dojrzałości zmieniali się z ofiar w oprawców. Zdaniem ekspertów, to zjawisko wyjaśnia, dlaczego większość pedofilów preferuje dzieci w określonym wieku: koncentrują się na dzieciach w tym samym wieku, w którym sami zostali po raz pierwszy wykorzystani.

Czasami pedofile nawiązują kontakt, zbliżają się do dziecka młodszego i dopiero kiedy osiągnie odpowiedni dla nich wiek ujawniają swoje prawdziwe zamiary. Ofiary mogą być w różnym wieku. Mike przeczytał o napastowaniu niemowląt w wieku poniżej jednego roku. Pewien zбочeniec utrzymywał, że dziecko „samo tego chciało”, że obnażało się w prowokujący sposób a dziecko nie miało jeszcze dwóch lat i nosiło pieluszki.

Próbując wytropić mordercę, idąc śladem pornomagazynów, Mike dowiedział się, że stereotyp pedofila-samotnika często okazuje się fałszywy. Wielu pedofilów działa w grupach albo – jak to się teraz określa – w siatkach. Korespondują ze sobą, wysyłają faksy, mają strony w Internecie, na których wymieniają nazwiska i zdjęcia. Większość eleganckich zagranicznych czasopism, takich jak „Kinderlieb” czy „Ballbusters”, musiało się wynieść ze Stanów po wprowadzeniu ustawy federalnej, więc pedofile zaczęli wydawać magazyny własnym sumptem.

Najbardziej zdumiewające jednak było dla Mike’a to, że pedofile często naprawdę lubią dzieci, także swoich młodocianych kochanków, i troszczą się o nich. Niemal wszyscy uważają, że nie popełniają przestępstwa. Przecież tylko dzielą się uczuciem. Co w tym złego?

Mike uznał to za ważną informację, bo jeśli wiadomo, jak działa pedofil, łatwiej go złapać. W przeciwieństwie do gwałcicieli, pedofile rzadko napadają na dzieci

i rzucają się na nie od razu. Oni usiłują uwodzić swoje ofiary, próbują zdobyć ich względy, ich zaufanie. Szukają dzieci ze źle funkcjonujących rodzin, dzieci, które są nieszczęśliwe w domu. Dzieci, które łatwo zranić. Pedofil dostrzega swą szansę. Jeśli tata i mama nie mogą pozwolić sobie na kupno roweru dla dziecka, pedofil mu go kupi. Jeśli dziecko potrzebuje szacunku, pedofil będzie je traktował z szacunkiem. Jeśli dziecko potrzebuje więcej uwagi, on mu ją zapewni. Zabawki, ciepło, zaufanie, wszystko czego trzeba.

I w ten sposób uwodzi dziecko.

Czasem nawet po zdemaskowaniu pedofila ofiara nie mówi o nim nic złego. Nie chce ranić najlepszego przyjaciela.

Na to liczą pedofile.

Statystyki tego rodzaju przestępstw nie wzbudziły zaufania Mike'a. Nikt naprawdę nie wie, na ile rozpowszechniony jest ten proceder. Dysproporcja między liczbą doniesień a rzeczywistą liczbą przestępstw jest w tym przypadku jeszcze większa niż w przypadku gwałtów. Istnieją niezliczone powody, dla których dziecko nie chce powiedzieć o wykorzystywaniu seksualnym. Dziecko może być finansowo zależne od napastnika, który często sprawuje nad dzieckiem opiekę. Dziecko może darzyć napastnika uczuciem lub tak mu się może zdawać. Co gorsza, czasami rodzice namawiają dzieci do zachowania milczenia. Boją się napiętnowania, okropnego rozgłosu. Nie chcą, żeby dziecko było ciągane po sądach, na policję, żeby pisano o nim w gazetach. Kto chciałby usłyszeć w wieczornych wiadomościach o tym, że chłopiec sąsiada był wykorzystywany seksualnie?

Mike odsunął papiery i ukrył twarz w dłoniach. Wiedział, że to śledztwo zmienia jego sposób patrzenia na świat. Od tej pory, gdy zobaczy mężczyznę rozmawiającego na przystanku z małym chłopcem lub trenera udzielającego wskazówek małemu graczowi w baseball, będzie się zastanawiał: Może to ten? To niesprawiedliwe, bo z dziećmi pracuje wielu uczciwych, porządnych ludzi. Lecz w naszych czasach rodzice muszą być podejrzliwi.

– Chryste! – szepnął Mike. – Co za koszmar! Chyba lepiej wcale nie mieć dzieci.

Pomyślał, że mógłby zrobić sobie fajrant na dzisiaj i iść do domu, ale po co? Nic tam na niego nie czekało prócz opróżnionej do połowy butelki bourbona i „Dzieł zebranych” Szekspira. Hip, hip, hura. Jak to powiedział Mark Twain? Bądź dobry, a będziesz samotny.

Jakże prawdziwe. Tylko że Mike nie był pewien, czy jest aż tak dobry.

Pod wpływem impulsu Mike wyciągnął z kieszeni portfel, odsunął kartę kredytową i spojrzał na zdjęcie.

Oto ona w całej okazałości. Śliczne, długie kasztanowe włosy. Trochę zadarty nosek i piegi. Tak wówczas wyglądała Julia. Tyle lat temu.

Zdjęcie zostało zrobione w dniu ich ślubu.

Kiedy ją ostatnio widział, nie była w najlepszej formie. Jej drugie małżeństwo rozlatywało się, przytyła. Ale nadal była piękna. Na jej widok zapomniał o bólu, o pustce, rozczarowaniu. Po rozwodzie zaklinał się, że przywiązanie jest dla frajerów, że wszystko jest nietrwałe, wszystko mija.

Wszystko jest beznadziejne.

Gdyby wiedział, co zrobił źle, mógłby sobie wyobrazić, że cofa się w przeszłość i naprawia błąd. Ale nie miał pojęcia, jaki to błąd. Robił wszak wszystko, żeby zatrzymać Julię przy sobie, czyż nie? I tyle starań na nic.

Powinien wyrzucić to zdjęcie, podrzeć je, zapomnieć o Julii i żyć dalej. Ale jakoś...

Starannie wsunął zdjęcie pod kartę kredytową i włożył portfel do kieszeni. Nic się nie zmieniło. Czuł nadal to samo. Bez względu na to, co sobie wmawiał, mimo całego bólu, beznadziejności, łez...

Coś jednak zostało.

Rozdział 14

Ben cofnął kasetę do początku, starając się robić jak najmniej hałasu. Wolał nie ryzykować. Kilka godzin usypiał Joeya, który zasnął na dobre już po północy. Ben podejrzewał, że każdy szelest może znów obudzić dziecko.

Pierwszy wieczór sam na sam z siostrzeńcem okazał się dla Bena prawdziwym koszmarem. Jego ignorancja w dziedzinie opieki nad dzieckiem nie miała granic. Nie wiedział najprostszych rzeczy. Jak umieścić smoczek w plastikowej obręczy? Po co kobiety wyciskają sobie kroplę mleka na rękę? Którą stroną zakłada się pieluszkę i czy to ma jakieś znaczenie?

I jeszcze jedno pytanie: Gdzie położyć dziecko spać, jeśli ktoś nie ma do dyspozycji łóżeczka? Ben wykorzystał duży plastikowy kosz na bieliznę do prania. Wyglądało to trochę głupio, to prawda, ale nie miał pod ręką nic lepszego. Joey nie zwracał na to uwagi, protestował natomiast przeciw temu, że wujek Ben chce go zostawić samego. Płakał, i to głośno. Ben zaśpiewał wszystkie kołysanki, jakie znał, a potem recytował z pamięci wiersze. Tylko „Annabel Lee” uspokajała Joeya. Trochę. Ben miał nadzieję, że była to zasługa rymu i rytmu, a nie melancholijnych rozważań o przedwczesnej śmierci. „Działo się to dawno, dawno temu, w królestwie nad brzegiem morza...”

Joey uspokoił się, lecz nie zasnął. Ben zaśpiewał kilka spokojnych piosenek z filmów Walta Disneya, które jako tako pamiętał, ale na próżno w końcu, sam nie wiedząc czemu, zanucił melodię z Flinstonów. Nie była to bynajmniej piosenka dziecięca. Pomysł dziwny, ale...

Zadziałało. Na buzi Joeya pojawił się pełen zadowolenia uśmiech, gdy usłyszał słowa „Flinstonowie, oto właśnie oni...” w połowie piosenki malutkie powieki zatrzepotały i zamknęły się.

Wreszcie usnął a kiedy już spał, Ben zaczął się martwić, czy oddycha. Przysuwał ucho do buzi Joeya i nasłuchiwał. Nie pamiętał, czy dzieci powinny spać na pleckach, czy na brzuszku a może na boku? Czy powinno się podkładać im poduszkę? I dlaczego Joey zrzuca koc?

Kompletnie wyczerpany, Ben zdołał wreszcie oderwać się od dziecka i opadł ciężko na kanapę. Po chwili Gizela, kotka Bena, wskoczyła mu na kolana.

Najwyraźniej nie była zachwycona tym małym uzurpatorem, który wpakował się do mieszkania i zajmował całą uwagę Bena, nie mówiąc o jego kolanach.

Kilka lat temu Christina podarowała Gizelę Benowi na urodziny i od tej pory kotka jadła nieustannie. Rzecz jasna, zadowalała się wyłącznie najdroższymi kocimi przysmakami. Ben nigdy przedtem nie trzymał żadnego zwierzęcia i nie miał na to szczególnej ochoty, ale ponieważ Christina była wspaniałą przyjaciółką i odwiedzała Bena dość często, nie miał wyjścia. Nie udało mu się ustalić, do jakiej rasy kotów należy Gizela, wiedział natomiast, że jest czarna i duża, wręcz olbrzymia. Istny koci dinozaur.

Gizela otarła się mokrym nosem o twarz Bena. Uroczy zwyczaj. Ale jej nosek wydawał się bardziej szorstki niż zwykle. Ben zerknął na kotkę i skoczył na równe nogi.

Gizela trzymała w pysku martwego ptaka.

– Gizela! – wrzasnął Ben i w tej samej chwili przypomniał sobie o dziecku śpiącym w sąsiednim pokoju. – Co ci mówiłem o przynoszeniu martwych zwierząt do saloniku?

Ben zamilkł, jak gdyby czekał na odpowiedź. Jednak Gizela ścisnęła tylko mocniej szczątki nieszczęsnej sójki i zamruczała.

– Jeśli już musisz iść za biologicznym imperatywem i zabijać zwierzęta, mogłabyś przynajmniej nie przynosić ich do pokoju!

Ben starał się trzymać Gizelę w domu, lecz dwa tygodnie temu kotka odkryła klapę w suficie garderoby w sypialni, skąd można było wyjść na dach. Ben wdrapywał się tam czasem, by popatrzeć na gwiazdy i przypomnieć sobie, że pozbył się lęku wysokości.

Gizela chodziła tam na polowanie.

Słowa Bena nie robiły na kotce żadnego wrażenia w końcu pobiegł do kuchni i otworzył puszkę. Gdy tylko Gizela usłyszała szmer otwieracza, upuściła swój skarb i pomknęła do jedzenia. Ben wrócił tymczasem do saloniku, zebrał szczątki ptaka i wyrzucił przez okno do otwartego pojemnika na śmieci na ulicy.

Uporawszy się z obowiązkami domowymi, usiadł, aby obejrzeć kasetę z przesłuchaniem Leemana Hayesa. Obejrzał nagranie trzy razy bez przerwy, od początku do końca.

I za każdym razem ogarniało go coraz większe przygnębienie.

Nic dziwnego, że prokuratura postanowiła wystąpić z oskarżeniem. Taśma wyrze na przysięgłych piorunujące wrażenie.

Pierwsze pół godziny było frustrujące. Leemana reprezentował sędziwy adwokat wykładający w szkole, dziś już nieżyjący. Obok siedział prokurator okręgowy i lekarz sądowy. Ben rozpoznał też Erniego Hayesa, młodszego o dziesięć lat.

Prokurator pytał Leemana o morderstwo Marii Alvarez.

Niczego się nie dowiedział. Leeman wcale nie uchylał się od współpracy – wręcz przeciwnie, był gotów zrobić wszystko dla tych miłych panów w białych koszulach i krawatach. Ale nie umiał. Nie dysponował nawet najprostszymi środkami porozumienia.

Przesłuchujący starali się ułatwić mu zadanie, używając jak najprostszych słów. Mówili głośno, mówili cicho. Zachowywali się przyjaźnie, a potem groźnie. Ktoś odgrywał wroga, ktoś przyjaciela; ktoś odgrywał dobrego policjanta, a kto inny złego. Wszystko na próżno.

W końcu któryś z policjantów wpadł na genialny pomysł, żeby pokazać Leemanowi zdjęcie. Mieli jedyną fotografię Marii Alvarez zrobioną przed śmiercią, mniej więcej trzy lata wcześniej.

Leeman rozpoznał kobietę. To nie ulegało wątpliwości. Nawet najbardziej zagorzały obrońca musiałby przyznać, że Leeman widział ją wcześniej.

Mimo energicznych protestów Erniego policjant pokazał Leemanowi fotografię Marii zrobioną po śmierci. Jej twarz i piersi były zalane krwią, a z szyi wystawały drzewce kija.

Leeman odwrócił się niemal natychmiast, ale znów nie było wątpliwości: musiał pamiętać ten widok.

Oficer przesłuchujący spytał Leemana, co się stało tamtego wieczora, a kiedy to nie odniosło skutku, udał, że uderza kogoś pałką w głowę. Zadziałało. Leeman odegrał morderstwo bez słów.

Twarz Leemana zmieniła się nie do poznania. Zniknął z niej przyjazny, szczeniący wyraz pełnego gotowości przywiązania. Leeman stanął na palcach, przemierzył długość sali i wykonał ruch jak gdyby popychania.

– W taki sposób zwrócił na siebie uwagę kobiety – rzucił jeden z detektywów.

Co zadziwiające, w następnej chwili Leeman wcielił się w rolę Marii i pokazał jej reakcję. Kobieta najpierw wyglądała na zaskoczoną, a potem rozgniewaną. Trudno było odgadnąć, co ją rozzłościło, gdyż Leeman nie używał słów.

W ciągu następnych kilku minut Leeman tak często zmieniał odgrywaną postać, że nie sposób było powiedzieć, kto co robi. Zaczęła się walka, którą Maria przegrała.

Potem nadeszła najgorsza część nagrania. Twarz Leemana stężała od gniewu. Wściekłość w nim kipiała. To było coś więcej niż śmiertelna złość – to był gniew bogów. Leeman drżał na całym ciele, ręce mu się trzęsły. Ben czytał o tym, że Leeman miewa napady złości, lecz nigdy w to do końca nie wierzył.

Aż do tej chwili.

Patrzył, jak Leeman bierze w ręce wyimaginowany kij golfowy i uderza nim w głowę Marii. Kij pękł najwyraźniej od siły uderzenia. Leeman podniósł drzewce

i przebił nim szyję kobiety.

Z twarzą nadal ściągniętą gniewem, Leeman cofnął się powoli, wytarł ręce i twarz. Rozejrzał się i rzucił do ucieczki.

Zatrzymał się przed ścianą. Przedstawienie było skończone. Leeman zamknął oczy i wyszedł z roli niczym prymitywny aktor.

Wrócił na krzesło. Wszyscy obecni patrzyli nań szeroko otwartymi oczami. Panowała kompletna cisza.

Przerwał ją prokurator.

– Uważam, że dalsze pytania nie będą potrzebne. Dziękuję.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Dwadzieścia minut później Leeman Hayes został oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia.

Po trzykrotnym obejrzeniu kasety Ben doszedł do wniosku, że sprawa Leemana jest beznadziejna. Nie widział żadnej dwuznaczności, niczego, co mógłby wykorzystać, by przekonać przysięgłych, że to, co widzieli, nie było niemyim przyznaniem się do winy.

Ben nacisnął guzik pilota i patrzył na obrazy przesuwające się w tył. Gizela wskoczyła mu znów na kolana. Tym razem nie miała już martwego ptaka w pysku. Pogłaskał ją po grzbiecie. Gizela zamruczała i spojrzała na Bena swoimi wielkimi zielonymi oczami...

Zaraz, chwileczkę. Ben chwycił pilota i zatrzymał taśmę w momencie, gdy Leeman rozpoczynał pantomimę.

Omiał mu to nie umknęło. Ben niczego nie zauważył, mimo że oglądał taśmę trzy razy. Leeman nie zaczął przedstawienia od razu, bez żadnego wstępu. Najpierw wykonał krótki, trwający mniej niż sekundę gest: położył prawą rękę nad oczami, jak gdyby osłaniał je przed nieistniejącym słońcem.

„Widziałem”.

Tym samym gestem pokazał Benowi, że widział go wysiadającego z hondy. Nie wypowiedział przy tym żadnych słów, lecz gest był dokładnie ten sam.

„Widziałem”.

Leeman nie pokazywał policjantom, co zrobił. Pokazywał im to, co widział.

„Widziałem”.

To nie było przyznanie się do winy, lecz zeznanie świadka. Ben nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Ale jak przekonać o tym przysięgłych? Większość przysięgłych, ba, większość ludzi uzna pantomimę Leemana za przyznanie się do winy, bez względu na to, co powie obrońca. Wyjaśnienia Bena na temat gestu zostaną uznane za rozpaczliwy wybieg bezradnego adwokata.

A Leemana Hayesa skazą za przestępstwo, którego nie popełnił. Po dziesięciu latach spędzonych w zakładach psychiatrycznych bez żadnego wyroku, resztę życia spędzi w więzieniu.

O ile nie wydadzą wyroku śmierci.

Trudno powiedzieć, co byłoby dla niego gorsze.

Ben nacisnął guzik pilota. Nie może na pozwolić.

„... Masz zamiar spędzić resztę życia broniąc każdego drobnego rzezimieszka, który poczęstuje cię łzawą opowieścią o nieudanym życiu?”

Słowa Bullocka znów zadźwięczały Benowi w uszach. Nigdy nie zdoła przekonać przysięgłych, że pantomima Leemana nie była przyznaniem się do winy, sam Leeman zaś będzie w czasie procesu całkowicie nieprzydatny w aktach nie było niczego, co świadczyłoby na korzyść Leemana. Trzeba będzie zaczynać dochodzenie od zera. Trzeba będzie wykopywać spod ziemi świadków w procesie o morderstwo sprzed dziesięciu lat.

Piekielnie trudne zadanie.

Trudne? Niemożliwe!

„... Nie bądź takim naiwniakiem”.

Jednego tylko Ben mógł być pewny: jeśli weźmie tę sprawę, nigdy nie odzyska szacunku Jacka Bullocka.

„... Zawiodłem się na tobie, Ben. Byłeś dla mnie jak syn”.

Przed oczami Bena stanęły inne obrazy. Twarz Leemana z taśmy – przerażona, bezradna, samotna. Leeman Hayes po upływie dziesięciu lat – otyły, w zaciasnym ubraniu, odcięty od życia. Rozpaczliwy wyraz twarzy Erniego Hayesa. Jak on to powiedział? „Wiedziałem, że pan pomoże mojemu chłopakowi”.

Przynajmniej jedno, co powiedział Ernie, było prawdą: jeśli Ben nie weźmie tej sprawy, to kto?

Dziesięć lat. Dziesięć długich lat.

Ben wyłączył telewizor. Podjął decyzję. Mimo wszystkich pułapek, trudności, wbrew zdrowemu rozsądkowi podejmie się obrony Leemana Hayesa.

Nie miał wyboru.

Szanse były znikome. Minimalne, ale jednak jakieś były. Lepiej zaryzykować, niż skazywać Leemana na dalsze lata życia w zamknięciu i odosobnieniu. Lata cierpienia.

Jeszcze większego niż dotąd.

Bo z rąk sprawiedliwości.

Część druga

Opowieść dwóch miast

Rozdział 15

- Przecież obiecałeś!
- Niczego nie obiecywałem.
- Obiecałeś. Powiedziałaś, że wrócisz wcześniej i pójdziemy na mecz.
- Powiedziałem tylko, że spróbuję. To wszystko.
- Nie wiem, dlaczego ci uwierzyłem. Nie chcesz nigdzie ze mną chodzić.

Nienawidzisz mnie.

- Nieprawda. Posłuchaj mnie, synu.

Mężczyzna w rudej peruce przysłuchiwał się uważnie sprzeczce Abiego z ojcem. To miło z ich strony, że kłócili się akurat na ganku. Ukrył się za dwumetrowym żywopłotem otaczającym posiadłość Ruthefordów i chłonał każde słowo. Sąsiednie domy były oddalone tak bardzo, że nikt nie mógł go zobaczyć.

– Posłuchaj mnie, synu – ciągnął Rutheford. Miał o wiele jaśniejsze włosy od Abiego, co tylko podkreślało różnice między nimi. Portret stosunków rodzinnych namalowany węglem. – Twój ojciec ma na głowie wiele ważnych spraw, którymi musi się zająć. Chciałbym bawić się z tobą przez cały dzień, ale nie mogę.

Abie skrzyżował ręce na piersiach.

- Mógłbyś, gdybyś chciał.

Rutheford zacisnął wargi.

– Abie, czasem muszę pracować. Rozejrzyj się. Spójrz na ten dom, na te samochody w garażu. Nie każdy żyje w takich warunkach. Jak myślisz, kto za to wszystko płaci? Skąd biorą się pieniądze?

- Mama mówi, że dostałeś je od swojego taty.

– To nie ma znaczenia. Ktoś musi nimi zarządzać. Dbać o inwestycje. Tym właśnie zajmuje się tata...

- Mama mówi, że spędzasz całe dni w tym głupim klubie golfowym.

- Twoja matka... – Mruknął coś pod nosem. – To nieprawda...

Abie odsunął się od ojca.

- Bawisz się cały czas. Tylko ze mną nie chcesz się bawić.

– Abie. Abie! – Rutheford wyciągnął ręce, lecz Abie nie pozwolił się objąć. – Chodzę do klubu po to, żeby utrzymywać ważne kontakty. Członkowie klubu to moi

wspólnicy w interesach. To same grube ryby, najbogatsi ludzie w całym stanie. Wiem, że masz dopiero dziesięć lat, ale spróbuj to zrozumieć.

– Rozumiem. Wolisz machać kijem golfowym, niż zabrać mnie na mecz baseballu.

Mężczyzna w rudej peruce uśmiechnął się z jego punktu widzenia taka rodzina była wręcz wymarzona. Gdyby nie ojcowie niemający czasu dla swych synów lub traktujący ich źle, nie miałby czego szukać. Ale bogaci, nadęci durnie, tacy jak Rutheford, bardzo ułatwiali mu zadanie.

– Posłuchaj, synku. —Rutheford poczerwieniał na twarzy. – Mam jutro spotkanie, ale... o której godzinie jest ten mecz?

– O drugiej. Jak zwykle.

– No dobrze. Zobaczą, co się da zrobić.

– Przyrzekasz?

Rutheford położył ręce na ramionach syna.

– Tak. Przyrzekam.

– Musimy wyjechać o wpół do drugiej, żeby zdążyć na pierwsze wybiecie.

– Dobrze. Żeby było szybciej, zabiorę cię na rogu Peoria i Dwudziestej Szóstej Alei, zgoda? o wpół do drugiej.

– Nie zapomnisz?

– Oczywiście, że nie. – Zawahał się. – Przyrzekam.

Rutheford wyciągnął ręce do syna. Miał nadzieję, że chłopiec go uściska. To byłby pierwszy krok na drodze do pojednania. To jednak nie nastąpiło. Usłyszawszy przyrzeczenie, Abie odwrócił się i wbiegł do domu.

Jedna wymuszona obietnica nie może rozwiązać problemu, który sięga tak głęboko.

Mężczyzna w peruce ostrożnie odsunął się od żywopłotu. To był doskonały pomysł, żeby złożyć Abiemu nieoczekiwaną wizytę. Trafił na złotą żyłę informacji. Teraz wiedział już wszystko, czego potrzebuje, aby zmienić swoje marzenie w rzeczywistość. Dokonać kolejnego podboju.

Na nadgarstku zapisał: „Róg Peoria i Dwudziestej Szóstej. Wpół do drugiej”.

Będzie tam.

Rozdział 16

Ledwie Ben zdołał wreszcie zasnąć, zbudziło go dotknięcie kocich wąsów w policzek.

Gizela.

– Gizela – mruknął Ben nie otwierając oczu. – Wyświadczyć mi tę przysługę i idź sobie.

Nie mam nic przeciwko tobie, myślał Ben, ale syn Julii nie dał mi usnąć prawie przez całą noc. Ten, kto wymyślił zwrot „śpi jak dziecko”, na pewno nie miał dzieci.

Ben przewrócił się na drugi bok i przykrył głowę poduszką. Na nic. Gizela nie dawała za wygraną. Była już pora śniadania, a Gizela znała swoje prawa. Wsunęła wilgotny nosek między poduszkę i twarz Bena.

Strasznie dzisiaj drapie, pomyślał Ben i wtedy go olśniło.

Usiadł gwałtownie, z szeroko otwartymi oczami.

– Gizela!

Nie miała nic w pyszczku. Ben poderwał kołdrę i przeszukał pościel.

Na szczęście nie było tam żadnych szczątków fauny lekkomyślnej na tyle, żeby zbliżyć się do kawałka dachu, który Gizela obrała sobie za teren łowiecki. Kotka nie przyniosła kolejnej ofiary; była po prostu głodna.

Z uczuciem ulgi Ben podreptał do garderoby i narzucił szlafrok. Otworzył okno, odetchnął świeżym porannym powietrzem. Świeżym to za dużo powiedziane. Szkoda, że ustawili te pojemniki na śmieci tuż za oknem.

Pod ścianą domu w romantycznym uścisku z czarnoskórym nastolatkiem stała Joni Singleton. Joni i jej siostra bliźniaczka mieszkały z rodzicami i dwurocznymi braćmi, także bliźniakami, w jednym mieszkaniu. Ben nie wyobrażał sobie, jak mieścili się na powierzchni odrobinę większej od jego mieszkania.

Z lekkim ukłuciem wyrzutów sumienia patrzył przez chwilę na tych dwoje. Rozmawiali i całowali się, z przewagą tego drugiego. Czuli się ze sobą swobodnie. Pewnie nie była to ich pierwsza randka.

Ben zamknął okno. Nie słyszał dotąd nic o tym nowym chłopaku. Podejrzewał, że to zazdrośnie strzeżony sekret. Romans z czarnym chłopakiem – rodzice Joni ani chybi pękną z zachwyty.

Nucąc pod nosem Ben wstąpił na chwilę do łazienki. „Wiejska zabawa w ogrodzie... spódnica w groszki i księżyc” – to stara piosenka z lat dwudziestych. Ben nie pamiętał, gdzie się jej nauczył, ale niepostrzeżenie stała się jego ulubioną melodią. „I ujrzałem spódnice w groszki w blasku księżycyca...”

Ben pomaszerował do kuchni i otworzył puszkę z karmą dla kotów. Właśnie sięgał po torebkę płatków zbożowych, gdy usłyszał dzwonek.

Zerknął na zegarek na kuchence. Przed chwilą minęła siódma. To mogła być tylko pani Marmelstein.

Pani Marmelstein była właścicielką tego domu. Sprowadzili się z mężem do Tulsy kilkadziesiąt lat temu i zarobili fortunę na przemyśle naftowym. Dużo podróżowali, kupowali i sprzedawali najdroższe posiadłości w Utica Hills, i w ogóle prowadzili światowe życie. Nieco zbyt światowe, jak się okazało. W połowie lat siedemdziesiątych pan Marmelstein zmarł, a na początku lat osiemdziesiątych przemysł naftowy padł ofiarą recesji. Pani Marmelstein wyszła z krachu prawie bez grosza, pozostała, jej tylko podrzędna kamienica w jednej z najgorszych dzielnic Tulsy.

Ben otworzył drzwi. Pani Marmelstein ubrana była w zieloną sukienkę z koronkowym kołnierzykiem. Przyprószone srebrem włosy upięła w kok.

Obrzuciła Bena surowym spojrzeniem.

– Benjamin Kincaid.

– To ja – potwierdził Ben miłym głosem.

Gospodyni kiwała głową w przód i w tył.

– Benjaminie Kincaid.

– Czy to wszystko, co chce mi pani powiedzieć? Jest dość wcześnie...

Pani Marmelstein syknęła niecierpliwie.

– Czy myśli pan, że nie słyszałam?

– A... czego, przepraszam?

– Benjaminie, mam sześćdziesiąt dziewięć lat i wiem, jakie odgłosy wydaje małe dziecko.

– Ach, dziecko! – Ben zniżył głos do szeptu. – No właśnie, czy mogłaby pani mówić nieco ciszej?

– Skąd ono się tu wzięło, jeśli wolno spytać?

– To skomplikowana sprawa...

– Nie wątpię. – Pani Marmelstein z dezaprobatą splotła ręce na piersi. – Ben, traktowałam cię bardzo łagodnie. Oboje wiemy... jak by to powiedzieć... że patrzyłam przez palce na twoje wybryki. Kilka razy wpuściłam do domu twoich przyjaciół z policji i nie kontrolowałam wizyt tej... rudej.

Ben z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Nie wiedział, czy pani Marmelstein

nie darzyła sympatią Christiny, bo była niezamężną pracującą kobietą, czy dlatego że odwiedzała Bena o wszystkich porach dnia i nocy, czy też po prostu z powodów rudych włosów.

– Była pani wobec mnie bardzo wyrozumiała, pani Marmelstein, to prawda.

– Ty też pomogłeś mi w tym i owym, oczywiście.

Powiedzmy. Od kiedy się tutaj wprowadził, zajmował się prowadzeniem nadwątlonych finansów wdowy, co zwykle wymagało uspokajania wierzycieli (Ben miał w tym jakąś wprawę), żonglowania rachunkami, a od czasu do czasu wsunięcia do jej koperty paru dolarów ze swojej kieszeni. Ben wiedział, że pani Marmelstein nie jest już bogata, ale do niej, niestety, jeszcze to nie dotarło.

– I zawsze byłam ci wdzięczna za pomoc. Ale teraz muszę położyć temu kres.

– Czemu?

– Dzieciom.

– Nie zgadza się pani na dzieci? Singletonowie mają dwoje!

– Jest jednak pewna różnica, prawda? – Pani Marmelstein nachyliła się do Bena. – Benjaminie Kincaid, oboje wiemy bardzo dobrze, że nie jesteś żonaty!

Ben uśmiechnął się lekko.

– Proszę pozwolić mi wyjaśnić...

– To zbędne. Wiem, skąd się biorą dzieci i wiem, jacy są mężczyźni. Ale spodziewałam się po tobie nieco więcej dyskrecji.

– Pani Marmelstein, to naprawdę...

– Jeśli już... doszło do takiego pożałowania godnego wypadku, to powinieneś zachować się uczciwie i poślubić tę biedną dziewczynę. Ale to nie ta ruda, prawda?

– Pani Marmelstein, Christina jest moją współpracowniczką i przyjaciółką. Dziecko należy do mojej siostry, Julii. Joey to mój siostrzeniec.

Pani Marmelstein miała w tej chwili taki wyraz twarzy, jakby ktoś wylał jej na głowę kubek zimnej wody.

– Och! To istotnie zmienia postać rzeczy. – Przebierała niezręcznie palcami. – A dlaczego opiekujesz się dzieckiem siostry?

– Sam zbyt dobrze tego nie rozumiem...

– Jak długo dziecko tu zostanie?

– Nie jestem pewien. To może być całkiem długo.

Pani Marmelstein zmarszczyła brwi.

– Jeśli dłużej niż tydzień, zawiadom mnie. Będę musiała zmienić ci wysokość czynszu.

– Naturalnie.

Gospodyni spojrzała na Bena łagodniejszym wzrokiem.

– Zajrzyj do mnie później. Kiedy już się ubierzesz, rzecz jasna. Upiekłam ciasto

owocowe.

– Prawdę mówiąc, jestem dzisiaj bardzo zajęty...

– Zdaje się, że słyszę dziecko.

Ben wstrzymał oddech. Istotnie: z mieszkania dobiegało żałosne kwilenie, które tak dobrze zdążył już poznać.

– Ma pani rację – westchnął. – A propos, pani Marmelstein, czy wie pani, jak się zmienia pieluszki?...

Kilka sekund po dzwonku Christiny Ben otworzył drzwi z rozpaczliwym wyrazem twarzy.

– Czy wiesz, co to znaczy „but”? – spytał błagalnym tonem.

Christina zamruwała oczami.

– Słucham?

– But. But! – Ben wymachiwał rękami w powietrzu.

– Nie bardzo rozumiem...

– On ciągle powtarza „but”.

– Kto?

– Joey! A któż by inny? To chyba jedyne słowo, jakie zna!

– Dość nieprawdopodobne...

– Patrzy na mnie, jakby czegoś oczekiwał, jakbym był najgłupszym wujkiem na świecie, który nie wie, co to jest but. On czegoś ode mnie chce, a ja nie wiem czego. Nie uwierzyłybyś, czego próbowałem.

– Lepiej mi nie mów.

Christina zadrżała do pokoju ponad ramieniem Bena. Joey usiłował podciągnąć się do brzegu kosza i rzeczywiście powtarzał raz po raz to samo słowo.

– To naprawdę brzmi jak „but” – przyznała – ale Julia chyba nie ma tak osobliwego poczucia humoru.

Zajrzała do olbrzymiej torby na pieluszki.

– Aha! – zawołała po chwili. – Bert!

– Bert?

Wyciągnęła z torby podłużną żółtą lalkę przypominającą nieco człowieka.

– Co to takiego? – spytał Ben.

– To jest Bert, głuptasie.

– Czy Bert jest mutantem?

– To kukielka, ty niedorajdo.

Włożyła lalkę w ręce Joeya. Chłopiec przycisnął ją do piersi i usiadł spokojnie.

Christina sięgnęła jeszcze raz do torby i wyjęła mniejszą, okrągłą lalkę o twarzy jak pomarańcza.

– A to jest Ernie.

– Skąd wiesz?

– Jak to, skąd wiem? To po prostu Ernie, i już. Nie wierzę, że ich nie znasz. Te postacie zna cały świat. Nigdy nie oglądałeś „Ulicy Sezamkowej”?

– Nie.

Christina przyjrzała mu się uważnie.

– To jak nauczyłeś się alfabetu?

– Miałem prywatnego nauczyciela.

Uderzyła się ręką w czoło.

– Boże chroń nas przed bogatymi dziećmi.

Z pomocą Christiny Ben zmienił Joeyowi pieluszkę (dowiedziawszy się przy okazji, że do góry idzie ta część, na której znajdują się wizerunki bohaterów „Ulicy Sezamkowej”), napełnił butelkę, sprawdził, czy nie jest za gorąca ani za zimna, a potem nakarmił dziecko. Jak na swoją drobną posturę, malec wypił sporo mleka.

Żeby nie marnować czasu, Ben opowiedział Christinie o taśmie.

– Wygląda na to, że powinniśmy zabrać się ostro do roboty – stwierdziła Christina. Taka już była; zawsze gotowa wziąć na siebie najbardziej niewdzięczną część zadania. Ben miał nadzieję, że i tym razem będzie tak samo. – Wyznaczyłeś już zadania?

– Loving zajmie się klubem golfowym. Wszystkimi członkami i personelem. Jones musi dokopać się do dokumentów sprzed dziesięciu lat. Przyda się każda informacja, zwłaszcza dotycząca ofiary. Ja pójdę zobaczyć miejsce zbrodni. Tylko nie mów o tym Jonesowi, bo będzie chciał mi towarzyszyć.

Christina skinęła głową.

– A ja?

– Prawdę mówiąc, chciałem... żebyś zajęła się dzieckiem.

– Co?! – Christina poderwała się na równe nogi. – Jak śmiesz!

– Christina, ktoś musi to...

– Tak, ktoś musi. Czy ja wyglądam na niańkę? To czysta dyskryminacja.

– Przecież wiesz, że nie. Ale jesteś jedyną osobą spośród nas, która ma jakiegokolwiek pojęcie o dzieciach.

– Ale to nie znaczy, że...

– Więc co mam zrobić? Zostawić dziecko z Jonesem?

Christina zmarszczyła brwi.

– z Lovingiem?

Pobladła.

– Zgoda. Zajmę się dzieckiem. Ale tylko tymczasowo.

– Jasne. Dopóki czegoś nie wymyślę. Zadzwońię do płatnego żłobka. Może

wynajmę nianię.

– Nie stać cię na nianię – stwierdziła oschle Christina.

– Tak czy inaczej, zobaczę, co się da zrobić. – Ben podniósł się z krzesła. – Czuj się jak u siebie w domu. Możesz robić, co chcesz, jeść, co chcesz. Udawaj, że tu mieszkasz.

– Jak sobie życzysz. Zaspałam i nie zdążyłam wziąć prysznicu. – Przesunęła ręką po splątanych rudych włosach. – Ale mógłbyś poprosić gospodynię, żeby nie spoglądała tak na mnie za każdym razem, gdy tu wchodzę.

– Pani Marmelstein przygląda ci się? – spytał niewinnie Ben.

– I to jak! Czuję się jak kobieta upadła.

– Porozmawiam z nią. Dzięki, Christina. Jestem twoim dłużnikiem.

– Gdybym chociaż miała jakiś wybór – mruknęła. – Albo spędzisz cały dzień z dzieckiem, albo zostawię je w łapskach kogoś, kto nie odróżnia Berta od Erniego. – Wyjęła czystą pieluszkę. – Z kim ja pracuję...

Rozdział 17

Klub golfowy Utica Greens był bez wątpienia najstarszym, najbardziej znanym i najbardziej ekskluzywnym miejscem spotkań bogatych mieszkańców miasta. Zajmował duży obszar leżący na terenie dawnej posiadłości rodziny Phillipsów. Szczęśliwie znajdował się w najbogatszej części Tulsy, o kilometr od centrum handlowego Utica Square i Philbrook, dawnego pałacu Phillipsów zamienionego obecnie w muzeum i centrum kulturalne.

Ben wiedział, że będzie miał problemy, już kiedy dojeżdżał do bramy swoją hondą, w wielu miejscach, gdzie odprysnęła farba, na blachę wchodził rdza, ale Ben nie przejmował się tym zbyt. Poza tym w silniku cały czas coś chrobotowało. Nie cały czas – tylko, kiedy koła się obracały. Mimo wielokrotnych napraw, tłumik wisiał nisko i ocierał się o nawierzchnię za każdym razem, gdy samochód podskoczył na wyboju. Niegdyś honda Bena była znakomitym samochodem, ale skończyło się to dawno temu.

Ochroniarz przy bramie zachowywał się tak, jakby przybysz miał laskę dynamitu przy pasie w końcu Ben, po okazaniu strażnikowi wszystkich dokumentów, jakie miał przy sobie, od legitymacji adwokackiej do karty bibliotecznej, został niechętnie wpuszczony na teren klubu.

Droga wiła się po łagodnych wzgórzach między polami golfowymi. Ben nie uwierzyłby, że ktoś może grać w golfa w taką pogodę, gdyby nie zobaczył na polu mężczyźni we flanelowych koszulkach i kraciastych czapkach. Przyglądał się czwórce mocno spoconych ludzi z kijami. Ben pogratulował sobie po raz kolejny, że nie gra w golfa, mimo że w Tulsie prawnik nie liczy się, dopóki nie zagra na polu Utica Greens.

Ben nie był zachwycony, że musiał tu przyjechać. Całe to ekskluzywne, wyniosłe towarzystwo za bardzo przypominało mu dom w końcu wychował się w Nichols Hills, superbogatej dzielnicy uważanej za przerośniętą nad wszelką miarę klub golfowy. Ojciec regularnie zabierał go w miejsce podobne do tego, żeby „zażył trochę ruchu na świeżym powietrzu”. Nieprzyjemne wspomnienia przesuwają się przed oczami. Śmieszne buty do gry w golfa z za długimi sznurówkami, rozmowy o „zachowaniu kraju w czystości” przy południowym martini...

Czy mu się to jednak spodobało, czy nie, było to miejsce zbrodni. Według informacji zawartej w aktach sprawy, tylko czterej członkowie zarządu klubu mieli klucze do magazynu, gdzie zamordowano Marię Alvarez. Magazyn powinien być zamknięty o tak późnej porze, a zatem – po wyeliminowaniu Leemana z kręgu podejrzanych – należało sobie zadać pytanie, kto mógł otworzyć pomieszczenie.

Ben odszukał biuro prezesa zarządu klubu, RONALDA PEARSONA. Na tabliczce na biurku widniał napis „Kapitan Pearson”, Ben jednak wątpił, czy ma to coś wspólnego ze stopniem wojskowym.

Na szczęście zastał prezesa. Był to rosły, mocno zbudowany mężczyzna z lekką nadwagą, o różowej cerze i dużym piegopatym nosie. Rozmawiał przez telefon, kiedy Ben wszedł do biura.

Pearson zasłonił mikrofon ręką.

– Chwileczkę. Dzwonię do biura zatrudnienia. Szukam pracownika do jadalni.

Ben skinął głową i usiadł.

– Tak, chciałbym porozmawiać z Mary. Nie, nie z Marią. Nie z Rochelle. Dobrze, dziękuję.

Ben rozejrzał się po biurze. Ściany pokryte były mahoniową boazerią i ozdobione trofeami wędkarskimi i sportowymi.

– Świetnie – ciągnął Pearson. – Kategoria od piętnastu do dwudziestu pięciu. Tak, bardzo dobrze. – Mruknął jeszcze kilka słów i odłożył słuchawkę. – Cholera z każdym dniem trudniej prowadzić klub golfowy.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Od turnieju w Southern Hills wszyscy zachowują się tak, jakby to był jedyny klub w mieście. Byle pęta z trzydziestoma tysiącami dolarów do wyrzucenia może się dostać do Southern Hills i to ma być ekskluzywny klub?

Pearson spojrzał po raz pierwszy na Billa.

– Nie poznaję pana. Jest pan członkiem klubu?

– Nie. Nazywam się Ben Kincaid. Pańska sekretarka umówiła mnie na spotkanie.

– Nie pamiętam...

– Jestem adwokatem. Reprezentuję w sądzie Leemana Hayesa.

Pearson nadal spoglądał na Bena, jakby nic nie rozumiał.

– To ten, którego oskarżono o zabicie Marii Alvarez w magazynie klubu.

Pearson zdjął okulary w drucianej oprawie i potarł grzbiet nosa.

– Chryste! Czy to się nigdy nie skończy? Przez zabójstwo jakiejś nielegalnej emigrantki gliniarze i reporterzy nie dają nam spokoju od dziesięciu lat.

– Chcę tylko zobaczyć miejsce zbrodni i jeśli to możliwe, porozmawiać z ludźmi, którzy tu wtedy pracowali.

Pearson odchylił się mocno do tyłu. Nosił czapkę marynarską i niebieską bluzę

z kotwicą wyhaftowaną nad kieszenią. Wyglądał jak zblazowany marynarz.

– Ma pan nakaz sądowy?

– Nie, nie mam.

– W takim razie nie mogę pana wpuścić na teren klubu.

– Chciałbym...

– Posłuchaj mnie, synu. Niektórzy dzwonią tu z tygodniowym wyprzedzeniem, żeby zamówić grę. Ci ludzie płacą sześćdziesiąt tysięcy plus pięć tysięcy rocznie, żeby pograć sobie w golfa w przyjemnym miejscu. Nie pozwolę psuć im zabawy.

– To tylko gra a ja bronię człowieka.

– Jak to, tylko gra? – Pearson wyraźnie się zdenerwował. – Posłuchaj, synu. Członkowie naszego klubu rządzą tym miastem i stanem. Tam, na polu zawierają bardzo ważne umowy, podejmują decyzje, które mają znaczenie dla całej gospodarki, dla dobrobytu wszystkich obywateli. Według mnie to jest sto razy ważniejsze niż twoje nikomu niepotrzebne śledztwo.

Ben starał się zachować spokój.

– Jeśli chce pan nakazu sądowego, to go zdobędę. To nie będzie trudne w sprawie o morderstwo.

– Niech to szlag trafi! – Pearson trzasnął ręką w stół. – Jak gdybym nie miał nic innego do roboty! – Ben zerknął na puste biurko i zadał sobie pytanie, czym właściwie zajmuje się ten człowiek. – Mitch cię oprowadzi. On jest kierownikiem pola.

Kierownik. Czytaj: ten, który rzeczywiście coś tutaj robi.

– Mitch nie jest członkiem klubu, rzecz jasna, ale może cię oprowadzić po toaletach i tak dalej. – Podniósł słuchawkę. – Mitch? Kapitan Pearson. Chodź no tu. Szykuje się wycieczka.

Pauza.

– Perspektywa? – zarechotał. – Wątpię. Jakiś prawnik. Tak. Ty i ja. Możesz mu opowiedzieć krótszą wersję. Pośpiesz się.

Odłożył słuchawkę.

– Wybacz, ale nie mogę cię sam oprowadzić. Mamy zebranie zarządu za godzinę. Muszę się przygotować. – Wypukła klatka piersiowa Pearsona uniosła się i opadła. – Nie wiem, dlaczego zarząd powierza mi tę funkcję rok po roku. Ledwie wystarcza mi czasu na własny biznes.

– Co to za biznes?

– Jestem gazownikiem. Jednym z ostatnich prawdziwych gazowników, tych, którzy stworzyli to miasto.

– I nadal pan pracuje? Myślałem, że interes się skończył.

– Może dla pętaaków, ale nie dla mnie w zeszłym roku wywierciłem trzydzieści

pięć szybów.

– I znalazł pan klientów?

– A jak. Dick Crenshaw załatwił mi tłuściutką umowę. Miałem długoterminowe kontrakty z rafineriami na wypadek, gdyby ceny spadły bardzo nisko. Moi prawnicy tak im dali popalić, że musieli się w końcu zgodzić na moje warunki. Mam kupców na dziesięć lat. Nawet na nieoczyszczony gaz, na kanadyjski, peruwiański, każdy. Wszystko mogę sprzedać.

W drzwiach stanął wysoki ciemnowłosey mężczyzna.

– Autokar odjeżdża.

– To jest Mitch Dryer – przedstawił przybysza Pearson. – Mitch, to jest... ten adwokat. – Najwyraźniej zapomniał nazwiska Bena. – Oprowadź go.

– Wszystko pokazać? – spytał ostrożnie Mitch.

– Bez przesady. Ale nie marudź, bo... potrzebuję cię na spotkaniu. Nie spóźnij się.

Tak, pomyślał Ben. Mitch będzie miał doskonałą wymówkę, żeby się śpieszyć i przy okazji ominąć najważniejsze miejsca. Żeby móc później uścisnąć dłoń Pearsona na zebraniu.

Wyszli. Ben pomyślał, że też mógłby wstąpić na zebranie zarządu.

Rozdział 18

Ben zdumiał się widząc, że zachowanie Mitcha zmieniło się natychmiast po wyjściu z biura Pearsona. W obecności szefa był sztywny i posłuszny, jak przystało na doskonałe popychadło. Kilka minut później, gdy znaleźli się na zewnątrz, zachowywał się swobodnie, niemal łobuzersko. Ben nie wiedział tylko, czy udaje w obecności szefa, czy w towarzystwie każdego, z kim w danym momencie przebywa.

Rozpoczęli zwiedzanie od głównej jadalni. Słowo „imponująca” nie oddawało majestatu tego pomieszczenia. Wszystkie ściany pokryte były drewnem dębowym. Olbrzymie okna we wnękach dawały wspaniałą widok na pola golfowe. Wysoko umieszczony sufit sprawiał, że sala sprawiała wrażenie jeszcze większej, a kominek z cegły był wyższy od Bena.

Mitch oprowadził Bena po mniejszych pomieszczeniach, takich jak biura i sale konferencyjne. W salonie stał fortepian, o jakim Ben mógł tylko pomarzyć i zestaw stereofoniczny tej samej klasy. W innym miejscu znajdował się sklepik z odzieżą. Wszystkie artykuły nosiły znak Utica Greens, a żadna z cen nie schodziła poniżej siedemdziesięciu pięciu dolarów. Nawet okulary przeciwsłoneczne.

Klatką schodową zeszli do głównej szatni. Znajdowały się tu rzędy obszernych kabin prysznicowych i wanien jakuzi; lustra sięgały do sufitu, do ścian przymocowane były suszarki do włosów, a na szafkach obok stało około czterdziestu różnego rodzaju butelek wody kolońskiej i płynu po goleniu. Klamki i uchwyty wykonane były z mosiądzu, a ściany z czarnego marmuru.

Nie każdy mógł tu wstąpić, żeby zrobić sobie pedicure.

Ben pomyślał, że to właściwy moment, aby wyciągnąć od Mitcha nieco informacji.

– Jak długo pracujesz u Pearsona? To znaczy, kapitana Pearsona.

– To jeden z tych kapitanów, co nigdy nie żeglowali po wzburzonym morzu. Nie umiałby sterować łódką wiosłową – roześmiał się Mitch. – To chyba jakiś tytuł honorowy. Wszedłem na pokład od razu po skończeniu szkoły, niedługo po tym morderstwie. Klub miał potem dużo złej prasy, więc zarząd postanowił zatrudnić kogoś do nadzoru na pełny etat. Wybrali mnie. Jak możesz się domyślić, tylko dzięki

mnie ten Disneyland dla dyletantów utrzymuje się na powierzchni.

– Czy to opłacalna robota?

– Nie tak opłacalna jak posiadanie bogatych rodziców.

Szafki zrobione były z drewna sosnowego. Nie miały zamków – to byłoby w złym stylu. Takie środki bezpieczeństwa sugerowałyby, że któryś z szacownych członków klubu mógłby popełnić kradzież. Cóż za okropna myśl.

– Niezłe miejsce, żeby się odsusiać, co? – spytał Mitch.

– Da się wytrzymać.

Wyszli z budynku na idealnie utrzymaną trawę. Słońce nadal grzało niemiłosiernie. Ben zaczął tęsknić za klimatyzowanym rajem szatni.

Na prośbę Bena Mitch zaprowadził go do magazynu. Miejsce zbrodni sprzed dziesięciu lat. Mitch otworzył drzwi.

– Kto ma klucze do magazynu? – spytał Ben.

– Dziesięć lat temu mieli je wszyscy członkowie zarządu. Teraz tylko ja. Po morderstwie, gdy z powodu kluczy wszyscy znaleźli się w kręgu podejrzanych, członkowie zarządu postanowili się ich pozbyć. Oddali klucze i obarczyli mnie odpowiedzialnością za magazyn. Właściwie sam zwróciłem się do nich z prośbą o to. Nie wyobrażałem sobie, że można wywiązać się z tego obowiązku gorzej od nich.

Weszli razem do środka. Magazyn był solidnie zbudowanym, obszernym pomieszczeniem, większym od mieszkania Bena. Wzdłuż ścian stały ławy i krzesła; na stołach zalegały czasopisma golfowe.

– Nie widziałem w klubie zbyt wielu tragarzy – zauważył Ben.

– Zgadza się. Era wózków golfowych. Tragarze nie są już potrzebni do tego, żeby gracze mogli się bawić bez najmniejszego fizycznego wysiłku. Tylko starsi członkowie klubu życzą sobie jeszcze tragarzy.

Dzięki Bogu, że niektórzy kultywują jeszcze tę wspaniałą tradycję.

– Dziwię się trochę, że ktoś w tym klubie zatrudnił Leemana Hayesa jako tragarza.

– A to czemu? Mogę wyjaśnić tę zagadkę. Czytujesz czasami gazety?

– Prawie wcale.

– No właśnie. Mniej więcej raz na pięć lat jakiś dziennikarz podejmuje krucjatę przeciwko niesprawiedliwości społecznej, której typowym przejawem są kluby golfowe. „Jak można pławić się w takim przepychu, gdy nie dalej jak o kilometr gnieźdzą się w nędzy najuboższe rodziny północnej Tulsy?” Albo: „Dlaczego do klubu należą wyłącznie mężczyźni?” Albo: „Dlaczego pracownikami są wyłącznie biali?”

– Więc zarząd postanowił pokazać wszystkim, że w klubie nie ma żadnej

dyskryminacji – mruknął Ben.

– Otóż to. – Mitch podniósł parę butów do golfa i wsunął pod ławkę. – A Leeman nadawał się do tego celu doskonale. Nie dość, że był czarny i z biednej rodziny, to jeszcze niedorozwinięty. Kto mógł potem powiedzieć, że w Utica Greens nie mają serca, jeśli zdobyli się na tak wielkoduszny gest?

– Bez komentarza.

– Nie musisz oszczędzać moich uczuć. Żyłem z tą świadomością od dawna.

– I nie przeszkadzało ci to?

– Myślisz, że mam coś takiego jak sumienie? Nie. Sprawdziłem w szafce pierwszego dnia, kiedy przyszedłem tu do pracy, i niczego takiego nie znalazłem.

Ben zbliżył się do północnego rogu magazynu.

– To tutaj, prawda?

– Tak. Właśnie tu ją znaleźli, przybitą do ściany trzonem kija.

Ben wpatrywał się w pusty narożnik.

– Przypuszczam, że wszelkie ślady już dawno zostały usunięte.

– Oczywiście. Na tym tle wynikł pewien spór. Zarząd chciał, żeby usunięto ciało i natychmiast pomalowano ściany. Następnego dnia miał tu być rozegrany turniej i nie chcieli, żeby się odbył na miejscu zbrodni. Jednak policja uparła się, żeby przetrząsnąć magazyn i zrobić zdjęcia. Bardzo to było nie w smak członkom zarządu.

– A kto zasiadał wówczas w zarządzie?

– Dokładnie ta sama czwórka co dzisiaj.

– Czy próbowali dowiedzieć się, kto popełnił morderstwo?

– Kto? Zarząd? – roześmiał się Mitch. – Chyba żartujesz. Leemana aresztowano na miejscu zbrodni. To im wystarczyło. Po uprzątnięciu bałaganu wszyscy natychmiast zapomnieli o całej sprawie.

– Nie próbowali wstawić się za Leemanem? Przecież był pracownikiem klubu.

– Wstawić się za nim? Ucieszyli się, że mogą rzucić go na pożarcie wilkom, zanim sprawa nabierze rozgłosu. Był wymarzoną kozłą ofiarną, dla zarządu i dla policji. Od tej pory wykorzystywali Leemana jako przykład, co się dzieje, jeśli „wpuści się kogoś z «nich» do Utica Greens”.

– Wyprowadź mnie stąd – wycedził Ben przez zaciśnięte zęby.

– Z przyjemnością.

Mitch otworzył drzwi i wyszli na zewnątrz w oślepiające słońce.

Rozdział 19

Po nakarmieniu Joeya, zmianie pieluszek i odbeknięciu Christina spędziła resztę poranka na przekonywaniu go, że nie byłoby źle trochę się zdrzemnąć. Albo chociaż zamknąć oczy i udawać, że się śpi. Nie chciała być drobiazgowa. Byłe tylko przestał płakać.

Jako nastolatka Christina spędziła wiele godzin opiekując się dziećmi i uważała, że nieźle sobie z nimi radzi, lecz Joey okazał się wyjątkiem. Zaczynała współczuć Benowi, który nie mając żadnego doświadczenia, przebywał całą noc sam na sam z siostrzeńcem. Nie wiedziała, co chłopcu jest; wiedziała tylko, że jest nieszczęśliwy. Biedactwo musiało przeżywać wstrząs – zostało odcięte od matki i pozostawione z bandą dziwaków, których nigdy wcześniej nie widziało.

W końcu Christina uciekła się do śpiewu. Joey zdradzał pewne oznaki zainteresowania, ale nie spodobały mu się jej melodie. O gustach się nie dyskutuje. Zanuciła „Annie Laurie”, piosenkę, którą w dzieciństwie śpiewała jej mama. Nie poskutkowało. Zaśpiewała „Ave Maria”; „A Tisket, a Tasket”; „Szlachetny książę Yorku”; „Polly Wolly Doodle”. Zanuciła jeszcze dwadzieścia innych piosenek. Bez powodzenia.

Ben podrzucił Christinie przed wyjściem pewien pomysł, ale nie zwróciła uwagi. Co on w końcu wie o dzieciach? Lecz w końcu w przypiływie rozpaczki zaśpiewała „Flinstonowie, oto właśnie oni...”

Joey przestał natychmiast zawodzić, a gdy doszła do słów „dzięki stopom Freda”, chłopczyk zaczął cicho gaworzyć. Roześmiał się, kiedy Christina zawołała „Jabadabadu!”, i po kilku cichych powtórkach zasnął.

Chwała Bogu. Christina pokołysała go jeszcze chwilę, a potem ułożyła w koszu na bieliznę pełniącym obowiązki łóżeczka. Co za męka. Jeszcze kilka takich doświadczeń, a przestanie żałować decyzji, że...

Nie. Christina nie potrafiła wmówić sobie tego kłamstwa. Wiedziała, że będzie tego żałować do końca życia.

Weszła do łazienki i spryskała sobie twarz wodą. Była jak rozgorączkowana. Temperatura oscylowała wokół czterdziestu stopni i klimatyzacja w mieszkaniu Bena zaczynała wysiadać, co nie było dla Christiny wielkim zaskoczeniem.

Przekręciła termostat do osiemnastu stopni, ale nic to nie pomogło.

Przypomniała sobie, że nie wzięła prysznicu, na który miała taką ochotę. Jeśli nie teraz, to kiedy? Christina postanowiła skorzystać z okazji, póki ten mały tyran się nie obudzi.

Zrzuciła ubranie i weszła do kabiny. Chłodne krople wody spływały po jej ciele, w mgnieniu oka niosąc ulgę od upału i stresu poranka. Jakim wspaniałym wynalazkiem jest prysznic! Co ludzie robili przedtem? Zanuciła sobie refren „Annie Laurie” i umyła włosy szamponem Bena.

Wytarła się. Jednym białym ręcznikiem owinęła się w pasie, a drugim zawiązała mokre włosy. Właśnie wtedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Czy zawsze tak musi być? – zapytała się w myśli. Pięknie. To na pewno pani Marmelstein. Pewnie usłyszała mój śpiew i przybiegła, żeby zobaczyć, czy nie urządzam jakiejś orgii.

Christina pobiegła do przedpokoju i otworzyła drzwi.

Stała tam kobieta w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat, o starannie wypielęgowanej twarzy prawie bez zmarszczek. Miała na sobie elegancki, kosztowny kostium. Ścisnęła w dłoniach portmonetkę od Gucciego. Na jej palcu lśnił diamentowy pierścionek wielkości ćwierćdolarówki.

– Ojej! Pani jest na pewno matką Bena – domyśliła się Christine.

Kobieta skinęła lekko głową.

– Ojej! – Christina podciągnęła ręcznik, żeby się lepiej okryć. Ale właśnie wtedy węzeł się rozwiązał. Przycisnęła rozpaczliwie do piersi ręcznik, który jednak rozsunał się z tyłu, odsłaniając mokre plecy.

– Na pewno chce pani wiedzieć, kim jestem – powiedziała Christina, przytrzymując ręcznik wolną ręką.

Pani Kincaid skinęła znów nieznacznie.

– Muszę przyznać, że istotnie jestem odrobinę ciekawa...

– Ojej... – Ręcznik na włosach Christiny odwinął się i zsunął na czoło, potem na oczy. Chciała go podnieść, lecz nie mogła puścić drugiego ręcznika, żeby się całkiem nie odsłonić. Próbowwała wdmuchnąć go w górę, ale nic to nie dawało. Spadł jeszcze niżej, na nos.

– Jestem Christina McCall – przedstawiła się, nie zważając na ręcznik zasłaniający oczy. – Przyjaciółka Bena. Bliska przyjaciółka.

– Ależ oczywiście, kochanie. – Pani Kincaid odsunęła lekko Christinę i weszła do mieszkania.

– Nie, nie, źle mnie pani zrozumiała. – Christina zauważyła nagle, że stoi w otwartych drzwiach półnaga. Zamknęła je nogą. – Ja pracuję dla Bena.

Pani Kincaid usiadła na kanapie w saloniku.

- On pani płaci?
- Tak. Właśnie tak.

Pani Kincaid potrząsnęła głową.

- A więc do tego doszło. To okropne.

Christina uznała, że nie powinna prowadzić rozmowy z ręcznikiem na oczach, więc strząsnęła go z głowy. Mokre włosy rozsypały się jej po plecach.

– Chyba nadal się nie rozumiemy. Jestem jego asystentką. Pracuję w jego biurze. Pomagam mu w praktyce adwokackiej. – Spojrzała błagalnie na panią Kincaid. – Jestem profesjonalistką!

Kropelki wody z włosów Christiny spadały na twarz pani Kincaid. Starsza pani afektywnym gestem otarła czoło.

- A jakiego rodzaju usługi profesjonalne dzisiaj pani wykonuje? – spytała.

– Brałam właśnie prysznic – wyjaśniła Christina głosem pełnym rozpacz. – Było mi gorąco, bo jak się pani wkrótce przekona, klimatyzacja u Bena nie działa, a chciałam się wykąpać, póki dziecko śpi...

– Dziecko! – wykrzyknęła pani Kincaid. Jej twarz nagle się ożywiła. – A więc jest tutaj?

- Tak. Dlatego właśnie ja tu jestem. Pilnuję go.

Pani Kincaid wstała.

- Czy mogę go zobaczyć?

– Oczywiście. Jest w sypialni Bena. W... kołysce.

Pani Kincaid otworzyła drzwi i spojrzała na śpiącego chłopczyka. Leżał na plecach. Przy każdym oddechu rozlegał się leciutki świst powietrza.

Pani Kincaid nie uśmiechnęła się, lecz jej oczy zajaśniały blaskiem.

- To mój wnuczek – szepnęła. Wróciły na paluszkach do saloniku. – Jedyny.

– Tak – roześmiała się Christina. – Chyba że Ben nie zdążył pani jeszcze o wszystkim powiedzieć.

- Jak to? Co pani ma na myśli?

– Nie, nic. Po prostu żartowałam. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Ale jestem głupia.

Szybkim, prawie niedostrzegalnym ruchem pani Kincaid wygładziła fałdy sukni, strząsając przy okazji kilka kocich włosów. Usiadła.

- Nie szkodzi, to ja zareagowałam zbyt gwałtownie.

Siedziały w milczeniu. Christina wiedziała, że pani Kincaid przygląda się jej uważnie, jak naukowiec badający nowy okaz. Czuła się bardzo niezręcznie.

- Może powinnam się ubrać...

– A więc to jest mieszkanie Bena – powiedziała pani Kincaid.

- Tak. – Christina niezręcznie splatała palce. – Nigdy tu pani nie była?

– Nie, nigdy... i zaczynam rozumieć, dlaczego Ben mnie nie zapraszał.

Starsza pani podniosła poduszkę na kanapie. Ukazały się okruchy ciastek, drobne monety i pogryzione długopisy. Bez słowa położyła poduszkę na miejsce.

– Benowi brakowało trochę pieniędzy ostatnimi czasy.

– Wiele razy proponowałam mu wsparcie – odparła pani Kincaid. – Ale zawsze odmawiał.

– Tak. Wiem.

Pani Kincaid weszła do kuchni, otworzyła lodówkę. Kilka puszek coca-coli, dwa kartoniki mleka czekoladowego, pół butelki białego mleka, którego data przydatności do spożycia upłynęła trzy tygodnie temu, i pudełko masła upstrzonego okruchami tostów.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają – stwierdziła pani Kincaid zamykając lodówkę. – Wszystko takie pożywne. Białe mleko pewnie jest dla kota?

– Do płatków – wyjaśniła Christina. – Choć czasami Ben zjada je prosto z pudełka.

Pani Kincaid zatrzepotała powiekami.

– Nie zmienił diety od dwudziestu pięciu lat.

– Ben lubi gotowe posiłki.

Pani Kincaid zauważyła jakąś plamę na blacie kuchni i wytarła ją szybkim, precyzyjnym ruchem. Rozwinęła papierowy ręcznik i poustawiała pojemniki na półce.

– Przepraszam panią, ale myślę, że Ben nie chciałby, aby pani...

Mama Bena przesunęła się obok Christiny i zajrzała do zlewozmywaka. Stos talerzy, szklanek i łyżeczek ginął pod powłoką zeschniętej żywności (prawdopodobnie płatków) i czegoś jeszcze. Na dnie zlewozmywaka rozrastał się szary grzyb.

Pani Kincaid złapała się ręką za gardło.

– Czy są tu jakieś gumowe rękawiczki?

– Jestem pewna, że Ben nie chciałby...

– Ja też nie chcę, moja droga. – Pani Kincaid wyprostowała się. – Prawdę mówiąc, nie zmywałam od lat. Ale to szczególny przypadek.

Ben trzymał środki czystości pod zlewem (nie było tam jednak gumowych rękawiczek). Zacerpnąwszy głęboko powietrza, pani Kincaid wlała do zlewu pół butelki płynu i odkręciła kran. Wstrzymała oddech i starała się nie patrzeć na to, co robi.

– Do dzieła, żołnierze...

– Skoro pani tu jest, myślę, że mogę sobie pójść.

– Nie, nie, proszę zostać. – Pani Kincaid położyła mokrą rękę na ramieniu Christiny.

– Chce pani, żebym została? – spytała Christina ze zdziwieniem.

– Tak, proszę. Jeśli to możliwe.

– Chyba tak. Ale dlaczego?

Pani Kincaid wyjęła talerz ze zlewozmywaka i zaczęła skrobać.

– Mogłybyśmy porozmawiać.

– Nie bardzo sobie wyobrażam o czym – odparła Christina z nerwowym uśmiechem.

– O moim synu – wyjaśniła pani Kincaid uspokajająco.

– A dokładnie?

– Benjamin stanowi dla mnie zagadkę. Nigdy nie potrafiłam go zrozumieć.

– Och, to nie takie trudne. – Christina poczuła się swobodniej, mimo że stała w kuchni prawie nago. – To porządny chłopak. Ma dobre serce.

– Bo walczy z wiatrakami? Chce ocalić świat?

– Czasami...

– Bo zawsze bierze się za to, za co nie powinien?

– To prawda.

Pani Kincaid skinęła głową.

– Ma to po ojcu.

– Ale za to jest niesłychanie wytrwały. Kiedy już coś zacznie, doprowadzi to do samego końca.

– A tę cechę odziedziczył po mnie.

– Ben dokonał naprawdę niezwykłych rzeczy. – Christina poczuła, że występuje w roli adwokata syna przed jego matką. – Rozwiązywał sprawy, z którymi policja nie mogła sobie poradzić. Wygrywał procesy, które wszyscy uważali za przegrane. Ile razy odradzałam mu podjęcie się takich spraw, a on mnie nie słuchał, i wygrywał. Nigdy nie odmówi klientowi, który potrzebuje pomocy. Robi to, co uważa za wartościowe, nawet jeśli wie, że nie przyniesie mu to pieniędzy. Powtarzam mu raz po raz: „Ben, *il faut de l'argent*”, to znaczy, trzeba zarabiać pieniądze.

– Wiem, moja droga.

– A on nigdy mnie nie słucha. – Christina przerwała na chwilę. – Brakuje mu nieco zdrowego rozsądku, ale...

– I na tym polega pani rola? – wtrąciła pani Kincaid.

– Słucham?

– Przepraszam. Znam panią zaledwie od kilku minut i nie mam prawa się wypowiadać, ale pierwsze wrażenie bywa często prawdziwe. Pani wygląda na niesłychanie praktyczną osobę. Świetnie pasowałaby pani do Benjamin.

– Doprawdy? – Christina przechyliła głowę. – Ha! Nigdy o tym nie myślałam.

Pani Kincaid nie przerywała pracy.

– Czy lubi pani herbatę Earl Grey?

– Uwielbiam.

– Tak właśnie myślałam. – Christina zerknęła na śpiącego Joeya. – Ubiorę się i wstawię wodę. Może rzeczywiście powinniśmy porozmawiać.

Rozdział 20

– Czy będą mieć coś przeciwko mojej obecności? – Ben zajął miejsce w ostatnim rzędzie głównej sali konferencyjnej klubu.

– Wątpię, czy cię zauważą – odparł Mitch. – Przeważnie są mocno ospali wczesnym popołudniem. Niełatwo się otrząsnąć po lunchu z potrójnym martini.

Mitch otworzył szafę w ścianie. Ukazał się barek z tyloma gatunkami drogich alkoholi, ilu nie znajdzie się w większości sklepów w Tulsie.

Członkowie klubu zjawili się w sali zaraz po otwarciu barku; przypomniało to Benowi zachowanie Gizeli, która przybiegała do kuchni na dźwięk otwierania puszek. Pierwszy wszedł niski, korpulentny mężczyzna z gęstą rudą brodą i bez jednego włosa na głowie. Najwyraźniej wracał prosto z pola golfowego. Otarł pot z czoła rękawem koszuli z monogramem.

– Czarujący wieczór... – powiedział nie zwracając się do nikogo w szczególności. Nalał sobie whisky z wodą sodową, uniósł szklanekę i zanucił: – „Poznajmy się”...

Pierwszy członek zarządu wygląda na pieśniarza salonowego, pomyślał Ben.

Mężczyzna z rudą brodą wychylił scotcha i zaintonował kolejną piosenkę. „Mglisty dzień w Londynie...”

Przerwał, zauważywszy sekretarkę klubu siedzącą przy stole konferencyjnym. Była to młoda, dwudziestokilkuletnia kobieta. Włosy miała prawie tak samo krótkie jak spódniczkę. Ben odniósł wrażenie, że dziewczyna nie musi zbyt dobrze stenografować, ale jej pensja jest wysoka.

– Pójdź w moje objęcia, laleczko – powiedział mężczyzna, zbliżając się do sekretarki. Uśmiechnęła się i wyciągnęła ramiona.

– Czy oni ze sobą chodzą? – spytał szeptem Ben.

– Nie, ale Dick Crenshaw głęboko wierzy w terapię uściskową.

– Słucham?

– Terapia uściskowa. Podobno to bardzo zdrowe. Pozwala uwolnić się od napięć.

– Na pewno.

– To całkowicie platoniczne, tak w każdym razie twierdzi Dick. Dobre dla personelu, dobre dla wszystkich.

Ben obserwował ruchliwe ręce mężczyzny a więc on oddaje tylko przysługę społeczności a ja myślałem, że chodzi mu o coś innego.

Ponad ramieniem sekretarki Crenshaw zobaczył kogoś w holu.

– Rutheford! Przestań wreszcie głądzić o tych swoich Szwedach i chodź tutaj!

Rutheford był starszy, wyższy i szczuplejszy od Crenshawa. Chodził lekko przygarbiony.

– Jezu Chryste, ale dzisiaj gorąco! Musiałem wziąć prysznic.

– Prysznic? Pewnie się strzepałeś, przyznaj się. – Crenshaw podał przyjacielowi butelkę whisky.

– To chyba twoja specjalność.

– Moja? Mam takiego krótkiego fiuta, że nie mogę go znaleźć. Żona poszukuje go bez skutku od lat.

– Uff! – Rutheford wypłukał usta trunkiem i przełknął. – To dlatego Emily kupiła w zeszłym roku na gwiazdkę szkło powiększające.

– Szkło powiększające? Musiałaby kupić mikroskop. – Crenshaw nalał sobie drugą szklaneczkę. – Dick bez fiuta, tak mnie przezywali w szkole.

Rutheford kontemplował załamanie światła w szklance.

– Dick, dlaczego nasze rozmowy zawsze schodzą na twoje genitalia?

– Nie wiem, Rutheford. – Crenshaw zatrzepotał powiekami. – Może ci się podobam.

Ben nachylił się do Mitcha.

– Ten mały ma... bogate poczucie humoru.

– Uważa się za bardzo dowcipnego. Kłopot w tym, że wszystkie jego żarty...

– Zauważyłem.

– Jestem pewien, że wybierając imię Dick, jego matka nie wiedziała, że determinuje koleje jego losu i daje asumpt do tysięcy nieśmiesznych żartów na ten sam temat. [Dick – w amerykańskim angielskim wulgarny synonim penisa.]

– Pearson powiedział mi, że Crenshaw kupował jego importowany gaz. Musi być nieźle nadziany.

– Jasne. Łatwe pieniądze w końcu jest prawnikiem.

– O tak. My prawnicy pławimy się w szmalu.

– Crenshaw pochodzi z bogatej rodziny, a sam dorobił się jeszcze, pomagając kolegom z klubu wymigiwać się od płacenia podatków. Poza tym wyciąga zza kratki ich dzieci. Prowadził też kilka spraw rozwodowych, gdzie w grę wchodziły wielkie pieniądze. Słyszałeś o sprawie Finneya?

– Jak mogłem nie słyszeć? Trąbili o tym w telewizji i radiu.

– No właśnie. Podobno Crenshaw nie należy do wybitnych adwokatów, ale jest tak znany, że często zapraszają go do telewizji. Klienci nie wynajmują go z powodu

jego umiejętności, ale dlatego że potrafi wygrać proces w mediach, zanim sprawa trafi na wokandę.

– Dlaczego zapraszają go do telewizji?

– Popatrz.

Crenshaw trzymał się za krocze i śpiewał „Jestem dziś w nastroju”.

– To rzadki typ – powiedział Mitch.

– Rzeczywiście i pracuje nad sobą – dodał Ben.

– To nie ma znaczenia. Prawnicy są tacy nudni. Chodzą w garniturach i używają długich, skomplikowanych słów a gospodarze talkshow uwielbiają barwne charaktery.

Ben zmarszczył brwi. Pewnie dlatego jeszcze nie wystąpił w żadnym programie telewizyjnym.

– A kim jest ten drugi?

– Harold Rutheford. Dla przyjaciół Hal. Stare pieniądze. Jego praca polega na zarządzaniu majątkiem rodzinnym. Ma też hobby: ogrodnictwo organiczne. Jego ogródek zaczyna się tuż za ostatnim dołkiem. Upiera się, żeby w klubowej kuchni korzystano wyłącznie z jego warzyw.

– Jest lubiany?

– Jak każdy, kto bez przerwy opowiada o nawozie naturalnym i składowaniu kompostu.

Ben przyjrzał się różowej, ogorzalej twarzy mężczyzny.

– Wydaje mi się, że jak na potomka bogatej rodziny nie miał łatwego życia.

– To prawda. Ciężkie picie, hazard i kobiety.

– Chyba za nim nie przepadasz.

– Zgadłeś. Sukinsyn omal mnie nie wylał.

– Dlaczego?

– Nic szczególnego. Typowe zachowanie dobrze urodzonego snoba, który wymaga od podwładnych tego, czego sam nigdy nie robi. Złapał mnie na odsypianiu sylwestra.

– Wściekł się?

– Jak cholera. Narobił hałasu przed wszystkimi. Nie byłoby mnie tu już, gdyby nie jego żona. Tylko ona ma serce w tej rodzinie. Ona i jej synek.

– Rutheford ma małe dziecko? Przecież dawno już skończył piąty krzyżyk.

– Adoptowali chłopca, kiedy staremu stuknęła pięćdziesiątka.

– Nigdy nie jest za późno.

– Zwłaszcza kiedy żona domaga się dziecka. Siedzi tam, po lewej stronie. – Mitch wskazał szczupłą, atrakcyjną kobietę z krótkimi jasnymi włosami. Była znacznie młodsza od męża. – Nie wiem, co ona tu robi.

– Pani Rutheford chyba dobrze dba o siebie.

– Tak. I o syna. Podobno kilka lat temu zaczęła pić i w ogóle staczać się. Nikt nie chciał jej znać. Małżeństwo wisiało na włosku. Wreszcie adoptowali dziecko i wszyscy odetchnęli z ulgą.

Do sali wkroczył kapitan Pearson, a za nim dobrze zbudowany mężczyzna z falującymi kasztanowymi włosami. Miał opaloną na złoto skórę i nieskazitelnie ułożone włosy.

– Bentley! – zawołał Crenshaw i podreptał do przybysza, który był odeń wyższy o dobre trzydzieści centymetrów. – Co ty tu robisz? Lakier do włosów trzymamy w szatni.

– Ale z ciebie żartowniś, Dick – odparł Bentley z wyraźnym południowym akcentem.

– Lepsze to niż być kutasem, ty kłownie!

Bentley wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ciągłe się wściekasz o wczorajszą grę? Pobiłem cię tylko o osiemnaście uderzeń.

– Tak? A może pobijesz mi konia?

– Nie, dzięki. Zapomniałem okularów. – Pearson i Rutheford parsknęli śmiechem. – Spójrz prawdzie w oczy, Crenshaw. Marny z ciebie gracz.

– Masz wybujałe ego. Tak bardzo jesteś w sobie zakochany, że w wolnych chwilach zabawiasz się podnoszeniem torby kutasem.

– Dwóch toreb – poprawił Bentley. – Mówimy o mnie, nie o tobie.

Wszyscy się roześmiali.

Ben przeanalizował szybko sytuację.

– Ci czterej chyba się nawzajem nie cierpią.

– Nie – odparł Mitch. – To najlepsi kumple. Tak po prostu wygląda męska rozmowa w ich wykonaniu.

– Co wiesz o tym, który wygląda jak model?

– Chris Bentley. Piękny Bentley, jak go tu nazywamy.

– Sądząc po urodzie, też pochodzi z bogatej rodziny.

– Otóż nie. On jeden z całego towarzystwa musiał zapracować na swoje pieniądze, choć nie jest to praca w zwykłym tego słowa znaczeniu.

– Co robi?

– Żeni się.

– Nie bardzo rozumiem.

– To proste. Żeni się z bogatymi kobietami, najlepiej wdowami, przeważnie starszymi od siebie. Zrobił to już trzy razy. Żeni się, potem rozwodzi i używa życia, dopóki nie zabraknie pieniędzy. Ostatni rozwód wziął dwa lata temu. Zdaje się, że

szuka kolejnej kandydatki.

– Chyba żadna kobieta nie...

– Nie wyobrażasz sobie, ile kobieta może wybaczyć zabójczo przystojnemu facetowi. Zwłaszcza kobieta, która pierwszą młodość ma już za sobą. Taka kobieta nie szuka już prawdziwej i wiecznej miłości. Zadowolili się kilkoma latami we wspólnym łóżku. Zwłaszcza przy jego reputacji.

– Reputacji?

Mitch zniżył głos.

– Chodzą plotki, że Bentley nie uznaje w seksie żadnych ograniczeń.

– Co to oznacza?

– Nie wiem. Ale dzięki temu złapał trzy bogate żony.

Pearson podniósł rękę.

– No dobra, obiboki. Zaczynamy spotkanie. Jak się pośpieszymy, zdążymy jeszcze zaliczyć kilka dołków przed wieczorem.

– A ja muszę podlać rzepę – dodał Rutheford. – Do roboty.

Pearson przewrócił oczami i zajął główne miejsce przy stole. Pozostali mężczyźni też usiedli. Pearson wyjął młoteczek z drewnianej szkatuły i uderzył kilka razy w stół.

– Ogłaszam początek zebrania. Przewodniczy szanowny Ronald Pearson...

– Zaraz się spuszczę z podniecenia – pisnął Crenshaw.

Rutheford przyłożył rękę do czoła.

– Crenshaw powinien się chyba zdrzemnąć.

– Na to wygląda. – Pearson odchrząknął. – Uspokójmy się i spróbujmy przeprowadzić zebranie tak, jak nakazuje regulamin. Mamy dzisiaj gości.

Wszyscy odwrócili się jak na komendę i wbili wzrok w Bena. Trzej mężczyźni, którzy nie znali Bena, zmarszczyli czoło. Ben nie był pewien, czy ich twarze wyrażają ciekawość, czy irytację. Jedyne, który znał Bena – Pearson – nie krył wrogości.

Pearson szybko wypełnił porządek spotkania. Dyskutowali o opłatach za używanie pola i regulaminowym stroju. Ze wzburzeniem zareagowali na wieść o przypadkach gry nago w badmingtona i wyścigach wózkami golfowymi. Dyskusja była gorąca, lecz nie podjęto żadnej decyzji. Benowi głowa opadła na piersi. To spotkanie wzbogacało słowo „nuda” o nowe, nieznanne niuanse.

– W jaki sposób ci ludzie podejmują decyzję? – spytał szeptem Ben.

– Nie muszą – wyjaśnił Mitch. – Wynajmują takich frajerów jak ja i wypisują czeki. Nie znają prawdziwej pracy od pokoleń.

– Muszę z nimi porozmawiać. — Ben zerknął na zegarek. – Z każdym z osobna.

– Nie zgodzą się na rozmowę na osobności.

- Może udałoby się jakoś ich namówić.
- Prawie przez cały dzień grają w golfa.
- Możesz mnie wkręcić do gry?
- Nie wiem. Umiesz grać w golfa?
- I to nieźle – blefował Ben. – Nie muszę wygrywać.
- Lepiej, nie wygrywaj. Zobaczą, co się da zrobić.
- Dzięki.

Ben wyszedł z sali na paluszkach. Po drodze udało mu się przyjrzeć dokładniej Racheli Rutheford. Wbrew temu, co mówił Mitch, w jej twarzy było coś niepokojącego, jakieś niewidzialne, ukryte napięcie. Nie zwracała najmniejszej uwagi na zebranie. Myślała o czymś innym.

Ben nie wiedział o czym, ale podejrzewał, że powinien się dowiedzieć.

Rozdział 21

Carlee przeszukiwała tekturowe pudełko, do którego wsadziła konserwy. Niestety, żaden cud nie sprawiłby znalazło się w nim coś, czego wcześniej nie było. Wybór mieli bardzo ograniczony: gotowana fasolka, fasolka chili i ulubione danie wszystkich, fasolka południowoamerykańska.

Carlee wzięła w ręce trzy konserwy. Raz, dwa, trzy, wychodź ty...

Dave wczołgał się do namiotu. Uszczypnął lekko żonę.

– Jak się miewa mój ulubiony kuchcik?

Udała zagniewaną.

– Zrezygnuje z pracy, jeśli nie pojedziesz do miasta po zakupy.

Dave objął ją i pocałował w szyję.

– Nie pozwolimy ci odejść. Kto by nam przyrządzał fasolkę?

Przytrzymał Carlee i pociągnął na posłanie.

– Jak się czujesz?

Wiedziała, o co pyta. Nie wspominali o incydencie, ale Dave ani na chwilę nie spuszczał oka z żony. Starał się być opiekuńczy i czuły aż do przesady. Widać było, że się martwi. Dave obawiał się, że jego ukochana żona, którą poślubił dziewięć lat temu, traci rozum.

– Co robią dzieci? – spytała Carlee, przesuwając palcami po koszuli męża.

– Gavin szuka skamielin. Podobno jakiś gatunek dinozaura o nazwie zbyt długiej, żebym ją zapamiętał, żył w górach Arbuckle sześćdziesiąt pięć milionów lat temu. Gavin postanowił znaleźć jego szczątki.

– Nie wiedziałam, że w Oklahomie żyły dinozaury.

– Ja też nie. Ale jeśli Gavin tak mówi, to znaczy, że żyły.

– A Ethan? – Carlee odłożyła puszki i zaczęła gładzić szyję Dave’a.

– Ethan szuka jaszczurek.

– Jaszczurek? A po co mu jaszczurki?

– Nie jestem pewien, ale biorąc pod uwagę jego przewrotne poczucie humoru, które odziedziczył po twojej stronie rodziny, podejrzewam, że planuje jakiegoś psikusa.

– Mam nadzieję, że nie wybierze mnie na ofiarę. – Carlee zręcznie przeturlała

męża, tak że leżała teraz na nim. – Co byś powiedział na szybki numerek?

– Kusząca propozycja, ale wiem, że kiedy się już zdecydujemy, natychmiast wpadnie tu Gavin z pytaniem, czy grzechotniki są jadowne. Poza tym muszę przed zapadnięciem zmysłu narąbać drzewa na ognisko. Sprawdzę, czy nie będzie padać.

Delikatnie podniósł Carlee i wysunął się spod niej. Zawsze podziwiała jego siłę, zewnętrzną i wewnętrzną, i niezmiennie dobre usposobienie. Miała szczęście. Ona, dziewczyna z ubogiej rodziny, ma męża, który nieźle zarabia i do tego jest przyzwoitym facetem. To było więcej, niż mogła sobie wymarzyć. Poszczyliło się jej i wiedziała o tym.

Jeśli romantyczne sam na sam nie wchodziło w grę, Carlee postanowiła zająć się przygotowaniem kolacji. Wybrała fasolkę południowoamerykańską. Jeśli będą wybrzydzać, przekupi ich ciasteczkami.

Carlee wygramoliła się z namiotu i szybko wstała. Zbyt szybko. Zatoczyła się, krew uderzyła jej do głowy, pociemniało w oczach.

Widziała zarys sylwetki męża stojącego tyłem. Coś robił. Podnosił jakiś przedmiot nad głowę i uderzał. Podnosił i uderzał. Podnosił i uderzał. Uderzał z całej siły. Całkiem jak...

Nie widziała już męża. Patrzyła przez okno – tamto okno – i widziała znów tę scenę. Osoba stojąca tyłem trzymała jakiś cienki, metalowy przedmiot. Podniosła go i...

Kij spadł na głowę kobiety z siłą młota. Kij powędrował w górę jeszcze raz i spadł ponownie na głowę kobiety, tym razem jeszcze mocniej.

Kobieta krzyczała. Miała obco brzmiący, niski głos. Słowa były niezrozumiałe, lecz w jej głosie pulsował ból. Kij spadł ponownie na głowę kobiety, pękł na dwie części.

Carlee ogarnęło przerażenie. Nie chciała na to patrzeć, ale nie mogła odwrócić wzroku. Napastnik podniósł złamany kij, cofnął się jak miotacz oszczepem i wbił złamany kij w szyję kobiety.

Z tętnicy bluznęła krew. Zalała ścianę, podłogę, twarz i ubranie kobiety. Wszystko. Ciemna lepka ciecz rozprysnęła się po całym pomieszczeniu. Carlee poczuła w nozdrzach słodkawy zapach. Kobieta krzyczała, krzyczała i krzyczała...

Carlee przewróciła się twarzą na ziemię. Łkała, jej ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze. Czuła się tak, jakby nigdy nie miała przestać płakać.

– Carlee! Co się stało? Co ci jest, na Boga?

Słyszała głos Dave'a, ale zbyt daleki, nierealny...

– Carlee, odpowiedz. Odpowiedz!

– Dave? – szepnęła.

– Co się dzieje? – Dave był przerażony.

– Wszystko w porządku – powiedziała Carlee spokojnie. – Nic się nie stało.

– Przedtem też tak mówiłaś. Co ci jest?

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem. – Uklękła i wyciągnęła ramiona do męża. – Obejmij mnie, proszę.

Dave przytulił ją mocno.

– Rąbałem drewno i nagle usłyszałem twój krzyk. Odwróciłem się, a ty leżałaś i... Co się stało?

– Ja...

Carlee zamknęła oczy. Nadal to widziała: zalaną krwią ścianę w rogu pomieszczenia, krzyczącą kobietę, kij.

Nie zniknęło.

Tym razem pamiętała.

– Coś zobaczyłam – powiedziała.

– Co? Jakąś wizję?

– Nie – zachłysnęła się. – To było wspomnienie.

– Wspomnienie? Czego?

– Czegoś okropnego. – Przymknęła oczy. – Czegoś, co kiedyś widziałam, a potem zapomniałam, a teraz znów pamiętam.

Rozdział 22

Załatwiwszy kilka ważnych spraw, Ben skierował się do domu. W radiu grali „Summer in the City”, jak gdyby trzeba było przypomnieć słuchaczom o spiekocie. Tulsa ma najwyższą przeciętną wilgotność w całym kraju, co w połączeniu z temperaturą czterdziestu stopni sprawia, że można się udusić.

Ben skręcił ostro w lewo z Dwudziestej Pierwszej w Yale. Wszystkie ulice w Tulsie biegnące ze wschodu na zachód oznaczone były liczbami – Jedenasta, Dwunasta, Trzynasta – a ulice biegnące z północy na północ brały nazwy od większych miast – Boston, Cincinnati, Denver. Trudno tu było się zgubić, nawet Benowi.

Zaparkował samochód na ulicy, chwycił pudełko płatków kupionych po drodze i ruszył do domu. Mimo że słońce dawno już zaszło, Ben był mokry od potu. Próbował poprawić sobie humor śpiewając: „Zawsze będę widział tę spódnicę w groszki w świetle księżyca, całując ten zadarty nosek...”

Joni Singleton siedziała na schodach z rękami oplecionymi wokół długich nóg. Słuchała discmana z zamkniętymi oczami i nucila coś pod nosem. Miała na sobie koszulkę z reklamą piwa, a na głowie czapkę baseballową założoną tył na przód. Skończyła siedemnaście lat i dokładnie na tyle wyglądała.

Jej czarne włosy opadały za uszami. Dopiero kiedy się odwróciła, Ben spostrzegł, że je obcięła. Joni i jej siostra bliźniaczka Jami zawsze były dumne ze swych wspaniałych długich włosów. Teraz Joni obcięła je tuż nad ramionami.

– Obcięłaś włosy – zauważył Ben. Nie odpowiedziała.

Delikatnie wyjął jej słuchawkę z ucha. Orkiestrowa aranżacja z wybijającym się na pierwszy plan pianinem. Joni słuchała R.E.M., swojej ulubionej grupy. Kiedyś próbowała nawracać Bena na współczesną muzykę. Znał tę melodię – „Night Swimming”. Świetna piosenka.

Ale mało sprzyjająca konwersacji. Ben zdjął drugą słuchawkę.

Joni podniosła głowę.

– Witaj w gniazdku.

– Obcięłaś włosy.

– No. Marnie?

– Wcale nie. Podoba mi się. Tylko się zdziwiłem. Nie będziesz już wyglądać tak samo jak bliźniaczka.

– O to chodziło.

Ben usiadł obok.

– Pokłóciłyście się?

– Ależ nie. Tylko nie możemy przejść przez życie w takich samych kieckach i bluzkach.

– Rozumiem.

– Dusiałam się. To hamowało mój rozwój.

– Okropne.

– Mam już siedemnaście lat – powiedziała Joni, jakby to była wieczność. – Czas znaleźć swoją tożsamość.

– A mnie się zdawało, że ta zmiana fryzury ma coś wspólnego z twoim nowym chłopakiem.

Joni zrobiła wielkie oczy.

– O czym ty mówisz? Rzuciłam Creamo ponad miesiąc temu.

– Przepraszam, Joni. Nie chciałem szpiegować, ale dziś rano widziałem cię w objęciach wysokiego, przystojnego, czarnoskórego chłopaka.

Złapała Bena za rękę.

– Powiedziałeś komuś?

– Nie. Dlaczego?

– Nie mów moim rodzicom. Poważnie. To sprawa życia i śmierci.

– Czemu?

– Musisz mi uwierzyć na słowo. Oni nie rozumieją.

– Mama i tata nie są zwolennikami takich związków?

– To za mało powiedziane. Na pewno im się to nie spodoba.

– Hm. Ode mnie się nie dowiedzą. Słowo harcerza.

– Dzięki. – Joni z ulgą założyła słuchawki na uszy. – To naprawdę fajny chłopak.

Mówię ci.

– Przystojniak.

– Ale nie tylko. To myślący facet, z filozoficznym zacięciem. Obejrzał wszystkie odcinki „Star Trek”.

– No, No....

– Taki czarnoskóry Brad Pitt, wiesz.

– Nie reklamuj go tak, bo mogę stać się zazdrosny. – Ben już miał odejść, lecz zatrzymał się jeszcze. – Joni, opiekujesz się czasem małymi dziećmi?

Szeroki uśmiech rozlał się po twarzy dziewczyny.

– Masz na myśli to, co wrzeszczało u ciebie przez cały dzień i noc? Nie ma

mowy, towarzyszu.

Założyła z powrotem słuchawki na uszy i odpłynęła w objęcia Michaela Stipe'a i reszty zespołu R.E.M.

Ben przekroczył nogi dziewczyny i ruszył na górę. Ze słów Joni wynikało, że Christina miała kłopoty z Joeyem. Powinien jak najszybciej ją zastąpić.

Otworzył drzwi swojego mieszkania.

– Wróciłem! Jeśli jesteś nieprzyzwoicie ubrana, doprowadź się do porządku!

Nagle stanął jak wryty. W powietrzu unosił się jakiś nieznany w tym mieszkaniu zapach. Nie był nieprzyjemny, lecz zdecydowanie obcy. Co to może być?

Ktoś gotuje.

Ben nie dowierzał swoim zmysłom. Gotowanie? Jak to możliwe? Coś się smażyło na kuchence. Wiedział jednak, że jedynymi potrawami, jakie Christina potrafi przyrządzić, są hot dogi i makaron z serem a do tego nie trzeba włączać kuchenki.

Ostrożnie wkroczył do kuchni.

– Mama!

Pani Kincaid stała przy kuchence obracając kurczaka w rondlu. Tłuszcz pryskał na jej kostium, który był wart majątek.

– Miło cię widzieć, Benjaminie. Czy jestem przyzwoicie ubrana?

Ben oblał się rumieńcem.

– To było skierowane do... mniejsza z tym. Co robisz?

– Przygotowuję twoją ulubioną potrawę.

– Płatki?

– Głuptas. Powiedziałaś: potrawę.

– Nie wiedziałem, że mam ulubioną potrawę.

– Oczywiście, że tak. Znajdzie się tu odrobina mąki? Nigdzie nie widziałam. Właściwie niczego nie mogłam znaleźć. Musiałam posłać Christinę po zakupy.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi, poradzę sobie bez mąki.

Ben zbliżył się ostrożnie do kuchenki.

– Więc... co przygotowujesz?

– Nie wiesz? W każdą niedzielę po powrocie z kościoła, kiedy byłeś jeszcze małym brzdącem, prosiłeś, żebym usmażyła kurczaka.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Nie pamiętasz?

Na czole Bena pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział cię w kuchni.

– To prawda, upłynęło trochę czasu. Rhiana tak świetnie sobie radzi z gotowaniem, że nie muszę się wtrącać. Ale jestem pewna, że nie zapomniałam. To jak jazda na rowerze.

Ben pochylił się nad patelnią. Pachniało zachęcająco i budziło jakieś niewyraźne wspomnienia. Czyżby mama mówiła prawdę?

– Co cię do mnie sprowadza, mamó?

– Zadzwoił do mnie twój sekretarz. Powiedział, że rozpaczliwie potrzebujesz pomocy w opiece nad dzieckiem.

Ben skinął głową. To się zgadza.

– Gdzie Joey?

– W twojej sypialni. Śpi, rzecz jasna. Dzieci to właśnie robią najlepiej.

– Już śpi? Świetnie. Może prześpi całą noc.

Pani Kincaid parsknęła śmiechem.

– Nie liczyłabym na to.

– Dziękuję, że przyjechałaś. Naprawdę jestem ci wdzięczny. Muszę się przygotować do ważnego procesu i...

– Christina wszystko mi opowiedziała. Cała przyjemność po mojej stronie. Wiedziałam, że mnie zaprosisz. Pewnego dnia – dodała z naciskiem.

– Przepraszam za ten bałagan. Gdybym wiedział, że się do mnie wybierasz, posprzątałbym...

– Nie szkodzi. Swojego pokoju też nigdy nie sprzątałeś.

Ben rozpiął guzik koszuli i rozluźnił krawat. Nie wiedzieć czemu, ta rozmowa sprawiała, że czuł się jakoś nieswojo.

– Mam nadzieję, że cię nie wykorzystuję?

– Ależ skąd. Myślałam, że Julia zamierza zostawić Joeya ze mną, ale byłam jeszcze w Skandynawii, kiedy przyjechała z chęcią ci pomóc.

Ben przebierał niezręcznie palcami.

– Kiedy przyjechałaś?

– Rano.

– Spędziłaś tu cały dzień?! Co robiłaś?

– To i owo. Rozglądałam się, trochę posprzątałam. No i zajmowałam się dzieckiem, oczywiście. Porozmawiałyśmy sobie z Christiną.

Wielkie nieba!

– O czym rozmawiałyście?

– Głównie o tobie.

– O mnie? – roześmiał się nerwowo Ben. – To nudny temat.

– Wręcz przeciwnie, bardzo mnie zafrapował. Dowiedziałam się o tobie więcej, niż zdążyłeś mi powiedzieć w ciągu ostatnich dwunastu lat.

– Co mianowicie?
– Niektóre z twoich osiągnięć wywarły na mnie duże wrażenie. Chociaż może Christina przedstawiła cię w zbyt korzystnym świetle...
– Na pewno przesadzała.
– Możliwe. Jest twoją wielką entuzjastką w każdym razie spędziłam miłe popołudnie w towarzystwie Christiny.
– Polubiłaś Christinę?
– Oczywiście a ty jej nie lubisz?
– Tak, ale...
– Uważam, że jest czarująca. A nie jest?
– Trochę ekscentryczna...
– No to co? Benjaminie, nie mam tak banalnych upodobań, jak ci się zdaje. Christina naprawdę przypadła mi do gustu. – Pani Kincaid spojrzała na syna z uśmiechem. – Powiem więcej: pochwalam twój wybór.

Ben zakrył twarz rękami.

– Mamo... Christina i ja tylko się przyjaźnimy.
Pani Kincaid skierowała uwagę na potrawę.
– Ona też to powtarzała.
– A gdzie teraz jest?
– Chyba na dachu. Powiedziała, że chce pomedytować. Wspominała coś o nawiązaniu kontaktu z poprzednimi wcieleniami.
– Wszystkim się zajął, więc chyba pójdę przerwać jej medytację.
– Świetnie. Tylko nie spóźnij się na obiad.
– Miałbym stracić swoją ulubioną potrawę? Wykluczone.

Ben wśliznął się na paluszkach do sypialni, ostrożnie położył teczkę i otworzył garderobę. Wskoczył na płytę, z której można było wyjść na dach. Architekt zaprojektował pewnie to wyjście ze względów praktycznych, nie przewidując, że Gizela będzie tędy udawać się na łowy, Ben oglądać gwiazdy, a Christina – kontaktować się ze swoimi poprzednimi wcieleniami.

Siedziała na płaskiej części dachu z nogami skrzyżowanymi w pozycji lotosu i mruzczyła coś pod nosem.

– Kontemplujesz tajemnice wszechświata? – spytał Ben.
– Koncentruję się na trzecim oku. – Christina nawet nie drgnęła.
Ben usiadł obok.
– Czy to coś takiego, jak przywoływanie mocy?
– Nie. Trzecie oko istnieje naprawdę. Utraciliśmy je bardzo dawno temu. Trzeba zamknąć oczy, odciąć się od tego, co chwilowe i przemijające, i skierować na siebie swoje trzecie oko.

- Brzmi bardzo mistycznie.
- Jest to pradawna technika medytacji. Wszyscy ją stosują. Kathie Lee Gifford, Suzanne Somers, Ally Sheedy. Giganci. – Poruszyła powieką. – Za późno. Zniknęło.
- Przepraszam. Nie chciałem przerywać ci lotu.
- Mimo to przerwałeś. – Otworzyła lewe oko. – Nie przejmuj się. *Comme ci, comme ça*. Wyszłam z wprawy i chciałam trochę poćwiczyć. Zbliża się doroczny bankiet Towarzystwa Wyznawców Reinkarnacji.
- Naprawdę? A ja jeszcze nie mam fraka.
- Cha, cha. – Christina rozplątała rękami nogi i wyprostowała je. – To prawdziwa gala. Przyjdzie mnóstwo znanych ludzi. Spodobałoby ci się.
- Na pewno. Wspaniały wieczór spędzony na popijaniu koktajli i wymianie wspomnień ze starych dobrych czasów w dolinie Eufratu i Tygrysu.
- Nie daj się namawiać. Jeśli pójdziesz, kupię ci cegielkę w zoo.
- Co takiego?
- Cegielkę. No wiesz, z twoim nazwiskiem jako sponsora.
- O rany, naprawdę niełatwo ci odmówić.
- Nic nie szkodzi. Jones obiecał, że ze mną pójdzie.
- Jones? A po co on chce tam iść?
- Bo jest miłym facetem. To wskazówka. – Christina wyciągnęła się na starych drewnianych gontach. – Jak ci idzie śledztwo?
- Ben rozejrzył się.
- Nie najlepiej. Nie dowiedziałem się niczego, co mogłoby zachwiać wymową tego nagrania wideo. Byłem na miejscu zbrodni, ale po dziesięciu latach trudno tam znaleźć coś ciekawego. Widziałem za to grube ryby trzęsące klubem.
- Rozmawiałeś z nimi?
- Tylko z kapitanem i nie powiem, żeby to była ciekawa pogawędka.
- Pewnie kręci nosem, że ktoś znów odgrzebuje stary skandal w klubie.
- Odniosłem wrażenie, że chodzi o coś więcej.
- A mianowicie?
- Ben potrząsnął głową.
- Nie wiem. Ale pójdę tam jeszcze raz. Teraz, kiedy masz zmienniczkę do opieki nad dzieckiem, możesz mi towarzyszyć. Spotkajmy się jutro rano w biurze. Ustalimy plan działania.
- Zgoda.
- Ben przeciągnął się.
- Przykro mi, że musiałaś spędzić cały dzień z mamą.
- Nic nie szkodzi. Doskonale się rozumiemy.
- Ona też tak mówiła – zauważył Ben z obawą.

- Jutro idziemy razem na zakupy.
- Idziesz na zakupy... z moją matką?
- Nie sądziłam, że będziesz miał coś przeciwko temu. Ciągłe narzekasz na moje ubrania.
- Tak, ale...
- Twoja mama bezdyskusyjnie ma dobry gust.
- To prawda, ale...
- Wycofam się, jeśli nie chcesz.
- Nie, nie. To świetny pomysł. – Ben zaniepokoił się, chociaż właściwie nie wiedział, czym. – Nie chciałbym sprawić mamie zawodu. Bardzo cię polubiła.
- To świetnie. – Christina promieniała z zadowolenia. – Cieszę się, że polubiłam ją z wzajemnością.
- Ty też ją polubiłaś?
- Oczywiście. Jest wspaniała. Po tym wszystkim, co o niej wygadywałeś, spodziewałam się jakiejś okropnej sztywnej damy a ona wcale taka nie jest.
- Nie przeczę, że pierwsze wrażenie może być całkiem korzystne.
- Twoja matka to niezwykła kobieta. Ona w ogóle się nie poci.
- Słucham?
- Nie poci się. Sam wiesz, jaka jest temperatura, a klimatyzacja wcale u ciebie nie działa. Ze mnie pot lał się strumieniami, a ona była nadal chłodna jak ogórek.
- I to pod każdym względem.
- Och, Ben, źle ją oceniasz. Skoro przyjechała taki kawał do Tulsy, żeby zaopiekować się wnuczkiem i synem, który jej prawie wcale nie odwiedza, i przygotować mu jego ulubioną potrawę, to nie może być taką zimną rybą, jaką mi zawsze przedstawiałaś.
- Nie o to chodzi, że jest zimna – wyjaśnił Ben. Zastanawiał się przez chwilę, potem potrząsnął głową. – Nie wiem. Ta kobieta na dole przy kuchni w niczym nie przypomina mamy, jaką pamiętam.
- Pamięć bywa zawodna.
- Tylko nie mów o wspomnieniach z poprzednich wcieleń.
- Nie. Ale zastanawiam się nad słusznością twojego życia przedtem.
- Miałem tylko jedno życie – to samo, które mam teraz.
- O nim właśnie mówię.

Rozdział 23

- Wpajasz mu nienawiść do mnie!
- Jesteś paranoicznym głupcem!
- Swoje wiem. Mam oczy i widzę.
- Wypiłeś o cztery martini za dużo, żeby cokolwiek widzieć.
- Głupia, niewdzięczna krowa!
- Świnia!

Harold Rutheford przyłożył ręce do skroni. Czuł coraz szybszy puls i podnoszące się ciśnienie. Dlaczego pozwala się wciągać w te haniebne sceny? A przecież nie zrobił nic złego: poprosił tylko żonę, aby przestała wmawiać synowi, że ojciec go nie lubi. Czy to aż tak wiele?

- Niełatwo utrzymać razem tę rodzinę i bez tego.
- Nigdy mu niczego takiego nie powiedziałam. Sam to zrozumiał.
- Widzisz?! – krzyknął Rutheford wskazując żonę palcem. – o tym właśnie mówię. Takie uwagi wyrządzają Abiemu wielką krzywdę i nikomu nie przynoszą korzyści.

– Nieprawda. —Rachela podeszła do barku i naląła sobie drinka. – Ja zawsze czuję się o wiele lepiej, kiedy powiem prawdę.

- Niszczysz naszą rodzinę, oto co robisz!
- Daruj mi kolejny wykład z cyklu „Ojciec wie najlepiej”, Hal. Nigdy nie chciałeś rodziny. Zgodziłeś się na nią łaskawie, bo cię o to prosiłam.
- Może nie chciałem dzieci, jeśli już o tym mówimy. Ale kiedyś uwielbiałem to śliczne maleństwo...

Rachela zakrztusiła się drinkiem.

– Przestań! Ty? Więcej czasu spędziłeś trzymając w rękach kij golfowy niż nasze dziecko.

Rutheford spojrzał na zegarek.

- Nie mam czasu. Już jestem spóźniony.
- Na co? Na kolejną grę?
- Na spotkanie z synem, jeśli chcesz wiedzieć. Dla którego ciągle brakuje mi czasu, jak twierdzisz.

Rutheford wyszedł trzaskając drzwiami. Już nie rozumiał Racheli. Musieli przejść prawdziwe piekło, żeby adoptować dziecko. Wreszcie udało się znaleźć ślicznego chłopczyka, więc Harold myślał, że ich problemy się skończyły. Tak bardzo na to liczył. Miał nadzieję, że ich małżeństwo będzie już zdrowe.

Łudził się. Nic się samo nie wyleczy. Nic się nie naprawi, jeśli nie weźmiesz tego we własne.

Wskoczył na siedzenie kremowego mercedesa i przekręcił kluczyk. Samochód nie zareagował.

Niech szlag trafi te zagraniczne samochody. Powinien był kupić forda. Do diabła z sąsiadami. Niech mówią, co chcą.

Znów zerknął na zegarek. Już był spóźniony, a teraz spóźni się jeszcze bardziej.

Abie nigdy mu tego nie wybaczy.

Rutheford opadł bezsilnie na siedzenie. Wszystko naraz waliło mu się na głowę jak ściana. Naprawdę kochał syna. Nie wiedział tylko, jak to... okazać. Wszystko się teraz zmieniło. Jego ojciec nigdy w życiu nie powiedział „kocham cię”. Czy to znaczy, że go nie kochał? Oczywiście, że nie. Wtedy ludzie rozumieli te sprawy. Teraz jest inaczej. Teraz trzeba w kółko gadać o swoich uczuciach. Ojcowie mają się zachowywać jak matki. Wszystko się zmieniło, i to niekoniecznie na lepsze.

Jeszcze raz spróbował uruchomić wóz. Bez skutku. Abie będzie rozczarowany. Przepaść między nimi pogłębi się jeszcze bardziej. Może już nigdy nie da się tego naprawić.

Rutheford ukrył twarz w dłoniach. Zdziwił się, kiedy poczuł wilgoć łez.

Abie siedział na rogu Dwudziestej Szóstej Alei, trzymając się rękami za kolana. Była trzynasta czterdzieści, a ojca nadal nie było.

Wystarczy kilka minut, żeby dojechać tu z klubu lub z domu. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: tata nie przyjedzie.

Złamał obietnicę.

Abie wstał. No i co z tego? Wcale nie chciał iść na ten głupi mecz, a w każdym razie nie z ojcem. Zerwał czapkę z głowy i cisnął ją z rozmachem na ziemię.

Deptał ją zawzięcie, aż kolory zniknęły całkowicie.

Do zakrętu zbliżył się szary sedan z przyciemnianymi szybami. Okno otworzyło się i ukazała się twarz Sama. Tego samego, który przepędził łobuzów i odprowadził Abiego do domu.

– Co słyhać, Abie?

Abie wsunął ręce do kieszeni.

– Bo ja wiem. – Nagle zauważył, że po jego twarzy płyną łzy. Otarł je szybkim ruchem. – w porządku. Jak mnie znalazłeś?

– To czysty przypadek. Jechałem ulicą i zobaczyłem cię na rogu. Jadę na mecz Drillersów.

Abie szeroko otworzył oczy.

– Naprawdę?

– Tak. Chodzę na wszystkie mecze. – Sam uśmiechnął się ciepło. – A ty?

Abie wzruszył ramionami.

– Też miałem iść... Ale nic z tego.

– Szkoda. Dzisiaj będzie najlepszy mecz. Grają z Shraveport o miejsce w playoffach.

– Wiem.

– Nie chciałbym się narzucać, ale... – Sam przerwał w pół słowa. – Nieważne.

– Co?

– Nic. To nie byłoby w porządku. Prawie wcale mnie nie znasz.

Abie spojrzał na przyjazną twarz Sama. To prawda, że tylko raz się spotkali, ale miał wrażenie, że znają się od lat. Lubił tego człowieka i ufał mu.

– Tata miał mnie zabrać na mecz – powiedział cicho Abie. Znowu czuł łzy wzbierające pod powiekami. – Ale nie przyjechał. Zapomniał o mnie.

– Nie wierzę. – Sam wychylił się przez okno. – Gdybym ja był twoim ojcem, nigdy nie zostawiłbym cię samego na ulicy i chodzilibyśmy razem na wszystkie mecze.

– Naprawdę?

– Pewnie. Mam bilety na cały sezon. – Zawahał się. – Wiesz, Abie, może nie powinienem tego robić, ale bardzo cię lubię, więc jeśli chcesz, możemy pójść na mecz.

– Zabrałbyś mnie?

– Z przyjemnością. Wskakuj i jedziemy.

Abie nie wiedział, co robić.

– Nie powinienem wsiadać do samochodu z... no wiesz. Ludźmi, których nie znam zbyt dobrze.

– Oczywiście. To mądra zasada. Doskonale rozumiem. Pozdrów ode mnie tatę, jeśli przyjedzie.

Szyba zaczęła wędrować w górę.

– Zaczekaj!

Abie zagryzł wargę. Co mu się może stać? Z Samem będzie o wiele bezpieczniejszy niż ze swoim głupim ojcem a to najważniejszy mecz w sezonie...

– No dobrze, jadę.

Rzucił teczkę na tylne siedzenie.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Otworzył drzwi.

– To świetnie, Abie. Trudno mi wyrazić, jaki jestem szczęśliwy.

Abie sięgnął do klamki i właśnie wtedy zobaczył zielony sportowy wóz, który zatrzymał się na rogu.

– Mama!

Mężczyzna zerknął w lusterko.

– Co?

– To jaguar mamy. Tata nim przyjechał! – wołał uszczęśliwiony Abie. – a więc nie zapomniał! Ciekawe, dlaczego prowadzi wóz mamy?

– Też jestem ciekaw – powiedział spokojnie Sam.

Abie wysiadł z samochodu.

– Przykro mi, Sam, ale...

– Nie szkodzi. Biegnij. – Na twarzy mężczyzny widać było rozczarowanie, ale starał się je opanować. To naprawdę porządny gość, pomyślał Abie. – Pójdziemy na mecz innym razem.

– Jasne. Cześć.

Abie wskoczył na przednie siedzenie jaguara. Zapinając pas widział Sama odjeżdżającego Dwudziestą Pierwszą Aleją. Jechał bardzo szybko, jakby przed czymś uciekał. Pewnie śpieszył się na mecz.

– Masz ochotę na hot doga? – spytał ojciec.

– Jasne. Kupisz mi?

– Oczywiście. Bez kilku nieświeżych hot dogów mecz się nie liczy.

Abie spojrzał na ojca rozpromienionymi oczami.

– A kupisz mi przy okazji nową czapkę?

Rozdział 24

Wchodząc do biura, Ben ujrzał Jonesa pogrążonego w rozmowie z Lovingiem.

– Dawno się nie widzieliśmy, Loving – powiedział. – Co porabiałeś?

Loving wzruszył potężnymi ramionami.

– Nic specjalnego, szefie. Śledziłem żonę, która zeszła na złą drogę.

– Rozumiem. Mąż zlecił ci pewnie zrobienie kilku zdjęć, które mógłby wykorzystać na sprawie rozwodowej.

Loving potrząsnął głową.

– Nie. Mam obrzydzić kochasiowi życie tak, by pożałował, że się w ogóle urodził.

Loving z pewnością wywiąże się z zadania śpiewająco. Był istnym olbrzymem, klatkę piersiową miał jak miech. Ważył ponad sto dwadzieścia kilogramów. Starał się postępować łagodnie z podejrzanymi i zbytnio ich nie uszkodzić.

– Czy Christina przedstawiła ci sprawę Leemana Hayesa?

– Naświetliła mi sytuację. Co mam zrobić?

– Po pierwsze, rozejrzyj się za świadkami. Interesuje nas każdy, kto cokolwiek o tym wie. Ja zacząłbym od członków klubu i personelu. Morderstwo zdarzyło się dziesięć lat temu.

Loving zmarszczył brwi.

– To nie będzie łatwe.

– Wiem. Ale potrzebuję świadka, i to bardzo. Znajdziesz go, prawda?

Loving uśmiechnął się nieznacznie.

– Dla ciebie wszystko, szefie.

Parę lat temu Ben wygrał nieprzyjemną sprawę rozwodową: Loving przeciwko Lovingowi. Po procesie w biurze Bena zjawił się rozżalony i wściekły mąż z pistoletem w dłoni. Ben nie zgłosił jednak skargi do sądu, a Loving z wdzięczności zaofiarował swą pomoc Benowi w pracy. Po kilku miesiącach Loving został etatowym, licencjonowanym prywatnym detektywem. Zajmował się śledztwami w sprawach prowadzonych przez Bena, a w wolnych chwilach przyjmował własne zlecenia.

– Zrobię, co się da, szefie. Ale wiem, że policja też szukała dowodów i nic im

z tego nie wyszło.

– Mam pewne informacje, których policja nie posiada.

Ben opowiedział o spotkaniu z kapitanem Pearsonem i jego handlu gazem w Peru.

– Ceny gazu są dość niskie, a Pearson pławi się w gotówce. Wiem od Mike'a, że z Peru przychodzi do nas masa narkotyków. Może to ma jakiś związek.

– Ktoś powinien pojechać do Peru i sprawdzić – wtrącił Jones. – Tak się składa, że tylko ja jestem wolny.

– Zgadza się. Ale niestety w budżecie biura firmy Kincaid nie znajdzie się dość pieniędzy na sfinansowanie takiej wyprawy. Pomyślałem, że mógłbyś poszukać informacji w bazie danych, nie wstając od komputera.

– Jasne – zgodził się Jones. – Wchodzę do sieci.

Włączył komputer i uruchomił modem.

– Szkopuł w tym, że Peru nie ma tylu komputerowych baz danych co Stany Zjednoczone. Dostęp też nie będzie łatwy a do tego nie czytałem po hiszpańsku od czasów szkoły średniej.

– Postaraj się – zachęcił Ben. – I proszę, znajdź coś.

Christina wkroczyła do biura z okazałym segregatorem pod pachą. Miała na sobie purpurową spódnicę z cekinami i złotym oblamowaniem. Benowi nasunęło się podejrzenie, że Christina zapisała się do zespołu tańca regionalnego.

– No i jestem – ogłosiła. – i radzę, żeby ci się ta spódnica spodobała. Twoja mama zabrała mnie do Utica Square.

– Zajrzałaś do niej dzisiaj rano?

– Tak. Radziła sobie doskonale w twoim chlewiku. Joey radośnie popijał mleczko, a mama sprzątała.

– Sprzątała? – zdziwił się Ben. – To znaczy, co robiła?

– Kiedy wchodziłam, wyrzucała właśnie jakąś żywność, w której zalęgły się robaki. Pod zlewozmywakiem znalazła torbę kartofli, na której od miesiący żerowała cała populacja szkodników w Tulsie. Planowała też poukładać w kolejności alfabetycznej twój zbiór płyt.

– O rany! Dlaczego ona nie może sobie znaleźć nic lepszego do roboty?

– Ponieważ jest twoją matką, Ben – zachichotała Christina. – To znaczy, Benjaminie. Ona uważa, że twój apartament nie jest dość reprezentacyjny.

– Zdaniem mamy wszystkie mieszkania powinny wyglądać tak jak wille w Nichols Hills.

– Ben, ja nigdy nie miałam pieniędzy, ale i tak uważam, że twoje mieszkanie to nora. Pozwól mamie coś z nim zrobić.

Ben uznał, że należy zmienić temat.

– Zajmijmy się czymś konstruktywnym. Christina, powinnaś chyba pójść do sądu i...

– Już to zrobiłam. – Christina cisnęła stos papierów na biurko Jonesa.

Ben uniósł jedną powiekę.

– Dobre wieści czy złe?

– Trochę takich, a trochę takich. Które wolisz najpierw?

– Dobre, rzecz jasna.

– Myrna Adams będzie prowadzić sprawę z ramienia prokuratury. Pamiętasz ją?

– Pewnie. Wysoka, atrakcyjna. Wspaniałe nogi.

Christina zabębniła palcami w stół.

– Skup się na umiejętnościach prawniczych.

– Jest niezła. Gra czysto, nie bije poniżej pasa.

– Bo jest kobietą. To wy, mężczyźni, ze swoim testosteronem zamieniacie salę sądową w turniej macho.

– To nie jest wiec feministyczny, Christina. Fakty, fakty.

– Dobrze. Rozmawiałam z Myrną dziesięć minut. Przygotowywała się do narady, która miała się odbyć o dziesiątej. Nie należy do entuzjastów tej sprawy i wie, że jesteś w kropce. Może uda się coś wytargować, na przykład obniżenie kary za porozumieniem stron a jeśli sędzia się zgodzi, to wliczyć w karę okres spędzony przez oskarżonego w ośrodkach psychiatrycznych.

– Warto się nad tym zastanowić. Zawsze to lepiej, jeśli prokurator jest rozsądny. A teraz zła wiadomość.

– Sędzia Hawkins.

– Znowu! Tylko nie to! – Ben uderzył głową w blat biurka. – Sądził w tym roku w trzech sprawach, które prowadziłem. Wszystkie przegrałem.

– Będziesz miał okazję się zrewanżować.

– Jesteś pewna, że to on?

– Tak. I nie ma możliwości zmiany.

– Co z tym Hawkinsem? – spytał Loving. – Czy on też cię nie znosi tak jak ten sędzia federalny?

– Tu nie chodzi o mnie – wyjaśnił Ben. – On już taki jest. To sędzia wyznający hasło „Na szubienicę z nimi”. Jego zdaniem każdy złapany przez policję jest winny, o ile nie udowodni swojej niewinności. I zawsze wymierza najwyższy możliwy wyrok. Nie zna współczucia.

– Może jeśli z nim pogadasz...

– Zapomnij o tym. Hawkins to najbardziej obojętny i bezczelny sędzia, jakiego znam. Według niego proces to tylko nedorzeczne przepychanki słowne, które odwlekają chwilę, kiedy będzie mógł wtrącić oskarżonego do ciupy. Nie dba

o sprawiedliwość. Pozwala prokuratorom na wszystko.

– Przepraszam, że spytałem.

Ben wskazał drugą teczkę.

– Co tam jest?

– Moja zdobycz. Dowody rzeczowe, które prokuratura zamierza wykorzystać w sądzie. Dostałam od Mike’a.

– Doskonale. Nie zaskoczą nas. Masz czas, żeby to wszystko przejrzeć?

– Moje życie to służba. – Christina przysunęła krzesło do biurka. – W południe chciałabym tylko zajrzeć do twojej mamy. Zobaczę, jak sobie radzi z Joeyem.

– Na pewno świetnie – stwierdził Ben. – Opiekowała się już dziećmi. Nie chciałbym podważać twojej reputacji zawodowej.

– Nie szkodzi. – Christina otworzyła segregator i zaczęła przeglądać papiery. – Prawdę mówiąc, tęsknię trochę za tym brzdącem.

– Ludzie w jakiś magiczny sposób wymazują z pamięci wszystkie nieprzyjemne sprawy związane z dzieckiem i pamiętają tylko to, co miłe.

– To dobrze, bo gdyby było inaczej, nasz gatunek wymarłby bardzo dawno temu.

Rozdział 25

Ben nie znalazł miejsca w podziemnym parkingu między budynkiem sądu federalnego a biblioteką, musiał więc zostawić samochód koło centrum konferencyjnego i pójść piechotą. Nadal panował upał – meteorolodzy podawali trzydzieści dziewięć stopni – i nie tylko Ben to odczuwał. Słońce dawało się szczególnie we znaki bezdomnym na przystanku autobusowym przy ulicy Denver. Wprawdzie klimatyzacja w mieszkaniu Bena nie działała, ale przynajmniej miał mieszkanie.

Na windę trzeba było zawsze czekać co najmniej piętnaście minut, Ben postanowił więc pójść schodami. Nieźle się zdyszał, zanim wszedł na siódme piętro. Sekretarz sędziego Hawkinsa poprosił Bena do sali. Sędzia rozparł się za biurkiem... a naprzeciwko niego siedział John Bullock.

– Ben – powiedział Bullock. Trzymał ręce złożone na piersi. – Właśnie o tobie mówiliśmy.

Najbardziej zaciekle sędzia rozmawia o mnie z człowiekiem, który ostatnio przysięgał, że da mi nauczkę, pomyślał Ben. Wspaniale.

– O mnie czy o sprawie? – spytał.

– O tobie i o twojej taktyce.

Ben usiadł na wolnym krześle.

– Niektórzy uznaliby taką pogawędkę z sędzią na osobności za trochę niewłaściwą.

Zerknął na sędziego, spodziewając się, iż ten pośpieszy z zapewnieniem, że nie stało się nic złego. Rozczarował się. Hawkins tylko usiadł wygodniej. Wyglądało nawet na to, że ta utarczka słowna nieco go rozbawiła.

– Jak powiedziałem – warknął Bullock – rozmawialiśmy o tobie, nie o sprawie. A dopóki nie mówimy konkretnie o tej sprawie, nie ma w tym nic nagannego z punktu widzenia etyki.

– Co ty tu właściwie robisz? Słyszałem, że Myrna Adams będzie oskarżycielem.

– Masz nieaktualne wiadomości. Godzinę temu przekazano mi sprawę.

Ben poczuł ściskanie w gardle. Tego tylko brakowało. Klient, który nie mówi, sędzia gotów wszystkich powiesić, nagranie wideo, które sprawia wrażenie, że

podejrzanego ujęto na gorącym uczynku, a teraz jeszcze Bullock.

– Dlaczego nie Myrna?

– Uznała, że jest zbyt zajęta, żeby poprowadzić tę sprawę.

– Zbyt zajęta? Jak to?

– Ponieważ dziś rano przekazałem jej szesnaście spraw karnych i dwa dochodzenia przed wielką ławą przysięgłych. Nie miała wielkiego wyboru.

Ben nie krył zdumienia.

– Chciałeś wziąć tę sprawę? Po co ci to?

Bullock wbił spojrzenie w Bena.

– Żeby wepchnąć ci ją do gardła.

Przez dłuższą chwilę Ben nie mógł otworzyć ust.

– Trzeba ci dać lekcję na temat różnicy między dobrem a złem – ciągnął Bullock. – Więc postanowiliśmy ci jej udzielić.

Ben skierował wzrok na sędziego.

– Pan też chce wziąć w tym udział?

Hawkins rozłożył ręce.

– Nie wiem, o czym mówi prokurator. Nie przejmuj się tym, synu. Wiesz, jacy zapracowani są prokuratorzy.

To pocieszenie jakoś nie przekonało Bena.

– Słyszałem, że oskarżenie jest gotowe pójść na ugodę.

– To też już nieaktualne – ogłosił Bullock. – Nie zgodziłbym się nawet, gdybyś reprezentował papieża, a twoi klienci są o wiele mniej święci.

– I kto teraz okazuje niedojrzałość? Próbujesz wykorzystać sprawę o morderstwo do osobistej zemsty.

– Nazwij to, jak chcesz w każdym razie tego mordercy nie pozwolimy ci wypuścić z powrotem na ulicę.

– Leeman Hayes nikogo nie skrzywdził.

– Przez ostatnie dziesięć lat na pewno nie, bo był zamknięty. Gdyby ta sprawa została osądzona we właściwym czasie, byłby już martwy. Tylko sztuczki jakiegoś przemądrzałego adwokata sprawiły, że podarowano mu dziesięć lat. Za pieniądze podatników.

– To nieprawda.

– Nie zamierzam dalej przyglądać się beczynnemu, jak pieniądze podatników idą na utrzymanie nieosądzonych morderców. Mamy zobowiązania wobec obywateli tego stanu...

– Czy ty przypadkiem nie rozpocząłeś kampanii politycznej? – spytał Ben. – Bo to brzmi jak mowa na wiecu.

– Panowie – przerwał im sędzia Hawkins. – Dajmy spokój sprzeczkom.

W protokole każę zanotować, że przedstawiciele obu stron są obecni i gotowi do rozpoczęcia procesu. Coś jeszcze? – Sędzia podniósł na sekundę ręce, a potem uderzył w blat. – Jeśli to wszystko...

– Zwróciłem się do prokuratury z wnioskiem o listę świadków i jeszcze jej nie mam.

– Chwileczkę. – Bullock oparł się o biurko. – Od chwili gdy wziął tę sprawę, zasypuje nas wnioskami o udostępnienie dowodów a właściwie jego sekretarz. Nie zdążyliśmy jeszcze nawet zebrać dowodów rzeczowych...

– Już je dostałem – wtrącił Ben. – Więc możesz o tym zapomnieć.

Bullock był najwyraźniej zaskoczony.

– Wydałem surowe polecenia...

– Żeby nie pokazywali mi dowodów? Jasne. – Ben zwrócił się znów do sędziego. – Wysoki Sądzie, mam prawo wiedzieć, kogo prokurator zamierza powołać na świadka.

Hawkins westchnął.

– Czy masz jakieś powody, Jack, dla których nie mogłeś mu dzisiaj przekazać listy?

– Oczywiście. Przejąłem sprawę dopiero dzisiaj rano. Dopiero zaczynam się rozglądać...

– Jack. – Sędzia zmierzył Bullocka surowym spojrzeniem. – Chyba nie chcemy dawać panu Kincaidowi pretekstu do apelacji? – Odchrząknął. – Na wypadek gdyby podejrzanego skazano.

Aha, pomyślał Ben. Gdyby.

– Zrobię co w mojej mocy, Wysoki Sądzie – powiedział Bullock.

– Byłbym bardzo wdzięczny. – Hawkins zerknął na zegarek. – Jeśli to wszystko...

– Jeszcze jedno – przerwał Ben. Wiedział, że ryzykuje, ale musiał spróbować tego starego akademickiego chwytu. – Przygotowuję wniosek o niewykorzystywanie przez prokuraturę w czasie procesu pewnej taśmy wideo.

– Taśmy wideo? – Hawkins zmarszczył brwi. – Co to ma znaczyć? Powtórka ze sprawy Rodneya Kinga?

– Coś więcej – pośpieszył z wyjaśnieniem Bullock. – Hayes przyznał się do winy i policja nagrała to na taśmie wideo.

– Niezupełnie – sprzeciwił się Ben. – Leeman Hayes nie powiedział ani słowa. Jest to pantomima, i to wyjątkowo niejednoznaczna. Uważam, że kasetka może wprowadzić w błąd przysięgłych, może uprzedzić ich do oskarżonego. Zwłaszcza po stronniczym wstępie pana Bullocka...

Bullock udał głęboką urażę.

- Nie posunąłbym się do tego.
- ...Tak jak to uczynił kilka minut temu.

Hawkins zmarszczył brwi.

- Czy to... długie nagranie?

– Niezbyt długie, Wysoki Sądzie – odparł Bullock. – Trwa około godziny.

– Ale przysięgli będą prawdopodobnie musieli obejrzeć ją kilka razy – wtrącił Ben.

Hawkins westchnął.

- Czy to naprawdę konieczne, panie prokuratorze?

– To mój najważniejszy dowód – upierał się Bullock. – Chłopak jest winny i taśma to pokazuje.

Wypowiedział magiczne słowa. W oczach Hawkinsa Bullock występował w imieniu sił dobra, Ben zaś próbował tylko przeszkodzić w wymierzeniu najwłaściwszej, czyli najwyższej kary.

- Nie chciałbym przesądzać niczego przed rozprawą...

Ben z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem.

– ...Więc na razie oddalę ten wniosek. Może pan go ponowić w czasie procesu, panie Kincaid. Jeśli podtrzymam wówczas pański wniosek, poproszę przysięgłych, by nie brali nagrania pod uwagę.

A to akurat coś pomoże, pomyślał Ben. Sędziowie podtrzymywali tę fikcję, jednak wiadomo było, że przysięgli nie mogą zignorować dowodu, który zobaczyli. Wręcz przeciwnie – większość przysięgłych zwraca szczególną uwagę na to, o czym kazano im zapomnieć.

Hawkins podniósł się z krzesła.

- Mam nadzieję, że to już wszystko, panowie, bo po południu gram w golfa.

– Cóż za zbieg okoliczności – powiedział Ben. – Ja też gram dzisiaj w golfa w Utica Greens.

Sędzia był najwyraźniej zbity z tropu.

- Pan gra w Utica Greens?

– Tak – blefował Ben. – Cały czas. A pan nie?

Hawkins przyjrzał się uważniej Benowi.

- Złożyłem wniosek o przyjęcie do klubu trzy lata temu. Odrzucili go.

– Od czasu do czasu może pan zagrać ze mną.

Hawkinsowi zaświeciły się oczy.

- Naprawdę? Może w przyszły piątek?

Ben starał się naśladować obojętny wyraz twarzy charakterystyczny dla sędziego.

- Zobaczę, co się da zrobić.

– Dziękuję. Będę czekał z niecierpliwością.

Hawkins energicznie potrząsnął ręką Bena, nie zauważył wyciągniętej ręki Bullocka, po czym wyszedł z sali.

– Chwileczkę – powiedział oburzony Bullock. – Chcesz grać w golfa z sędzią? Sam na sam? To mi się nie podoba.

– Nie ekscytuj się tak. O ile nie będziemy rozmawiać konkretnie o tej sprawie, to wszystko w porządku. Sam mówiłeś, pamiętasz? – Wyszli z sali. – A my będziemy rozmawiać wyłącznie o tobie.

Rozdział 26

Prawie pół godziny zajęło Benowi odnalezienie adresu, który Ernie podał Jonesowi. Ben nie należał do mistrzów orientacji przestrzennej, a północna dzielnica miasta zawsze wydawała się dlań labiryntem. Nie ta bliższa centrum jej część ani opanowane przez yuppies Gilcrease Hills, ale prawdziwa północna dzielnica. Tu mieszkała czarna biedota.

Na przełomie wieków, do Oklahomy – która do 1906 roku była terytorium indiańskim – napłynęło ponad osiemdziesiąt tysięcy Afroamerykanów. Tu mieli nadzieję znaleźć bądź stworzyć społeczeństwo wolne od bigoterii i uprzedzeń. W 1907 roku ich liczba przewyższyła liczbę Indian i Amerykanów europejskiego pochodzenia; w Oklahomie było więcej czarnych miast niż we wszystkich pozostałych stanach razem wziętych. Tutaj nawet w miastach zamieszkałych przez mieszane społeczeństwa, czarnoskórym Amerykanom wiodło się lepiej niż gdziekolwiek indziej.

W Tulsie Afroamerykanie utworzyli odseparowaną dzielnicę w północnej części miasta zwaną Greenwood. Dzięki ropie naftowej nastąpiły czasy prosperity dla wszystkich mieszkańców Tulsy, białych i czarnych. W dwóch pierwszych dziesięcioleciach dwudziestego wieku Greenwood stanowiło najbogatszą czarną dzielnicę w całym kraju. Mieszkali tam czarni prawnicy, lekarze, krawcy; było czterdzieści jeden sklepów, dziewięć sal bilardowych i trzydzieści restauracji.

Mimo sukcesu finansowego miasta, napięcia rasowe między odseparowanymi od siebie dzielnicami stale narastały, a rywalizacja ekonomiczna przybierała na sile i w końcu doprowadziła do konfliktu. W Greenwood coraz częściej dochodziło do zamieszek, a nawet lynchów, w 1921 roku biała pracownica obsługująca windę w budynku firmy Drexel oskarżyła nastoletniego czarnego pacybuta o próbę gwałtu. Chłopak jechał windą ze swojego punktu do łazienki, co czynił kilka razy dziennie. Według najbardziej wiarygodnego zeznania, nastolatek stracił równowagę i potrafił dziewczynę. Odruchowo złapał ją za rękę, żeby powstrzymać od upadku, a ona zaczęła krzyczeć.

Nie było najmniejszego dowodu, że pacybut próbował się na dziewczynę rzucić. Wszyscy, którzy znali chłopaka, zgodnie twierdzili, że nigdy by się czegoś takiego

nie dopuścić, a zwłaszcza nie w takim miejscu jak zatłoczony biurowiec. Wbrew niewiarygodności oskarżenia, dziennik „Tulsa Tribune”, w którym bardzo często określano Greenwood mianem „Małej Afryki”, zamieścił na pierwszej stronie tytuł ZLINCZOWAĆ MURZYNA. Biali obywatele chwycili za broń.

Około dwóch tysięcy białych mężczyzn otoczyło gmach sądu, mając nadzieję powiesić nastolatka. Później przybyło kilkudziesięciu czarnych mężczyzn, aby pomóc policji chronić oskarżonego. Doszło do strzelaniny i po kilku minutach wybuchły zamieszki. Uzbrojony tłum białych wtargnął do Greenwood, paląc, plądrując domy i strzelając do mieszkańców. Dzika tłuszcza szczególnie wzięła na cel domy zamożnych czarnych rodzin. Dwoje starszych ludzi zostało zabitych w czasie powrotu z kościoła. Rabusie zastrzelili czarnego mężczyznę, który im się poddał. Po upływie dwudziestu czterech godzin cała czarna dzielnica Tulsy stała w płomieniach, a setki ludzi zginęło. Były to najbardziej krwawe zamieszki na tle rasowym w historii Stanów Zjednoczonych, nie wyłączając niedawnego buntu w Los Angeles.

Dzielnica Greenwood została odbudowana, a od 1930 roku zaczęto ją nazywać Black Wall Street. Nigdy jednak nie była już taka jak dawniej. Nie powrócił dawny optymizm, czarni mieszkańcy nie odzyskali niezależności oraz siły politycznej i ekonomicznej. Z biegiem czasu północna część Tulsy stała się jeszcze jednym skupiskiem miejskich slumsów. Mimo wysiłków zmierzających do odbudowania historycznej substancji architektonicznej północnej dzielnicy, większość domów nadal straszy nędznym wyglądem, tutejsze firmy balansują na krawędzi bankructwa, ulice zaś są niebezpieczne. Kto tam nie mieszkał, nigdy tam nie chodził.

Ben skręcił w uliczkę, gdzie mieszkała rodzina Hayesów. Po obu stronach stały rzędy niewielkich białych domów – a właściwie szop – ze ścianami ze sklejki, wypaczonej i pogiętej, z odpadającymi płacami farby, jeśli w ogóle została na nich jakaś farba. Drzwi z poroźdieranej siatki, wyszczerbione schody, popękane chodniki. Stosy śmieci piętrzyły się na jezdni, na trawnikach. Wszystko tu przedstawiało obraz najbardziej przygnębiającej nędzy.

Ben ostrożnie wchodził po schodach prowadzących do domu Erniego. Właściwie nie były to schody, lecz pustaki. Dom, kiedyś czerwony, z upływem czasu zmienił kolor na rdzawo-pomarańczowy. Ben zauważył na ulicy dwa samochody: rozbitego forda pinto i dużego chevroleta, na oko piętnastoletniego. Chevrolet nie był szczególnie, ale prezentował się o niebo lepiej od pinto. Ciekawe, dlaczego Ernie przyjechał do biura bardziej zdezelowanym samochodem.

Przez siatkę Ben widział Erniego śpieszącego do drzwi. Albo Benowi się zdawało, albo Ernie nie kuśtykał już tak wyraźnie jak przy pierwszym spotkaniu.

Ernie Hayes rozmyślnie wybrał się do miasta gorszym samochodem i kulał jak

ofiara wypadku wchodząc do biura Bena. W ten sposób skłonił go do wzięcia sprawy syna.

Hm...

– Pan Kincaid – powiedział Ernie. – Jaka miła niespodzianka.

Wprowadził gościa do maleńkiego saloniku.

Ben oniemiał. Pokoik zaśmiecony był pustymi pojemnikami na żywność, torebkami na chipsy, pustymi butelkami od piwa. Z powodu upału wszystkie okna otwarte były na oścież. Małe mieszkanko Bena wyglądało w porównaniu z tym jak pałac. Tak zwany pokój gościnny zmieściłby się pewnie w łazience Bena, a w tej chwili znajdowało się tu sześć osób.

– To pewnie pańska rodzina – zauważył Ben.

– Tak, to moje dzieciaki – wskazał dzieci siedzące na podłodze. – Te, które mi zostały. Monique, Kevin, Julius, Corey i Bartolomew. Moja rodzina, nie licząc tych trzech, które już opuściły dom i Leemana, oczywiście.

Ben otworzył szeroko usta.

– Ma pan dziewięcioro dzieci?

– Dokładnie. Żyło nam się z żoną naprawdę dobrze. To była wspaniała kobieta, świeć Panie nad jej duszą. – Ernie wziął Bena pod ramię. – Chodźmy do kuchni.

W malutkiej kuchni usiedli przy chybotliwym stole.

– Tu się wychował Leeman. Wiem, to małe mieszkanko, ale musieliśmy sobie jakoś radzić. Nie było łatwo a najgorzej od czasu, kiedy straciłem robotę w fabryce szkła.

– Jak to się stało?

– Zwolnili mnie. Pracowałem tam przez osiemnaście lat, miałem dziewięcioro dzieci, a i tak wyrzucili mnie jako jednego z pierwszych. Poskarżyłem się białemu majstrowi, którego mianowali, chociaż był dwa razy młodszy ode mnie, i wie pan, co powiedział? „Przestań łać te krokodyle łzy, Ernie. Pewnie będzie ci o wiele lepiej na zasiłku”.

– A dzieci? – spytał Ben. – Niektóre mogłyby już pracować, przynajmniej na pół etatu.

– Próbowałem znaleźć pracę dla najstarszego, Juliusa. Ale jemu się nie chce. Mówi, że jestem starym głupcem. Włóczy się z bandą wyrostków i straszy wszystkich na ulicy i ciągle chodzi do tego przekłętą klub, gdzie pracował Leeman. Jak gdyby nie dość było dla nas biedy z powodu tego miejsca.

Członkowie gangu w klubie? Jak to możliwe? Ben nie wyobrażał sobie, co młodociani gangsterzy mogą robić w klubie golfowym, ale z pewnością nie było to zgodne z prawem.

– Za to Corey to dobry chłopak – powiedział Ernie z uśmiechem. – Sprzedaje

gazety.

– Roznosi gazety do domów?

– Nie, nie. Próbował dostać taką pracę, ale nie chcieli mu dać. Powiedzieli, że już zajęta. Corey szuka starych gazet na śmietnikach, idzie z nimi do baru i sprzedaje. Dopóki go nie wyrzucą.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Tata!

Głos Juliusa.

– Wychodzę z Bookerem.

– Nie powinienes się włóczyć z tym chłopakiem! To łobuz!

Ben widział, jak Julius uśmiecha się pod nosem, przybija piątkę z kolegą i wychodzi.

Nim drzwi się zamknęły, Ben zdołał przelotnie zobaczyć twarz chłopaka. Znał ją.

Po chwili wydobył ją z pamięci. To był chłopak Joni. Ten sam, z którym się obściskowała pod domem.

Jeśli Ernie mówi prawdę o powiązaniu Juliusa z młodzieżowymi gangami, romans Joni stanie się jeszcze bardziej kontrowersyjny – i niebezpieczny. Nic dziwnego, że bała się powiedzieć rodzicom.

Ben podbiegł do okna. Obaj chłopcy nosili identyczne kurtki z krwawoczerwonym emblematem na plecach przedstawiającym serce ze swastyką w środku. Ben zanotował w pamięci, żeby spytać o to Mike'a.

Wrócił do kuchni.

– Panie Hayes, to morderstwo sprzed dziesięciu lat wydarzyło się po północy. Czy wie pan, co Leeman robił w klubie o tak późnej porze?

– Pewnie, że wiem. To był środek tygodnia, panie Kincaid. On tam było co wieczór.

– Ale przecież w nocy nie nosił sprzętu do gry w golfa.

– Oczywiście, że nie. On tam spał.

– Spał w magazynie?

– Czemu nie? To całkiem przyjemne miejsce. Leeman miał tam o wiele więcej przestrzeni niż tutaj i nie musiał jej dzielić z braćmi i siostrami. Spał tam w tygodniu, a do domu przychodził w weekendy.

– Czy kierownik klubu nie miał nic przeciwko temu?

Ernie przechylił głowę.

– Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy oni w ogóle o tym wiedzieli. Pomyśleliśmy sobie, że czego się nie wie, to nie boli.

Może to ich nie bolało, lecz chyba zaszkodziło Leemanowi.

– Czy wynajął pan adwokata po aresztowaniu Leemana?

– Za co? Na piękne oczy? – roześmiał się Ernie. – Wyznaczyli nam jakiegoś darmowego adwokata.

– Jaki on był?

– Zdaje mi się, że robił, co mógł. Nie był to chyba najinteligentniejszy facet, jakiego spotkałem w życiu, ale wyglądało, że przejmuje się sprawą. Tylko że miał jeszcze dwadzieścia innych, które prowadził jednocześnie. Wpadł jak bomba i chciał, żeby Leeman w dziesięć minut opowiedział mu cały swój życiorys, a Leeman nie umiał. Adwokat nie miał nawet czasu, żeby się dobrze rozejrzeć.

– Czy rozmawiał pan kiedyś z Leemanem o tym morderstwie?

– Czy rozmawiałem z Leemanem?

– Na migi. Albo w inny sposób.

– Nie przypominam sobie.

– Nie ciekawiło to pana?

– Co?

– Na przykład, czy zabił Marię Alvarez.

– Nie musiałem zadawać głupich pytań, żeby wiedzieć, że to nie on. A już na pewno nie kijem golfowym, w taki okropny sposób. Nie mój Leeman. Ojciec wie takie rzeczy.

Niestety, taka odpowiedź niewiele znaczy w sądzie. Mniejsza z tym i tak nie było sensu powoływać Erniego na świadka. Przysięgli założyli, że ojciec gotów jest kłamać, aby tylko ocalić syna od śmierci.

– Był pan przy tym, jak prokurator przesłuchiwał Leemana, prawda?

– Tak – przyznał Ernie zmęczonym głosem. – Byłem tam.

– Wie pan o tym, że oskarżenie uważa pantomimę Leemana za przyznanie się do winy. To będzie prawdopodobnie najbardziej obciążający dowód przeciwko Leemanowi.

– Tak myślę.

– Czy pytał pan o to Leemana? A może zrozumiał pan, co on chciał pokazać? Ernie potrząsnął głową.

– Nie, panie Kincaid. Nie zrozumiałem.

Ben liczył na to, że Ernie powie mu coś na ten temat. Niestety. Ernie obawiał się wykorzystania kasety w sądzie jeszcze bardziej niż Ben. Czy rzeczywiście tak mocno wierzy w niewinność syna, jak twierdzi?

A może wie coś, czego nie chce Benowi powiedzieć.

– Panie Hayes, czy przypomina pan sobie coś, czego mi dotąd nie powiedział?

Zawahał się, czy Benowi tylko się zdawało?

– Nie, nic.

– W takim razie pójdę już.

Ernie złapał Bena za rękę.

– Czy pomoże pan mojemu chłopakowi?

– Zrobię wszystko co możliwe...

– To nie wystarczy. – Ernie wstał powoli. Spoglądał na Bena smutnym wzrokiem. – Leeman był moim ulubieńcem, od samego początku. Nie mówię tego dzieciom, rozumie pan, ale taka jest prawda. Sam kiedyś pracowałem w tym klubie. Na pół etatu, wieczorami, żeby zarobić trochę dodatkowego grosza dla rodziny. Byłem tam kelnerem. To ja załatwiłem Leemanowi tę pracę.

Potrząsnął głową.

– Kiedy aresztowali Leemana, poczułem się za to odpowiedzialny. To było straszne. Jakby ktoś wydarł mi serce i zamknął w skrzyni na dziesięć lat. Czułem się taki bezsilny. Myślałem sobie: Gdybym był bogatym człowiekiem, tak jak te pajace w klubie, mój Leeman byłby wolny. To straszne uczucie. – Spojrzał Benowi w oczy. – Trudno z czymś takim żyć. Wie pan?

Ben skinął głową.

– Skontaktuję się z panem przed rozprawą.

Ernie odprowadził Bena do drzwi.

– Zauważyłem, że kuleje pan znacznie mniej niż wtedy, gdy przyszedł do mojego biura.

Leciutki uśmiezek przemknął po twarzy Erniego, ale zaraz zniknął.

– Jak to artretyzm. Przychodzi i odchodzi, przychodzi i odchodzi.

Akurat, pomyślał Ben. Szczwany z ciebie lis, Ernie Hayes, ot co.

– Wiem, co sobie ludzie myślą – powiedział nagle Ernie. – Nie mówią tego na głos, ale myślą, Powinieneś się cieszyć, że uwolnili cię od tego niedorozwiniętego syna. Ale to moje dziecko, panie Kincaid, rozumie pan?

Ujął dłoń Bena w obie ręce.

– Nie zniósłbym, gdyby Leeman musiał cierpieć jeszcze bardziej niż dotąd. Nie wytrzymałbym tego.

Ben przełknął ślinę.

– Niech pan ratuje mojego chłopaka, panie Kincaid – prosił Ernie Hayes.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł Ben przez ściśnięte gardło.

Idąc do samochodu, patrzył na zaśmiecone trawniki, zniszczone domy o popękanych ścianach, brudne ulice a ponad dachem domu Hayesa, na horyzoncie widać było kształty eleganckich pałacy w Utica, nie więcej niż piętnaście kilometrów od tej nędzy.

To były dwa miasta. Dwa miasta w jednym.

Mieszkańcy slumsów widzieli to codziennie. Nie dość, że musieli żyć w tych

okropnych warunkach, to jeszcze za każdym razem, gdy podnosili wzrok, widzieli kształtne dachy willi, błękitne baseny, piękne samochody milionerów wydających więcej pieniędzy na sprzęt stereo niż ci ludzie zarabiali przez cały rok. A pracując w klubie golfowym, Ernie codziennie stykał się z klasą ludzi uprzywilejowanych, którzy mieli wszystko, czego sam nie miał.

W takiej sytuacji człowiek może się ważyć na najgorsze.

Rozdział 27

W drodze na spotkanie z Rachelą Rutheford w łaźni Edward Woltz Spa Ben doświadczył głębokiego szoku kulturowego. Zostawił za sobą ubóstwo północnej dzielnicy i po dziesięciu minutach znalazł się w południowej części Tulsy – czystej, zamożnej, eleganckiej, z kawiarniami, księgarniami, lukusowymi sklepami.

To był inny świat.

Ben zaparkował hondę i wszedł do holu o białych ścianach. Z niewidocznych głośników sączyła się po cichu muzyka New Age. Na blatach błyszcząły artystycznie rozmieszczone kryształki. W recepcji stała ciemnowłosa kobieta, schludna i wymuskana. Nie miała na sobie fartucha lekarskiego ani pielęgniarskiego, lecz wyglądała jakoś tak... aseptycznie.

– Czym mogę panu służyć?

– Nazywam się Ben Kincaid. Jestem umówiony z Rachelą Rutheford.

– Tak, uprzedziła mnie o pańskiej wizycie. Proszę iść za mną.

Popchnęła wahadłowe drzwi wiodące do długiego korytarza. Przez szyby drzwi po obu stronach Ben widział mężczyzn i kobiety leżących na stołach do masażu lub siedzących w głębokich wannach.

Zerknął przez szybę. Po drugiej stronie ukazała się niespodziewanie zielona twarz.

– O rety! – powiedział Ben cofając szybko głowę. – Co to było?

– Pani Buckner.

Obejrzał się nerwowo.

– Ale ona była zielona!

– Pani Buckner nałożyła maseczkę z alg morskich – wyjaśniła recepcjonistka z uśmiechem.

– To zielone, co miała na twarzy, to algi?

– Aha.

– To chyba kara za jakieś okropne przestępstwo przeciwko naturze.

– Głuptas! Ta zielona pasta wytwarzana jest ze specjalnych alg z Morza Śródziemnego. Trzeba ją rozsmarować, podgrzać, ochłodzić, a potem zedrzeć. Świetnie działa na pory.

– Jasne. Zwłaszcza po zdjęciu.

Recepcjonistka parsknęła śmiechem.

– Kobiety płacą trzysta dolarów za jeden zabieg. To je relaksuje. Wszystkie nasze zabiegi pomagają się zrelaksować.

– A jakie jeszcze zabiegi oferujecie? – spytał Ben, chociaż nie był całkiem pewny, czy chce wiedzieć. – Moja znajoma ciągle mi powtarza, że powinienem się wyluzować.

– Możemy zaproponować wszelkie rodzaje terapii relaksującej. Szorowanie skóry, shiatsu, masaż wibracyjny, kąpiele błotne z błotem sprowadzanym specjalnie z Morza Martwego, czego tylko dusza zapagnie. Zrobimy wszystko, co trzeba, żeby rozluźnić napięcie w ciele. Z przyjemnością wpiszę pana nazwisko na listę członków.

– Dziękuję, ale nie stać mnie na to.

– Nasze usługi są naprawdę tanie. To czysty zysk. Jeśli pójdzie pan do luksusowej łaźni na Florydzie lub na Hawajach, zapłaci pan trzysta pięćdziesiąt dolarów na tydzień. Tutaj wszystko ma pan na miejscu, a żaden z naszych zabiegów nie kosztuje więcej niż pięćset dolarów.

– Tylko tyle? – wymamrotał Ben.

– A niektóre zabiegi kosztują mniej niż dwieście dolarów i trwają mniej niż godzinę.

– Taka terapia w pigułce.

– Świetnie powiedziane. Podsunę to pani Waltz jako slogan reklamowy. Nie będzie pan miał nic przeciwko temu?

– Absolutnie.

Recepcjonistka otworzyła drzwi na końcu korytarza.

– Pani Rutheford jest w wannie.

Zaprowadziła Bena do niewielkiej sali wyłożonej kafelkami, przeprosiła i wyszła. Na środku pomieszczenia znajdowała się okrągła wanna jakuzi z otworów w ściankach wanny tryskała parująca woda.

Rachela Rutheford siedziała z zamkniętymi oczami, z rękami na kolanach. Krótkie jasne włosy opadały na jej nagie ramiona. Ben wiedział, że skończyła już czterdzieści lat, ale wyglądała na dziesięć lat mniej. Może te maseczki z alg naprawdę coś dają, myślał Ben. Pani Rutheford była bardzo atrakcyjną kobietą.

Po chwili zauważył, że jest naga. Gdyby nie bąbelki na powierzchni wody, Ben mógłby swobodnie podziwiać jej ciało.

Poczuł, że robi mu się gorąco.

– Może poczekam na zewnątrz, a pani...

– Zdaje mi się, że chciał pan ze mną porozmawiać.

– Tak.

– Pański sekretarz mówił, że to pilne.

– To prawda...

– Po wyjściu stąd jestem umówiona na miksta, którego nie mogę opuścić, a wieczorem idę na bal charytatywny u Chrisa Bentleya. Jeśli pan chce porozmawiać, to właśnie teraz.

Ben wytarł wilgotne ręce o spodnie.

– Nie chciałbym się pani narzucać w takiej sytuacji...

Rachela roześmiała się. Piękne piersi zawibrowały wdzięcznie. Ben nie mógł od nich oderwać oczu.

– Proszę się o mnie nie martwić, w tej chwili przenika mnie harmonia wszechświata. Czym mogę panu służyć?

– Jestem prawnikiem, proszę pani...

– Przykro mi.

– Reprezentuję Leemana Hayesa.

– Nie znam nikogo o takim nazwisku. – Jej zamknięte powieki drgnęły.

– Pracował jako tragarz w klubie golfowym. Około dziesięciu lat temu.

Rachela otworzyła oczy.

– Zabił tę biedną cudzoziemkę, tak?

Ben zmarszczył brwi.

– Został o to oskarżony, proszę pani. Ale ja uważam, że tego nie zrobił.

– Pamiętam, że mąż opowiadał mi szczegóły tej zbrodni. Okropne. – Zadrżała. – Ale w jaki sposób ja mogę panu pomóc?

– Spędzała pani dużo czasu w klubie mniej więcej wtedy, gdy wydarzyło się to morderstwo.

– Chyba tak. A więc?

Ben nie wiedział, jak zacząć. Nie był właściwie pewien, o czym chce rozmawiać z Rachelą. To było po prostu przecucie. Albo gest rozpacz.

– Czy widziała pani coś podejrzanego? Coś, co mogłoby mieć jakikolwiek związek z morderstwem?

– Nie kręciłam się raczej koło magazynu.

– Tak, ale...

– Panie Kincaid, wie pan z pewnością, że przesłuchiwała mnie wówczas policja. Zgodnie z prawdą powiedziałam im, że nie potrafię udzielić żadnych informacji na ten temat.

– Co pani wie o Ronaldzie Pearsonie?

– Uważa pan, że Ronnie zamordował tę kobietę?

– Niekoniecznie. Ale ofiara pochodziła z Peru, a on ma powiązania handlowe

z tym krajem. Ta kobieta przyjechała do Stanów i od razu zjawiała się w klubie golfowym, w którym Pearson jest przewodniczącym zarządu.

– To jeszcze nie znaczy, że jest mordercą.

– Nie, ale budzi moje zainteresowanie.

Rachela delikatnie chlusnęła wodą na ramiona.

– Proszę więc spytać Ronniego.

Ben postanowił pójść innym tropem.

– Pani syn również przychodzi czasem do klubu.

– Abie? Od czasu do czasu. Niezbyt często.

– Proszę wybaczyć, że pytam o tak osobiste sprawy... Widziałem zdjęcie Abiego.

Nie jest podobny do ojca.

– Nie jest podobny do żadnego z nas. Adoptowaliśmy go.

– Tak właśnie słyszałem. Dlaczego...

– To długa historia, panie Kincaid. – Rachela przeciągnęła się w wannie, odsłaniając jeszcze więcej zaróżowionej od ciepła skóry. – Jest pan pewien, że chce ją usłyszeć? To nie ma nic wspólnego z pańską sprawą.

– Mimo to...

– Dobrze. Sam pan tego chciał. Po pierwsze, musi pan wiedzieć, że zawsze chciałam mieć dziecko. Moje dziecko. Właściwie od czasu gdy sama byłam dzieckiem. Prawdę mówiąc, dlatego wyszłam za męża. Nie potrzebowałam pieniędzy. Sama mam ich wystarczająco dużo. Potrzebowałam męża, żeby mieć dziecko.

– Nie bardzo widzę...

– Od tego czasu nauczyłam się, rzecz jasna, że często nie można mieć właśnie tego, czego najbardziej się pragnie, bez czego nie można żyć. Siedem lat próbowaliśmy począć dziecko. Uprawiałam seks z tym człowiekiem raz po raz.

Skrzywiła się z obrzydzeniem.

Ben czuł, że się rumieni. Nie mógł uwierzyć, że kobieta może coś takiego powiedzieć mężczyźnie, którego właściwie nie zna. Nie mógł też uwierzyć, że można siedzieć nago w obecności nieznanego.

– Hal był ode mnie znacznie starszy. Męczył się, sapał, chrząkał. Leżałam pod nim każdej nocy z nadzieją, że może tym razem pocznie się moje małeństwo. – Przycisnęła mokre palce do ust. – Ale to się nie stało.

– Czy była... jakaś przeszkoda?

– Też się nad tym zastanawiałam i dlatego zdecydowałam się na romans.

– Romans?

– Tak. Żeby dowiedzieć się, po czyjej stronie jest ta przeszkoda. Czy to Hal, czy ja? i okazało się, że jednak ja. – Przerwała na chwilę. – Wyznałam wszystko Halowi. Na pewno się pan dziwi słuchając kobiecego trajkotania o najintymniejszych

sprawach. Mój psychiatra, u którego leczyłam się dwanaście lat, powiedział, że nie mogę ukrywać swoich uczuć, że mam być szczerą. Więc jestem. Byłam szczerą wobec Hala i jestem szczerą wobec pana.

Przerwała na chwilę.

– Myślałam, że Hal jest bezpłodny, więc spróbowałam zajść w ciążę z kim innym, co też nie było zbyt miłe. Tamten mężczyzna to wieprz, nie ma się co oszukiwać. Błagałam Boga, żeby to się wreszcie stało, żeby wreszcie mogła mieć dziecko.

Rachela spryskała sobie twarz gorącą wodą.

– Ale nic z tego nie wyszło. Musiałam spojrzeć prawdzie w oczy. To ja byłam bezpłodna.

– Poszła pani do lekarza?

– Do niejednego. Winne są moje narządy. Jajniki nie produkują jajeczek. Dowiedziałam się, że nie będę miała dzieci a w każdym razie ich nie urodzę.

Skrzyżowała nogi i zanurzyła się w wannie, jakby chciała się ukryć.

– To mnie załamało. Próbowałam się zabić. Zamknęłam się w garażu i uruchomiłam samochód. Gdyby Hal nie wrócił wcześniej do domu, mogłoby się udać. Wtedy poszłam do psychiatry. Ale nic nie pomagało. Nadal nie widziałam powodu, dla którego warto by żyć.

Podniosła niespodziewanie wzrok.

– Dopóki ktoś nie podsunął mi myśli o adoptowaniu dziecka. Hal z początku nie chciał, ale potem się zgodził.

– I to zmieniło pani życie.

– O tak – potwierdziła z emfazą. – Zmieniło moje życie w koszmar.

– Nie rozumiem.

– Wie pan coś o systemie adopcji?

– Niewiele – przyznał Ben.

– To rynek, na którym warunki dyktuje sprzedający. Pigułka, inne środki antykoncepcyjne i legalizacja aborcji sprawiły, że przyrost naturalny spada a samotna matka z dzieckiem nie nosi już takiego piętna jak dawniej. Wszystko to sprawiło, że podaż dzieci na rynku jest niewielka.

– Ale pani mąż jest tak wpływowym człowiekiem...

Uniosła podbródek.

– To znaczy, opływającym w luksusy. Myli się pan. Adopcje są u nas bardzo ściśle kontrolowane. Hal nie był w stanie zapłacić dość łapówek wszystkim urzędnikom trzymającym się kurczowo wytycznych. Okazało się, że to właśnie on jest największą przeszkodą. Miał pięćdziesiąt lat i urząd adopcyjny uznał, że jest za stary, żeby po raz pierwszy zostać ojcem. Ironia losu, prawda? Mężczyzna, którego

poślubiłam, aby mieć dziecko, stanął na przeszkodzie do dziecka.

Rachela wyprostowała nogi i wynurzyła się na powierzchnię wody. Sutki jej kształtnych piersi ukazały się pośród piany. Nie zauważyła tego a jeśli nawet zauważyła, nie przejmowała się zupełnie.

– To nie był dobry okres w naszym małżeństwie. Po pewnym czasie straciłam wszelką nadzieję. Wiedziałam, że się zabiję. To była tylko kwestia czasu.

Wreszcie Hal skontaktował się z adwokatem, który ponoć specjalizował się w załatwianiu adopcji. Zapłacił mu dwadzieścia pięć tysięcy dolarów zaliczki, a ten znalazł nam kobietę w ciąży. Tak przynajmniej powiedział. Miała piętnaście lat i była sama. Chciała oddać dziecko.

Wpadłam w euforię. Kupiliśmy kołyskę, siedzenie do samochodu, ubranka dla dziecka i wszystkie inne niezbędne rzeczy. Odnowiłam pokój. Czekaliśmy w domu tego dnia, kiedy miała przywieźć dziecko.

Około szóstej po południu zadzwonił adwokat i powiedział, że jest mu bardzo przykro, ale dziecko umarło. Może następnym razem. – Rachela odetchnęła. – Płakałam bez przerwy przez kilka tygodni. Znów próbowałam się zabić. Tym razem nożem w wannie podobnej do tej. – Wyciągnęła dłonie. – Chce pan zobaczyć blizny?

– Nie, dziękuję – odparł cicho Ben.

– Jak widać, przeżyłam. Tylko bolało jak diabli. Wtedy prawnik oznajmił, że znalazł następną kobietę w ciąży. Chwyciłam się nadziei. Może tym razem, powtarzałam sobie, może tym razem. Znów ogarnęło mnie podniecenie i wtedy zadzwonił telefon. – Rachela wzięła kolejny głęboki oddech. – „Matka się rozmyśliła”, powiedział adwokat. Było mu bardzo przykro. Jego głos nawet trochę drżał.

– Co za pech – powiedział Ben.

– Nie wierzę, że to był przypadek. Hal też nie. Kazał sprawdzić tego adwokata i okazało się, że to oszust. Brał pieniądze i zmyślał wszystko na temat matek i dzieci. Wyłudził pieniądze od czternastu innych małżeństw. Narobił im nadziei i wziął pieniądze. Nikomu nie znalazł dziecka. – Spojrzała na Bena. – Proszę mi więc wybaczyć, że nie przepadam za prawnikami.

– Rozumiem.

– Tamten już siedzi, co poprawiło mi samopoczucie, ale nie zapewniło dziecka.

– Musiała pani być bardzo przygnębiona.

Rachela przechyliła głowę.

– Tym razem nie aż tak bardzo. Nie wiem dlaczego. Jakoś przez ten czas... stwardniałam. Niczego nie oczekiwałam. Tak jakby kawałek mojej duszy, wrażliwość... zniknęła. Nawet teraz wydaje mi się, że straciłam jakąś część siebie,

której już nigdy nie odzyskam.

– Poddała się pani?

– Nie. Stwardniałam. Przestałam polegać na Halu. Wzięłam sprawy we własne ręce. Poszłam do znajomego. Tego, z którym miałam romans. On wszystko potrafił załatwić. Nie potrzebowałam już czułych mężczyzn, potrzebowałam człowieka obrotnego. „Jesteś mi coś winien”, powiedziałam. „Okey. Czego chcesz?” „Chcę dziecka”, odparłam. „Znajdź mi dziecko”.

– I co?

Po raz pierwszy uśmiech zagościł na jej twarzy.

– Znalazł mi dziecko. Mojego małego, ślicznego chłopca.

– Gdzie go znalazł?

– Nie wiem – odparła beznamiętnie. – Nie obchodzi mnie to. Nie chcę wiedzieć.

– Ale...

– Uratował mi życie. Naprawdę. Podjęłabym kolejne próby samobójcze i za którymś razem by mi się udało. Abie wszystko zmienił.

– Nie chciała pani adoptować następnych dzieci?

– Po tym wszystkim? Nie. Miałam dziecko i to mi wystarczyło. Nie trzeba być zachłannym. Oto moja historia, panie Kincaid. Zadowolony pan?

Zerknęła na zegarek.

– Już druga. Spóźnię się na mecz.

Wstała.

– Proszę zaczekać! – zawołał Ben chwytając ręcznik.

Za późno. Stała przed nim w całej okazałości. Była piękna.

– Czy coś się stało? – spytała niewinnie.

Mimo zakłopotania, Ben nie mógł oderwać od niej oczu.

– Pani jest...

– Proszę się we mnie nie zakochać – powiedziała Rachel wychodząc z wanny i zdejmując biały szlafrok z wieszaka. – Jestem dla pana o wiele za stara. Poza tym mam dziecko.

Wyszła.

Rozdział 28

Carlee poczuła ulgę, kiedy zatrzymali się przed domem w Richmond Hill koło szpitala Świętego Franciszka w południowej części Tulsy. Nie dlatego że wakacje nie były przyjemne. Po prostu cieszyła się, że znów jest w domu. Ulżyło jej na sercu.

Gavin i Ethan wyskoczyli z samochodu i rzucili się do drzwi domu.

– Nie zapomnijcie toreb! – zawołał Dave. – Jeśli myślicie, że będę nosił wszystkie bagaże, to... – Przerwał, widząc daremność swoich słów. Chłopcy już go nie słyszeli.

Carlee uśmiechnęła się do męża.

– Poniesiesz mój bagaż, prawda, kochanie?

– Ale...

Wymknęła się z samochodu, zanim zdążył zaprotestować. Po drodze zabrała gazetę z ganku.

W domu nie znalazła żadnych niespodzianek. Wszystkie urządzenia elektryczne i elektroniczne były na swoim miejscu. Ethan już siedział przed telewizorem, a Gavin wisiał na słuchawce telefonu.

– Powiesz mi, czy cię jeszcze kocha? – zapytała wesoło Carlee.

Gavin zmarszczył czoło, zakrył wolne ucho i mocniej przycisnął słuchawkę.

Carlee weszła do kuchni i nalała sobie drinka z lodem prosto z lodówki. Niebo w ustach. Trzasnęły drzwi. Słyszała Dave'a zmagającego się z bagażami, pomrukującego na schodach. Trochę go pożałowała, ale nie na tyle, żeby pomóc.

Przeżyje. Carlee potrzebowała chwili samotności, spokoju; chciała pomyśleć. Kemping to wspinała rzecz dla więzów rodzinnych, lecz niesprzyjająca medytacji a Carlee właśnie tego było trzeba.

Nadal nie wiedziała, co się z nią stało w Turner Falls. Dave starał się opiekować żoną jak najlepiej. Nawet przygotowywał fasolkę. Ani razu jednak nie wspomniał o tym, co się stało. Nie znaczyło to wcale, że się nie przejmuje. Po prostu taki już był. Potrafił dać sobie radę z psotami dzieci, umiał pocieszyć żonę. Ale z czymś tak obcym jego doświadczeniu nie wiedział, co począć. Udawał więc, że nic się nie stało.

Niestety, Carlee wiedziała, że coś się jednak stało i to dwa razy. Nabierała coraz

większej pewności, że nie było to sen ani halucynacje. Za każdym razem, gdy o tym myślała, przypominała sobie więcej. To było jak kolejne szpule odtwarzanego filmu. Ukazywały się coraz to nowe szczegóły.

Na przykład okno, przez które widziała kobietę. Carlee wiedziała już, że okno było otwarte, bo inaczej nie słyszałyby krzyku ofiary i nie czuła zapachu krwi...

To się zdarzyło w magazynie klubu golfowego Utica Greens. Carlee była tego pewna.

Ale jak to możliwe? Nie była tam od prawie piętnastu lat, od czasu gdy rzuciła pracę w kuchni klubu. Nie mogli sobie z Dave'em pozwolić na członkostwo w klubie a mimo to była pewna, że właśnie tam zdarzyło się to, co widziała.

Głośny łomot w holu przywrócił Carlee do rzeczywistości. To Dave zmagął się z bagażem. Może jednak warto mu trochę pomóc. Za chwilę. Zdjęła gumkę i położyła gazetę na stole. Przeszukiwała wzrokiem tytuły na pierwszej stronie.

Powietrze uciekło z jej płuc, jak gdyby wysane odkurzaczem. Poruszał ustami bezgłośnie. Patrzyła nieruchomym wzrokiem na fotografię na pierwszej stronie dziennika „Tulsa World”.

To była ona.

Ta kobieta.

Carlee cofnęła się, oparła ręką o krzesło i usiadła. Nagle usłyszała, że z jej ust wydobywa się jakiś wysoki dźwięk, może wołanie o pomoc, może okrzyk bólu. Zakryła usta dłonią.

– Co się stało, mamoo?

Ethan patrzył na matkę zmartwionym wzrokiem, tak samo jak na kempingu. Dzieci zapamiętują takie rzeczy.

– Zawołaj tatę – szepnęła Carlee. – a potem możesz oglądać telewizję. Nic mi nie jest.

Po chwili do kuchni wbiegł Dave. Położył dłonie na ramionach żony.

– Co się stało, kochanie?

Carlee podniosła drżącą rękę i wskazała gazetę na stole.

– To ona.

– Kto? – Dave zerknął na czarno-białe zdjęcie na pierwszej stronie w artykule poniżej można było przeczytać, że kobieta została zamordowana dziesięć lat temu, o popełnienie zbrodni zaś oskarżono mieszkańca Tulsy. Proces miał się wkrótce rozpocząć. – Znałaś tę kobietę?

Carlee potrząsnęła głową.

– A więc o co chodzi?

Twarz Dave'a wyrażała współczucie, a zarazem bezradność.

– Widziałam tę kobietę – wyjaśniła Carlee splatając ramiona ciasno na piersi. –

Widziałam ją całą we krwi.

– Na kempingu w Turner Hills? – Dave nic nie rozumiał. – Co ty mówisz? Miałaś jakąś wizję?

– Nie – Carlee drżała jak listek. – Widziałam jej śmierć. Widziałam na własne oczy.

– To dlaczego nic o tym wcześniej nie mówiłaś?

Carlee spojrzała na sufit, jak gdyby stamtąd mogła nadejść pomoc. Ale na próżno.

– Bo nie pamiętałam.

– Nie pamiętałaś? – Na czole Dave’a ukazały się głębokie zmarszczki. – Widziałas śmierć tej kobiety i... zapomniałaś o wszystkim?

Carlee oparła głowę na piersi męża.

– Wiem, że to brzmi jak wyznanie szaleńca. Ja też tego nie pojmuję. Ale tak właśnie było. Widziałam, jak ginie ta kobieta. Jestem tego pewna.

– I zapomniałaś a teraz, tuż przed rozpoczęciem procesu, przypominasz sobie nagle. Czy to nie jest niewiarygodny zbieg okoliczności?

– To nie jest zbieg okoliczności – powiedziała cicho Carlee. – Usłyszałam w radiu wiadomość o procesie. Nawet tego świadomie nie odnotowałam, ale zaraz potem przypomniałam sobie.

– Nadal nie rozumiem. Jak to możliwe, że widziałas morderstwo i zapomniałaś o tym?

– Nie wiem. – Po opalonej twarzy Carlee płynęły łzy. – Nie wiem, jak to możliwe. Ale tak było.

Rozdział 29

Ben podpisał kwitek w klubowym sklepie i zarzucił na ramię torbę z wypożyczonymi kijami golfowymi. Przygięło go do kontuaru. Ale ciężkie! i to ma być zabawa?

Zaciskając zęby, powlókł się do pierwszego dołka, gdzie umówił się z resztą grupy. Nie wiedział dokładnie, gdzie znajduje się pierwszy dołek, ale skierował się mniej więcej na pole z nadzieją, że trafi we właściwe miejsce.

Potknął się na próbnym torze, wzbudzając złość kilku poważnych graczy doskonalących uderzenie. Nadal nie widział pierwszego dołka. Słońce paliło, a torba z każdym krokiem przybierała na wadze. Ben ociekał potem, chociaż nawet nie zaczął gry. Miał zrezygnować, kiedy usłyszał zza wzgórza śpiew.

– „Dlatego ta pani... jest trampem. Pa-pa-ra-pa...”

To mógł być tylko Dick Crenshaw. Jak chart na tropie, Ben powędrował za głosem.

Przepiękne pole falowało zielonymi pagórkami. Nienagannie przycięta trawa była świetnie nawodniona.

Crenshaw spacerował po polu w towarzystwie Chrisa Bentleya i kapitana Pearsona. Ku radości Bena, mieli wózek.

Ben zbliżył się i z głośnym sapnięciem rzucił swoją torbę obok innych z torby Pearsona z wyhaftowanymi inicjałami wystawały równiutko poukładane kije w plastikowych rurkach. Kije Crenshawa zaopatrzone były w miękkie skórzane rękawice z wizerunkami bohaterów filmów rysunkowych wytwórni Warner Brothers: królikiem Bugsem, Kojotem i Pepe Le Pew.

– Pan jest czwartym? – spytał Crenshaw przerywając piosenkę.

Pearson zmarszczył brwi.

– Mitch nic mi o tym nie mówił.

– To był mój pomysł – wyjaśnił pośpiesznie Ben. Przedstawił się Crenshawowi i Bentleyowi. – Chciałem z panami porozmawiać. Dowiedziałem się, że gracie dzisiaj w golfa, a Hal Rutheford się wycofał, więc pomyślałem, że to doskonała okazja.

– Mam nadzieję, że nie będzie pan zadawał zbyt wielu nieprzyjemnych pytań –

powiedział Bentley swoim południowym akcentem. – Przyszliśmy tu pograć w golfa. Nie chcemy być wyprowadzani z równowagi głupimi pytaniami.

– Postaram się za bardzo nie przeszkadzać – obiecał Ben.

– Pan na pewno umie grać w golfa? —Pearson patrzył podejrzliwie na niezgrabny chwyt Bena.

– Oczywiście – odparł Ben. – Jestem przecież adwokatem, prawda?

Ben był ostatnio na polu na uczelni, kiedy profesor zabrał go rano na krótką grę. Nie szło mu wtedy zbyt dobrze, a od tej pory nie grał. Ale czy to aż takie trudne? Wystarczy się dobrze zamachnąć i posłać piłkę przed siebie. Bułka z masłem.

– Dobrze – powiedział Pearson. – Pan pierwszy.

Nie było to szczególnie zachęcające. Ben liczył na to, że przyjrzy się najpierw, jak inni to robią. Teraz jednak nie mógł się wycofać.

Wbił pomarańczowy stożek w ziemię i umieścił na nim piłkę. Spadła. Położył z powrotem, znów spadła. Po kolejnych dwóch nieudanych próbach Bena Pearson schylił się wreszcie i ustawił stożek.

– Stokrotne dzięki – rzekł Ben.

No dobra. Skoncentruj się. Pierwsze wrażenie jest najważniejsze. Muszę dobrze zacząć, wtedy oni pomyślą, że jednak umiem grać, i nie zwrócą uwagi, jeśli będę później partaczył.

Przyłożył kij do piłki, zamknął oczy i odetchnął głęboko. Jak to mówiła Christina? Skupić się na swoim trzecim oku? Pokaż się, trzecie oko.

Zamachnął się i uderzył z całej siły.

Chybił. Piłka poruszyła się od podmuchu powietrza i znieruchomiła na stożku.

– To była próba —wyjaśnił Ben czym prędzej. – Zawsze trzeba spróbować, prawda? Teraz uderzam naprawdę.

Bentley, Pearson i Crenshaw popatrzyli na siebie w milczeniu.

– Zaczynam.

Tym razem dla odmiany Ben postanowił otworzyć oczy. Machnął kijem i nawet udało mu się musnąć piłkę, która spadła ze stożka i potoczyła się nieco w lewo.

– Sztywny nadgarstek. – Ben z ubolewaniem pokiwał głową. – Chyba trochę za długo się rozgrzewałem. Kto następny?

Po skończeniu kolejki Bentley wrócił z Benem do jego piłki. Odległość była tak niewielka, że wózek wydawał się zbyteczny.

– Słuchaj no, Kincaid. Jeśli chce pan skończyć z nami tę grę, to musi pan mieć jakieś pojęcie o golfie.

– Przydałoby się parę wskazówek.

– Streszczę wszystko w czterech punktach. Nauczyłem swoją trzecią żonę grać w ciągu pół godziny. Po pierwsze, musi pan rozluźnić uścisk. To szybkość kija

wprawia piłkę w ruch, a nie siłą chwytu. Więc nie ma powodu wymachiwać kijem, jakby próbował pan kogoś zabić.

Interesujące porównanie, zauważył Ben.

– Tak się to robi. – Bentley zademonstrował płynny ruch. – Musi pan trzymać kij jak szczoteczkę do zębów, a nie jak siekierę.

– Potrafię to zrobić – powiedział Ben naśladując zamach Bentleya.

– Po drugie, nie trzeba się ograniczać w wyborze kija. Trzeba wybierać taki, który wydaje się nieco za długi.

Ben był pewien, że z tym także sobie poradzi. Zresztą nie widział żadnej różnicy między kijami.

– Po trzecie, musi pan sprawdzać kij.

– Dlaczego?

– Jakość kija ma olbrzymie znaczenie. Kije golfowe bardzo się odkształcają z czasem, a zwłaszcza tanie, których pan używa.

Dotarli do miejsca, gdzie spoczywała piłka Bena.

– Jeśli kij jest spaczony, piłka poleci w bok, nawet jeśli uderzy pan prosto. Trzeba zawsze poprosić instruktora klubowego o sprawdzenie kijów przed grą.

– Będę pamiętał – powiedział Ben przyjmując pozycję. – a jak brzmi czwarta zasada?

– Oszukiwać zawsze, kiedy to możliwe.

Bentley rozejrzał się. Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, wziął piłkę Bena i cisnął na pole. Wylądowała jakieś trzydzieści metrów od dołka.

– Ale to... nieuczciwe.

– Tylko jeśli dasz się złapać.

Przy piątym dołku Ben zaczął nabierać trochę wprawy. Nadal zbierał trzy razy więcej punktów karnych od pozostałych graczy, ale jego piłki przynajmniej odrywały się od gruntu.

– Jak tam dochodzenie? – spytał Bentley z nieoczekiwanym zainteresowaniem.

– Powoli. Trudno dokopać się do dowodów w sprawie przestępstwa sprzed dziesięciu lat. Wszystko zostało dokładnie wyczyszczone, że tak powiem.

– Wyobrażam sobie.

– Przygotowuję nakaz sądowy przeszukania biura, szatni i innych pomieszczeń klubu, ale nie robię sobie wielkich nadziei.

– Traci pan czas.

– Pewnie ma pan rację. Ale muszę spróbować. Podobno wydaje pan dzisiaj bal dobroczynny.

– To moje główne zajęcie – odparł beztrąsko Bentley. – Ostatnio poświęcam temu większość czasu.

– Naprawdę? – Ben pomyślał, że może jednak pomylił się w ocenie tego człowieka. – Na jakie cele przeznaczają pan pieniądze?

– Różne. Pieniądze zbierane dzisiaj pójdą na posiłki dla bezdomnych dzieci. Lub szczepionki. Coś w tym rodzaju. Przewodniczę organizacji, która prowadzi usługi na rzecz funduszy dobroczynnych.

– Usługi na rzecz funduszy? Co to znaczy?

– Zapewniam im wszystko, czego potrzebują. Ochotników, przyjęcia, sponsorów.

– To ciekawe. – Ben umył piłkę w zgrabnym plastikowym pojemniku z wodą. – Od dawna pan się tym zajmuje?

– Zacząłem jakieś dziesięć lat temu.

– To długo.

– Tak. Byłem wtedy... jakby to powiedzieć... między jedną a drugą żoną. Całkiem splukany a rachunek w barze rósł szybko. Więc wziąłem się za to.

– Jak można na czymś takim zarobić?

– Nie mówiłem, że pracuję w dobroczynności. Powiedziałem, że zapewniam usługi dla funduszy dobroczynnych. To duża różnica. Kiedy jakaś ogólnokrajowa organizacja dobroczynna chce zebrać pieniądze na przykład w Tulsie, musi nawiązać kontakt z kimś, kto tutaj mieszka, zna najbogatszych ludzi i wie, jak wyciągnąć pieniądze z ich szczelnych portfeli. Tym właśnie się zajmuję. Jeśli potrzebują stu bogaczy, to ja ich zbieram. Jeśli potrzebują stu ochotników do telefonowania, to ściągam żony bogaczy, które czują się winne, bo ich życie nie jest warte funta kłaków.

– Można na tym zarobić?

– I to jak. Przeważnie biorę dwadzieścia pięć tysięcy dolarów z góry za zlecenie i zatrzymuję dla siebie dwadzieścia pięć procent zebranej sumy i nie mam żadnych wydatków! Organizacje dobroczynne pokrywają wydatki sponsorów, a ja nie muszę płacić kobietom za rozmowy telefoniczne. W końcu są ochotniczkami! Robią to za nic, bo zdaje im się, że wspomagają dobrą sprawę. Dostają jakiś procent tego, co zbiorą, a reszta idzie na dobroczynność. Później ochotniczki kładą się spać ze słodką świadomością, że zrobiły coś ważnego. – Bentley roześmiał się. – I wszyscy są zadowoleni.

– Ochotniczki nie wiedzą chyba, że prowadzi pan tę działalność dla pieniędzy.

– Po co zabijać kurę, która znosi złote jaja?

– Proszę pomyśleć, ile posiłków dla bezdomnych dzieci można by kupić za pańską działkę. Te pieniądze mogłyby trafić do naprawdę potrzebujących, zamiast rozpląnąć się na polu golfowym i w barze.

Bentley zmierzył Bena przeciągłym spojrzeniem.

– Jak wspomniałem, Kincaid, wszedłem w ten interes, bo potrzebowałem pieniędzy. Dużych pieniędzy. Wtedy zrobiłbym prawie wszystko za parę bucksów. Na szczęście okazało się, że jestem dobry w te klocki. Nie widzę nic złego w tym, że człowiek otrzymuje odpowiednie wynagrodzenie za dobrą pracę. Organizacje dobroczynne dobijają się do mnie i chętnie płacą moje stawki, bo wiedzą, że znajdę dla nich wielu sponsorów.

– Mimo to...

– Kincaid, łatwo być pryncypialnym, ale ja muszę się liczyć z realiami. Moja sakiewka nie jest nieograniczona, tak jak skarbce tych lekkoduchów. Muszę liczyć zyski i wydatki. Muszę wiązać swoje dochody z pracą w dobroczynności. Czy to przestępstwo?

– To nie jest przestępstwo, ale...

– Kincaid, widzę, że wielki z ciebie altruista, ale czy wszystkie swoje sprawy prowadzisz za darmo?

– Oczywiście, że nie...

– Oczywiście, że nie. Ja też nie. Zarabiam pieniądze dla siebie i dla kogoś jeszcze. Co w tym złego?

Ben wzruszył ramionami. Może zbyt pochopnie potępił tych ludzi. Doświadczenia z dzieciństwa, stereotyp bogatego brzydkiego Amerykanina zaciemnił mu wizję. Może.

– Mam nadzieję, że bał się uda.

– Ja też. Będziesz mile widzianym gościem, Kincaid, jeśli masz garnitur i obiecasz, że nie zanudzisz wszystkich pytaniami o morderstwo.

Niezła myśl, ale nie mam na to czasu.

– Muszę się przygotować do procesu. Może oddeleguję moją asystentkę?

Bentley odwrócił się.

– Kobietę?

– Tak.

– Ładną?

– Kwestia gustu. Ale moim zdaniem, tak.

– Nie mam partnerki na bal. Słyszałeś pewnie, że jestem...

– Między jedną a drugą żoną?

– No właśnie.

Ben odchrząknął.

– Myślę, że Christina nie jest w twoim typie.

– Dlaczego?

– Ona jest...

– Jaka?

Ben przełknął ślinę.

– Biedna. W każdym razie, nie należy do bogatych. W końcu pracuje dla mnie.

Bentley parsknął śmiechem.

– Kincaid, dlaczego uważasz, że u kobiet interesują mnie tylko pieniądze?

– A tak nie jest?

Bentley pochylił się, aby sprawdzić spadek z boczka.

– Tego nie powiedziałem. Ciekawi mnie tylko, kto tak na mnie nagadał.

Uderzył piłkę, która poleciała daleko wysokim łukiem.

– Że też policja znajduje czas, aby zajmować się morderstwem sprzed dziesięciu lat – zauważył Kincaid w drodze do piłki. – Myślałem, że mają pełne ręce roboty szukając tego faceta, który morduje małych chłopców.

– Starają się. Możesz mi wierzyć.

– Co za obrzydliwe przestępstwo. Nie mogę zrozumieć tych zbrojców, którzy znęcają się nad dziećmi. Powinno się ich wszystkich wykastrować i powiesić.

– Policja przeczesuje okolicę, gdzie znaleziono zabitego chłopca.

– A rozpoznają go chociaż, kiedy znajdą? Przecież on nie podejdzie, nie powie: „To ja jestem tym pedofilem. A co, szukacie mnie?”

– Szukają pewnych dowodów rzeczowych. Ostatnia ofiara miała na głowie czerwoną czapkę baseballową. Jeśli policjanci znajdą ją u kogoś...

– To spadną na niego jak muchy. Jasne. – Bentley zamachnął się kijem. Piłka spadła o centymetry od dołka. – Super. Twoja kolej, Kincaid.

– No dobrze, jeśli nalegasz. – Ben stanął nad piłką. – Nic z tego nie będzie.

Bentley wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dobrze powiedziane.

Nim dotarli do siódmego dołka, Benowi upał zaczął się naprawdę doskwierać. Pocił się najobficiej ze wszystkich graczy. Rzecz jasna, machał kijem trzy razy częściej od nich.

Już miał poprosić o maskę tlenową, kiedy zobaczył wózek toczący się po wzgórzu.

– Kto ma ochotę coś przekąsić i napić się? – spytał Mitch.

Otworzył skrzynkę z napojami, alkoholowymi i bezalkoholowymi, i pojemnik z przekąskami. Były tam chipsy, kawior, krakersy oraz wiele wymyślnych smakołyków, których Ben nie potrafił zidentyfikować. Mitch podał Pearsonowi i Crenshawowi piwo z lodu, a Bentleyowi nalał martini.

– Co dla ciebie, Ben? – spytał Mitch.

– Nie przypuszczam, żebyś miał tutaj mleko czekoladowe.

– Nie, ale mogę pojechać do klubu...

- Nie trzeba. – Wziął puszkę coca-coli. – Dzięki, Mitch. Uratowałeś mi życie.
- Za to mi właśnie płacą grube pieniądze a raczej mogliby.
- Kiedy wszyscy zjedli i wypili, Mitch zapakował butelki z powrotem na wózek.
- Jak idzie? – spytał szeptem.
- Nie najgorzej.
- Powiedzieli ci coś?
- Trochę. Głównie o Ruthefordzie, bo go nie ma. Podobno Rutheford głądził wczoraj przy kolacji o składzie gleby i szkodnikach i każdego namawiał do jedzenia swoich rzodkiewek. Mało apetyczna historia.
- Zabawne, choć nie o to ci chyba chodzi.
- Fakt. Ale i tak dowiaduję się więcej, niż gdybym siedział w biurze. Dzięki, że załatwiłeś mi tę grę.
- Nie ma sprawy. – Mitch wskoczył za kierownicę wózka i przekręcił kluczyk. – Mogę ci jeszcze jakoś pomóc?
- Tak. – Obejrzał się, czy nikt z graczy nie słucha. – W jaki sposób Pearson zarabia takie wielkie pieniądze?
- Na ropie i gazie. Poza tym inwestuje za granicą.
- Więc nie wiesz, czy... dorabia jakoś na boku?
- Mitch roześmiał się.
- Dowiedziałeś się o opłatach za pole?
- Ben nie wiedział, o czym Mitch mówi, ale nie myślał się do tego przyznawać.
- A więc to prawda?
- Tak. Pearson zgarnia tłustą dolę z opłat za pole. Zarabia dwa razy więcej, niż sam płaci.
- Dlaczego zarząd go nie powstrzymuje?
- Bo każdy na czymś tu zarabia. Crenshaw na sklepie, Bentley na restauracji. Mógłbym ci zrobić listę.
- Wszystko w swoim czasie, pomyślał Ben.
- Czy orientują się, że o tym wiesz?
- Musiałbym być ślepcem albo silnie upośledzonym, żeby tego nie zauważyć. Co ich to obchodzi? Czy mogę coś zrobić? Jestem pracownikiem, a nie członkiem klubu, o czym Pearson przypomina mi przy każdej okazji. To ich sprawa, jak dzielą się pieniędzmi we własnym prywatnym klubie.
- Inni członkowie klubu, którzy płacą składki, a nie zasiadają w zarządzie, mogliby mieć inne zdanie.
- Pewnie tak – zgodził się Mitch. – Ale nigdy się nie dowiedzą.

Nim dotarli do dziewiątego dołka, Crenshaw wyglądał na mocno zawianego.

Mimo że mieli wózek, a Crenshaw spędzał w nim więcej czasu niż inni, widać było po nim zmęczenie. Miał podkrążone oczy, pot lał się z niego strumieniami. Po prawdzie, upał mógł wykończyć każdego a niski, gruby i łysy Crenshaw był pewnie bardziej podatny na działanie słońca.

– Dickowi chyba przydałby się prysznic – szepnął Ben do Bentleya.

– Dickowi przydałaby się działka – odparł Bentley.

– Działka?

– No wiesz. – Bentley głośno wciągnął nosem powietrze.

– Crenshaw? Chyba żartujesz?

– A jak twoim zdaniem ten facet utrzymuje przez cały dzień taki poziom energii? Jest bardziej nakręcony niż Robin Williams.

Ben uważnie obserwował Crenshawa zbliżającego się do piłki. Jeszcze dziesięć minut temu Dick zachowywał się głośno i tryskał życiem. Teraz wyglądał, jakby nie spał od tygodnia. Ben nie znał się zbyt dobrze na narkomanach, ale wyglądało na to, że Bentley mówił prawdę.

Crenshaw zamachnął się i chybił niemiłosiernie. Kij nawet nie dotknął piłki. W głębi duszy Ben poczuł satysfakcję, że nie on jedyny popełnił taką gafę, chociaż – rzecz jasna – Crenshaw nie trafił w piłkę z powodu zmęczenia, a Ben na samym początku gry.

– Niech to szlag! —Crenshaw, cisnął kijem z zaskakującą siłą. Kij uderzył w pień drzewa i pękł, tak jak kij, którym zabito Marię Alvarez.

– Tylko nie zawiąż sobie fiuta na supeł – mruknął Pearson.

– Nie mogę! – wrzasnął Dick. – Jest za mały.

Znów się zaczyna, pomyślał ze zgrozą Ben.

– Nienawidzę tej gry. Nie wiem, po co gram. Mam dość.

– Uspokój się, Dick – powiedział Bentley. Zerknął na zapis. – Jesteś tylko... dwadzieścia uderzeń do tyłu i tak wyprzedzasz Kincaida.

Bentley i Pearson wybuchnęli śmiechem.

Crenshaw zerwał z kija pokrowiec ze świnią Porky.

– Śmieście się, śmieście. Nabijacie się ze mnie, bo mam małego kutasa. Sukinsyny.

Crenshawowi udało się wreszcie trafić w piłkę. Po zakończeniu kolejki Ben wskoczył do wózka z Dickiem.

– Mitch mówi, że znał pan Leemana Hayesa, kiedy pracował tu dziesięć lat temu.

– Diabli nadali. Nie będzie mnie pan chyba o to wypytywał? Opowiadałem o wszystkim policji chyba z tysiąc razy.

– Przesłuchiwali pana?

– No jasne. Tylko dlatego że ten chłopak był kilka razy u mnie w domu.

Ben przyjrzał się uważniej Crenshawowi.

– Leeman bywał u pana w domu?

– Tak. Skąd miałem wiedzieć, że kogoś zabije?

– On tego nie zrobił...

– Ale piecze! Jestem ugotowany. – Crenshaw zatrzymał wózek, pochylił się i oparł ręce na kolanach. – Leeman nosił mi parę razy sprzęt. Był w porządku. Nie odzywał się, ale to dobrze, bo nie lubię gadających tragarzy. Widać było, że ma nie całkiem dobrze w głowie, ale komu to przeszkadzało? Do noszenia torby nie trzeba być geniuszem. Potrzebowałem kogoś do układania cegieł w ogrodzie i podobnych prac. Proste, ale męczące. Nie chciałem sam tego robić. Pomyślałem sobie, że wezmę Leemana. – Crenshaw mrugnął porozumiewawczo. – Poza tym nie musiałem mu dużo płacić, bo on nie potrafił odróżnić miedziaka od studolarówki.

– To znaczy?

– Był u mnie parę razy. Coś tam zrobił, dostał trochę drobnych. Wszyscy byli zadowoleni.

Już to gdzieś słyszałem, pomyślał Ben.

– Ale po aresztowaniu chłopaka policja zachowywała się tak, jakby był moim najlepszym kumplem.

– Nie wiedział pan nic o morderstwie?

– Absolutnie nic. Skąd miałem wiedzieć, dlaczego zabił tę kobietę? Pewnie chciał wsadzić jej rękę w majtki. Wie pan, jacy są ci debile.

Ben poczuł, jak sztywnieje mu kark.

– Panie Crenshaw...

– Cisza! Będę uderzał. – Crenshaw przyjął pozycję, zamachnął się, piłka poszybowała około trzydziestu metrów i spadła daleko od dołka. – Cholera. Jeszcze jedno chybienie Dicka Crenshawa, cudaka bez fiuta.

– Panie Crenshaw...

Dick wyszczerzył zęby.

– Przepraszam. Pewnie czuje się pan zakłopotany z powodu mojego rubasznego poczucia humoru. Nie jest pan przyzwyczajony do publicznych rozmów o genitaliach.

– Szkoda, że nie widział pan mojej ostatniej rozprawy w sądzie.

Crenshaw zastanowił się.

– Czym pan się właściwie zajmuje, kiedy nie broni pan zabójców z nizin społecznych?

Ben pokrótce przedstawił Crenshawowi swoją niedocenioną praktykę. „...Jak długo jeszcze masz zamiar bronić w sądzie szumowin tego świata?”

– Dziwne sprawy pan bierze – podsumował Crenshaw. – To świadomy wybór,

czy też przyjmuje pan każdego, kto wejdzie do biura?

– To chyba...

– Niech pan nie odpowiada. Niepotrzebnie pytałem. Może pan robić, co mu się podoba. Prawo nie pozwoli panu umrzeć a później może zajmie się pan czym innym.

– Czym innym?

– Pewnie. Chyba nie chce pan włączyć się przez całe życie po salach sądowych?

– Nie wiem...

– To nie ma przyszłości. Wie pan, gdzie jest przyszłość?

– W przemyśle?

– Nie. W tureckich funduszach.

– W czym?

– Słyszał pan. Nie będę się powtarzał. Teraz, kiedy pozbawiliśmy pazurów rosyjskiego niedźwiedzia, niektóre kraje trzeciego świata zaczynają po raz pierwszy zarabiać pieniądze i nie wiedzą, co z nimi począć. Sprytny facet, który potrafi zainwestować, może zarobić fortunę. O to przecież chodzi, zgadza się?

– Powiedzmy...

– Chyba nie chce pan przez resztę życia zajmować się ściąganiem alimentów, prawda?

– No...

– Słuchaj, Kincaid. Zgłasza się do mnie ostatnio tylu klientów, że nie mogę przyjmować wszystkich spraw, bo nie starcza mi czasu. Będę o tobie pamiętał. Jeśli trafi się jakaś drobnica, w którą nie będzie mi się chciało bawić, to pošlę do ciebie.

– Dzięki, dobroczyńco.

– Nie ma sprawy. – Spojrzał znacząco na Bena. – Pomagam tym, których uważam za przyjaciół. Jeśli wiesz, o czym mówię.

Ben zaczynał nabierać podejrzenia, że wie.

Zaliczyli wszystkie dziewięć dołków; Ben przyjął ten fakt z ulgą i zaskoczeniem. Pozostali gracze zastanawiali się, czy nie przedłużyć do osiemnastu, ale Ben wymówił się obowiązkami. Pearson i Bentley poszli z Benem, a Crenshaw, mimo zmęczenia, ruszył do dziesiątego dołka. Ben odprowadził go wzrokiem.

– On jest niesamowity.

Wraz z kapitanem Pearsonem skierowali się do budynku klubowego. Pearson udzielił Benowi kilku wskazówek, jak poprawić grę w golfa. Ben słuchał cierpliwie.

Przechodząc obok biura Pearsona spostrzegł trzech czarnych nastolatków w środku. Twarz jednego z nich wydawała się znajoma.

Był to Booker, chłopak Joni, i – zdaniem Erniego Hayesa – członek największego w Tulsie gangu ulicznego.

Ten sam, który ponoć ciągle przesiadywał w klubie golfowym.

Ben już miał spytać o to Pearsona, ale ten wszedł do środka i zatrzasnął drzwi.

Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, pomyślał Ben. Rozejrzył się, a że chwilowo nikogo nie było na korytarzu, przyłożył ucho do drzwi.

Właściwie nie musiał tego robić, żeby usłyszeć krzyzącego Pearsona.

– Co wy tu robicie w biały dzień, do jasnej cholery!

Na końcu korytarza pojawił się nagle szef kelnerów restauracji. Ben udał, że stracił równowagę. Miał na ramieniu ogromny worek z kijami, więc wyglądało to nawet dość wiarygodnie.

Zwrócił sprzęt w wypożyczalni. To było bardzo męczące popołudnie, ale Ben pogratulował sobie, że przyszedł do klubu. Zebrał kilka frapujących informacji na temat członków klubu. Szkopuł w tym, że żadna z nich nie pozwalała wskazać mordercy. Będzie musiał drążyć dalej.

A zacznie od mężczyzny w biurze z mahoniowymi drzwiami.

Straciwszy z oczu Kincaida, Chris Bentley szybko skierował się oddzielną klatką schodową do swojej prywatnej szatni.

Wśliznął się do tak zwanej Złotej Sali, do której wstęp mieli tylko członkowie zarządu i kilku wtajemniczonych pracowników. Upewnił się, że nikogo tu nie ma.

Dobrze. Jak to szło? Dwadzieścia dwa, dwadzieścia cztery... Tak. Uwielbiał te nowe cyfrowe zamki. Osobiście kazał je zamontować. Wszyscy chłopcy z zarządu czuli się bezpieczniejsi wiedząc, że do ich szafki można się dostać dopiero po wprowadzeniu czterocyfrowego kodu znanego tylko właścicielowi. Jednak Bentley znał uniwersalny kod pozwalający otworzyć wszystkie. Ale o tym nikt nie musiał wiedzieć.

Powoli otworzył szafkę.

Leżała tam chłopięca czerwona czapka baseballowa.

Bentley złapał ją i wsadził pod koszulę. Chryste! Gdyby Kincaid ją znalazł, byłby to koniec świata. Dla Bentleya, rzecz jasna.

Zamknął szafkę i pobiegł na palcach do schodów. Wsadzi czapkę do torby golfowej, a potem wywiezie z klubu. Nikt nie zauważy.

Po chwili mógł wrócić do budynku klubowego. Słońce przygrzewało przyjemnie. Bentley kąpał się w jego promieniach z radosną świadomością, że o mały włos uniknął zdemaskowania.

Rozdział 30

Loving jeszcze raz zerknął na adres: South Sandusky 6826.

Sprawdził numer na krawężniku. To tutaj.

Niełatwo było znaleźć ten adres. Jones umieścił Carlee Toller na liście osób, które pracowały w klubie Utica Greens przed dziesięcioma laty, ale w rejestrze mieszkańców miasta nie znalazł takiego nazwiska. Przeszukawszy archiwa sądowe, Loving dowiedział się, że rok po morderstwie w klubie Carlee Toller zmieniła nazwisko na Crane a taka osoba figurowała na liście meldunkowej. Carlee mieszkała tu razem ze swym mężem, Davidem Elroyem Crane'em.

Dom jak dom, nic szczególnego, ale z całkiem przyjemnym widokiem o wiele ładniejszym niż widok z okien miniaturowego mieszkania Lovinga przy Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Skupiał się tam cały półświatek Tulsy. Loving uznawał to jednak za swoisty urok tej dzielnicy.

Zapukał do drzwi. Po chwili otworzyła młoda kobieta o jasnych włosach.

– Tak?

– Dzień dobry pani. – Loving wyprostował się. Zależało mu, żeby zrobić jak najlepsze wrażenie. – Jestem prywatnym detektywem. Pracuję dla adwokata, pana Bena Kincaida.

Oczy kobiety drgnęły nieznacznie. Rozpoznała nazwisko, pomyślał Loving.

– Co pana do mnie sprowadza?

– Dziesięć lat temu pracowała pani w klubie Utica Greens, prawda?

– Tak. – Zwilżyła usta językiem. – To było dawno temu. Odeszłam po kilku miesiącach.

– Wiem. Ale była tam pani jeszcze, kiedy zamordowano Marię Alvarez.

Zawahała się.

– Maria... Alvarez? Nie przypominam sobie takiego nazwiska.

– Czyżby w klubie zamordowano tego roku więcej kobiet? – Uspokój się, Loving. Na razie trzeba postępować delikatnie. – Na pewno pamięta pani, kiedy to się stało.

Głos Carlee Crane dochodził jakby z bardzo daleka.

– Coś sobie przypominam... Ale niewiele.

– Nie pamięta pani morderstwa, które zdarzyło się w klubie, kiedy pani tam pracowała? Chyba wszyscy o tym wtedy mówili?

– Ale... było to tak dawno... Musi pan zrozumieć.

Loving zmarszczył brwi. To brzmiało podejrzenie. W odpowiedziach tej kobiety brzmiała fałszywa nuta. Loving znał już dobrze ten ton.

– Pan Kincaid reprezentuje w sądzie Leemana Hayesa, miłego młodego człowieka, którego oskarżono o zabicie tej kobiety. Proces ma się rozpocząć niebawem. Jeśli pani coś wie o morderstwie, proszę mi powiedzieć.

– Nic nie wiem. Skąd miałabym wiedzieć? Przecież tego nie widziałam, prawda? Loving nie był pewien, czy zadaje to pytanie jemu, czy też sobie.

– Przykro mi, że nie mogę panu pomóc. Próbowała zamknąć drzwi, ale Loving zablokował je stopą.

– Proszę się nie obawiać. Zrobię wszystko, żeby zapewnić pani bezpieczeństwo. Jeśli boi się pani dziennikarzy lub prawdziwego mordercy, to niepotrzebnie. Osobiście zapewnię pani ochronę. – Naprężył potężne mięśnie. – A jestem w tym dobry.

– Nie o to chodzi. Ja po prostu nic nie wiem. Proszę cofnąć nogę, bo zadzwonię po policję.

– Niech pani weźmie wizytówkę pana Kincaida. – Loving wcisnął kartkę przez szparę. – Jeśli przypomni pani sobie cokolwiek, proszę zadzwonić. Chodzi o ludzkie życie. Pani może być ostatnią nadzieją tego chłopca.

Wzięła wizytówkę i zatrasnęła drzwi.

Gdyby miał do czynienia z kim innym, nie odpuściłby tak łatwo i może nawet dałby mu popalić, ale czuł, że w taki sposób nic tutaj nie zwojuje. Wyglądało na to, że nie można jej przekonać.

Można tylko było mieć nadzieję, że sama zmieni zdanie.

Rozdział 31

Po kolacji Joey dobitnie przypomniał Benowi i jego matce o tym, że nie jadł co najmniej przez trzy godziny. Pani Kincaid przygotowała butelkę mleka i nakarmiła wnuczka. Mimo protestów mamy, Ben rozłożył dla siebie śpiwór w saloniku, tak jak poprzedniego wieczora, żeby mama mogła spać w jego łóżku.

Nakarmiwszy Joeya, pani Kincaid zaczęła go kołysać do snu, śpiewając przy tym kołysanki. Ben zdumiał się, bo nie pamiętał, aby mama śpiewała, chyba że w kościele. Miała uroczy, melodyjny głos.

– Nie chce zasnąć – szepnęła pani Kincaid. – Może zagrasz coś na pianinie.

– Świetnie ci idzie – pocieszył ją Ben. – Ja też śpiewałem mu kołysanki.

Pani Kincaid zanuciła jeszcze kilka melodii. Ben rozparł się na kanapie i z przyjemnością słuchał jej recitalu. Powtórzyła kilka razy refren „Twinkle, Twinkle, Little Star”, a potem, ku zaskoczeniu Bena, zaśpiewała: „Flintstonowie... oto Flintstonowie, nowocześni jaskiniowcy...”

Powieki Joeya zamknęły się, nim przebrzmiały ostatnie słowa. Pani Kincaid kołysała dziecko jeszcze przez chwilę, a potem ułożyła w prowizorycznym łóżeczku.

– To chyba najbardziej niezwykły zbieg okoliczności, jaki się kiedykolwiek wydarzył – stwierdził Ben, kiedy pani Kincaid wróciła do saloniku. – Pierwszego wieczora próbowałem uśpić Joeya, ale okazało się, że nie reaguje na żadne kołysanki, więc zanuciłem piosenkę z „Jaskiniowców”. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat ta melodia przysłała mi do głowy.

Pani Kincaid uśmiechnęła się.

– Nie mogę uwierzyć, że oboje pomyśleliśmy o tej samej piosence – ciągnął Ben. – Prawdę mówiąc, trudno mi uwierzyć, że ty znasz tę melodię.

Pani Kincaid zaczęła przerzucać strony czasopisma poświęconego urządzaniu wnętrz, który kupiła.

– To nie jest zbieg okoliczności – powiedziała.

– Jak to?

– Nie pamiętasz? Śpiewałam ci tę piosenkę, kiedy byłeś malutki.

Ben nie próbował zaprzeczać. Nawet jeśli nie pamiętał, na pewno była to prawda. W jego podświadomości ta piosenka została zaliczona – choć wydaje się to

nieprawdopodobne – do kołysanek.

– Dlaczego przyszło ci do głowy śpiewać?

– Ułożenie cię do snu było prawdziwym koszmarem. Co nie znaczy, że byłeś okropny dzieckiem. Wręcz przeciwnie, wszyscy cię uwielbiali. Byłeś taki mądry i zabawny. Ale nie chciałeś spać. Pewnie zdawało ci się, że jeśli położysz się spać, coś cię ominie. Nie wyobrażasz sobie, jakich podstępów musiałam się chwycić, żebyś zamknął oczy.

– Ale dlaczego „Jaskiniowcy”?

– Już nie pamiętam. Pewnie któregoś wieczora zanuciłam to w desperacji i zadziałało. To było na początku lat sześćdziesiątych. Wszyscy szaleli na punkcie Flintstonów. Oglądaliśmy ich z twoim ojcem w każdy piątek.

– Mój ojciec oglądał „Jaskiniowców”!

– Uwielbiał ich a zwłaszcza tego psiaka-dinozaura. Jak on się wabi? Dino. Ojciec szalał z radości, kiedy Dino przewracał Freda i kochał tę piosenkę. Cały czas ją podśpiewywał.

– Mój ojciec śpiewał?

– Tak. I chyba nawet grał na fortepianie.

Ben patrzył na matkę w osłupieniu.

– Ojciec grał?

– Oczywiście. Na fortepianie i na gitarze. Nie robił tego tak dobrze jak ty, bo nie miał czasu na ćwiczenia. Ale uwielbiał grać. A jak myślisz, po co stał u nas fortepian?

– To niemożliwe!

Pani Kincaid przewróciła oczami. Ben nie znosił takiej reakcji, chyba najbardziej dlatego, że sam często ją powtarzał.

– Tak, wiem. Ja jestem oziębłą matroną z wyższych sfer dbającą wyłącznie o pozory. A ojciec był bezdusznym prawomyślnym ultrakonserwatystą, którego obchodził tylko portfel. Czas w końcu wydorośleć, Benjaminie.

Ben słyszał to zdanie ostatnio trzy razy i wcale mu się nie podobało.

– Nie pamiętam, żeby ojciec kiedykolwiek wykazywał choćby najmniejsze zainteresowanie muzyką.

– Twój ojciec kochał muzykę. Ale miał też bardzo silne poczucie obowiązku w końcu musiał utrzymać żonę i dwoje dzieci. Nie wspominając o rodzicach, którzy nie mało po nim oczekiwali.

Ben nie pamiętał dziadków. Zmarli zanim skończył dziesięć lat.

– Za każdym razem, gdy siadałem do fortepianu, ojciec przypominał mi o jakimś nudnym obowiązku, że bym nie tracił czasu i wściekł się, kiedy powiedziałem, że zamierzam wybrać muzykę jako główny przedmiot w ogólniaku.

– Obawiał się, że nie zarobisz na życie. Że do niczego nie dojdiesz i będziesz wracał do nas raz po raz. Nie byłbyś pierwszym dzieckiem bogatych rodziców, któremu się nie powiodło.

– A więc te wszystkie pouczenia i klapsy były dla mojego dobra, tak?

– Myślę, że tak – odparła pani Kincaid po chwili zastanowienia. – Musisz zrozumieć, Benjaminie, ojciec nie mógł znieść myśli, że wszystkie twoje talenty pójdą na marne. On sam musiał długo walczyć, aby coś osiągnąć jako lekarz. Między nami mówiąc, nie miał nawet połowy twojej inteligencji, lecz nadrabiał to pracą. Chciał ci uświadomić twój potencjał, bo ty sam nigdy się nie nauczyłeś pracować, nie nauczyłeś się walczyć o zdobycie czegoś. I chciał mieć pewność, że będziesz umiał zarobić na siebie, że ktoś inny nie będzie musiał cię utrzymywać.

– To dość dziwne, biorąc pod uwagę jego testament.

Pani Kincaid uniosła głowę.

– To całkiem inna sprawa, dobrze o tym wiesz.

– Ojciec nie mógł pogodzić się z moją decyzją studiowania prawa zamiast medycyny. Nie mógł znieść, że nie wstąpię z dumą w jego ślady.

– Twoje rozgoryczenie cię zaślepia.

– Mówię prawdę, dobrze o tym wiesz.

– Masz rację, ojciec nie ucieszył się z twojego wyboru. Nie cenił zawodu prawnika. Ale to nie miało żadnego wpływu na zmianę testamentu.

– Nie chcę o tym mówić. – Ben wstał. – Nie wierzę, że ojciec grał na fortepianie. Nigdy nic o tym nie wiedziałem.

– Kiedyś wiedziałeś. Siedziałeś u ojca na kolanach i śpiewałeś z nim piosenki. Nie pamiętasz? Najbardziej lubiłeś „Starego dziadka”, „Trzy ślepe myszki”, „Gorącą kaszkę mannę”. Nie pamiętam wszystkich. – Zamknęła oczy i uśmiechnęła się słodko. – Byłeś najszcześliwszym dzieckiem na świecie, kiedy ojciec grał na fortepianie, a ty śpiewałeś.

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek śpiewał coś z ojcem.

Pani Kincaid potrząsnęła głową.

– Jaka szkoda. Dzięki niemu pokochałeś muzykę. To był dar twojego ojca.

Ben nie wiedział, co powiedzieć. To, co usłyszał, w żaden sposób nie pasowało do jego wspomnień. Wiedział jednak, że matka nigdy by go nie okłamała.

– No więc... co jeszcze śpiewaliśmy?

– Setki dziecinnych piosenek. A ojciec uwielbiał standardy.

Ben poczuł ściskanie w piersi, jakby coś chwyciło go za serce. Czyżby to pamięć się budziła?

– A który lubił najbardziej?

Pani Kincaid spojrzała na syna ze zdziwieniem.

– Nie pamiętasz? Taka głupiutka pioseneczka. „Sukienka w groszki i księżyc”.

Rozdział 32

– I nawet go nie zapytałeś?

– Tak nam było dobrze ze sobą, że nie chciałem wszystkiego zepsuć.

– Więc nic nie zrobiłeś?

– Na razie.

Rachela Rutheford oparła się o ścianę z Krwawą Mary w dłoni.

– Widziałeś obcego mężczyznę rozmawiającego z Abiem na rogu ulicy, zapraszającego go do samochodu, i nawet nie spytałeś syna, kto to był? Co z ciebie za ojciec?

Cisnęła szklanką, która przeleciała przez cały pokój i roztrzaskała się o ścianę.

– Chciałem być dobrym ojcem – powiedział niepewnie Hal Rutheford. Co za fatalny początek dnia. Ledwie wstali ze swych osobnych łóżek, a już się kłócili. – Dlatego nic nie mówiłem. Dobrze się bawiliśmy. Rozumieliśmy się. Nie chciałem tego niszczyć policyjnym przesłuchaniem.

– A jeśli ten człowiek wróci? Co wtedy?

– Ciszej. Abie już się pewnie obudził. Może nas usłyszeć.

Abie rzeczywiście słyszał każde słowo. Już dawno zauważył, że rodzice nie zdają sobie sprawy, jak głośno krzyczą a kiedy przykucnął obok wentylatora w łazience, słyszał każde słowo, które wypowiadali na dole.

– Nie pozwolę, żeby mojemu synowi stało się coś strasznego, Hal. Zbyt wiele nas kosztowało, żeby go zdobyć. To wszystko nie może pójść na marne.

– Rachelo, przesadzasz ponad wszelką miarę.

– Skąd wiesz? – Stała tak blisko, że czuł zapach alkoholu z jej ust. – Odpowiedz mi, panie wszystkowiedzący. Skąd możesz wiedzieć?

– Jeśli to cię zadowoli, porozmawiam z Abiem – westchnął Rutheford. Bardzo nie chciał tego robić. Spędzili z synem naprawdę przyjemne popołudnie, najpierw na meczu, a potem w cukierni, jedząc lody. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuł, że sytuacja w rodzinie zmierza ku lepszemu. Ale żona postanowiła popsuć wszystko, co udało mu się zbudować.

– Czy muszę to zrobić teraz? Od razu?

Rachela wbiła w męża spojrzenie.

- A na co chcesz czekać? Aż będzie za późno?
- Jak chcesz, suko – odparł Rutheford i powlókł się niechętnie na górę.

Abie słyszał kroki ojca. Wstał od otworu wentylatora i udał, że właśnie wychodzi z łazienki. Spotkał ojca w holu.

- Cześć, tato. Zagramy w kosza?
- Nie, synku. Nie teraz. Muszę... zadać ci kilka pytań, zgoda?

Abie próbował wyminąć ojca.

- Nie jestem w nastroju.

Rutheford położył ręce na ramionach syna.

– Przykro mi, synku. Nie możemy odkładać tego dłużej. Kim był mężczyzna, z którym rozmawiałeś, kiedy po ciebie przyjechałem?

- Jaki mężczyzna?

Abie nie wiedział dokładnie dlaczego, ale nie chciał mówić ojcu o Samie. Po pierwsze, Sam o to właśnie prosił. Po drugie, to wydawało się jakieś... niewłaściwe. Był pewien, że ojciec nie zrozumie i zrobi z całej sprawy nie wiadomo co.

- Nie wiem, o czym mówisz.
- Daj spokój, Abie. Widziałem, że z nim rozmawiasz. Kto to był?

Abie próbował wyśliznąć się z uchwytu ojca.

- Po prostu przyjacielem. Daj mi spokój.

Ojciec nie wypuścił Abiego.

- Jak poznałeś tego przyjaciela?

– Uratował mnie przed dwoma osiłkami ze szkoły.

– Osiłkami? Nic o tym nie wiem. Kiedy to się stało?

– Co za różnica? Sam znalazł się tam wtedy, kiedy go potrzebowałem. Nie tak jak ty!

Abie wyrwał się i próbował uciec, ale ojciec złapał go za ramię i odwrócił.

– Posłuchaj, synku. Może ci się to nie podoba, ale jestem twoim ojcem i kiedy zadaję ci pytanie, oczekuję odpowiedzi.

- Puszczaj!
- Najpierw powiesz mi wszystko o tym... Samie.
- Nic ci nie powiem! Nienawidzę cię!

Rutheford przestał nad sobą panować. Wszystko się do tego przyczyniło – Abie, Rachela, alkohol...

Nagle ogarnęła go wściekłość. Zamachnął się i uderzył Abiego z całej siły.

Głowa chłopca odskoczyła gwałtownie, jak gdyby za chwilę miała oderwać się od szyi. Upłynęła dłuższa chwila, nim Abie odzyskał zdolność mówienia.

- Nienawidzę cię! – krzyknął na cały głos. – I zawsze będę cię nienawidził!

Z taką samą złością, z jaką przed chwilą uderzył go ojciec, Abie doskoczył do ojca i ugryzł go w rękę. Ruheford wrzasnął z bólu. Abie pomknął schodami w dół.

Minął matkę w salonie, ale się nie zatrzymał. Nie obejrzał się; wiedział, że ojciec jest tuż za nim. Widział wyraz jego twarzy. Był pewien, że jeśli ojciec go dogoni, stanie się coś strasznego.

Abie wybiegł z domu i popędził przez szeroki, doskonale utrzymany trawnik. Kiedy dobiegał do żywopłotu, mignęła mu znajoma twarz.

– Sam! – zawołał. Przepęłniła go taka radość i ulga, że gotów był krzyczeć. Podbiegł do mężczyzny i uściśnął go za kolana. – Skąd się tutaj wzięłeś?

– Przyniosłem ci tornister. Zostawiłeś go wczoraj w moim samochodzie. Jesteś przerażony. Co się stało?

– Ojciec uderzył mnie i zrobi to jeszcze raz. On mnie zabije!

– Nie pozwolę mu na to – powiedział zdecydowanie Sam. – Chodź ze mną.

Abie obejrzał się. Ojciec nie wyszedł jeszcze z domu. Może mama go zatrzymała. Tak czy inaczej, nie było czasu do stracenia.

Złapał Sama za rękę.

– Dokąd pójdziemy?

– Zaparkowałem wóz na ulicy. Zabiorę cię stąd.

Pobiegli.

– Tak się cieszę, że przyjechałeś – powiedział Abie zdyszany, kiedy znaleźli się w samochodzie. – Uratowałeś mnie przed łobuzami a teraz znów mnie ratujesz.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Nie bój się. Nie pozwolę ojcu cię skrzywdzić.

Abie uwierzył. Czyż Sam nie znajdował się zawsze we właściwym miejscu właśnie wtedy, kiedy Abie potrzebował przyjaciela? Nie tak jak ojciec.

– Jesteś super.

– Dzięki. Ty też. – Mężczyzna strzelił palcami. – Znam miejsce, gdzie można się świetnie pobawić. Co ty na to?

– Zrobię wszystko, co chcesz – odparł Abie.

– Miło mi to słyszeć – powiedział mężczyzna mrugając okiem. – Naprawdę miło.

Rozdział 33

Ben zatrzymał się rano koło biura, by sprawdzić, jakie postępy zanotowali współpracownicy, jeśli w ogóle. Christina przygotowywała dowody rzeczowe i materiały do przesłuchania świadków. Ben nie prosił jej o to, ale z ulgą stwierdził, że się wzięła do tej roboty. Obawiał się, że nie zdąży się odpowiednio przygotować do samego procesu, zwłaszcza że większość czasu spędzał na dochodzeniu, lecz widząc, ile cennej i trudnej pracy wykonała Christina, odzyskał nadzieję.

Jones zebrał informacje z prasy i innych źródeł pisanych. Umieścił wycinki w specjalnym segregatorze. Gdyby byli w liceum, z pewnością dostałby za to piątkę. Także zawartość teczek była pierwszorzędna. Sekretarz Bena znalazł nawet komentarz do nagrania wideo w lokalnych wiadomościach, a także sporządził chronologiczny zbiór faktów i informacji.

Ben dopisał ołówkiem kilka ważnych informacji, które zebrał w ciągu kilku ostatnich dni. Rodziły wiele pytań, lecz nie dawały żadnych odpowiedzi.

Wychodząc z biura, wpadł na Lovinga.

– Jak tam śledztwo?

– Nieszczęśliwie, szefie. Dotarłem do wszystkich potencjalnych świadków, których znaleźli Jones i Christina. Próbowałem z nimi rozmawiać. Nie są zbyt chętni do współpracy.

– Powiedzieli coś?

– Jeszcze nie. Zdawało mi się, że jedna kobieta coś wie, ale nie chciała ze mną rozmawiać.

– Pracuj nad nią i nad innymi też.

Loving zacisnął potężne pięści.

– Mam kogoś stuknąć?

– Nie, przynajmniej na razie. Ale byłbym ci wdzięczny, gdybyś sprawdził faceta nazwiskiem Ronald Pearson. – Ben pokrótce opowiedział o kapitanie. – Przyszło mi na myśl, że mógłbyś pogadać z którymś ze swoich kumpli, którzy od czasu do czasu parają się nie całkiem legalnymi interesami.

– To znaczy oszustami.

– Tak jakby. Sprawdź, czy wiadomo im coś o przerzucie narkotyków z Peru.

I czy wiedzą, co może łączyć Pearsona z gangiem ulicznym z północnej dzielnicy.

Loving zmrużył oczy.

– To zła wiadomość, szefie. Jeśli chcesz z nimi zadrzeć, będę musiał cię pilnować, bo nie chcę, żeby przytrafiło ci się coś złego.

Ben uśmiechnął się. Każdy chciałby mieć studwudziestokilogramowego wielbiciela.

– Nic mi nie będzie, Loving. Rozejrzyj się. Jak coś będziesz miał, daj od razu znać.

Ben zastał Mike'a w głównej komendzie policji. Mike siedział zgarbiony nad stosem papierów; z ust sterczała mu wykałaczka. Oparł głowę na rękę, a w drugiej miał niepotrzebną kartkę papieru.

– Jak idzie? – spytał Ben.

– Jak krew z nosa – odparł Mike. – Mam tyle... – przerwał nagle. – Gdzie ty byłeś?

– Słucham?

– Jesteś czerwony jak burak.

– Nie rozumiem.

– Musiałeś być długo na słońcu!

– A, tak. Trochę wczoraj poćwiczyłem.

– Ty? Zdawało mi się, że twoją jedyną gimnastyką jest wchodzenie po schodach do mieszkania.

– Poszerzam moje horyzonty.

– Aha. – Mike wyprostował się na krześle. – Co robiłeś? Grałeś w krykieta?

– w golfa.

– Ty? w golfa?

– To wcale nie jest takie trudne.

– Tak, ale trzeba przebywać na powietrzu, rozgrzać się, a nawet spocić.

– Lubię przebywać na świeżym powietrzu, gdybyś nie wiedział.

Mike zachichotał.

– Julia opowiadała, że kiedy byłeś mały, rodzice musieli zostawiać cię na zewnątrz i zamykać drzwi, żebyś się trochę pobawił na podwórku a ty i tak stawałeś pod drzwiami i płakałeś, żeby wpuścili cię z powrotem.

– To było dawno. Nie jestem aż takim mięczakiem, za jakiego mnie masz.

Mike snuł dalej wspomnienia.

– Julia położyła kiedyś plastikowe wymiociny na twoim komiksie. Płakałeś podobno godzinami. Nawet kiedy pokazała ci, że to tylko żart.

Ben zakrztusił się.

- Zawsze dbałem o swoje książki.
 - Innym razem pokazała ci rozgnieczonego ziemniaka i powiedziała, że to oko psa sąsiadów.
 - Nadal nie uważam tego za zabawne.
- Mike klepnął się po kolanach.
- A najlepsze było to, jak powiedziała ci, że rysy na twoich płytach znikną, kiedy wsadzisz je do piekarnika...
 - Czy moglibyśmy przejść do rzeczy?
 - Jak sobie życzysz, druhu.
 - Wielkie dzięki. Słyszałeś coś nowego o dochodzeniu prokuratury w sprawie Leemana Hayesa?
 - Oficjalnie nie pracuję przy tej sprawie. Ale mogło się tak zdarzyć, że przypadkowo podsłuchałem Bullocka, kiedy zbyt głośno opowiadał o dochodzeniu w kolejce na stołówce.
 - I co podsłuchałeś?
 - Bullock przechwala się, że przejął sprawę i zaangażuje wszystkich swoich najlepszych ludzi, żeby ją wygrać.
 - Świetnie. To właśnie chciałem usłyszeć.
 - Uważaj na niego, Ben. On ma wielu ludzi i wie, jak zrobić z nich użytek.
 - Dam z siebie wszystko. Jakieś dokładniejsze informacje?
 - Podobno chce cię zaskoczyć jakimś świadkiem.
 - Ach, dlatego tak opóźnia przekazanie mi listy świadków. Wiesz, kto to będzie?
 - Niestety.
 - A co powie ten świadek?
 - Też nie wiem. Ale widziałem na komendzie formularz, z którego wynikało, że Bullock ściąga dużo starych policyjnych raportów. Czy twój człowiek ma kartotekę?
 - Chyba nie. – Ben z przerażeniem zdał sobie nagle sprawę, że tego nie sprawdził. – Trzeba się tym zająć.
 - Trzeba.
 - Coś jeszcze?
 - Niestety. Kolejka na stołówce przesuwa się szybko.
- Ben skinął głową.
- Dzięki za pomoc. Nadal szukasz tego pedofila?
 - Jeśli czas pozwala. Blackwell, mój szef, kazał mi się teraz zająć gangami młodzieżowymi.
 - Gangami młodzieżowymi? Ty?
 - A co myślałeś? Że przez cały dzień przesuвам papiery z miejsca na miejsce?
 - Nie, ale zdawało mi się, że od czasu do czasu prowadzisz śledztwa w sprawie

morderstw...

– Tak się nieszczęśliwie składa, że ostatnio zdarzyło się kilka zabójstw związanych z działalnością gangów a teraz, kiedy zostałem przełożonym wydziału, cały ten bałagan spada na mnie. Blackwell powtarza, że musimy wspólnymi siłami przeciwstawić się zagrożeniom dla życia rodzin. Bóg mi świadkiem, że jeszcze nigdy nie było gorszych czasów dla rodziny niż teraz.

Ben pomyślał, że może poświęcić na tę rozmowę jeszcze kilka minut. Przyniósł krzesło do biurka.

– Skąd się wzięły gangi młodzieżowe?

– Chodzi ci o zarys historyczny? Dorosłe gangi istniały na świecie od zarania cywilizacji i nadal istnieją. W końcu mafia to też wielki gang dorosłych. Ludzie bardzo wcześnie zauważyli, że w liczebności siła a najszybciej przyswajają tę lekcję ci, którzy pojedynczo niewiele znaczą: biedacy i mniejszości etniczne.

– I dzieci.

– Otóż to. Historia współczesnych gangów rozpoczęła się po drugiej wojnie światowej. Gangi tworzyły się zgodnie z podziałami etnicznymi i rasowymi, chociaż nie zawsze. Idea sama w sobie nie była zła – gangi dawały młodym ludziom poczucie tożsamości, poczucie siły. Niestety, w którymś momencie niektóre z tych grup postanowiły poprawić tę sytuację za pomocą przestępstwa i przemocy.

– To fascynujące, Mike, ale moje pytanie dotyczyło gangów w Tulsie.

– W porównaniu z innymi miastami sytuacja nie jest u nas najgorsza, choć gangi oczywiście istnieją w Chicago na przykład znanych jest czterdzieści takich grup, które liczą ogółem dwadzieścia osiem tysięcy członków. Wiem o czterech gangach w Tulsie, do których należy kilkuset młodych ludzi. Mimo to nie ma powodów do śmiechu.

– Kto nimi kieruje?

– Zazwyczaj jakiś starszy, doświadczony człowiek, który odgrywa rolę nieustraszonego przywódcy i wyznacza kierunki działań. Zapewnia broń, organizuje działalność.

– Członek tej samej mniejszości etnicznej?

– Niekoniecznie. Znane są przypadki, że biali dowodzą czarnymi gangami albo czarni – gangami hiszpańskojęzycznymi. Jeśli uda im się zdobyć zaufanie członków grupy i zapewnić sposoby zarobienia szmalu, to czemu by nie?

– Czy przywódcy muszą mieć jakieś specjalne kwalifikacje?

– Najważniejszą rzeczą, jakiej potrzebuje lider, są pieniądze na zapewnienie działalności.

– A więc trzeba szukać bogatego faceta.

– Najczęściej. Masz kogoś na myśli?

Bogaty człowiek mający powiązania z gangiem. Człowiek, któremu potrzebne są liczne ręce w najuboższych dzielnicach miasta.

Ręce do rozprowadzania narkotyków z importu.

– Być może – odparł Ben. – Ale muszę jeszcze sprawdzić.

– Jak chcesz. Z przyjemnością wsadziłbym za kratki jednego z tych sukinsynów.

Ben wyjął z teczki notatnik i szybko nakreślił wzór.

– Parę dni temu widziałem chłopaka w czerwono-czarnej kurtce ze swastyką wpisaną w serce.

– Diabły z Piętnastej Ulicy – wyjaśnił Mike. – Miał jakiś koncentryczny wzór z przodu? i duże D?

– Tak.

– Na pewno z Diabłów. To bez wątpienia najniebezpieczniejszy gang w mieście.

A jeden z nich spotyka się z Joni.

– Czym się zajmują?

– Pamiętasz strzelaniny z samochodów w zeszłym miesiącu?

Ben skinął głową.

– Uważamy, że to ich sprawka. Nie możemy tego udowodnić, ale tak właśnie myślimy. Są też zamieszani we włamania i rozprowadzanie narkotyków w szkołach. Nawet podstawowych.

– Zagranicznych narkotyków?

– Przeważnie. Jedynym wyjątkiem jest kompot z Oklahomy. Rzecz w tym, że ich lokalni rywale, Kobry, kontrolowali handel narkotykami w północnej dzielnicy i nie są zachwyceni konkurencją. Jeśli nie odetniemy szybko dopływu narkotyków dla Diabłów, oba gangi skoczą sobie do gardeł i wielu chłopaków zginie.

– W jakim są wieku?

– Różnie. Przeważnie od szesnastu do dwudziestu lat. Ale widziałem też dziesięciolatków.

– Dziesięcioletni gangsterzy! Chyba żartujesz.

– Ani trochę. Gangi wyszukują i rekrutują dzieci w wieku dziesięciu, jedenastu lat. Potrzebują ich.

– Boję się pytać, ale muszę. Do czego?

– Ale z ciebie detektyw, Ben. Nie umiesz zgadnąć? Jeśli policja złapie takiego dzieciaka, potraktuje go łagodniej niż nastolatka, a o wiele łagodniej niż dorosłego. Kiedy gangi wyruszają na akcję, często oddają narkotyki i broń dziesięciolatkom, żeby uchronić przywódców i starszych członków od aresztowania.

– Więc dziesięcioletni chłopak zostaje aresztowany pod zarzutem popełnienia poważnego przestępstwa. Piękne wejście w życie. Coś straszego.

– Nie musisz mi o tym przypominać. Wyrwam sobie nad tym włosy z głowy od

dnia, kiedy po strzelaninie u Brady'ego na chodniku zostało trzech martwych chłopców.

Zadzwoił telefon. Mike podniósł słuchawkę. Milczał przez dłuższą chwilę.

– Niech to szlag. – Zapisał adres w notesie. – Cholera.

– Co się stało? – spytał Ben, kiedy Mike odłożył słuchawkę.

– Zmiana planów. Nieznany mężczyzna uprowadził chłopca. Widziano go w szarym sedanie, ale nie udało się ustalić numeru samochodu. Jadę.

Mike złapał kurtkę.

– Czy to ma związek z tym pedofilem?

– Bardzo możliwe. Na razie wiem tylko tyle, że porwano dziecko cholernie bogatych rodziców, mieszkańców Utica Hills. Nazywają się Rutheford.

Ben otworzył szeroko oczy.

– Chodzi o Abiego Rutheforda, syna Harolda i Racheli?

Mike zerknął do notesu.

– Zgadza się. Znasz ich?

Ben chwycił swoją teczkę.

– Jadę z tobą.

Rozdział 34

Drillersi nie grali tego dnia, więc mężczyzna w rudej peruce musiał wymyślić inną rozrywkę, aby zdobyć przychylność Abiego. Nie mógł tak od razu zabrać chłopca do mieszkania. Abie go lubił i ufał mu, ale być może nie dość, żeby zgodzić się na to, czego pragnął nieznajomy.

Jeszcze nie.

Abie wpadł na pomysł, aby pojechać do małego wesołego miasteczka Celebration Station przy skrzyżowaniu Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy i Yale. Były tam samochodziki, gry komputerowe i pizza – w sam raz do zajęcia uwagi dziesięcioletniego chłopca na kilka godzin. Szkopuł w tym, przynajmniej z punktu widzenia mężczyzny w peruce, że miasteczko cieszyło się olbrzymią popularnością.

– Naprawdę możemy tam pójść, Sam? – spytał podniecony Abie. – Byłoby wspaniale.

– Nigdy nie byłeś w wesołym miasteczku?

– Nie. Tata nie chciał mnie zabrać. Poszliśmy kiedyś do wesołego miasteczka Bell i wcale mu się to nie spodobało. Powiedział” „Nigdy więcej”.

– Naprawdę? Uwielbiam Bella. Chodziłbym tam bez przerwy, gdybym miał prawdziwego przyjaciela, który chciałby mi towarzyszyć. Może ty zechcesz być moim przyjacielem?

Abie spojrzał na nieznajomego z zachwytem.

– Twój ojciec nie zna się na dobrej zabawie – rzekł Sam.

– Powiedz to jeszcze raz.

– Dzisiaj zaliczymy Celebration Station, a jutro odwiedzimy Bella.

Sam ruszył niechętnie w stronę wesołego miasteczka w takich publicznych miejscach, myślał, nikt właściwie nie zwraca uwagi na innych a nawet jeśli, to co? Będą wyglądać z Abiem jak ojciec i syn. A nawet gdyby jakimś cudem ktoś zorientował się, że coś tu jest nie w porządku, i tak nie zdołają go zidentyfikować. Policja dostanie opis śmiesznego faceta o kręconych rudych włosach, noszącego okrągłe okulary. Sam był bezpieczny.

– Popływamy na łódkach? – spytał Abie.

Mężczyzna czuł bliskość chłopca, słodki zapach jego ciała. Serce zabiło mu

mocniej z podniecenia.

Pływali łódkami, potem jeździli samochodzikami i gokartami. Zabawa polegała na tym, żeby zderzać się jak najmocniej z innymi pojazdami. Sam znosił to wszystko z uśmiechem. Po każdej przejażdżce Abie patrzył na niego z coraz większym uwielbieniem.

Chłopiec pobiegł się napić do fontanny. Obaj się zgrzali, gruczoły potowe pracowały na najwyższych obrotach.

Kiedy Abie pochylił się nad fontanną, mężczyzna dotknął ręką jego pachy. Podniósł palce do ust i posmakował potu.

Poczuł nagłe swędzenie w kroczu. Wiedział, że nie wytrzyma już długo. To musi być dzisiaj i to szybko.

Im szybciej, tym lepiej.

Nim zaliczyli drugi raz wszystkie atrakcje, mężczyzna w rudej peruce wiedział, że ulotniły się wszelkie zahamowania Abiego wobec rozmów z obcymi. Dlaczego właściwie miałyby go dotyczyć? Wszak nie był już nieznajomym, tylko najlepszym przyjacielem Abiego.

– Chcesz loda?

Abie odpowiedział z właściwym sobie entuzjazmem w drodze do wózka z lodami złapał przyjaciela za rękę.

Teraz Sam już wiedział, że chłopiec jest gotów.

Staruszek siedzący w wózku spoglądał na nich jednym okiem.

– Czym mogę panom służyć?

– Dwa lody.

Staruszek przyglądał się im bardzo dokładnie. Zbyt dokładnie.

– Jaki smak?

– Ja... Abie, jakiego chcesz loda?

– Wiśniowego!

– Dwa wiśniowe.

Sprzedawca okręcił się na stołku, nałożył dwie porcje do papierowych stożków i posypał sproszkowanym aromatem.

Sam wziął lody i niepostrzeżenie dotknął jednego z nich białym proszkiem, który trzymał w prawej dłoni.

– Ile jestem panu winien? – spytał.

– Hm... – Staruszek podrapał się po brodzie, a potem skinął głową w stronę Abiego. – Czy on jest lwem?

– Czym?

– Lwem. Czy urodził się w tym miesiącu? Jeśli tak, dostaje loda za darmo.

Sam zmarszczył brwi i zerknął na Abiego. Chłopiec potrząsnął głową.

– Niestety, nie. Płacę za oba lody.

Podał Abiemu lody z domieszką. Skierowali się do samochodu.

– Dobrze się bawiłeś, Abie?

– Czy się dobrze bawiłem? Fantastycznie! Dziękuję. – Zawahał się. – Było wspaniale, ale może powinienem zadzwonić do rodziców.

Sam miał dość doświadczenia, aby spodziewać się tego pytania.

– Chcesz do nich zadzwonić?

– Nie za bardzo. Ale nie chcę, żeby się martwili. Zwłaszcza mama.

– Uspokój się. Już do nich dzwoniłem.

Abie patrzył na Sama ze zdumieniem i ulgą.

– Naprawdę?

– Tak. Kiedy jeździłeś drugi raz samochodem. Rozmawiałem z mamą. Zgodziliśmy się, że najlepiej będzie, jeśli spędzisz ten dzień ze mną. Twój tata będzie miał czas, żeby ochłonać.

– Mama pozwoliła?

– Tak. Nie miała nic przeciwko temu.

– Świetnie! – Abie ujął znów dłoń mężczyzny. – Dokąd teraz pojedziemy? Do Bella?

– Prawdę mówiąc, znam lepsze miejsce do zabawy – rzekł Sam otwierając samochód. – Bardzo przyjemne, prywatne.

– Czy dla mnie też znajdzie się tam coś do roboty?

– Ależ tak – odparł Sam z zapalem. – Przede wszystkim dla ciebie. Pokażę ci wspaniałe, niezwykle zabawy. Będziemy robić rzeczy, jakich nigdy jeszcze nie robiłeś.

– Przyjemne rzeczy?

Mężczyzna przymknął oczy.

– Rozkoszne.

– Świetnie. Jedźmy tam.

– No to jedziemy.

Kiedy ruszał z parkingu, serce omal nie pękło mu ze szczęścia.

Rozdział 35

Ben oparł się o tablicę samochodu Mike'a.

– Nie mógłbyś trochę zwolnić?

Mike patrzył prosto przed siebie, trzymając mocno kierownicę.

– Nie – odparł uprzejmie.

– Wiem, że twardy z ciebie glina. Znam cię od lat. Masz mocne pięści i nie wylewasz za kołnierz. Nie musisz mi niczego udowadniać przekraczając samochodem barierę dźwięku!

– Śpieszy mi się – mruknął Mike.

Szarpnął kierownicą, by wziąć ostry zakręt w lewo. Mike czuł, jak koła odrywają się od jezdni.

– Zwolnij! Mówię poważnie. – Protestowałby dalej, ale widział, że nie robi to Mike'u najmniejszego wrażenia. – Dokąd się tak śpieszysz?

– Porwano chłopca. Czy to nie jest wystarczający powód?

Sytuacja była poważna, lecz to nie tłumaczyło szaleńczej jazdy ani ponurego nastroju Mike'a po odebraniu telefonu.

– Podejrzewasz, że to sprawka tego pedofila, prawda? Tego, który morduje chłopców.

– Nigdy nie wysuwam hipotez, dopóki nie poznam faktów.

– Ale przeczuwasz, że tak jest?

– Jeden ze świadków widział szarego sedana odjeżdżającego na pełnej szybkości w pobliżu miejsca, gdzie przejechano tego chłopca, ostatnią ofiarę tego mordercy a Rutheford zauważył, że jego syn też wsiadał do szarego sedana.

– To mógł być zbieg okoliczności.

Nie zwalniając ani odrobinę, Mike odwrócił powoli głowę do Bena. Zdawało się, że chce wzrokiem wypalić mu dziury w czole. Po chwili znów patrzył przed siebie.

– Co wiadomo o tym chłopcu przejechanym na ulicy?

– Zmarł dzisiaj przed szóstą rano. Nie odzyskał przytomności – powiedział spokojnie Mike. Jednak Ben nie dał się zwieść. – Rodzice czuwali przy łóżku przez kilka dni, ale nie udało im się zamienić z synem ani słowa. Nawet się nie pożegnali.

Ben zamilkł na dłuższą chwilę.

– Czy bardzo... cierpiał?

– Po uderzeniu przez samochód? – Mike poruszył kierownicą i wjechał na środkowy pas, nabierając prędkości szybciej, niż wydawało się to możliwe. – Trudno powiedzieć. Nie wiadomo właściwie, czy cierpi się w stanie śpiączki. Ale przedtem... – Mike wziął głęboki oddech. – Został zgwałcony. Analnie. Ten pedofil... robił z nim straszne rzeczy. Torturował to biedne dziecko.

Ben zamilkł.

– Lekarz sądowy twierdzi, że trwało to godzinami. Może nawet przez kilka dni w końcu udało mu się zbiec. W nagrodę został przejechany przez samochód... Im prędzej porozmawiam z Ruthefordami, tym szybciej wpadnę na trop tego drania – ciągnął Mike. – a im świeższy trop, tym większe szanse powodzenia. – Zerknął na Bena. – Rozumiesz teraz?

Ben skinął głową.

– Do dechy.

Abie patrzył, jak Sam wkłada klucz w zamek i otwiera drzwi. Próbował obserwować otoczenie, orientować się, gdzie jest i co się wokół niego dzieje, ale był strasznie senny, oczy same mu się zamykały. Nie potrafił już skupić na niczym wzroku, wszystko zlewało się w jedną mglistą plamę, jak wtedy, gdy założył okulary ojca.

Sam przeciągnął chłopca przez drzwi.

– Zaczekaj tutaj. Wezmę tylko kilka rzeczy i zaraz wrócę a potem będziemy się doskonale bawić. Obiecuję. Na pewno ci się spodoba. Okey?

– Okey, Sam.

Abie osunął się na biały leżak i położył tornister na kolanach. Czuł się taki ciężki. Nie wiedział, czym mógł się tak zmęczyć.

Z sąsiedniego pokoju dochodził jakiś hałas. Sam szukał czegoś w garderobie. Nieważne. Abie oparł głowę i zamknął oczy. Nadal słyszał dziwne stukanie. Co to dźwięk? Mniejsza z tym. Był zbyt zmęczony, żeby o tym myśleć.

Zaczął sobie przypominać, co robili. Co go tak zmęczyło? Poszedł spać o zwykłej porze, nie robił niczego nadzwyczajnego. Przecież nie zmęczył się pływaniem na łódkach, jazdą samochodzikami i gokartami a jednak był kompletnie bez sił. Czuł się tak właściwie od chwili, gdy...

Otworzył oczy.

Lody.

Czy to możliwe...? Słyszał o takich rzeczach w telewizji i w kinie. Narkotyki, środki usypiające. Ale przecież w prawdziwym życiu to się nie zdarza.

Naprawdę się nie zdarza?

Poczuł nerwowy dreszcz przebiegający po całym ciele. Rozbudził je, przywrócił do życia.

Co właściwie wie o tym Samie? Czy to możliwe, że Sam... nie jest prawdziwym przyjacielem? Czy to możliwe...?

Abie podniósł się i zatrzymał jak pijany. Gdzie jest Sam? Chciał mu zadać kilka pytań.

Jakoś trafił do drzwi i otworzył je. Nie tutaj. Sama nie było w pokoju. Już miał je zamknąć, kiedy zauważył coś dziwnego na przeciwnej ścianie. Jakaś dziwna, kolorowa tapeta, a może coś innego? Widział jak przez mgłę.

Wszedł do pokoju i zbliżył się do ściany. To były zdjęcia, wycięte i przyklejone do ściany.

Na wszystkich fotografiach widać było małych chłopców.

Niektóre zdjęcia wyglądały, jakby wycięto je z kolorowych magazynów, ale większość była prawdziwa. Zdjęcia szkolne lub pozowane fotografie rodzinne, z których ktoś usunął wszystkie osoby oprócz małych chłopców. Abie rozpoznał kilku z nich: byli to synowie członków klubu golfowego. Ciekawe, jak Sam zdobył te zdjęcia.

Raptem Abie zauważył wspólną cechę chłopców z fotografii.

Wszyscy byli w jego wieku, wszyscy mieli ciemną cerę, brązowe oczy i ciemne włosy. Tak samo jak Abie.

Dokładnie tak samo.

I wtedy Abie zauważył najgorszą rzecz. Twarz na fotografii w samym środku była bardzo znajoma.

To był on sam.

Abie cofnął się. To zdjęcie zostało wykonane kilka tygodni temu w klubie. Rodzice nie kupili ani jednego. Skąd się wzięło u Sama?

Nagle Abie uświadomił sobie coś, co zadźwięczało w jego oszołomionym umyśle jak dzwon.

Kiedy się po raz pierwszy spotkali, Sam zachowywał się, jakby nie znał Abiego. Teraz jednak Abie wiedział, że to nieprawda, bo Sam miał jego zdjęcie na ścianie.

Sam go szukał.

Słaniając się na nogach, Abie wyszedł z pokoju. Stawiał kroki coraz szybciej, gdy nagle...

Wpadł na coś.

Odwrócił się i z przerażeniem zobaczył, że to Sam.

Jak długo stał ze jego plecami?

– Co ty tu robisz?

Abie cofnął się. Nigdy przedtem Sam nie mówił do niego takim tonem a w jego

oczach było coś, czego Abie wcześniej nie widział.

Coś strasznego.

– Kazałem ci czekać w tamtym pokoju!

– Ja... ja... – jękał się Abie. Co miał powiedzieć? Co zrobić? – Pomyliło mi się.

– Co ci się pomyliło?

Jakiś wewnętrzny głos podpowiedział Abiemu, że nie musi mówić Samowi o wszystkim, co zauważył.

– Szukałem łazienki. Przepraszam w głowie mi się kręci. Zmęczyłem się.

Na twarzy Sama błąkał się nikły uśmiech.

– Tak? No dobrze. Tam jest materac. Położymy się razem.

– Proszę pana, ja...

– Sam. – Mężczyzna położył ręce na ramionach Abiego. – Mów do mnie Sam.

Abie próbował się uwolnić.

– Nie chcę nigdzie z tobą iść.

– Dlaczego?

– Nie chcę i już. Jestem zmęczony. Poza tym jestem pewien, że rodzice się o mnie niepokoją.

– Co się stało, Abie? Już mnie nie lubisz?

– Lubię! Naprawdę. Tylko... tak jakoś. Mama czasami tak bardzo się martwi.

– Wszystko będzie dobrze, Abie. Dzisiaj jest dzień zabawy. – Ruszył w stronę drzwi, ciągnąc za sobą Abiego. – Pójdziemy się teraz pobawić.

Abie próbował stawiać opór, lecz nie miał siły. Chciał krzyczeć, ale nie mógł. Poza tym bał się, że Sam zrobi mu coś złego, jeśli zacznie wzywać pomocy. Złapał tornister i pozwolił się wywlec z pokoju.

Nie miał wyboru. Obawiał się, że w każdej chwili może zasnąć i wiedział, że nie może mierzyć się z Samem.

Był bezbronny.

Rozdział 36

Dworek Ruthefordów był jednym z najokazalszych w Utica. Znajdował się niedaleko Philbrook i zdaniem Bena dorównywał, a nawet przewyższał urodą starą rezydencję. Oba dworki zaprojektowane zostały w stylu renesansowej willi z cegły i kamienia.

Trawnik przed domem był dopracowany w najmniejszym szczególe. Długie, wysokie żywopłoty biegły od ulicy do ganku. Na grządkach kwiatowych rosły azalie, krzewy różane oraz inne kwiaty, pięknie dobrane wedle koloru. Ben zauważył dwóch ogrodników przy pracy, ale podejrzewał, że jest ich więcej.

Rad był, że przyjeżdża tu z policjantem. Gdyby przyszedł sam, pewnie by go nie wpuszczono lub skierowano do kuchennych drzwi. Albo zastrzelono.

Drzwi otworzyła służąca, starsza Murzynka. Ubrana była w czarną bluzkę, spódnicę i biały fartuch z falbankami.

– Porucznik Morelli – przedstawił się Mike. – Chcę się widzieć z państwem Rutheford.

Podał służącej wizytówkę, ale jej nie przyjęła.

– Proszę iść za mną.

Odwróciła się nieco znużonym, lecz pełnym godności ruchem. Wnętrze willi zdobiły liczne lustra i pastelowe światła. Wszystko utrzymane było w ciepłych kolorach. Wspaniały dom Kincaidów w Nichols Hills wyglądał przy tej rezydencji jak klitka Hayesa. Ten pałac świadczył o olbrzymim majątku, z którego można czerpać do woli.

– Państwo czekają w saloniku – powiedziała służąca wskazując korytarz.

Zniknęła za wahadłowymi drzwiami. Kuchnia albo przechowalnia naczyń stołowych, pomyślał Ben. Kobieta usiadła na taborecie przed małym czarno-białym telewizorem. Na ekranie widać było jednego ze sławnych kaznodziei telewizyjnych, których Ben nigdy nie mógł rozróżnić.

Salonik, jak go nazwała służąca, bogactwem zapierał dech w piersiach. Takie pokoje jak ten znajdowały się tylko w pałacach. Wszystkie ściany wyłożone były od góry do dołu mahoniem oprócz jednej, którą stanowiła olbrzymia półka z książkami. Snopy światła wpadały do środka z dwóch szeregów małych, wysoko

umieszczonych okien. Ścianę powyżej okien zdobiły kasetony z ludzkimi głowami oraz kilka nowoczesnych obrazów. Ben nie miał wątpliwości, że są to oryginały.

– Państwo Rutheford, jak rozumiem.

Głos Mike'a wyrwał Bena z zadumy. Rutheford stał przy kominku. Rachela siedziała zapłakana obok na fotelu.

Rachela zauważyła Bena, kiedy Mike witał się z Ruthefordem.

– Nie wiedziałam, że pan Kincaid jest związany z policją – powiedziała ocierając łzy. – Czy nie powinien pan uprzedzić o tym osoby, które przesłuchuje?

– Nie pracuję w policji – wyjaśnił szybko Ben. – Byłem przypadkiem w biurze porucznika Morellego, kiedy odebrał państwa telefon. Rozpoznałem nazwisko, więc przyjechałem. Może będę mógł jakoś pomóc.

Harold Rutheford obrzucił Bena uważnym spojrzeniem. Wyraźnie był niechętny jego obecności. Ale dlaczego?

– Proszę mi powiedzieć, co się stało – zaczął Mike. – Im szybciej dowiem się o wszystkim i zabiorę do pracy, tym większe będą szanse odnalezienia państwa syna.

– Szanse? – odezwał się Rutheford chrapliwym głosem. – Nie wiem dokładnie, co się stało. Rozmawiałem z Abiem. Pokłóciliśmy się trochę. Nie stało się nic szczególnego. Nagle wybiegł z domu a ja, zamiast pobiec za nim, zatrzymałem się, żeby porozmawiać z Rachelą. – Spojrzał na zrozpaczoną żonę. – Tylko na chwilę, na parę sekund. Kiedy wybiegłem na podwórko, Abie już odjeżdżał z nieznajomym.

– Czy Abie miał coś ze sobą? – spytał Mike.

– Nie.

– Rozpoznał pan markę samochodu? Model? Numery rejestracyjne?

– Niestety, nie. Było za daleko.

– Jaki to był odcień szarości?

Rutheford spojrzał na Mike'a ze zdziwieniem.

– Czy są jakieś odcienie szarości?

– Tak. Srebrny, metaliczny, stalowy.

– Nie wiem. Ciemnoszary. Bliższy czerni niż bieli.

Mike zanotował.

– Takich samochodów jest pewnie kilkaset tysięcy. Czy może mi pan coś powiedzieć o tym mężczyźnie?

– Dostrzegłem tylko czubek jego głowy.

– Jest pan pewien, że to był mężczyzna?

– Przypuszczam, że...

– Proszę niczego nie przypuszczać. – Mike znów coś zapisał w notesie. – Jakie miał włosy?

Rutheford gubił się pod ostrzałem pytań Mike'a.

– Nie jestem pewien, ale... Chyba rude, jasnorude. Kręcone i gęste.

– Jak fryzura afro?

– Tak, właśnie. – Rutheford spojrzał na Mike'a z nagłym przestraszonym. – Sądzi pan, że Abie został porwany przez... kolorowego?

– O jasnorudych włosach? Wątpię.

Rutheford odetchnął z ulgą.

– To dobrze.

Ben widział, że Mike zacisnął zęby.

– Czy widział pan wcześniej tego mężczyznę?

– Tego z rudymi włosami?

Mike wzruszył ramionami.

– Być może. Te włosy to pewnie przebranie. Zauważył pan kiedyś kogoś, kto pasowałby do ogólnego opisu? Kogoś obcego kręcącego się w okolicy? Lub w pobliżu szkoły Abiego?

Rutheforda zaniepokoiła taka możliwość.

– Oczywiście, że nie. Zaraz – strzelił palcami – oczywiście! Abie wczoraj z kimś rozmawiał. Tamten samochód też był szary.

Mike odwrócił kartkę w notesie.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Miałem zabrać Abiego na mecz baseballu. Spóźniłem się. Miałem kłopoty z samochodem.

Mike podniósł wzrok znad notesu.

– Jakie kłopoty?

Rutheford zmarszczył czoło.

– To chyba nie ma znaczenia...

– Nie pytałbym, gdyby nie miało.

Rutheford wciągnął powietrze, najwyraźniej zdenerwowany.

– Pękł pasek od wentylatora.

– Czy mógł zostać przecięty?

Rutheford wyglądał na szczerze zaskoczonego.

– Chyba tak... Mechanik się zdziwił. Powiedział, że wymienił go kilka miesięcy temu.

Mike pokiwał głową.

– Miałem pożyczyć wóz Racheli i spóźniłem się. Kiedy przyjechałem, Abie rozmawiał z jakimś mężczyzną w szarym samochodzie. Kiedy zahamowałem, szary samochód odjechał.

– Czy to był sedan?

– Nie jestem pewien.

- Czy Abie siedział w samochodzie?
- Nie, ale wrzucił teczkę na tylne siedzenie.
- Tornister?
- Tak. Granatowy szkolny tornister. Tej wielkości.

Mike zmarszczył brwi.

- Kto siedział w tym samochodzie?
- Nie wiem. O to właśnie pokłóciliśmy się rano z Abiem. Spytałem go, kto to był. Nie chciał powiedzieć.

– To się zgadza – zauważył ponuro Mike. – Na samym początku nakłaniają dzieci do obietnicy zachowania dyskrecji w ten sposób się zabezpieczają.

– O czym pan mówi?

– Nie chciałbym państwa martwić zawczasu, ale uważam, że syna nie uprowadzono przez przypadek. Myślę, że został wyselekcjonowany. Myślę, że właśnie ten mężczyzna zepsuł panu wczoraj samochód i zabrałby Abiego już wczoraj, gdyby pan się nie zjawił. On próbował osaczyć chłopca od pewnego czasu.

– Chodzi mu o... okup?

Mike spojrzał do notesu.

– Mam nadzieję.

– Ma pan nadzieję? Co to ma znaczyć?

– Jeśli to ten sam człowiek, którego ścigam, może mieć inną motywację.

– Skąd pan wie, że to właśnie on?

– Od kilku tygodni prowadzę śledztwo w sprawie porwań chłopców. A uprowadzenie Abiego pasuje do jego sposobu postępowania.

– O Boże! Czy tamci chłopcy zostali wykupieni?

– Nie – odparł Mike. – Byli wykorzystywani seksualnie, a potem zabijani.

Rutheford spojrzał na żonę. Oczy Racheli napełniły się łzami.

– Przykro mi, panie Rutheford, ale powinien pan znać prawdę. Czy między panem i synem dobrze się układało?

– Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi.

– Myślę, że pan rozumie.

Rutheford zwrócił znów spojrzenie na żonę, która ukryła twarz w dłoniach.

– Prawdę mówiąc, poruczniku, ostatnio nie było między nami najlepiej. Nie wiem, może to moja wina. Zachowywał się wobec mnie wrogo. Pewnie przechodził taki okres.

– Doskonała sytuacja.

– Słucham?

– Doskonała sytuacja dla kogoś, kto chce zdobyć uczucie dziecka. Można wtedy odgrywać czułego tatusia, którego dziecko nie ma w domu.

– Słuchaj pan. Rachela i ja zawsze staraliśmy się zapewnić...

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Dzieci przechodzą różne stany emocjonalne. Nie da się uniknąć pewnej dozy niezadowolenia i żalu, choćby był pan najlepszym z ojców. Szaleńcy tacy jak ten, który porwał pańskiego syna, potrafią to doskonale wykorzystać.

Rachela odsunęła z twarzy kosmyk mokrych włosów.

– Poruczniku... – zaczęła szorstkim głosem, ale zaraz zakryła usta dłonią. Po chwili odezwała się znów. – Czy sądzi pan, że ten człowiek już...

– Nie mogę mieć pewności – odparł łagodnie Mike. – Ale myślę, że nie. Pedofile nie są gwałcicielami. Wolą uwodzić ofiary. Ale on nie będzie czekał w nieskończoność. Dlatego tak ważny jest pośpiech.

Zadzwoił telefon. Rutheford i Rachela spojrzeli po sobie.

– Proszę odebrać – powiedział Mike. – Może się mylę. Może to telefon z żądaniem okupu.

Rachela drżącą ręką podniosła słuchawkę.

Po chwili odetchnęła.

– To do Gabrieli.

Tak miała na imię służąca, która otworzyła drzwi. Gabriela weszła do pokoju.

– Tak? Cześć, Corinne.

– Co to ma znaczyć?! – spytał gniewnie Rutheford. Zwracał się do żony, nie do Gabrieli. – Służąca przyjmuje w naszym domu osobiste telefony?

– A gdzie ma je przyjmować? Spędza tu cały dzień.

– Nie odbierałaby ich, gdyby pracowała. Musisz coś z tym zrobić!

– Dlaczego ja? Żebyś ty mógł iść spokojnie do klubu i zapomnieć o potrzebach rodziny?

– Ja nie zapominam o potrzebach rodziny!

Oczy Racheli znów napełniły się łzami.

– Powiedz to Abiemu!

Ben wiedział, na co się naraża, ale mimo to podszedł do Racheli i położył jej dłoń na ramieniu.

– Rozumiem, że to dla pani straszne przeżycie.

– Tak długo... – Rachela nie mogła złapać tchu. – Tak długo staraliśmy się o to dziecko. Jeśli Abiemu coś się stanie, ja tego nie zniosę. Nie będę miała po co żyć.

– Pani Rutheford? – przerwała Gabriella.

Rutheford zmierzył służącą wściekłym spojrzeniem.

– Nie teraz, Gabrielo.

– Panie Rutheford...

– I odejść wreszcie od tego aparatu. Czekaemy na bardzo ważny telefon.

– Ale panie Rutheford...

– Gabrielo, wydałem polecenie...

– Panie Rutheford! – krzyknęła kobieta. – Chodzi o Abiego.

Zapadła śmiertelna cisza.

– Co się stało? – spytał cicho Mike.

Gabriela wskazała telefon.

– To moja przyjaciółka Corrine. Jest pokojówką u Crenshawów. Ma syna w wieku Abiego. Abie przychodzi się tam czasem pobawić.

Rutheford otworzył szeroko oczy.

– Mój syn bawi się z synem...

– Cisza! – krzyknął Mike. Jednym spojrzeniem zmusił Rutheforda do milczenia. – Co mówi Corinne?

– Może to zabrzmie dziwnie, ale Corinne zabrała syna dzisiaj po południu do wesołego miasteczka Celebration Station, tego przy...

– Wiem, gdzie to jest – przerwał Mike. – Proszę mówić dalej.

– I widziała tam Abiego z jakimś rudowłosym mężczyzną. – Służąca spojrzała na Rachelę. – Znamy kogoś takiego?

– Kiedy to było? – spytał niecierpliwie Mike.

– Mniej więcej godzinę temu.

Mike wziął słuchawkę i spytał Corinne o szczegóły, ale wiedziała tylko tyle, że kiedy wychodziła z synem z wesołego miasteczka, Abie jeszcze tam był.

Mike rzucił Gabrieli słuchawkę.

– Proszę podziękować ode mnie przyjaciółce.

Ruszył w stronę drzwi.

– Dokąd pan się wybiera? – spytał Rutheford.

– Do Celebration Station, oczywiście. Chodź, Ben.

Rutheford zastąpił mu drogę.

– Chwileczkę. Nadal nie wiem...

Mike odsunął go.

– Nie mam czasu odpowiadać na pańskie idiotyczne pytania.

Rutheford wyglądał, jakby został spoliczkowany. Stał nieruchomo i patrzył, jak Mike i Ben wybiegają z domu. Zamykając drzwi, Ben słyszał szlochanie Racheli, w którym wyrażał się jej ból i strach.

Ogromny strach, że już jest za późno.

Rozdział 37

Abie ze wszystkich sił starał się nie zamykać oczu, kiedy Sam włókł go w jakieś... inne miejsce. Jeszcze nigdy nie czuł się tak wyczerpany. Powieki opadały mu raz po raz, a ciało wiotczało. Budziły go kolejne szarpnięcia Sama.

Nie wiedział, gdzie jest. Wiedział, że powinien się rozglądać za charakterystycznymi punktami orientacyjnymi, ale jego otępiały umysł nie był do tego zdolny. Przemknęła mu myśl, żeby uciec i pobiec do telefonu lub kogoś zatrzymać, lecz Sam wybierał drogę starannie, przemykając się pustymi uliczkami, przechodząc przez opuszczone budynki. Nikogo nie spotkali, nie zbliżyli się do żadnej budki telefonicznej.

Chłopiec widział tylko zamazane plamy. Był pewien, że opuścili mieszkanie Sama. We wnętrzu jednego z budynków po drodze zauważył mnóstwo żółtych liczb, a może liczb na żółtym tle.

Zmierzali ku ciemnemu otworowi. Nie były to drzwi, lecz... dziura w środku panowała ciemność. Przerazająca ciemność. Abie bał się, że jeśli tam się znajdzie, nigdy już nie wyjdzie.

Wkroczyli w dziurę i zanurzyli się w ciemność. Było zimno. Chwilami Abie nic nie widział a potem przeszli przez ścianę...

Ta myśl wzbudziła w nim bunt. Czyżby przeszli przez ścianę? Nie można przejść przez ścianę, chyba że jest się duchem. Abie nim nie był, przynajmniej na razie a mimo to przeszli przez ścianę.

Abie widział samoloty, ale nie miał pewności, czy w dole, czy w górze... Wszystko mu się myliło.

Wynurzyli się z ciemnego budynku w ostrym świetle oczy Abiego zaszyły łzami. Szli długo, ale nie wiedział jak długo. Kilka minut? Godzinę? Stracił poczucie czasu.

Wreszcie, gdy padał już z nóg, dotarli do kolejnego walącego się budynku. Sam zwolnił, jakby zamierzał wejść do środka. Wciąż trzymał Abiego mocno za ramię. Chłopiec prawie niedostrzegalnym ruchem upuścił tornister na chodnik. Weszli do środka i znaleźli się na klatce schodowej. Drewniane stopnie trzeszczały i ugiwały się pod stopami. Abie czuł, że w każdej chwili mogą się zawalić.

Dotarli do szczytu schodów i stanęli przed drzwiami.

– Jesteśmy – oznajmił Sam.

Po raz pierwszy, odkąd wyszli z mieszkania, puścił ramię Abiego. Chłopiec odsunął się i usiłował skupić wzrok. Coś leżało na podłodze, coś płaskiego, białego, w brązowe plamy.

Materac.

Obok materaca coś stało na trzech długich wątych nogach. Wyglądało jak monstrum, jak olbrzymi pająk lub Marsjanin z ilustrowanego wydania „Wojny światów”.

Abie zbliżył się, wyciągnął rękę i dotknął chudych nóg. Nie, to nie był potwór z chudymi nogami. To był statyw, a na nim...

Aparat fotograficzny.

– Przepraszam, że tak długo to trwało – usprawiedliwił się Sam z uśmiechem. – Odbiliśmy solidny spacer. Nie przygotowałem się należycie. Musiałem wpaść do domu po film.

Przecież masz już moje zdjęcie, pomyślał Abie. Coś powiedziało mu jednak, żeby zachować to dla siebie.

– No dobrze – powiedział Sam, kładąc mocno ręce na ramionach Abiego. – Zaczynamy. Myślę, że spodoba ci się ta zabawa. Mnie na pewno.

– Jak tylko Rutheford dojdzie trochę do siebie, natychmiast zacznie wydzwaniać do twoich przełożonych – ostrzegł Ben, kiedy znaleźli się znów w samochodzie. – Założę się, że zna osobiście Blackwella. Na pewno grywają razem w golfa.

– Niech się wypcha – odparł Mike skręcając w ulicę Harvard. – Nie poświęcę chłopca tylko dlatego, że jego ojciec to palant.

Mike położył błyskające czerwone światło na dach samochodu i wrzucił wyższy bieg. Po kilku minutach zatrzymali się na parkingu wesołego miasteczka.

– Nie mamy czasu do stracenia – rzucił krótko Mike. – Im dłużej będziemy marudzić, tym zimniejszy stanie się trop. Ja porozmawiam z pracownikami w budynku, a ty zajmij się tymi na zewnątrz.

Ben skinął głową. Zawsze podziwiał u Mike’a zdolność podejmowania szybkich decyzji w beznadziejnych, zdawałoby się, sytuacjach i wiedział, że sam tego nie potrafi. Kiedy zaczynały się trudności, jego mózg zamieniał się w papkę.

Systematycznie obchodził wszystkie atrakcje wesołego miasteczka: gokarty, miniaturowe pole golfowe, kolejkę, samochodziki. Mówiąc ogólnie, możliwości przesłuchania tu kogokolwiek były mocno ograniczone. Liczba dzieci i dorosłych odwiedzających miasteczko każdego dnia niemal całkowicie uniemożliwiała zapamiętanie poszczególnych osób. Co gorsza, większość pracowników była nastolatkami, a po nich raczej nie można się spodziewać zauważenia nietypowych

par.

Udało się jednak wyciągnąć coś od chłopaka przy samochodzikach.

– Tak, pamiętam ciemnowłosego chłopca z facetem o kręconych rudych włosach. Tak mi się to jakoś rzuciło w oczy: jasne kędziory ojca i ciemne włosy syna a włosy tego faceta były jakieś dziwne i on sam też był dziwny.

– Dlaczego tak mówisz? – spytał Ben.

Chłopak zmarszczył brwi.

– Nie bardzo wiem, jak to określić. Coś mi nie pasowało. Chłopiec doskonale się tu bawił, ale ten gość czuł się jakoś niepewnie.

– Zauważyłeś coś jeszcze?

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Pomyśl. To niesłychanie ważne.

Zmarszczki na czole chłopaka się pogłębiły.

– Miał na sobie lekką sportową kurtkę... chyba niebieską. Tak, niebieską, a pod nią koszulkę.

– Pamiętasz, jak wyglądała ta koszulka?

– Był na niej nadruk czarnej twarzy z zielonym hełmem... – Strzelił palcami. – Marvin Marsjanin.

– Kto?

– Marvin Marsjanin, postać z kreskówki. Facet miał na sobie koszulkę z Marvinem.

To mogło pomóc policji zidentyfikować tego człowieka, jeśli go w ogóle złapią.

– Pamiętasz, kiedy ich widziałeś?

– Co najmniej godzinę temu.

– Gdzie mogli potem pójść?

– Przykro mi, byłem zajęty robotą. Widziałem ich tylko kilka razy w kolejce.

Ben spisał nazwisko i adres chłopaka i podziękował za pomoc. Podchodził do wszystkich pracowników, lecz nie dowiedział się już nic ciekawego.

Spotkali się w głównym budynku, gdzie właśnie podawano pizzę grupie dzieci obserwujących taniec wirtualnych zwierząt na ekranie.

– Masz coś? – spytał Ben.

Mike potrząsnął głową.

– Kilku ludzi przypomina sobie, że chyba kogoś takiego widzieli, ale nikt nie wie, kto to był ani dokąd się udał w sumie niczego się nie dowiedziałem.

– Po co pedofil przyprawdza chłopca w publiczne miejsce? – spytał Ben w drodze do samochodu.

– To właśnie strategia uwodzenia – wyjaśnił Mike. – Próbuje wkraść się w łaski Abiego, żeby ułatwić sobie to, co będzie później. Zaleca się do niego.

Ben poczuł obrzydzenie. Ze wszystkiego, z czym stykał się przez lata pracy, to było chyba najgorsze.

– Przepraszam. Czy panowie z policji?

Ben odwrócił się. Wołał ich sprzedawca lodów. Był stary i siwy. Miał na sobie zieloną kurtkę moro i spodnie khaki.

– Jestem z policji – powiedział Mike. – Czemu pan pyta?

– Widziałem, że chodzicie i wypytujecie ludzi. Pomyślałem, że moglibyście się w końcu do mnie pofatygować.

– Zbieramy informacje na temat chłopca, który był tu jakiś czas temu z mężczyzną o rudych włosach ubranym w sportową kurtkę – wyjaśnił Mike. – Widział ich pan może?

– A jakże – odparł stary. – Kupowali u mnie lody. Wiśniowe. To najpopularniejszy smak w niektóre dni najlepiej idą winogronowe, ale wiśniowe...

– Przepraszam, że muszę przerwać – wtrącił Mike – ale chcę wiedzieć jak najwięcej o tym rudym mężczyźnie i to szybko.

– On nie był rudy. Nosił perukę.

– Jest pan pewien?

– No masz. Nie urodziłem się wczoraj i potrafię odróżnić prawdziwego rudzielca od podrabianego. Tu nie chodzi o same włosy. Oni mają inną cerę a ten był tak samo rudy jak pan czy ja. No i wystarczyło popatrzeć na tych dwóch.

– Co pan ma na myśli?

– Nie było między nimi żadnego podobieństwa. Ten facet nie wiedział, jakie lody lubi chłopak. Nie pamiętał nawet jego daty urodzin. Bardzo podejrzane.

– Pan jest piekielnie spostrzegawczy...

– Jak na sprzedawcę lodów? – zachichotał stary. – Powiem ci coś, synku. Jeżdżę tym wózkiem od czternastu lat, od kiedy przeszedłem na emeryturę. Pracowałem w miasteczkach LaFortune Park, River Parks i Fair. Wiem, kiedy coś nie gra a jeśli facet w przebraniu kręci się po wesołym miasteczku z małym chłopcem, to od razu widzę, że coś nie gra.

Ben skinął głową. Sprzedawca się nie mylił.

– Czy może nam pan powiedzieć coś jeszcze o tym chłopcu?

– Ten facet nazywał go Abie.

Bingo.

– To bardzo ważna wiadomość – powiedział Mike. – Wie pan może, dokąd poszli?

– Niestety, nie mówili. Ten człowiek wolał zniknąć mi z oczu. Wziął lody i szybko odprowadził chłopca.

Ben poczuł się nieco rozczarowany. Przez chwilę miał nadzieję, że sprzedawca

pomoże im wpaść na trop Abiego.

– Ale nie zniknął bez śladu – ciągnął stary. – Pomyślałem, że policja może szukać pana w rudej peruce, więc się zabezpieczyłem i słusznie.

Otworzył szufladę kasy i wyciągnął kartkę papieru.

– Spisałem numer rejestracyjny samochodu tego faceta. Proszę.

Mike chwycił kartkę.

– Nie wiem, jak panu dziękować.

– Zawsze do usług – powiedział zadowolony staruszek. – Panowie życzą sobie wiśniowe czy winogronowe?

– Dzięki, nie mamy czasu. Ale jeśli ten trop nas do niego doprowadzi, obiecuję wrócić i kupić od pana cały zapas lodów. Chodź, Ben. Jedziemy.

Rozdział 38

– Po co chcesz mnie fotografować?

Abie starał się mówić wyraźnie, ale przychodziło mu to z taką samą trudnością jak powstrzymanie się od zaśnięcia.

– Żebym mógł na ciebie patrzeć, kiedy nie będziemy razem – wyjaśnił Sam z łagodnym uśmiechem. – Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Abie miał co do tego wątpliwości, ale wolał nie dzielić się z nimi z Samem. Musiał jednak zyskać nieco na czasie.

– Ty chyba masz już moje zdjęcie?

Uśmiech Sama nie był już tak łagodny.

– O czym mówisz?

– Widziałem swoje zdjęcie na ścianie w twoim mieszkaniu.

– Tak – odparł powoli Sam. – Dostałem je od przyjaciela z klubu. Lubię mieć fotografie wszystkich swoich przyjaciół.

– Więc moje zdjęcie już ci niepotrzebne.

Sam przesunął dłońmi po ramionach Abiego i złapał go mocno za nadgarstki.

– Ta fotografia jest taka... bezosobowa, Abie. Jesteś moim szczególnym przyjacielem i chcę mieć twoje specjalne zdjęcie. Takie, które będzie tylko dla ciebie i dla mnie.

– Nie chcę! – zawołał Abie. Próbował uwolnić ręce, ale nie miał dość siły.

– Abie, przyjaciel tak się nie zachowuje. Czyż nie bawiliśmy się świetnie w Celebration Park? Czy nie kupiłem ci loda?

– No i co z tego...

– Bądź dorosły, Abie. Dorośli wyświadczają sobie przysługi.

Abie spuścił wzrok na podłogę.

– Jakie przysługi?

– Na przykład pozwalają robić sobie zdjęcia.

– Jakie zdjęcia?

– Na przykład takie.

Sam puścił ręce chłopca i podszedł do aparatu. Otworzył swoją czarną torbę.

Abie zerknął za siebie. Chciał uciec od Sama i znaleźć się znów w domu,

z rodzicami. Ale czy uda mu się dobiec do drzwi? a schody są takie stare i niebezpieczne. Abie nie był pewien, czy zdoła po nich sam zejść.

A gdyby Sam go złapał, to co by wtedy zrobił? To zbyt ryzykowne, poza tym prawie niemożliwe. Abie ledwie widział i nie był nawet pewien, czy trafi do drzwi.

– Znalazłem – ogłosił triumfalnie Sam.

Donośny głos przywołał Abiego do rzeczywistości. Okazja minęła bezpowrotnie. Sam podał chłopcu kolorowy magazyn.

– Widzisz? Myślałem właśnie o czymś takim. Zwykle nic nieznaczące zdjęcia.

Abie przejrzał magazyn. Nie było to piękne czasopismo wydrukowane na gładkim błyszczącym papierze, takie jak mama dostawała pocztą. Ten papier był szorstki i twardy.

Wszystkie zdjęcia przedstawiały chłopców w wieku Abiego. Byli całkiem nadzy bądź prawie nadzy. Niektórzy przyjęli dziwaczne pozy, a inni skrępowani byli skórzanymi pasami i kajdankami. Na kilku zdjęciach chłopcy pozowali razem z dorosłymi mężczyznami. Robili okropne rzeczy. Czy komuś może się to podobać?

Abie zamknął magazyn. Na widok zdjęć zrobiło mu się niedobrze.

– Czy to nie jest dobra zabawa, Abie? Czy nie chciałbyś się ze mną tak pobawić?

Abie nie odpowiedział. Nie chciał powiedzieć tak, ale nie mógł wymyślić żadnej innej odpowiedzi, która nie rozwścieczyłaby Sama. W ogóle już nie mógł myśleć.

– Odpowiedz, Abie. Nie chciałbyś zrobić sobie takich zdjęć?

W oczach Sama pojawił się jakiś nowy, przerażający wyraz. Gdyby Abie mógł wybiec teraz przez te drzwi, zrobiłby to bez względu na wszystko. Ale Sam znów zacisnął mu dłonie na ramionach.

– Odpowiadaj, do cholery! – Prawie podniósł chłopca i potrząsał nim gwałtownie. – Czy chcesz pozować do zdjęć?!

Abiemu łzy napłynęły do oczu. Nie chciał płakać. Ojciec powiedział mu kiedyś, że tylko małe dzieci płaczą. Ale nie mógł się powstrzymać. Tak się bał, tak bardzo się bał.

– Jesteś niegrzecznym chłopcem, Abie! – krzyczał Sam. Potrząsał nim coraz mocniej. – Nie powinieneś być niegreczny. Niegrucznych chłopców trzeba karać! Będziesz pozował?

– Tak – wykrztusił Abie. – Jeśli tego chcesz.

Sam odetchnął głęboko. Jego twarz odzyskała normalną barwę.

– Więc dobrze – powiedział Sam, kiedy ochłonął. – Świetnie. Zrobimy kilka zdjęć. Zdejmiesz ubranie sam, czy ja mam cię rozebrać? – spytał przyciskając twarz do włosów chłopca, wciągając w nozdrza ich zapach.

Mike jeździł uliczkami Richfield, opuszczonej dzielnicy północnej Tulsy. Ben

rozglądał się na wszystkie strony. Nigdy tutaj nie był w ogóle nikt tutaj nie bywał.

Większość budynków zrównano z ziemią, a z innych zostały tylko zewnętrzne mury z oknami zabitymi deskami. Parę lat pewien bogaty przedsiębiorca zaproponował, że zbuduje tu całą nową dzielnicę. Wykupił teren i zaczął wyburzać budynki, ale nim doszło do realizacji właściwego projektu, nastąpił kryzys naftowy i długotrwała recesja. Projekt zarzucono, a Richfield wyglądało jeszcze gorzej niż przedtem.

– Jesteś pewien, że ten pedofil tu mieszka? – spytał Ben spoglądając z powątpiewaniem na ruiny.

– Jestem pewien, że taki adres podali mi w urzędzie komunikacyjnym na podstawie numeru samochodu.

– A skąd pewność, że wóz należy do człowieka, którego szukamy?

– Ten samochód to szary ford sedan. To właściwy adres, chyba że facet ukradł samochód.

Ben rozejrzał się znów po betonowym pustkowiu.

– Wątpię, żeby ktokolwiek mógł tutaj mieszkać.

Mike z rezygnacją skinął głową.

– Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Ten facet to cwaniak. Jest bardzo ostrożny. Nie zaczął uprawiać swojego procederu wczoraj. Długo się przygotowywał.

– Co masz na myśli?

– Na przykład to, że zarejestrował samochód pod fałszywym adresem. Nie jest to takie trudne. Nikt tego nie sprawdza. Urzędnicy przyjmują na wiarę to, co im się napisze w formularzu.

– To przykre.

– Bardzo. A jeśli adres jest fałszywy, to należy zakładać, że i nazwisko.

– Ale dlaczego podał ten adres?

– Nie mam pojęcia. Pewnie taki akurat przyszedł mu do głowy. Może był kiedyś w tej dzielnicy i wiedział, że nikt tu nie mieszka w końcu mógłby wpaść tylko wówczas, gdyby wpisał adres podany już przez kogoś innego. Komputer by to wychwycił. Więc pewnie...

Mike nacisnął hamulec bez ostrzeżenia, a ponieważ jechał dość szybko, Ben wpadł z impetem na tablicę rozdzielczą.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnął. – Nie widać tu żadnego samochodu. Tylko ty jesteś zdolny do tego, żeby rozwalić się na pustej ulicy.

Mike nic nie odpowiedział. Wyglądał przez okno.

– Co się stało? Na co tak patrzysz?

– Nie jestem pewien. Ale zdaje mi się, że... Tak! – Mike otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu. – Niebieski!

– Niebieski?

– Tak. Ja wejdę od frontu, a ty zajedź od drugiej strony. Wezwij pomoc. Możemy jej potrzebować i nie pozwól mu się wymknąć!

– Niebieski? – Ben chciał zadać jeszcze kilka szczegółowych pytań, ale było za późno. Mike przebiegł już na drugą stronę ulicy. Poły jego płaszcza fruwały na wietrze.

Co on zauważył? Ben zmrużył oczy i zerknął na budynek, do którego zmierzał Mike. Nie różnił się niczym od pozostałych. Same ściany pokryte graffiti. Nic szczególnego, oprócz...

Zaraz. Ben spojrzał niżej. Coś leżało na chodniku pod ścianą.

Coś granatowego.

Ben przesunął się na miejsce kierowcy i ruszył powoli.

Na chodniku leżał granatowy tornister.

Rozdział 39

– Dobrze, Abie. Jeszcze tylko kilka.

Abie wpatrywał się w oko aparatu, powstrzymując płacz. Okropnie bał się Sama. Był pewien, że mężczyzna zrobi mu coś złego, jeśli znów się zdenerwuje.

Abie rozebrał się tylko do majtek. Sam uśmiechnął się, mruknął coś o tym, że na wszystko przyjdzie czas, i zaczął robić zdjęcia. Ustawiał Abiego, kazał mu udawać wesołego lub smutnego. Mówił jakieś słowa, których Abie nie rozumiał. To było takie wstrętne. Abiemu zbierało się na wymioty.

Myślał tylko o tym, żeby znów być u mamy.

I taty.

Sam odsunął się od aparatu.

– Spróbujmy teraz innej pozy.

– Nie chcę – szepnął Abie cofając się.

– Zmęczyłeś się pozowaniem? W porządku. Ciężko pracowałeś. Może powinniśmy zrobić sobie przerwę. – Złapał chłopca za rękę. – Spróbujemy czegoś innego. Zagramy w coś. To naprawdę świetna zabawa. Chciałbyś?

– Nie – odparł Abie wysuwając dolną wargę. – Nie chcę się bawić. Chcę do domu.

– Wszystko w swoim czasie, Abie, wszystko w swoim czasie. Lubisz pieszczoty?

Abie próbował wyrwać rękę.

– Nie!

– A kiedy mama głaszcze cię po głowie przed zaśnięciem? Założę się, że to lubisz. Prawda?

– No...

– Tak się robi z małymi dziećmi, Abie. Dorośli pieszczą się inaczej. Lepiej. Chciałbyś się tego nauczyć?

Abie ze strachu nie wiedział, co zrobić. Łzy płynęły mu z oczu. Szarpał się z całych sił, ale na próżno.

– Pytałem, czy chciałbyś się nauczyć tego, co robią dorośli?

Abie nie przestawał się wyrywać.

– Odpowiedz mi, Abie. – Mężczyzna przyciągnął chłopca do siebie. Powoli

przesuwał dłońmi po jego ciele. – Chcesz, żebyśmy zrobili coś cudownego? – Pogładził go po brodzie. – Chcesz?

– Nie!

Abie przyciągnął rękę Sama i ugryzł z całej siły.

Sam wrzasnął.

Chłopiec szarpnął do tyłu, ale Sam trzymał go mocno.

– Ty niewdzięczny szczeniaku!

Sam uderzył chłopca w twarz. Abie potoczył się po betonowej podłodze.

– Nie chciałem tego zrobić – powiedział szybko Sam. Oddychał szybko, nieregularnie. – To ty mnie zmusiłeś. Byłeś niegrzeczny i musiałem cię ukarać. Może spróbujemy inaczej...

Cios wyrwał chłopca z otępienia. Abie stanął na nogach. Poczuł przyptyw energii. Na chwilę uwolnił się od Sama i wiedział, że musi to wykorzystać.

Obiegł statyw aparatu.

– Nie dotykaj mnie!

– Abie, przecież jesteśmy przyjaciółmi.

– Nie jesteśmy! Nie jesteś moim przyjacielem. Ty jesteś... nie wiem, kim jesteś, ale już cię nie lubię.

Oczy Sama zaszły mgłą.

– Nie mów tak, Abie.

Zrobił krok w stronę chłopca.

– Nie zbliżaj się do mnie!

Abie chwycił z podłogi czarną torbę, wyjął polaroida i cisnął nim w Sama.

Sam schylił się i uniknął uderzenia, ale aparat roztrzaskał się o beton.

– Patrz, co narobiłeś! – warknął Sam. Krok po kroku zbliżał się do Abiego. – Nie pozwalam moim małym chłopcom niszczyć moich rzeczy.

Abie rzucił w Sama torbę. Mężczyzna złapał ją, ale cofnął się pod ciężarem.

– Teraz jestem naprawdę wściekły. – Zacisnął szczęki. – A ty nie masz już czym rzucać.

Abie rzucił się do drzwi. Złapał za klamkę.

– Masz mnie za głupca, Abie? Oczywiście, że zamknąłem drzwi. Przecież nie chcemy, żeby ktoś tu wszedł, prawda?

Abie walił pięściami i kopał w drzwi, ale wszystko na nic.

– Daj spokój, Abie. To bardzo mocny zamek. Właśnie dlatego go założyłem.

Twarz Sama płonęła złością. Abie oparł się o drzwi. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał. Nie miał już dokąd uciec. Był w pułapce.

– Teraz cię mam, ty mały, brudny chłopcze. Poniesiesz karę, i to wiele razy. Aż będziesz czysty.

Abie krzyknął na cały głos. Wiedział jednak, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby mu pomóc.

Rozdział 40

Dlaczego to zawsze się tak kończy? – myślał Sam. Dlaczego chłopcy okazywali się tacy niedobrzy, tacy niewdzięczni? Czy nie wiedzą, że Sam ich kocha? Czemu nie chcą zrozumieć, że pragnie tylko dzielić się z nimi czymś pięknym, wspaniałym?

Przycisnął Abiego do drzwi. Oparł dłoń na twarzy chłopca, pochylił się i wtulił twarz we włosy chłopca o Boże! Jak cudownie pachnie! Oszalamiająco! Tak bardzo kochał tego małego niewdzięcznika.

– Daję ci ostatnią szansę pokazania, że jesteś dobrym chłopcem, Abie. Pobawisz się ze mną?

– Nie! – krzyknął Abie ze łzami w oczach. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Chcę iść do domu!

Sam spoliczkował chłopca, tym razem jeszcze mocniej. Złapał go za ramiona i uderzył nim o drzwi.

– Byłem dla ciebie taki dobry. Dawałem ci wszystko, czego chciałeś i jak mi się odpłacasz? Jak?

Ścisnął ręce chłopca tak mocno, że na skórze zostały ślady palców. Potem znów zaczął walić nim o drzwi.

– Boli! – krzyknął Abie.

– Będzie bolało jeszcze bardziej.

Zacisnął ręce na szyi chłopca. Abie otworzył usta, ale już było za późno. Nie mógł złapać powietrza.

– Nie chcę tego robić, Abie. Naprawdę nie chcę – mówił Sam, ściskając coraz mocniej gardło chłopca. – Ale nie dałeś mi wyboru. Nic mi po tobie, skoro się tak zachowujesz. Nie potrzebuję cię.

Przesunął kciuk na krtań Abiego.

Dlaczego to się zawsze tak kończy? Mogliby darzyć się zaufaniem.

Ale Abie pokazał, że nie można mu ufać, tak jak temu chłopcu w parku, temu w alei i wszystkim innym. Nie mógł ryzykować i pozwolić im uciec, kiedy okazało się, że go wydadzą.

Musieli umrzeć.

Zaciskając zęby, przycisnął jeszcze mocniej. Abie zsiniał, przestał oddychać. Za

parę sekund...

Rozdział 41

Sam usłyszał potężne dudnienie i poczuł, że ściana zaczyna się przechylać. Zwolnił uścisk. Co u diabła...?

To nie ściana się przechylała, tylko drzwi.

Ktoś próbował włamać się przez drzwi. Ktoś wdzierał się do jego kryjówki.

Nim zdążył zareagować, drzwi zatrzęsły się i otwarły. Abie upadł bezwładnie na betonową posadzkę.

Sam odwrócił się i ujrzał potężnie zbudowanego mężczyznę o ciemnych falujących włosach. Mimo upału intruz miał na sobie płaszcz. Mierzył do Sama z pistoletu.

– Nie ruszaj się, sukinsynu – powiedział. – Jesteś aresztowany.

Mike objął pomieszczenie wzrokiem. Mężczyzna przykucnięty na podłodze z pewnością był pedofilem, który porwał Abiego Ruthforda. Miał na sobie koszulkę z Marvinem i rudą perukę, która zsunęła się na jedną stronę.

Na podłodze leżał chłopiec ubrany tylko w majtki. Nie ruszał się.

Z jaką przyjemnością Mike złapałby zboczeńca za włosy i walił nim o ścianę aż do skutku, ale zdołał się powstrzymać.

– Na ziemię – warknął. – Z rękami na karku.

Wyciągnął z kieszeni kajdanki, gdy nagle usłyszał zdławiony oddech. Po twarzy chłopca płynęła strużka krwi. Trzeba zastosować sztuczne oddychanie. Natychmiast. Niech to szlag!

– Nie próbuj żadnych sztuczek – rozkazał. Szybko zapiął kajdanki na rękach mężczyzny i podszedł do chłopca. – Nie radzę uciekać – ostrzegł pedofila.

Uklęknął przy Abiem.

– Hej, obudź się. – Dotknął twarzy chłopca. Żadnej reakcji.

Odwrócił głowę Abiego, przyłożył dwa palce do jego szyi i poszukał pulsu.

– Ty zwyrodnialcu... Mike zaklął. – Jeśli zabiłeś następnego...

Chwytał chłopca za ramiona.

– Obudź się, Abie. Nie odchodź.

Cisza.

Zbliżył twarz do ust chłopca. Nic nie poczuł. Gdyby tylko Abie zaczął znów oddychać...

Mike otarł twarz chłopca palcem i odchylił mu głowę w policki został przeszkolony we wszystkich rodzajach reanimacji. W przypadku dzieci techniki były nieco inne, ale nie pamiętał, na czym polegała różnica. Musiał próbować, obojętnie jak.

Zastosował sztuczne oddychanie, obserwując pierś chłopca.

Nie drgnęła.

Abie, nie poddawaj się! Mike przyklęknął i znów wdmuchnął powietrze w usta chłopca. Walcz, Abie!

Mężczyzna w peruce kopnął Mike'a w brzuch, przewracając go na plecy. Drugim kopnięciem wytrącił mu z dłoni pistolet. Mike usiłował się podnieść, ale dostał kopniaka z góry w plecy.

Opadł ciężko na beton, niemal tracąc przytomność. Jaki był głupi! Tak bardzo go pochłonęła reanimacja Abiego, że zapomniał o trzymaniu zbrojenia na oku. Potrzęsnał mocno głową.

Słyszał, że tamten znów się zbliża. Przewrócił się z jękiem na plecy. Pedofil stał nad nim. Mike zebrał wszystkie siły i kopnął w kolana.

Zaskoczył go kompletnie. Dostrzegł swoją szansę. Wziął szeroki zamach nogą i kopnął zwyrodnialca w brzuch.

Mężczyzna zawył z bólu. Mike kopnął jeszcze raz, tym razem w krocze. Instruktor w akademii miał rację: ten niewyszukany cios jest niezawodny. Pedofil zwinął się wpół i potoczył po podłodze.

Znalazł się na materacu koło statywu z aparatem fotograficznym. Na samą myśl o tym, co tu się działo, Mike'owi zbierało się na wymioty. Nie trzeba było mieć wielkiej wyobraźni. Chłopcy z laboratorium wywołają ten film i Mike będzie musiał obejrzeć te zdjęcia...

Nie trzeba o tym myśleć. Ma ważniejsze sprawy na głowie. Najwyraźniej kopnięcie w kolana nie odniosło spodziewanego skutku. Zboczeniec podniósł się i stanął na nogach. Wciągał głęboko powietrze, opierając się na trójnogu.

– Na ziemię, ty gnido – powiedział Mike, wlokąc się w stronę aparatu. Zauważył, że oddychanie przychodzi mu z wielkim trudem. Gdzie jest ten pistolet? – Nie prowokuj mnie, żebym wypchnął cię z okna. Zrobiłbym to z przyjemnością, ale...

Błysnął flesz. Mike stał o pół metra od aparatu, na wprost lampy. Błysk zupełnie go oślepił.

Sięgnął ręką, żeby złapać zbrojenia, ale ten zdążył umknąć. Mike słyszał szuranie jego stóp.

Zamrugał szybko, po omacku ruszył do drzwi. Nadal nic nie widział, ale pamiętał, gdzie są drzwi. Dowłókł się do schodów, lecz przypomniał sobie, jakie są niebezpieczne. Omal się nie zabił wchodząc tutaj a przecież wtedy widział.

Odgłos kroków cichł już w oddali.

Do diabła z bezpieczeństwem! Teraz albo nigdy. Mike wysunął stopę i stanął na pierwszym stopniu. Na razie dobrze. Zrobił następny krok, i następny. Jeśli będzie ostrożny, jeśli nie będzie się za bardzo śpieszył...

Nagle ziemia umknęła mu spod nóg i poleciał w dół. Rozłożył ramiona w samą porę o mało co nie spadł na parter.

– Ben! – zawołał. Cisza. Oczywiście. Ben jest po drugiej stronie budynku i pilnuje tylnego wyjścia i nie zobaczy przestępcy, który dzięki głupocie Mike'a ucieka głównymi drzwiami.

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Sukinsyn uciekł. Najlepsze, co można teraz zrobić, to wrócić do chłopca i jak najszybciej sprowadzić pomoc medyczną.

Jeśli nie jest za późno.

Białe światło, przez które nic nie widział, stopniowo się rozproszyło. Mike wyciągnął nogi z dziury w schodach i wbiegł do pomieszczenia, gdzie leżał Abie. Uklęknął przy nim.

Chłopiec nadal się nie poruszał.

To najgorsza, najbardziej dotkliwa klęska. Nie dość, że zboczeniec uciekł, to jeszcze...

Ale zaraz. Czy mu się zdawało, czy chłopiec...?

Tak! Poruszył się. Bogu dzięki. Poruszył się!

– Abie, słyszysz mnie? Jak się czujesz? Możesz oddychać? Boli cię głowa?

Chłopiec zamrugał i spojrzał na Mike'a zażawionymi oczami.

– Kim...?

– Jestem policjantem. – Serce Mike'owi biło tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi. – Przyszedłem ci na pomoc.

Abie oddychał spokojniej. Usta mu zadrżały i zaczął płakać.

– Zabierze mnie pan do domu?

– Oczywiście. – Mike wziął chłopca w ramiona. – Nic się nie martw. Wszystko będzie domu.

Część trzecia

Ręce sprawiedliwości

Rozdział 42

Ben przepchnął się przez tłum w sali sądowej na szóstym piętrze. Ludzie walczyli o krzesła. Zewsząd dochodziły okrzyki, których spodziewać by się można na placu zabaw, a nie w sądzie. „Ja byłem pierwszy!” „Nie ma zajmowania miejsc!”

Niewielu mogło liczyć na miejsca siedzące; sala sądowa była mała, a w holu zgromadziło się mnóstwo ludzi. Sprawa budziła olbrzymie zainteresowanie, nie tylko w Oklahomie, ale w całym kraju. Zjawiło się kilku reporterów z największych sieci telewizyjnych oraz największych gazet. Ktoś nawet chciał transmitować część procesu, ale Ben się nie zgodził.

Nie mógł uwierzyć, że sprawa wzbudza tak wielkie emocje. Nie wiedział też, kto lub co ponosi za to winę. Może to przez ten upał – wszyscy szukali wytchnienia. Albo przez media, które nagłaśniały sprawę do granic możliwości. Morderstwo sprzed dziesięciu lat okazało się wodą na ich młyn. W wieczornych wiadomościach można było znaleźć coraz to nowe szczegóły okropnej zbrodni. Linia oddzielająca rzetelne dziennikarstwo od brukowego stawała się z każdym dniem cieńsza.

Może zainteresowanie wzbudził konflikt klasowy w podtekście morderstwa: biedny, upośledzony Murzyn został oskarżony o popełnienie okrutnej zbrodni w twierdzy najbogatszych białych a może po prostu widzów przyciągnęła wieczna ciekawość dla spraw innych ludzi. Rozprawa sądowa dawała świetną okazję zerknięcia w życie innych.

Ben dopchał się wreszcie do ławy oskarżonego. Leemana nie było. Christiny też, ale wyglądało na to, że była tu i gdzieś poszła. Notesy, dowody rzeczowe i niezbędne drobiazgi leżały ułożone równo na blacie.

– Czy mógłby pan coś powiedzieć o procesie, panie Kincaid? Spodziewa się pan wygrać sprawę?

Ben odwrócił się. Przy barierce stał jakiś mężczyzna i podsunął mu mikrofon pod nos. Dwa rzędy po prawej stronie galerii zostały przeznaczone dla dziennikarzy. Znaczek w klapie garnituru informował, że reporter pracuje dla Kanału 2.

– Przykro mi, ale z moich doświadczeń wynika, że telewizyjne sprawozdania z sądu nie są zbyt ścisłe – odparł Ben.

– Zajmę panu tylko dziesięć sekund.

– Otóż to.

Dziennikarze walczyli o najlepsze miejsca w swoich rzędach. Byli tam między innymi Beth Rengel i Clayton Vaughn, redaktorzy Kanału 6, Karen Keith, inteligentna, wszechstronna reporterka, Leslie Turnbull i Rick Wells, oraz ulubiona dziennikarka Bena, Karen Larsen. Jej mógłby udzielić wywiadu. Gdyby obiecała, że rozmowa potrwa dłużej niż dziesięć sekund.

– Czujesz, że robi się gorąco, Ben?

Jack Bullock stanął przy ławie oskarżonego.

– Przed rozprawą zawsze panuje napięta atmosfera. Nic w tym szczególnego.

– Nadal masz nadzieję, że uda ci się wyciągnąć królika z kapelusza i ocalić swojego klienta, żeby mógł dalej mordować kobiety?

– Wiesz dobrze o tym, że moim obowiązkiem jest bronić mojego klienta najlepiej, jak umiem. Nie mam wyboru...

– Wzięłeś tę sprawę dobrowolnie, Ben. Nikt cię do tego nie zmuszał.

– Wziąłem tę sprawę, bo uważam, że Leeman Hayes jest niewinny. Dlaczego tak bardzo bierzesz to do siebie?

– Bo to mnie obchodzi. Obchodzi mnie los mieszkańców tego miasta. Nie pracuję po to, żeby zbić majątek, żeby wybudować dom z basenem za milion dolarów. Chcę poprawić ten świat i nie lubię, kiedy ktoś mi w tym przeszkadza.

– Jack... – Ben z rezygnacją potrząsnął głową. Co miał powiedzieć? – Muszę przejrzeć notatki. Przepraszam cię.

– Jak sobie życzysz. – Bullock wyprostował się. – Mam dla ciebie niespodziankę.

Ben podniósł głowę.

– Co to znaczy?

Bullock zmierzał już do swojego stolika.

– Przeglądaj swoje notatki.

– Zastawianie pułapek w czasie procesu należy do przeszłości, Bullock. Mój klient ma prawo wiedzieć, o co jest oskarżany.

Bullock zaniósł się udawanym szlochom. Nie odpowiedziawszy na pytanie Bena, zaczął rozmawiać szeptem ze swoją asystentką, Myrną Adams.

Pięknie. Kincaid zerknął do tyłu przez ramię. Reporterzy notowali coś zawzięcie w zeszytach. Oni tylko czekają, żeby prawnicy skakali sobie do oczu. Pewnie zrobią z procesu o morderstwo starcie zwaśnionego adwokata i prokuratora.

Bullock nie chciał słyszeć o jakimkolwiek polubownym orzeczeniu sądu. Biorąc pod uwagę trudności związane z prowadzeniem tak starej sprawy, prokurator sam powinien zaproponować takie rozwiązanie. Jednak Bullock zawziął się, żeby doprowadzić do wydania wyroku.

Szum w sali nagle zamarł, lecz nie za sprawą sędziego, który przebywał jeszcze w gabinecie. Wszystkie głowy zwróciły się w jedną stronę.

Do sali wszedł pod eskortą Leeman Hayes.

Mimo zakazu fotografowania w sądzie błysnęły flesze i dał się słyszeć cichy terkot minikamer wideo. Dwóch mężczyzn z biura szeryfa doprowadziło Leemana na miejsce. Ben uśmiechnął się i wskazał Leemanowi krzesło. Leeman odwzajemnił uśmiech, lecz widać było, że trzęsie się ze strachu. Ben nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, ile Leeman rozumie z tego, co się dzieje. Wyobrażał sobie, jakie myśli mogłyby się kłębić w głowie Leemana. Co ja tu robię? Po co ci ludzie tutaj przyszli? Czemu tak mi się przypatrują?

Poklepał klienta po ramieniu i delikatnie odwrócił go tyłem do widowni.

– Zapomnij o nich. Ważne jest to, co się rozegra przed tobą.

Leeman pochylił się, podparł brodę rękami.

Ben odwiedził Leemana już kilka razy i choć nie uzyskał żadnych nowych informacji, poznał trochę chłopaka, może nawet zdobył jego zaufanie. Vera twierdziła, że Leemana odwiedza tylko dwóch ludzi: Ernie i on.

Z każdą kolejną wizytą utwierdzał się w przekonaniu, że – wbrew orzeczeniu psychiatrów – Leeman nie jest w stanie wziąć udziału w procesie. Sędzia Hawkins oddalił ponawiany kilkakrotnie wniosek o ponowną ekspertyzę. Uzasadniał swoją decyzję tym, że sprawa i tak czekała zbyt długo. Sprawiedliwości musi stać się zadość.

Sprawiedliwość. Co to jest?

Leeman przekrzywił głowę.

– Tata...?

– Jest, oczywiście, że jest. Tam, w jednym z ostatnich rzędów. Widzisz?

Ben wskazał Erniego, który to zauważył i pomachał ręką.

– Nie chcę... – Leeman wyciągnął szyję, odchylając przy tym głowę i poruszając niezgrabnie ramionami.

– Nie chcesz tu być? – dopowiedział Ben. – Rozumiem, Leeman. Nikt nie chce tutaj być. Ale musimy to wyjaśnić raz na zawsze.

Leeman potrząsnął energicznie głową.

– Nie chcę... wracać.

Ben nigdy jeszcze nie słyszał, aby Leeman wypowiedział tyle słów naraz. Nie chcę wracać? Na pewno nie chce wracać do szpitala, domyślił się Ben.

– Domu – wyszeptał Leeman.

Ben położył mu dłoń na ramieniu.

– Zrobię wszystko co w mojej mocy. – Starał się nadać swojemu głosowi ton pewności.

Leeman podniósł nieznacznie brodę.

– Później...?

Widać było, z jakim wysiłkiem stara się dokończyć myśl.

– Beet-hoven.

Ben uśmiechnął się.

– Jesteśmy umówieni.

Z głębi sali dało się słyszeć szuranie stóp. W otwartych drzwiach stanął woźny sądowy.

– Proszę wstać.

Rozmowy umilkły, widzowie wstali. Sędzia Hawkins, ubrany w czarną togę, z surową miną zajął miejsce za stołem.

– Nie traćmy czasu – powiedział. – Proszę zapowiedzieć sprawę.

Woźny spełnił polecenie sędziego. Leeman próbował wstać, gdy usłyszał swoje imię i nazwisko. Ben powstrzymał go delikatnie.

– Dobrze. Sąd orzekł, że oskarżony jest zdolny do wzięcia udziału w procesie. Wzywam wszystkich uczestników sprawy.

Przerwał na chwilę.

– Panowie —sędzia spojrzał na Bena i Bullocka – zaczynamy to przedstawienie.

Rozdział 43

– Musimy wybrać skład ławy przysięgłych – ciągnął sędzia. Proszę wezwać pierwszych dwudziestu czterech kandydatów.

Woźny podniósł duże pudło wypełnione kartkami z nazwiskami kandydatów na przysięgłych, które spisywano z list w biurze rejestracji samochodów. Niektórzy przedstawiali usprawiedliwienia. Zostawały nazwiska tych, którzy byli zbyt leniwi bądź głupi, by wymigać się od obowiązku.

Ben zapisał nazwiska dwudziestu czterech kandydatów. Niektórzy adwokaci zapamiętywali je, aby wzbudzić podziw przysięgłych zwracając się do nich po nazwisku. Ben nie miał tak doskonałej pamięci, ale zawsze starał się nauczyć choćby kilku, żeby błysnąć potem w kluczowym momencie.

Rozpoczynała się najlepsza zgadywanka, jaka kiedykolwiek została wymyślona. Na podstawie stereotypowego kwestionariusza oraz kilku dodatkowych pytań musiał stwierdzić, którzy przysięgli okażą się przychylni wobec klienta. Mężczyźni czy kobiety, bogaci czy biedni, młodzi czy starzy, biali czy czarni? Bez porównania gorzej niż w Las Vegas – szansa wygranej tak samo znikoma, za to stawka o wiele wyższa.

Dwie trzecie kandydatów stanowili mężczyźni, co nie było korzystne. Potrzebował osób obdarzonych zdolnością współczucia, a ta cecha znacznie częściej występuje u kobiet. Wielu spośród kandydatów nosiło garnitury i krawaty, co wskazywało na zamożność. Bogatych ludzi zazwyczaj uznaje się za konserwatystów, a ci mają tendencje do wydawania wyroków skazujących. Ubodzy znacznie częściej gotowi są okazać współczucie podobnym sobie, lecz czasami potrafią okazać się zaskakująco bezwzględni.

Pozostawała jeszcze kwestia przynależności rasowej. Ben mógłby założyć, że im więcej czarnych przysięgłych, tym lepiej w tej chwili wśród kandydatów znajdowało się dwóch Murzynów. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych orzekł, że nie wolno eliminować przysięgłych wyłącznie ze względu na rasę, więc prawnicy muszą przedstawić choć jeden argument przemawiający za usunięciem danego kandydata. Dla doświadczonego prawnika nie przedstawia to jednak większej trudności. Bullock najchętniej usunąłby obu pod jakikolwiek pretekstem. Jak się temu przeciwstawić?

Jak odgadnąć, co się dzieje w mrocznym umyśle zawziętego prokuratora?

Ben zerknął przez ramię i z ulgą spostrzegł, że Christina wróciła. Siedziała z tyłu, w rzędzie zarezerwowanym dla pomocników obrońcy. Bogu dzięki. Miała znacznie lepszy instynkt od Bena. Wybór przysięgłych to domena tych, którzy dobrze rozumieją ludzi. Ben nie mógł się do tej grupy zaliczyć.

Sędzia poprosił kandydatów o podanie nazwisk, adresów, zawodów swoich oraz małżonków. Kilku kandydatom zadał dodatkowe pytania, a potem dał ręką znak prokuratorowi.

Oskarżyciel miał pierwszeństwo. Zaczął od przedstawienia się, potem opowiedział kilka dowcipów. Gra pozorów. Wiedział, że Hawkins nie pozwoli w tej chwili mówić wprost o sprawie, ale w swoim wystąpieniu surowym tonem napomknął kilka razy o „okrutnym morderstwie dokonany z zimną krwią”.

Ben widział, jak w oczy przysięgłych rozpalają się ciekawością. Morderstwo to coś niezwykłego, podniecającego. Aż do tej chwili mogli przypuszczać, że będą orzekać w sprawie wypadku drogowego. Teraz okazało się, że chodzi o sprawę znacznie ciekawszą.

– Panie i panowie – ciągnął Bullock – w życiu bywa niestety tak, że nie wszyscy rodzą się równi. Niektórzy przychodzą na świat obciążeni wadami, które przeszkadzają im w rozwoju. Współczujemy tym ludziom.

Przysięgli pokiwali głowami. Kilku zerknęło na Leemana. Bez trudu skojarzyli fakty.

– Współczucie nie może jednak sięgać zbyt daleko. Wada rozwojowa nie może być usprawiedliwieniem dla zachowań antyspołecznych i nic nie może usprawiedliwiać morderstwa.

Nietrudno było przejrzeć grę Bullocka. Wygłaszając te słowa, prokurator przyglądał się uważnie twarzom kandydatów.

– Co pan o tym sądzi, panie Smithson? – zwrócił się Bullock do starszego mężczyzny w ostatnim rzędzie. – Czy uważa pan, że istnieje jakieś usprawiedliwienie dla morderstwa?

Smithson odchrząknął.

– Myślę, że każdy ma prawo do działania w obronie siebie lub swojej własności.

– Oczywiście – zgodził się Bullock, kiwając zdecydowanie głową. – To należy do obrony koniecznej. Ale jak pan uważa, czy ktoś ma prawo zabić innego człowieka tylko dlatego, że nie jest tak sprawny umysłowo jak pan lub ja?

– Oczywiście, że nie.

– A czy zmieniłby pan zdanie, gdyby osoba ta obciążona była wadą rozwojową? Nie chora psychicznie, lecz trochę wolniej myśląca niż przeciętny człowiek.

– Nie zmieniałbym zdania.

Bullock zadał podobne pytania jeszcze trzem kandydatom. Ben musiał przyznać, że było to bardzo sprytnie z jego strony. Prokurator wyczuł, że najtrudniejsze dlań będzie wykazanie winy człowieka upośledzonego umysłowo. Postanowił więc zmierzyć się z tym problemem od razu, starając się wyeliminować spośród przysięgłych osoby zdradzające naturalną sympatię do oskarżonego, która mogłaby powstrzymać je od wydania wyroku skazującego, nawet gdyby udowodniono winę.

Prokurator przez prawie godzinę zadawał podobne pytania. Później przystąpił do omawiania następnej ważnej kwestii.

Była nią kara śmierci. Sąd Najwyższy wydał wiążące orzeczenie w tej materii w słynnej sprawie Witherspoona. Prokuratorzy otrzymali znaczną możliwość sprawdzenia, czy ława przysięgłych zdolna jest do skazania oskarżonego na śmierć, jeśli dowody potwierdzają jego winę.

– Pani Skaggs – zaczął Bullock, zwracając się do kobiety w średnim wieku – czy uważa pani, że powinno się orzekać karę śmierci?

– Tak – odparła kandydatka z naciskiem. – Oko za oko, ząb za ząb. Tak zostało napisane w Księdze.

Bullock skinął głową.

– Czy wszyscy się z tym zgadzają? Kto uważa, że powinno się orzekać karę śmierci, proszę podnieść rękę.

Nie wszyscy kandydaci zareagowali od razu, ale w końcu dwadzieścia rąk powędrowało w górę. Bullock bez słowa odwrócił się do sędziego. Hawkins odchrząknął, jak gdyby wyrwany z drzemki. Spojrzał na listę, wykreślił czterech kandydatów przeciwnych karze śmierci i powołał w ich miejsce czterech nowych.

To też było zręczne. Bullock faktycznie zwrócił się do sędziego o ich usunięcie, ale w subtelny sposób, tak aby nie wyjść na żadnego krwi okrutnika. Ben nie protestował; prawo było w tej kwestii bardzo jasne. Zadaniem ławy przysięgłych jest wydawanie orzeczeń, a nie debata polityczna. Skoro kandydat odmawia stosowania kary śmierci, nawet jeśli dowody przemawiają za jej orzeczeniem, nie powinien brać udziału w procesie.

– Pani Skaggs – ciągnął Bullock. – Wielu ludzi w zasadzie uznaje karę śmierci, ale kiedy zasiadają w ławie przysięgłych, nie są zdolni skazać nikogo na śmierć.

Pani Skaggs skinęła głową.

– Założmy, że udowodnię winę tego młodego człowieka ponad wszelką wątpliwość. Czy byłaby pani w stanie wydać wyrok skazujący go na śmierć?

– Tak, chyba tak... – Kobieta się zawahała. – Myślę, że zrobiłabym to.

– Jest pani pewna? Proszę pamiętać, że jeśli ława przysięgłych wydaje wyrok skazujący na śmierć, nie ma od niego odwołania ani ułaskawienia. Musi też pani założyć, że nie będzie apelacji. Po takim wyroku następuje egzekucja. Oskarżony

zostanie zabity zastrzykiem z trucizny.

Bullock zaczerpnął powietrza, dając kandydatom czas na przemyślenie tych słów.

– Musi pani przyjąć, że wyrok śmierci będzie wykonany. Czy wiedząc o tym, nadal byłaby pani gotowa wydać taki wyrok?

Pani Skaggs przełknęła ślinę.

– Nie jestem pewna.

– Rozumiem. – Jako doświadczony prokurator, Bullock konsekwentnie obnażał wątpiących, którzy mogliby zapobiec wydaniu wyroku skazującego. – Co to znaczy, że nie jest pani pewna?

Na czole kobiety ukazały się głębokie bruzdy.

– To znaczy... że chcę postąpić właściwie, chcę spełnić swój obowiązek. Przedstawił pan to tak, jak gdybym ja sama pozbawiała tego człowieka życia.

Bullock nie zaprzeczył.

– Czy wobec tego byłaby pani gotowa wydać taki wyrok? – Prokurator przemawiał łagodnie, lecz nieustępliwie zmierzał do celu. Chciał usłyszeć jednoznacznie „nie zrobiłabym tego”, żeby móc wyeliminować kobietę z ławy. Jeśli nie udałooby mu się uzyskać takiej odpowiedzi, musiałby skorzystać z prawa odwołania kandydata w trybie nadzwyczajnym, a liczba takich odwołań jest bardzo ograniczona. – Nie twierdzą, że przysłoby to pani łatwo. Czy mogłaby pani to uczynić?

– Próbowałabym postąpić sprawiedliwie.

– Nie odpowiada pani na moje pytanie. – Bullock wskazał na Leemana. – Czy mogłaby pani spojrzeć temu człowiekowi w oczy i powiedzieć: „Popełnił pan zbrodnię i musi pan za to umrzeć”? Czy zrobiłaby to pani?

– To zależy.

– Przykro mi, pani Skaggs, ale to nie jest zadowalająca odpowiedź. – Bullock oparł się na ławie. – Proszę odpowiedzieć. Czy mogłaby pani skazać tego człowieka na śmierć?

– Nie znam jeszcze dowodów. – W głosie kobiety słyhać było desperację.

– Nie proszę pani o stwierdzenie, czy ten człowiek jest winny, czy też nie. Pytam tylko, czy zakładając, że dowody potwierdzą jego winę, byłaby pani gotowa skazać go na śmierć. Czy wydałaby pani wyrok śmierci zgodnie z prawem obowiązującym w tym stanie?

Usta pani Skaggs drgnęły. Zamrugła oczami, ale nie odpowiedziała.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – ponaglił sędzia beznamiętnym głosem.

Pani Skaggs spuściła wzrok.

– Nie, nie mogłabym.

– Bardzo pani dziękuję za szczerość – powiedział Bullock. Zachowywał się teraz bardzo przyjaźnie, opiekuńczo. Właściwie czemu nie? w końcu dopiął swego.

Hawkins zwolnił panią Skaggs i powołał następnego kandydata.

Ben uśmiechnął się do Leemana i usiadł wygodniej. Wszystko wskazywało na to, że przesłuchanie nie skończy się prędko.

Rozdział 44

Bullock przepytiał wszystkich kandydatów po kolei ze stosunku do kary śmierci. Sąd Najwyższy orzekł, że prokurator ma prawo dążyć do tego, by na ławie przysięgłych zasiadło dwunastu ludzi gotowych wydać wyrok śmierci, i Bullock zamierzał z tego prawa skorzystać w całej pełni. To, rzecz jasna, oznaczało większe prawdopodobieństwo takiego wyroku, ale Ben nie mógł się temu przeciwstawić. Tak stanowiło prawo.

Przesłuchanie Bullocka trwało godzinami. Oskarżyciel wyeliminował jeszcze pięciu kandydatów, których zastąpili inni. Zakończył swoją sesję o wpół do drugiej. To bardzo krótko w porównaniu z podobnymi przesłuchaniami, które trwają czasem tygodniami.

Sędzia Hawkins dał Benowi znak ręką, żeby zaczynał.

– Wysoki Sądzie, myślę, że powinniśmy teraz zrobić przerwę na lunch. Przysięgli siedzą tu od wielu godzin. Jestem pewien, że umierają z głodu.

Trzeba być ich przyjacielem, pomyślał Ben. To nigdy nie zaszkodzi.

Hawkins zerknął na zegarek.

– Proszę kontynuować. Zrobimy przerwę, kiedy pan skończy.

– Wysoki Sądzie, kandydaci nie będą mogli się skoncentrować...

– Proszę kontynuować.

– Ale Wysoki Sądzie...

– Powiedziałem, proszę kontynuować. Jeśli tak bardzo pan dba o dobro przysięgłych, niech pan nie traci czasu.

Przysięgli nie będą mogli pójść na lunch tak długo, jak długo Ben będzie zadawał pytania z każdą minutą będą coraz bardziej głodni i zniecierpliwieni, a wszystko przez Bena. Wyglądało więc na to, że krwiożerczy sędzia już zaczął swoje dzieło niszczenia obrony.

Ben zbliżył się do ławy. Na pierwszy ogień wziął pana Franklina, ponurego jegomościa przed pięćdziesiątką. Ben podejrzewał, że Franklin jest ultrakonserwatystą z gatunku tych, co wyznają zasadę: „Zamknąć ich wszystkich i wyrzucić klucz”. Przysięgli rzadko przyznawali się do tego wprost. Istnieją jednak sposoby, żeby to sprawdzić.

– Panie Franklin, powiedział pan wcześniej, że – używając pana własnych słów – przez całe życie był niezłomnym zwolennikiem kary śmierci, zgadza się?

– Tak. —Franklin wsunął palec za pasek dżinsów.

– Czy pańscy znajomi również podzielają ten pogląd?

– Którzy przyjaciele? – Franklin zmierzył Bena podejrzliwym wzrokiem.

– Inaczej formułując, czy należy pan do jakiejś organizacji?

– Chodzę co niedzielę do kościoła, jeśli o to pan pyta.

Ben nie o to pytał, ale wiadomość była ciekawa.

– Czy należy pan do ACLU?

– Chyba pan żartuje – prychnął Franklin.

– A do NRA?

– Od dnia kiedy dostałem pierwszą strzelbę.

– Rozumiem. A kiedy to się stało?

– Tata podarował mi ją na czternaste urodziny. To był śliczny, prawdziwy winchester.

Ben skinął głową.

– Czy może pan wyjaśnić, dlaczego uważa karę śmierci za dobre rozwiązanie?

– Sprzeciw – odezwał się Bullock. – To nie ma znaczenia. Pan Kincaid pyta o osobiste poglądy polityczne kandydata.

– Wręcz przeciwnie – odparł Ben. – Pytam o poglądy na temat kary śmierci. Pan Bullock był łaskaw robić to samo przez większą część dnia.

Sędzia Hawkins machnął ręką.

– Pozwalam. – Wybrał najprostsze rozwiązanie.

– Zawsze uważałem – odpowiedział Franklin – że kara śmierci powinna odstraszać przestępców.

– Zdaje pan sobie sprawę, że to niedostateczny powód do orzeczenia takiego wyroku?

Franklin zmarszczył brwi.

– Nie bardzo rozumiem...

– Pańska decyzja musi zostać podjęta na podstawie dowodów w konkretnej sprawie. Efekt odstraszący na osoby niebiorące w niej udziału nie ma żadnego znaczenia.

– Nie zgadzam się.

– Tak stanowi prawo.

– To głupie prawo.

Kilku przysięgłych zachichotało.

Ben też się uśmiechnął. Nie chciał wyrzucić na przysięgłych wrażenia, że jest sztywniakiem a musiał usunąć Franklina z ławy, nim ten otrzyma szansę

„odstraszenia przestępców” przykładem Leemana.

– Panie Franklin, czy może mnie pan zapewnić, że wyda pan werdykt tylko i wyłącznie na podstawie dowodów przedstawionych w tej sprawie?

– Postaram się.

– Ale czy może pan zagwarantować, że nie uczyni pan tego pod wpływem chęci odstraszenia potencjalnych morderców?

– Nie mam takiej pewności.

– Musi ją pan mieć. Czy może pan wydać werdykt nie kierując się możliwym efektem wobec osób innych niż oskarżony?

Na chwilę zapadła cisza.

– Jeśli takie jest prawo, to się dostosuję.

Nie o taką odpowiedź chodziło Benowi. Ani przez chwilę nie wierzył, że Franklin może podjąć decyzję bez uprzedzeń. Ten człowiek chciał zostać przysięgłym najprawdopodobniej po to, aby skazać Leemana na śmierć.

Ben spróbował jeszcze raz.

– Jest pan pewien, że może pan wydać wyrok w tej sprawie tylko na podstawie przedstawionych dowodów?

– Jeśli tak powie sędzia, to tak zrobię.

Franklin nie dał Benowi konkretnych powodów do usunięcia ze składu przysięgłych. Aby się go pozbyć, Ben musiałby wykorzystać tryb nadzwyczajny.

Oprócz pytań o stosunek do kary śmierci, Ben musiał teraz zadawać takie, które pozwoliłyby mu wychwycić inne uprzedzenia. Było to zadanie prawie niewykonalne. Nie mógł pytać wprost, bo zraziłby do siebie przysięgłych, a tego należało unikać za wszelką cenę.

Ostatnim kandydatem był dwudziestoosmioletni księgowy Harvey Prescott, najmłodszy z kandydatów, młodszy nawet od Bena.

– Panie Prescott, pan także stwierdził, że popiera karę śmierci, prawda?

– Tak.

W jego głosie dało się wyczuć nieznaczne wahanie, które Ben wychwycił już w odpowiedzi na pytanie Bullocka. Było coś, czego Prescott jeszcze nie powiedział.

– Chyba nie jest pan o tym całkowicie przekonany.

– Jestem. Kara śmierci to słuszna rzecz, zło, którego nie da się wyeliminować.

– Uważa pan, że potrafi wysłuchać dowodów bez uprzedzeń i wydać bezstronny werdykt?

– Zdecydowanie tak.

Hm. Ben spróbował inaczej.

– Nie zawahałby się pan przed skazaniem człowieka na karę śmierci przez zastrzyk z trucizny?

– Nie zawahałbym się. To najbardziej humanitarny sposób wykonania kary śmierci.

Trzeba drażyć ten wątek, pomyślał Ben.

– I uważa pan, że egzekucje są konieczne?

– O tak – odparł Prescott – i trzeba pamiętać, że pozwalają oszczędzać pieniądze podatnika – dodał po chwili.

Aha!

– Czy mógłby pan to bliżej wyjaśnić?

– To chyba oczywiste. Pracując dla rządu, często sprawdzałem księgi podatkowe. Skazanie na dożywocie kosztuje podatników fortunę. Dzięki egzekucji można zaoszczędzić mnóstwo pieniędzy.

– To niezupełnie tak – odparł Ben. – Badania wykazały, że ze względu na apelacje i związane z tym koszty działalności prawniczej, więzienie jest znacznie tańsze od wyroków śmierci.

– Sprzeciw! – zawołał Bullock. Ben spodziewał się tego. Sędzia podtrzymał sprzeciw, lecz było za późno. Informacja trafiła już do wiadomości adresatów.

– Zapytam inaczej. Panie Prescott, czy zdaje pan sobie sprawę, że werdykt wydaje się na podstawie przedstawionych w sądzie dowodów, a nie chęci uzdrowienia finansów państwowych?

– Zawsze trzeba zwracać uwagę na wydatki.

– Panie Prescott, czy może pan mnie zapewnić, że wyda werdykt tylko i wyłącznie na podstawie dowodów, które pan tu zobaczy i usłyszy?

Prescott z ponurą miną skrzyżował ręce na piersi.

– Tak, jeśli będę musiał.

Ben odwrócił się.

– Wysoki Sądzie...

– Kandydat odpowiedział twierdząco – przerwał Hawkins. Innymi słowy, nie licz na żadną pomoc, obrońco. – Czy coś jeszcze, panie Kincaid?

– Tak.

Ben musiał teraz w subtelny sposób wychwycić uprzedzenia rasowe. Okazało się, że żaden z kandydatów nie należy ani do NAACP, ani do KKK. Nikt nie nosił znaczka „Stop Nienawiści”, nikt nie widział „Malcolma X”. Jedna z kobiet oglądała „Chłopców z sąsiedztwa”, ale tylko dlatego, że przyjaciółka poleciła jej ten film ze względu na muzykę. Kilku kandydatów czytało w szkole „Niewidzialnego człowieka”, ale tylko dlatego, że autor pochodził z Oklahomy; większość uważała jednak, że książka nie odnosi się do współczesnego społeczeństwa. Ben kiwał grzecznie głową. Gdyby tylko mówili prawdę...

Mimo zadania wielu pytań nie uzyskał ani jednej odpowiedzi zdradzającej

uprzedzenia rasowe. Mógł tylko podejrzewać. Na koniec przypomniał, że oskarżony jest niewinny, dopóki wina nie zostanie udowodniona w sposób niebudzący uzasadnionych wątpliwości. Nie było sensu pytać dalej. Dowiedział się wszystkiego, czego można się było dowiedzieć o tych ludziach.

Teraz zaczynała się zgadywanka. Na podstawie stereotypowych ankiet, odpowiedzi na pytania i powierzchownych obserwacji, Ben musiał dokonać wyborów, które mogą zadecydować o życiu lub śmierci jego klienta.

Na tym polegała sztuka selekcji przysięgłych.

Sędzia ogłosił krótką przerwę. Po konsultacji z Christiną Ben udał się do gabinetu Hawkinsa. Zgodnie z przewidywaniami Bullock usunął obu czarnych kandydatów, twierdząc, że ich niski status społeczny może mieć wpływ na werdykt. Nic dodać, nic ująć. Benowi nie pozostało nic innego, jak usunąć Franklina i Prescottta. Christina podpowiedziała mu, żeby pozbył się też robotnika siedzącego obok Prescottta. Ben pewnie by go zostawił, ale Christina twierdziła, że facet wysyła „niedobre wibracje”. Poza tym zauważyła, że nieco zbyt głośno śmiał się z żartu Franklina.

Benowi wystarczyło takie uzasadnienie.

Mógł usunąć jeszcze kilka osób, ale nie było potrzeby. Po wyeliminowaniu pięciu kandydatów zostało dwunastu przysięgłych i kilku zmienników.

Hawkins polecił zawołać przysięgłych. Zerknął na zegarek.

– Teraz możemy zrobić sobie przerwę na lunch – ogłosił. Dobrze chociaż, że nie dodał „wreszcie”. – Za godzinę rozpoczniemy od wystąpień oskarżyciela i obrońcy i proszę panów, żeby się streszczali. Pół godziny. Po przekroczeniu limitu woźny odbierze mówcy głos. To był długi dzień.

Rozdział 45

Po przerwie Bullock zerwał się z krzesła i pewnym krokiem podszedł do ławy przysięgłych. Wsparty na balustradzie, zbliżył się do sędziów bardziej, niż Benowi wydawało się możliwe i pożądane.

Patrzył w oczy każdemu przysięgłemu po kolei. Kiwał lekko głową i uśmiechał się jak człowiek, który zna prawdę i z pewnością wszystkich do niej przekona. Zdobywał zaufanie przysięgłych, przeciągał ich na swoją stronę, zanim wypowiedział pierwsze słowo.

– Żadnych sztuczek – powiedział wreszcie i zawiesił głos. Poczekał, aż słowa rozejdą się po całej sali. Zręczna zagrywka. Wystarczyła jedna chwila, by trywialność selekcji poszła w niepamięć. Przysięgli jak zaczarowani czekali na następne słowo.

– Żadnych sztuczek – powtórzył. – Przynajmniej nie z mojej strony. Nie potrzebuję ich. Nie uciekałbym się do nich nawet wówczas, gdybym ich potrzebował. Tamten dżentelmen zaś – ruchem głowy wskazał Bena – to zupełnie inna sprawa. Widziałem, jak posuwa się do najrozmaitszych wybiegów. Będzie próbował państwa rozśmieszyć, będzie próbował wyciskać łzy. Będzie łamał zasady. Zrobi wszystko, byleby tylko osiągnąć cel, a jego celem jest oszukać sprawiedliwość, wypuścić oskarżonego z powrotem na ulicę.

– Sprzeciw!

Z drżeniem serca Ben złamał jedną z tradycyjnych zasad dobrego obyczaju sądowego, który zakazywał zgłaszania sprzeciwów podczas pierwszych wystąpień prawników. Bullock posunął się jednak za daleko: zamiast przedstawić ogólnie materiał dowodowy, którym się posłuży, przypuścił osobisty atak na przeciwnika.

– Wysoki Sądzie, to, co mówi prokurator, nie ma związku ze sprawą, a poza tym jest niesłychanie stronnicze.

Sędzia skinął głową.

– Podtrzymuję.

Bullock uśmiechnął się. Nachylił się jeszcze bardziej do przysięgłych.

– A nie mówiłem?

Udało mu się przedstawić Bena jako podstępного cwaniaka, który próbuje ukryć

prawdę. Ben znalazł się w jeszcze gorszym położeniu. Jeśli będzie zgłaszał sprzeciwy, przysięgli naprawdę uznają to za sztuczki prawnicze. Ale jeśli ich zaniecha, Bullock go strąca, a przy okazji Leemana.

– Opowiem państwu teraz, co się zdarzyło – ciągnął Bullock. – Bez dramatycznych chwytów, bez kolorowania. Suche fakty. – Zniżył głos. – Dziesięć lat temu, w gorącą sierpniową noc, w magazynie klubu golfowego Utica Greens została zabita imigrantka. Nazywała się Maria Alvarez. „Jak została zabita?”, spytacie. Kijem golfowym. Czy kij golfowy może być śmiertelną bronią?

Odczekał dłuższą chwilę.

– Ktoś uderzył ofiarę kijem w głowę, co najmniej raz, a prawdopodobnie więcej razy. Po ostatnim uderzeniu kij się złamał. Wtedy napastnik wbił go kobiecie w szyję.

Przy tych słowach Bullock pokazał cios, który spowodował śmierć ofiary.

Odwrócił się od przysięgłych, nie przerywając wywodu.

– Kij przeszedł na drugą stronę i przyszpilił kobietę do ściany. – Otarł ręce, jak gdyby chciał je obmyć. – Nie muszę dodawać, że zmarła.

Oparł rękę na ławie oskarżonego i nachylił się nad Leemanem. Zmuszał w ten sposób przysięgłych, by podczas opisu patrzyli na Leemana, by skojarzyli zbrodnię z oskarżonym.

– To, co powiedziałem, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Wszystkie te fakty zostały sprawdzone i zapisane. Pozostaje tylko jedno pytanie. Kto zabił Marię Alvarez?

Przemaszerował wzdłuż ławy oskarżonego.

– Oskarżenie dysponuje dowodami, które pomogą państwu na to pytanie odpowiedzieć. Pracuję jako prokurator od dawna i jeszcze nigdy nie spotkałem się z tak jednoznacznymi dowodami.

– Sprz... – zaczął Ben, ale zacisnął usta i usiadł. Uwaga na temat wagi dowodów była wysoce niestosowna, ale kolejny sprzeciw spowodowałby jeszcze większe szkody.

– Policjant zastał oskarżonego Leemana Hayesa na miejscu zbrodni, tuż po śmierci ofiary. Oskarżony pracował jako tragarz w klubie golfowym. Można by pomyśleć, że to całkiem naturalne, że tragarz przebywa w magazynie. Tylko że morderstwa dokonano we wtorek po północy. Nie było tam żadnego innego tragarza. Tylko oskarżony.

Na ustach prokuratora igrał ironiczny uśmiešek.

– Zazwyczaj, kiedy posługuję się zwrotem „mieć ręce splamione krwią”, czynię to w sposób metaforyczny. Ale nie tym razem. Tym razem mówię to dosłownie. Leemana Hayesa ujęto z rękami we krwi. Ekspertyza laboratoryjna wykazała, że

była to krew Marii Alvarez.

„Czy są jakieś inne dowody?”, spytacie o ile są potrzebne jeszcze inne dowody. Torba golfowa, z której pochodziło narzędzie zbrodni, znajdowała się w szafce oskarżonego. Została skradziona tego samego dnia z klubowego sklepu. W tej samej szafce leżała biżuteria należąca do zamordowanej. Ale muszę powiedzieć, że najważniejszym dowodem... – Bullock znów zawiesił głos – jest przyznanie się oskarżonego do winy.

Kilku przysięgłych uniosło głowy. Popatrzyli na Leemana. Tym razem ich spojrzenia były znacznie bardziej podejrzliwe. Przyznanie się do winy wszystko zmienia.

– Sprzeciw! – Ben nie mógł na to pozwolić, bez względu na wszystko. – Prokurator nie powinien nazywać niemego nagrania przyznaniem się do winy. Przysięgli mają prawo ocenić to sami...

– Oskarżyciel ma prawo opisać dowody, prawda? – Sędzia Hawkins zmarszczył brwi. – Chyba nie zmienili prawa, kiedy jadłem lunch?

Przysięgli zachichotali.

– Wysoki Sądzie, w mowie wstępnej nie powinno się przedstawiać argumentów. Oskarżyciel narzuca przysięgłym interpretację dowodów, których jeszcze nie widzieli!

– Odrzucam sprzeciw. Proszę kontynuować. Udzielam prokuratorowi pięciu dodatkowych minut jako rekompensatę za ten wybuch obrońcy.

Ben zacisnął zęby i usiadł.

– Jak państwo mogli się zorientować z mojej wcześniejszej wypowiedzi – ciągnął Bullock – Leeman Hayes cierpi na pewne upośledzenie umysłowe. – Wskazał kciukiem Bena. – w każdym razie o tym będą państwa przekonywać płatni świadkowie obrony. Nasi lekarze orzekli, że Leeman Hayes potrafi odróżnić dobre postępowanie od złego. To prawda, jego umiejętności werbalne nie są zbyt rozwinięte. Ale zobaczą państwo, że mimo to przyznał się do winy, co zostało utrwalone na taśmie wideo.

Bullock machnął ręką.

– Obrońca spróbuje zastosować różne sztuczki, by uniemożliwić państwu obejrzenie nagrania, a później będzie przekonywał, że to, co widzicie, nie jest przyznaniem się do winy. Nie dajcie się zwieść. Jesteście ludźmi inteligentnymi. Zobaczycie prawdę na własne oczy a jeśli oskarżony przyznał się do winy, czy można jeszcze wątpić, co zdarzyło się w tę gorącą letnią noc?

Bullock wrócił powoli do przysięgłych.

– Chciałbym państwu powiedzieć, dlaczego Leeman Hayes zamordował tę kobietę, ale nie potrafię w każdym razie nie na pewno. Może chodziło o rabunek?

Przecież zabrał jej klejnoty. Może wpadł w szal? a może chodziło o... seks? – Wymówił to słowo, jakby miało przynajmniej trzy sylaby. – Wszyscy słyszeliśmy opowieści o... apetytach seksualnych ludzi w rodzaju Leemana...

Ben zacisnął pięści, aż uciekła z nich cała krew. Bullock przeciągał strunę.

– Ale prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego Leeman Hayes zabił. Wiem tylko na pewno, że zabił. Na szczęście przysięgli nie muszą ustalać motywów. Dobrze jest znać motyw, wiedzieć, że sprawa układa się w zgrabną całość, ale nie jest to konieczne. Wystarczy stwierdzić, czy oskarżony zabił ofiarę.

Bullock znów pochylił się ku przysięgłym.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości, że po zakończeniu procesu będą państwo przekonani tak samo jak ja, że oskarżony zamordował Marię Alvarez z zimną krwią, w sposób budzący grozę. Jestem pewien, że postąpią państwo słusznie, uznają Leemana Hayesa winnym zarzucanego mu czynu i wydadzą maksymalny wyrok. Dziękuję.

Sędzia poczekał, aż Bullock wróci na miejsce, zapewniając mu dramatyczne zamknięcie wywodu.

– Panie Kincaid, zechce pan...

– Tak. – Ben obszedł ławę i zbliżył się do przysięgłych. Chciał przemówić, póki jeszcze słowa Bullocka dźwięczały w ich uszach.

– Panie i panowie przysięgli, wasze zadanie jest znacznie trudniejsze, niż próbował to przedstawić oskarżyciel. Nie polega ono wyłącznie na tym, abyście – jak twierdzi pan Bullock – wyrobili sobie zdanie o morderstwie, które zdarzyło się dziesięć lat temu w magazynie klubu Utica Greens. Sędzia pouczy państwa, że zadaniem przysięgłych nie jest ocena, czy oskarżony jest winny, czy nie. Wy musicie bowiem ocenić, czy oskarżenie udowodniło oskarżonemu winę w stopniu niebudzącym uzasadnionych wątpliwości. Na nim spoczywa obowiązek przedstawienia dowodów winy a jeśli dowody te nie potwierdzają winy w sposób niebudzący wątpliwości, nie mają państwo wyboru. Bez względu na własne podejrzenia, jeśli oskarżenie nie zdoła spełnić tych wysokich wymagań, musicie stwierdzić, że Leeman Hayes jest niewinny.

Ben zaczerpnął powietrza. Miał nadzieję, że do przysięgłych dotarło znaczenie jego słów, a kiedy usłyszą pouczenie sędziego, zrozumieją wagę tego prawa.

– Istnieją dwa rodzaje dowodów – ciągnął dalej. – Dowody niezbite i dowody poszlakowe. Wszystkie dowody, które przedstawi dzisiaj prokurator, będą dowodami poszlakowymi. Nikt nie widział, że Leeman popełnia morderstwo, nikt tego nie słyszał. Istnieją wyłącznie poszlaki, domniemania oparte na przedmiotach znalezionych po fakcie.

Co więcej, żaden z dowodów poszlakowych nie wyklucza udziału

w przestępstwie innych osób. Innymi słowy, poszlaki oskarżyciela co najwyżej wskazują, że Leeman Hayes mógł zabić Marię Alvarez. Nie dowodzą natomiast, że to zrobił. Proszę pamiętać, że tego człowieka można uznać winnym jedynie wówczas, gdy oskarżyciel udowodni mu popełnienie morderstwa. Udowodni w sposób niebudzący uzasadnionych wątpliwości. Nie wystarczą podejrzenia, pytania bez odpowiedzi. Dowód nie może pozostawić uzasadnionych wątpliwości. – Ben dał przysięgłym chwilkę na zapamiętanie tego stwierdzenia.

Żadnych sprzeciwów wobec szczegółowego omówienia zwrotu „w sposób niebudzący uzasadnionych wątpliwości?” Bullock pewnie uznał, że nie warto zgłaszać sprzeciwów, aby pokazać, że tylko Ben próbuje coś ukrywać.

– Po przedstawieniu wszystkich dowodów oskarżenia, zakładając, że sędzia nie oddali sprawy... – Ben omal sam się nie roześmiał – my będziemy mieli możliwość przedstawienia swoich dowodów. Zapewniam państwa, że nie planuję żadnych sztuczek ani podstępów. Zamierzamy tylko pokazać, co się stało w nocy dziesięć lat temu.

Ben chciałby powiedzieć dokładniej, jakie będą te dowody, ale sam po prostu nie wiedział. Mógł jedynie starać się osłabić wymowę dowodów prokuratora i mieć nadzieję, że Loving znajdzie jakiegoś świadka lub że Jones natrafi na coś w peruwiańskich archiwach.

– To prawda, że lekarze wielokrotnie stwierdzali u Leemana upośledzenie umysłowe. Prawdą jest również, że porozumiewanie się przychodzi mu z wielkim trudem. Nie będzie świadczył w swojej sprawie, ponieważ nie byłby w stanie odpowiedzieć na pytania. Proszę sobie wyobrazić, w jak trudnym położeniu się znalazł. Proszę sobie wyobrazić, z jaką łatwością mogliby nim manipulować policjanci i prawnicy. Proszę sobie wyobrazić, jak trudno mu się obronić przed tymi, którzy chcą go skazać za zbrodnię, której nie popełnił.

– Sprzeciw – powiedział Bullock. – Obrona przedstawia argumenty.

– Podtrzymuję. Proszę uważać, panie mecenasie.

Wierz mi, że uważałem. Specjalnie zmusiłem Bullocka do zgłoszenia sprzeciwu, aby przysięgli zobaczyli, że nie jestem tu jedynym cwaniakiem.

– Proszę tylko o sprawiedliwość. To prawda, że mój klient ma problemy. Zmaga się z nimi przez całe życie. Nie prosimy jednak o współczucie, o specjalne traktowanie. Prosimy tylko o sprawiedliwość. Dla wszystkich i o to, żeby nie zapominali państwo tych najważniejszych słów: w sposób niebudzący uzasadnionych wątpliwości. Dziękuję.

Ben wrócił na miejsce. Leeman przypatrywał mu się uważnie.

– Późno już – powiedział sędzia. – Proponuję skończyć na dzisiaj. Wznowimy rozprawę jutro o dziewiątej rano przesłuchaniem pierwszego świadka oskarżenia.

Przestrzegam przysięgłych, by nie rozmawiali z nikim o sprawie. – Zerknął na galerię. – Dotyczy to także prasy.

Strażnicy odprowadzili Leemana do aresztu. Sędzia nie zdążył jeszcze wyjść z sali, gdy Ben został osaczony kamerami i mikrofonami.

– Co pan powie na temat oświadczenia prokuratora, że ma nagrane na taśmie przyznanie się oskarżonego do winy?

– To nieprawda – odparł Ben.

– A krew na jego dłoniach?

– Niczego nie dowodzi.

– A biżuteria? Co z biżuterią...?

Ben odsunął reporterów.

– Proponuję, żeby sprawę rozstrzygnąć przed sądem, wy znajdźcie inny sposób na pobicie „Koła fortuny” pod względem oglądalności.

Idiota, mruknął do siebie Ben przepychając się przez tłum. Teraz odmalują go w telewizji jako obstrukcjonistę. Miał ochotę wymierzyć sobie kopniaka. Reporterzy potrafią tak zejść za skórę, że łatwo zapomnieć, z jaką swobodą manipulują opinią publiczną.

Ponad głowami dziennikarzy spostrzegł Christinę. Stała na ulicy obok samochodu i dawała mu znaki. Im szybciej się stąd wydostanie, tym lepiej.

Rozdział 46

Prosto z sądu Ben pojechał na komendę policji. Przy wejściu dowiedział się, że Mike znajduje się nadal na trzecim piętrze w sali przesłuchań.

Świadek był przyjaźnie nastawiony, więc Ben zastanawiał się, dlaczego Mike przesłuchuje go właśnie tam. Wkrótce otrzymał odpowiedź.

Rodzice Abiego siedzieli w sali obok, obserwując wszystko przez jednostronne akrylowe lustro. Mike pewnie nalegał, żeby przesłuchiwać chłopca bez rodziców, a Ruthefordowie nie chcieli spuszczać go z oczu. Musieli znaleźć kompromis.

– Jak idzie przesłuchanie? – spytał Ben, wchodząc do sali obserwacyjnej.

Rutheford skinął głową na powitanie. Widać było, że jest rozdarty. Nie lubił Bena i nie wolałby, żeby go tu nie było, ale trudno zachować się niegrzecznie wobec kogoś, kto brał udział w uratowaniu synowi życia.

Rachela stała z dłońmi opartymi o szybę. Chciała być jak najbliżej syna.

– Czy Mike’owie udało się czegoś dowiedzieć?

Potrząsnęła głową.

– Niewiele. Ale wątpię, by Abie coś ukrywał.

– Jestem pewien, że nie zrobiłby tego świadomie, ale po takim okropnym doświadczeniu świadkowie często miewają trudności z odtworzeniem szczegółów. Dorośli świadkowie a w przypadku dziecka, śmiertelnie przerażonego, trudności są jeszcze większe. Czy Mike zaproponował hipnozę?

– Tak – odparła Rachela. – Nie wyraziliśmy zgody.

Nie zdziwiło to Bena. Według Mike’a, Rutheford tylko przeszkadzał w prowadzeniu śledztwa. Gnębiło go poczucie winy, że jego brak zainteresowania synem i nieczułość popchnęły chłopca w ramiona pedofila. Teraz próbował to nadrabiać zachowując się tak opiekuńczo, że utrudniał policji wytropienie przestępcy.

Ben zerknął na Rachelę.

– Czy sporządzono już rysopis?

– Tak. – Skinieniem głowy wskazała stół na środku pokoju, na którym leżał szkic wykonany węglem.

Ben podniósł kartkę. Jedyнным czytelnym elementem rysopisu były obfite

włosy – niewątpliwie peruka – oraz ciemne okulary, które też najprawdopodobniej należały do przebrania. Reszta przypominała nieczytelną plamę. Tak może wyglądać każdy. Rysopis był całkowicie bezużyteczny.

– A samochód? – spytał Ben.

– Zarejestrowany na fałszywe nazwisko. Wykorzystywał prawo jazdy nastolatka zmarłego przed sześciu laty. Żadnych śladów.

Kolejny martwy trop. Zboczeniec starannie pozacierał ślady.

Abie sprawiał wrażenie obojętnego, zmęczonego. Niewiele mówił.

Mike ogłosił przerwę. Abie chciał wyjść z sali razem z nim, ale Mike kazał mu zostać. Chłopiec niechętnie zastosował się do polecenia.

Ben wyszedł na korytarz.

– Jak on się trzyma? – spytał Mike’a.

– Nieźle, za to ja jestem nerwowym wrakiem.

– Spędziłeś z nim cały dzień?

– Z przerwami. Psychiatrzy też się nim zajmowali.

– I co mówią?

– Że wyjątkowo dobrze to zniósł. Okazał się bardzo odporny, ale radzą trzymać go przez pewien czas pod obserwacją. Przeżył tylko chwilowy szok.

– Więc w czym problem?

– Nie możemy uzyskać rysopisu. Dzieci nie zwracają uwagi na wygląd dorosłego. Przecież jego twarz znajduje się ponad pół metra wyżej a w dodatku zboczeniec nosił przebranie. Będziemy musieli znaleźć go sami.

– A ta nora z materacem i aparatem?

– Przewróciliśmy wszystko do góry nogami. Materac, aparat, każdy skrawek papieru. Nie znaleźliśmy niczego, co pomogłoby ustalić właściciela.

– Czy pedofil zabrał chłopca gdzieś jeszcze?

– Pod tym względem zeznanie Abiego jest naprawdę niejasne. Nie mogę się dowiedzieć nic konkretnego. Facet podał chłopcu narkotyk już w wesołym miasteczku. Abie musiał przez cały czas walczyć z sennością a tamten bydlak nie zostawił żadnych śladów. Mieliśmy cholerne szczęście, że Abie zostawił na chodniku ten granatowy tornister.

– Abie miał cholerne szczęście, że zauważyłeś torbę i pośpieszyłeś mu na ratunek.

– I dostaję teraz za swoje!

– Jak to?

– Chłopak powtarza bez przerwy, że jestem bohaterem i kiedy dorośnie, chce być taki sam jak ja!

– Nie odpowiada ci rola lokalnego bohatera?

– Nie bardzo, jeśli moim największym wielbicielem ma być dziesięcioletni chłopiec.

– Ani trochę nie pasuje do wizerunku twardziela, co?

– Nie mogę się od niego uwolnić nawet na pięć minut! Mówi, że beze mnie nie czuje się bezpieczny. Chce cały dzień być ze mną.

– Na pewno dostanie policyjną ochronę, dopóki ten zboczeniec jest na wolności.

– Jasne. Rutheford pociągnął już za sznurki w klubie golfowym. Szef policji Blackwell jest jego kumplem z klubu.

Ben skinął głową. Miał już przyjemność poznać Blackwella. Wątpliwą przyjemność.

– Blackwell wyznaczył mnie do osobistej ochrony chłopca! Wyobrażasz to sobie? Mnie, doświadczonego detektywa z wydziału zabójstw! Zrobił ze mnie niańkę!

– Gorsze niż śmierć – przyznał Ben ze współczuciem. – Wygląda na to, że musisz szybko dopaść tego zboczeńca.

– Staram się, wierz mi.

– A jak się sprawują rodzice Abiego?

– Jak prawdziwe utrapienie.

– To znaczy?

Mike wzruszył ramionami.

– Bogacze nie chcą mieć do czynienia z policją. Nasza brudna robota jest poniżej ich godności. Traktują nas jak służących, jak ludzi, którym się płaci za usuwanie śmieci i jak ognia boją się złej prasy. Woleliby raczej pozwolić przestępcy spacerować bezkarnie po ulicy, niż dostać się na pierwszą stronę gazety. – Mike spojrzął na zegarek. – Muszę wracać. Jeśli zostawię chłopca samego dłużej, gotów wyjść i przywiązać się sznurkiem do mojego rękawa.

Ben wrócił po sali obserwacyjnej. Widział, jak Mike wchodzi do pokoju.

– Porucznik Morelli! – zawołał radośnie Abie. Zarzucił mu ramiona na szyję jak długo niewidzianemu bratu. Mike wyglądał, jakby za chwilę miał skonać.

– Abie zapałał prawdziwą sympatią do Morellego – zauważył Ben.

– Prawda? – rzucił sucho Rutheford. – Mnie nigdy w ten sposób nie wita.

– Być może dlatego, że porucznik Morelli przyszedł mu z pomocą, zamiast grać w golfa – powiedziała Rachel lodowatym tonem.

Rutheford obrzucił ją morderczym spojrzeniem. Ben zwrócił twarz do lustra i udał, że nie słyszy.

– No dobrze – zaczął Mike. – Opowiedz mi jeszcze raz o drodze z mieszkania Sama do pomieszczenia z materacem.

– Niewiele pamiętam – odparł bezradnie Abie. Widać było, że bardzo chciałby

uszcześliwić swojego bohatera interesującymi odpowiedziami, ale po prostu takich nie zna.

– Czy możesz opisać budynek, w którym znajdowało się mieszkanie?

– Chyba był biały. Albo szarawy.

– Z czego?

– Z cegły. Albo z drewna.

– Czy to była kamienica, czy blok?

– Wydaje mi się, że... o rety, nie wiem.

Mike przeniósł spojrzenie na sufit.

– Możesz mi powiedzieć coś o tym budynku?

Abie zastanowił się.

– Na zewnątrz były takie małe ludziki.

– Małe ludziki?

– Aha.

– Dzieci?

– Nie, ludziki.

– Karły?

– Nie, raczej trolle.

– Trolle?

– Takie jak w książce Maurice'a Sendaka. Mam ją w domu. Są w niej naprawdę świetne trolle.

– I te trolle były na zewnątrz domu?

– Tak, chyba w ogrodzie.

– Co to był za ogród?

– Nie wiem. Widziałem tylko trolle.

No dobrze. Trolle. Mike zanotował.

– Powiedz, jaką drogą szliście po wyjściu z mieszkania Sama.

Abie wzruszył ramionami.

– Prawie nic nie pamiętam. On włókł mnie przez cały czas, a ja nic nie widziałem. Wszystko było takie zamazane.

– Mimo to postaraj się.

– Najpierw minęliśmy te trolle...

Mike zacisnął zęby.

– Zostawmy już te trolle.

– Długo trzymałem spuszczoną głowę, bo bałem się, że jeśli zobaczy moją twarz, to zrobi mi coś złego. Potem znaleźliśmy się w jakimś ciemnym wąskim miejscu a później zobaczyłem te żółte numery.

– Żółte numery?

– Tak. Drzwi z numerami na żółtym...

Mike otworzył usta.

– Na czym?

Na twarzy chłopca malował się olbrzymi wysiłek.

– Nie wiem. Bardzo się bałem i starałem się nie rozglądać...

– W porządku, Abie. Powiedz, co jeszcze pamiętasz.

– Minęliśmy te numery, a potem przeszliśmy przez ścianę.

– Jak to, przeszliście przez ścianę?

Abie zrobił taką minę, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem.

– Okey, okey. – Mike poklepał chłopca po ramieniu. – I co zobaczyłeś, kiedy przeszliście przez tę ścianę?

– Samoloty.

– Samoloty? Zabawkowe? Zdalnie sterowane?

– Nie. Prawdziwe samoloty.

– I co one robiły?

Abie popatrzył na Mike'a jak na wariata.

– Latały, oczywiście.

Mike położył dłoń na czole i zaczął chodzić po sali. Zastanawiał się. Narkotyk musiał wywrzeć silniejszy wpływ na organizm chłopca, niż początkowo myśleli. Ten opis nie trzymał się kupy.

– Pamiętasz coś jeszcze? – spytał Mike.

– Potem długo szliśmy.

– W którą stronę?

– Nie jestem pewien...

– Czy słońce świeciło z przodu, czy z tyłu?

Abie zastanowił się.

– Nie pamiętam.

– Jak długo szliście?

– O rety, nie pamiętam.

– Pół godziny?

– Może.

– Więcej? Mniej?

Abie zagryzł dolną wargę.

– Około pół godziny.

To już coś, pomyślał Ben. Może. Ocena upływu czasu przez dorosłych pozbawionych zegarków bardzo często ma niewielki związek z rzeczywistością. Czas podany przez chłopca, który znajdował się w tak dramatycznej sytuacji, mógł być obarczony jeszcze większym błędem.

– Co się później stało, Abie?

– Wchodziliśmy do budynku po takich stromych, chwiejących się schodach, a potem znaleźliśmy się w pomieszczeniu, gdzie był aparat i materac. – Abie uśmiechnął się z dumą. – Nieźle rozwaliłem jego polaroida, prawda?

– Tak, naprawdę nieźle to zrobiłeś – przyznał Mike z nieprzekonującym uśmiechem. Ben zrozumiał, że na podstawie tego opisu odnalezienie mieszkania jest prawie niemożliwe.

Uświadomił sobie również z niepokojem, że Abie jest pierwszą ofiarą, której udało się wymknąć z rąk zboczeńca. Chłopiec jest jedyną osobą, która może go zidentyfikować. Jak dotąd tego nie uczynił, ale o tym pedofil nic nie wie.

Można było łudzić się nadzieją, że zapomni o Abiem, że nie zaryzykuje zbliżenia się do niego w to jednak nikt naprawdę nie wierzył. Pedofile są opętani swoją obsesją. Kiedy już wybiorą ofiarę, nie rezygnują z niej.

Abie nie będzie bezpieczny, dopóki Sam pozostanie na wolności. Zboczeniec zrobi wszystko, żeby odnaleźć chłopca.

I zabić go.

Rozdział 47

Po powrocie wieczorem do domu Ben przemknął ukradkiem obok drzwi pani Marmelstein. Mimo że bardzo ją lubił, nie miał dzisiaj ochoty dyskutować o tym, kto zakręcił wodę i dlaczego dostawcy energii wymagają płacenia rachunków na czas. Był wykończony, a musiał jeszcze poświęcić cztery lub pięć godzin na przygotowanie się do jutrzejszych przesłuchań.

Joni siedziała na swoim zwykłym miejscu na środku schodów i bawiła się kartami. Walety kładła na królach, a kiery na karach. Ben nie widział w tym żadnej logiki.

– Co to za gra? – spytał.

– E.R.S. – odparła Joni nie przerywając układania kart.

– Czy to jakiś skrót?

– Cóż za domyślność.

– Więc co to znaczy?

Joni położyła damę kier na czwórce trefl.

– Nie powiem.

– Mogę zgadywać?

– Możesz – zgodziła się znudzona.

– Ekstra...

– Pudło.

– E...

– Och, Ben, jesteś taki monotony.

– Poddaję się. Co znaczy ten skrót?

Joni uniosła rękę, jakby chciała odgarnąć włosy, ale zaraz przypomniała sobie, że nie sięgają już do ramion.

– Myślę, że nie powinieneś tego wiedzieć.

Ben usiadł obok.

– Możemy przez chwilę pogadać o twoim chłopaku?

Pobladła.

– Nie powiedziałaś rodzicom...!

– Nie, ale muszę z nim porozmawiać. Możesz mnie umówić?

– Porozmawiać? O czym?

– Wydaje mi się, że utrzymuje kontakty z ludźmi, których poznałem ostatnio w klubie golfowym.

Joni parsknęła śmiechem.

– Mój Booker nigdy w życiu nie był w klubie golfowym.

– Nie powiedziałem, że był. Ale widziałem tam jego... kumpli.

Joni się zachmurzyła.

– O czym ty mówisz?

– O gangu ulicznym. O Demonach.

Zebrała karty.

– Coś ci się pokręciło.

Ben złapał dziewczynę za rękę.

– Nie sądzę. Parę dni temu widziałem Bookera w domu mojego klienta. Miał na sobie czarną kurtkę z emblematem gangu. Swastyka wpisana w serce. Kolega z policji wyjaśnił mi, że takie kurtki noszą członkowie gangu Demonów z północnej dzielnicy.

Joni w milczeniu skrzyżowała ręce na piersi.

– Mój znajomy uważa, że Demony zaczęły sprzedawać narkotyki na terenie rywalizującego gangu Kobr. Twierdzi, że rozprawdzają twarde narkotyki z zagranicy.

Joni wpatrywała się w Bena.

– Jami powtarzała mi: „Nie zdradzaj naszych sekretów Benjaminowi. Tak naprawdę to on jest glina” a ja mówiłam: „Ben to swój człowiek”. Chyba Jami miała rację.

– Słuchaj, Joni. Nie próbuję wpakować ciebie czy Bookera w kłopoty. On sam to zrobił, wstępując do gangu. Ale jeśli pozwolisz mi z nim pogadać, może zdołam mu pomóc, zanim trafi na dziesięć lat do więzienia.

Joni zmierzyła Bena podejrzliwym wzrokiem.

– A ty co z tego będziesz miał?

– Być może, Booker zna informacje, które mogłyby pomóc mojemu klientowi. Chcę tylko z nim porozmawiać. Ty wskażesz miejsce.

– Skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać?

– Daj spokój, znasz mnie przecież. Czy kiedykolwiek cię okłamałem? Czy powiedziałem komuś o tobie i Bookerze? Czy powiedziałem Jami, że zgubiłaś jej kolczyki od Palomy Picasso w Błękitnej Róży?

– Skąd...?

– Jestem bardzo spostrzegawczy. No, Joni. Zgadzasz się?

Joni popatrzyła na Bena, a potem włożyła karty do pudełka.

– Niczego nie obiecuję.
Wstała i poszła na górę.

Christina siedziała w fotelu bujając Joeya, który miał zamknięte oczy. Spał mocno.

– Ciii... – szepnęła Christina. – On śpi.

– Dzięki za wskazówkę. – Ben położył teczkę i usiadł na podłodze koło Christiny. – Zaskoczyłaś mnie. Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

Christina wygładziła kołnierzyk pidżamy Joeya.

– Pomyślałam, że mogłabym ci pomóc przygotować się do jutrzejszej rozprawy.

Ben skinął głową.

– To jednak nie wyjaśnia, dlaczego zajmujesz się dzieckiem. Pamiętam, że bardzo narzekałaś, kiedy poprosiłem cię o to.

– Twoja mama postanowiła przygotować ci smaczną kolację...

– Mama znowu wzięła się za gotowanie?

– ...Więc ktoś musiał zaopiekować się dzieckiem. To ciężki obowiązek, ale jestem dzielna.

Ben spojrzał na dziecko śpiące słodko w jej ramionach.

– Świetnie ukrywasz swoje nieszczęście.

– Dzisiaj wieczorem był bardzo grzeczny. Chyba zaczynamy się rozumieć.

– Doskonale – powiedział Ben wstając.

– Ben?

– Tak?

– Co zamierzasz zrobić z matką?

– Jak to?

– Musisz coś postanowić. Ona nie może tu zostać na zawsze.

– Myślałem, że niedługo wróci do siebie...

– Z dzieckiem, tak?

– Hm...

– Tak myślałam. Na to właśnie liczyłeś.

– To już nie potrwa długo. Jones poszukuje Julii. Prawdopodobnie, Julia powinna jutro wrócić po Joeya.

– Bądź realistą. Julia nie ma zamiaru wracać po niego szybko. Gdyby chciała to zrobić, w ogóle by go z tobą nie zostawiała.

– Czego ty się po mnie spodziewasz? – Ben podniósł bezradnie ręce. – Christina, ja nie potrafię wychowywać dzieci. Nie mam o tym pojęcia.

– To zwykłe wymówki.

– Mama jest w tym nieporównywalnie lepsza ode mnie.

– Ale Julia zostawiła dziecko tobie, nie mamie.
– Tylko dlatego, że nie zastała jej w domu.
– To niepotwierdzona wiadomość.
– Lepiej niech mama zajmuje się dzieckiem. Ma więcej doświadczenia.
– Ben, twoja matka ma sześćdziesiąt sześć lat.
– Więc?
– W tym wieku nie powinna brać na siebie takiej odpowiedzialności. Powinna odpoczywać, cieszyć się spokojem życia.

– Wynajmie sobie kogoś do pomocy.
– Świetna postawa. Niech służba się tym zajmie. – Christina mruknęła coś pod nosem. – Nie jesteś wiele lepszy od tych snobów z klubu golfowego, których tak zawzięcie krytykujesz.

– To nie fair.
– A co, mówię nieprawdę?
– Christina, zachowujesz się irracjonalnie.
– Jak długo jeszcze będziesz unikać obowiązków wobec rodziny? Zamierzasz przejść przez życie, nie dbając o nikogo?

Próbował odpowiedzieć, ale się spóźnił. Christina wyszła ze śpiącym dzieckiem z pokoju.

Ben począpał niechętnie do kuchni. Matka stała przy kuchence, poruszając coś na patelni drewnianym widelcem. Miała na sobie elegancką plisowaną spódnicę, jedwabną bluzkę i żakiet w stylu orientalnym. Na to wszystko narzuciła fartuch Bena z napisem dużymi czarnymi literami PRAWNICY ROBIĄ TO w PRZERWIE.

– To prezent od Christiny – mruknął Ben.

Pani Kincaid spojrzała na syna z zaciekawieniem.

– Ten widelec?

– Nie, ale to nieważne. Co robisz?

– Przygotowuję ci kolację.

– Znowu? Co tym razem?

– Nie jestem jeszcze pewna. Kurczak z czymś. Trochę pozapominałam przepisy.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że gotujesz!

Pani Kincaid westchnęła ciężko.

– Zawsze powtarzałam, że powinniśmy z ojcem robić zdjęcia. Może nawet nagrywać wszystko na wideo. „Chłopcy nie pamiętają takich rzeczy”, mówiłam, a on odpowiadał: „Nonsens, chłopak zawsze będzie pamiętał mamę i tatę”. – Potrząsnęła smutno głową. – Niestety, miałam rację.

Wsadziła rękę do kieszeni fartucha.

– Zawsze noszę w portmonetce to zdjęcie. Może cię zaciekawi.

Ben wziął czarno-białą fotografię. Młodo wyglądający mężczyzna pochylał się nad małym chłopcem i łaskotał go po brodzie.

Chłopiec miał jasno-kasztanowe włosy i szczupłą twarz.

Śmiał się na całe gardło, spoglądając na mężczyznę pełnymi miłości oczami.

To były oczy Bena.

Ben schował zdjęcie do kieszeni.

– Nie musiałaś gotować kolacji...

– Ale chciałam. Kiedyś byłam świetną kucharką. Ludzie za bardzo chwalili moje potrawy. Jak myślisz, dlaczego cała rodzina zjeżdżała się do nas na Święto Dziękczynienia?

– Podejrzywałam, że nie chcą być pominięci w testamencie...

Pani Kincaid puściła uwagę mimo uszu.

– Zatrudniłszy Rhianę dopiero, kiedy skończyłeś osiem lat. Potrzebowaliśmy pomocy, głównie przy pilnowaniu ciebie, bo co rusz wymykałeś się z domu do biblioteki, zamiast wykonywać swoje obowiązki. Ale Rhiana okazała się świetną kucharką i po prostu przejęła moje obowiązki.

Pani Kincaid uśmiechnęła się i wróciła do gotowania.

– Dlatego tak wielką przyjemność sprawia mi pobyt u ciebie. Muszę przyznać, że zamierałam po prostu zabrać dziecko i wyjechać, ale tak mi tu dobrze, że zmieniłam zdanie.

– Ciekawe – mruknął Ben.

– Przypomina mi to czasy, gdy ojciec nie poznał jeszcze smaku powodzenia. Żyliśmy w bardzo trudnych warunkach i świetnie się bawiliśmy.

Ben patrzył na matkę pustym wzrokiem, próbując wrócić do rzeczywistości.

– Muszę przygotować się do procesu...

– Oczywiście.

– Pewnie nie będę dużo jadł.

– Oczywiście.

– Może pogram trochę na pianinie, żeby...

– Żeby lepiej się skupić. Oczywiście.

Ben nabrał powietrza.

– Dlaczego ciągle powtarzasz „oczywiście”? Czy tak łatwo zgadnąć, co powiem i co zrobię?

Pani Kincaid uśmiechnęła się i poklepała syna po policzku.

– Nie, Benjaminie. Jesteś po prostu bardzo podobny do ojca.

Ben zmarszczył straszliwie brwi.

– Chyba żartujesz! Ja? Podobny do ojca?!

– Czasem pracowałam całą noc po to, żeby przygotować się do ważnej operacji. Nie

jadł wtedy, bo myślał tylko o pracy. Słuchał płyt Herba Alperta, bo pomagały mu się skupić. Ja osobiście nie znosiłam tych trąbek, ale jego wprawiały w błogostan.

– Nie jestem podobny do ojca – zaprotestował Ben. – Nie cierpię trąbek.

– Ależ oczywiście, kochanie – zgodziła się pani Kincaid, mieszając potrawę widelcem.

Ben wyszedł z kuchni. Christiny nie było w saloniku. No i dobrze. Usiadł przy pianinie i zagrał pierwszy akord melodii „Venus pocałowała księżyc”, jednej z jego ulubionych piosenek Christine Lavin. To piękna melodia, ale Ben był strasznie zmęczony, a poza tym zbyt wiele myśli plątało mu się po głowie. Zabrał teczkę i ruszył do sypialni.

Zapalił światło. Chciał się rzucić na łóżko, ale w ostatniej chwili powstrzymał się i krzyknął głośno.

Christina wpadła do pokoju.

– Co się stało?

Ben wskazał łóżko.

– Tam leży martwe zwierzę.

– Ktoś podrzucił ci do łóżka końską głowę? Ten proces okazuje się jeszcze gorszy, niż przypuszczałam.

Na kołdrze leżała martwa mysz.

– Niesmaczne – zauważyła Christina.

– I to bardzo.

– Gizela?

– Nie sądzę, żeby zrobiła to mama!

Christina wycofała się do holu.

– I co teraz zrobisz?

– Będę musiał posprzątać – westchnął Ben. – Co za szok. Teraz już chyba w ogóle nie usnę.

Christina poklepała go po ramieniu.

– No, już dobrze. Po prostu wyrzucić zwłoki. Potem przyjdę, zaśpiewam ci „Flinstonów” i ukołyszę do snu.

Ben nawet się nie uśmiechnął.

Rozdział 48

Carlee Crane w łóżku zajadała lody, które ściekały jej po rękach na pościel; nie przejmowała się tym. Miała ochotę na lody, potrzebowała lodów. Tak sobie w każdym razie mówiła.

Do sypialni wszedł Dave. Patrzyła, jak mąż się rozbiera, żeby pójść do łazienki. Biwak dobrze mu zrobił: Dave się opalił i nieco wyszczupłał. Co wcale nie znaczy, że miał nadwagę.

Carlee patrzyła, jak się wyciera, wkłada niebieską pidżamę, której prawie nigdy nie nosił.

Nie odezwali się do siebie przez cały wieczór.

Nie pokłócili się; nie mieli właściwie powodu. Ale od powrotu z kempingu wszystko się jakoś zmieniło w ich związku pojawiło się jakieś napięcie, którego nigdy przedtem nie było.

Dave nie czuł do żony niechęci z powodu tego, co się zdarzyło. Nie wiedział, jak się zachować. Zagubił się. Carlee wiedziała, że chce być dobrym mężem, tylko nie wie, jak nim być.

Dlatego milczał. Raz czy dwa próbowała nawiązać do tego tematu, skłonić Dave'a do rozmowy, ale on nie zwracał uwagi albo obrzucał żonę swoim charakterystycznym spojrzeniem „nie przy dzieciach” a teraz, kiedy chłopcy spali, wydawało się za późno. Zbyt wiele już się stało.

Sprawy zaszły za daleko.

Jednak Carlee nie myślała poddać się tak łatwo. Odstawiła miseczkę z lodami na stolik. Dave leżał tyłem, skulony w swojej niebieskiej pidżamie.

– Dave?

– Mmm...

– Dziś zaczął się proces.

Cisza.

– Proces Leemana Hayesa. Oskarżyli go o zabójstwo tej cudzoziemki dziesięć lat temu.

– Wiem – odparł Dave, ale się nie odwrócił.

– Współpracownik obrońcy przyszedł tutaj i pytał mnie, czy wiem coś o tym

morderstwie. Powiedział, że bez świadka nie dadzą sobie rady. Sprawa już się zaczęła, a w telewizji mówią, że obrona nadal nie ma żadnego świadka.

– Nie powinnaś oglądać tak dużo telewizji – powiedział Dave beznamiętnym głosem. – Tylko się denerwujesz.

– Dave, jestem prawie pewna, że ten biedak nie zabił tej kobiety. Wiem, że tego nie zrobił.

– A więc kto?

– Nie wiem. Ale wiem, że zabójca był wyższy i starszy i nie był czarny.

– I zdobyłaś tę zdumiewającą wiedzę podczas wizji, którą miałaś w mistycznych górach Arbuckle?

– Dave, to nie była wizja. To było wspomnienie.

– Które pojawiło się całkiem nagle.

– Wiem, to brzmi dziwnie. Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale ja to widziałam.

– Jak to możliwe, że widziałaś morderstwo?

– Przecież wiesz, że pracowałam w tym klubie. Pewnie zostałam po godzinach, żeby posprzątać w kuchni. Szef obiecywał, że awansuje mnie na kelnerkę, jeśli będę miała dużo nadgodzin. Byłam wtedy tak biedna, że zrobiłabym prawie wszystko, by zarobić parę dodatkowych dolarów. Wracałam do domu pieszo, bo nie miałam samochodu. Tej nocy szłam przez pole golfowe i usłyszałam krzyk. Podbiegłam więc do okna i... zobaczyłam.

– I co zrobiłaś potem?

– Nie wiem. – Carlee potrząsnęła mocno głową, jak gdyby chciała uwolnić zamknięte gdzieś wspomnienie. – Tego nadal nie mogę sobie przypomnieć. Powtarzałam sobie, że muszę komuś powiedzieć, kogoś zawiadomić...

– Ale nie zrobiłaś tego, prawda?

– Nie jestem pewna...

– Byłaś na policji?

Carlee przychyliła lekko głowę.

– Chyba nie.

– Świetnie. – Dave uderzył pięścią w poduszkę. – A co sobie przypominasz potem?

– Pamiętam, że byłam później w domu, że zachowywałam się tak, jakby nic się nie stało. Nie pamiętałam o morderstwie.

– Carlee, to wszystko jest po prostu śmieszne.

– Nieprawda.

– Prawda. Zastanów się. „Widziałam morderstwo, ale później wyleciało mi z pamięci”. Toż to nonsens.

– Dave... Myślę, że powinnam się skontaktować z tym adwokatem.

– Nie.

Carlee spojrzała na męża zaskoczona. Dave był zawsze zgodny, skłonny do kompromisu. Jeszcze nigdy nie usłyszała od niego takiej zdecydowanej odmowy.

– Dave, wydaje mi się, że to mój obowiązek.

– Jaki obowiązek? – Odwrócił się i złapał żonę za rękę. – Zrobić z siebie idiotkę? Wystawić na pośmiewisko całą rodzinę?

– Dave...

– A dzieci? Pomyślałać o nich?

– To nie będzie miało...

– Dzieci lubią gadać. Jeśli zeznasz, że widziałaś morderstwo, a później o tym zapomniałaś, twoje nazwisko znajdzie się we wszystkich gazetach i wszyscy będą się z ciebie śmiać. Dzieci w szkole to podchwycą a wiesz, jakie potrafią być okrutne. „Moja mama mówi, że twojej mamie odbiło”. „Mój tata powiedział, że powinni zamknąć twoją mamę i wyrzucić klucz”. „Gdzie twój tata, Gavin? Może mama go zamordowała i zapomniała?”

– Dave, nasze dzieci są mądre i silne. Poradzą sobie...

– A ja? Co ze mną?

– Nie rozumiem...

– Co ze mną? Czy chociaż przez chwilę pomyślałaś o mnie? Jak będę wyglądał w biurze? Czy Hannigan pozwoli mi pracować z najważniejszymi klientami, jeśli zostaniesz wykpią w wieczornych wiadomościach?

Carlee nie wiedziała, co powiedzieć. Czegoś takiego nigdy by się nie spodziewała.

– Dave – powiedziała wreszcie. – Nie zamknę buzi na kłódkę i nie pozwolę skazać na śmierć człowieka, któremu mogę pomóc.

– Zgoda. Ale wierz mi, twoje zeznanie mu nie pomoże. Wręcz przeciwnie, może mu zaszkodzić. Przysięgli mogą pomyśleć, że adwokat cię podpuścił, bo znalazł się w rozpaczliwej sytuacji.

Tej możliwości Carlee nie wzięła pod uwagę.

– Wierz mi, lepiej przysłużysz się temu człowiekowi, jeśli nic nie powiesz i my wszyscy lepiej na tym wyjdziemy.

Zgasił światło.

Carlee siedziała w ciemności jeszcze długo. Słyszała ciche pochrapywanie męża.

Chciała tylko zrobić to, co do niej należy, chciała postąpić słusznie. Ale co jest słuszne, a co nie? Tak trudno teraz odróżnić jedno od drugiego. Co jest dobre? Co jest prawdą?

Co robić?

Carlee przyłożyła głowę do poduszki i modliła się o sen. Modliła się o sen, który

rozproszy ten chaos, tę niepewność, zdejmie przekleństwo z pamięci.
Ale tej nocy modlitwa pozostała bez odpowiedzi.

Rozdział 49

Przechodząc ogrodem na tyły domu, Royce spostrzegł dwie niewielkie figurki, których nigdy wcześniej nie widział.

Przykucnął, żeby przyjrzeć im się dokładniej. Były to urocze karzełki z kilofami i szpadlami, takie jak w filmie, który oglądał w dzieciństwie. Jak były ich imiona? Dopey? Sneezy? Sleazy?

Roześmiał się. Do tego domu najbardziej pasował Sleazy.

Przyjaciel Royce'a już czekał na niego.

– Gdzie byłeś? Mówiłem, że masz wrócić przed wieczorem. Poszedłeś na policję?

– Uspokój się. Jestem twoim przyjacielem. Inaczej przecież nie uwolniłbym cię z tych kajdanek, prawda?

Tak, pomyślał tamten. Powinienem był od razu zacisnąć ci je na gardle.

– Czego się dowiedziałeś? – spytał. Bez okularów jego stalowoszare oczy błyszczały jeszcze mocniej.

– Jesteś bezpieczny – powiedział spokojnie Royce. – Przynajmniej chwilowo.

– A chłopak?

– To inna sprawa. Jest pod opieką policji. Pilnują go dzień i noc. Nie zbliżysz się do niego.

Mężczyzna przeszedł się po pokoju.

– Jak długo?

– Nie rozumiem?

– Jak długo będą go pilnować? Nie będą niańczyć szczeniaka bez końca.

– Tego nie wiem.

– Jak dużo powiedział?

– Tyle, ile wiedział. Na szczęście nie wiedział prawie nic. Jesteś bezpieczny.

– Nie uda im się mnie zidentyfikować?

– Myślisz, że przyszedłbym tu na pogawędkę?

– Co teraz robi policja?

Royce nieco się zachmurzył.

– Mój kumpel nie ma dostępu do wyższych funkcjonariuszy. Coś mi jednak mówi, że mnóstwo ludzi szuka tego mieszkania.

– Cholera! – Mężczyzna uderzył pięścią w szklany blat stołu. Szkło na szczęście nie pękło. Spokojnie, tylko spokojnie. – Masz kontaktować się z policją codziennie, zrozumiałeś?

– Jasne.

– Chcę wiedzieć wszystko, absolutnie wszystko. Masz mnie zawiadomić, jak tylko pojawi się niebezpieczeństwo.

– Jasne. Ale nie rozumiem, czemu się tak denerwujesz. Co by im dało odnalezienie tego mieszkania? Przecież i tak nie mogą udowodnić, że to byłeś ty.

– Ty durniu! – zawołał mężczyzna, ponownie waląc pięścią w stół. – Mają chłopaka!

– No i co z tego?

– Chłopak może mnie rozpoznać. Na to właśnie liczą. On nie wskaże im drogi, ale jeśli policja mnie znajdzie, dzieciak mnie zidentyfikuje i pójdę na długo do pudła. Może nawet na zawsze.

– O tym nie pomyślałem.

Mężczyzna zbliżył się do Royce'a i położył mu rękę na głowie.

– A nie chciałbyś, żeby tak się stało, prawda?

– Pewnie, że nie.

– Jeśli policja mnie aresztuje, na pewno będą pytać, jak to się stało, że tak bardzo polubiłem małego Abiego. Mógłbym powiedzieć im wtedy o tobie.

– Zaraz, chwileczkę. Ja nie powiedziałem ci, co z nim robić.

– Oni tak nie pomyślą. Uznają cię za współnika, za stręczyciela.

Royce zmarszczył brwi.

– Świetnie. Co mam zrobić?

Mężczyzna ścisnął w dłoni garść włosów Royce'a.

– Pomóż mi zbliżyć się do chłopaka.

– Aj! To boli.

Mężczyzna uśmiechnął się złowieszczo. Uspokój się, powiedział do siebie w myślach. Puścił włosy Royce'a i wrócił do stołu.

– Dotąd żadnemu z moich małych przyjaciół nie udało się zbiec, w każdym razie nie na długo. Dlatego bardzo mi się to nie podoba.

– Myślałem, że oni są twoimi przyjaciółmi, że nie chcą ci zaszkodzić?

– Na pewno nie świadomie. Ale Abie jest taki słodki, tak bardzo chce się wszystkim przypodobać, że mógłby zacząć mówić, nie wiedząc nawet o tym, że mnie zdradza. Nie lubię być zdany na łaskę innych.

– Myślę, że nie masz wielkiego powodu do zmartwień.

– Nie chcę mieć żadnego powodu! – Pięść spadła na szklany blat jak młot. Tym razem szkło rozprysło się na kawałki, rozcinając skórę.

Coś mu się nagle przypomniało. „Nie rób tego, tatusiu. Proszę! To boli. To boli!”
Zacisnął powieki i powoli podniósł zakrwawioną dłoń.

– Nie zmuszaj mnie, żebym i ciebie ukarał, Royce – powiedział monotonnym głosem. – Przyrowadź mi tego chłopaka.

– Postaram się.

Złapał Royce’a za szyję.

– Nie wciskaj mi kitu. Masz to zrobić!

– Dobrze, dobrze. – Royce potarł zbolące gardło. – Dlaczego zawsze na mnie spada najgorsza część roboty?

– Najgorsza? – roześmiał się tamten. – Royce, masz mi go tylko znaleźć. Ja sam go zabiję.

Rozdział 50

W sali było jeszcze więcej ludzi niż za pierwszym razem, jeśli to w ogóle możliwe. Wiadomość rozeszła się szybko i sala rozpraw numer trzy stała się najbardziej obleganym miejscem w Tulsie. Ben spodziewał się przedstawicieli mediów w dużej sile, ale nie oczekiwał, że zjawi się cała horda ciekawskich: emerytów, bezdomnych, samotnych. Widok siedemdziesięcioletnich babć kłócących się o miejsca na widowni nie należy do najprzyjemniejszych.

Ben zauważył wśród publiczności kilka znajomych twarzy. Byli tam prawie wszyscy znajomi z klubu golfowego; Crenshaw i Bentley siedzieli blisko ławy przysięgłych. Nawet ubrania odróżniały ich od reszty widzów. Ruthefordowie także przyszli, ale usiedli osobno: Harold z przodu, a Rachela w jednym z ostatnich rzędów, w samym rogu. Dystans między małżonkami rzucał się w oczy.

Otworzyły się drzwi i wszedł kapitan Pearson w towarzystwie Mitcha. Biedny Mitch prawdopodobnie musiał przywieźć tu Pearsona.

Ben zamachał do Mitcha.

– Przyszło ci nianczyć kapitana Rona? – spytał.

– Bez komentarza – odparł Mitch.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie. Załóżmy, że chcę się dowiedzieć, kto z zarządu klubu Utica Greens utrzymuje kontakty z Peruwiańczykami. Jak miałbym się za to zabrać?

Mitch zastanowił się.

– Gdyby kontaktowali się poza klubem, nie mam pojęcia, jak to sprawdzić. Wszyscy członkowie zarządu mają biura w klubie. Przesyłki i faksy przyjmuje sekretarka. Mógłbym sprawdzić, czy są jakieś paczki lub listy polecane z Peru, czy na liście gości figurują jakieś hiszpańskie nazwiska. Mógłbym też rzucić okiem na rejestr rozmów międzynarodowych.

– Doskonale. Kiedy możesz zacząć?

– Zaraz, chwileczkę... – Mitch rozejrzał się niespokojnie. – Musiałbym dostać pozwolenie od Pearsona.

– On nie może o niczym wiedzieć.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim dlatego że nie pozwoliłby ci na to.

– A więc...

Ben położył rękę na ramieniu Mitcha.

– Nie chcę, żebyś stracił pracę, Mitch, ale jeśli nie dostanę tych informacji, i to szybko, mój klient może zostać skazany za morderstwo, którego nie popełnił.

– Ale...

– Jesteś porządnym facetem, Mitch. Nie jesteś taki jak ci pajace z klubu, którzy dbają tylko o swoją wygodę. Los innych ludzi nie jest ci obojętny.

– Chwytasz się ostatniej deski ratunku, co?

Ben wzruszył ramionami.

– Nie mam wyjścia.

– Będę musiał zrobić to w nocy, kiedy w klubie nikogo nie będzie.

– Super.

– To potrwa kilka dni. Mam też inne obowiązki.

– Rozumiem. Ale daj znać, jak tylko coś znajdziesz.

Mitch skinął głową.

– Będę w kontakcie.

– Dzięki.

Leeman siedział już w ławie oskarżonego. Miał podkrążone oczy. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

I przerażonego.

Coś ciężkiego spadło na blat. Ben wzdrygnął się.

– Witam.

Bullock rzucił na ławę stos dokumentów.

– Co to ma być? – spytał Ben.

– Nowe dowody – wyjaśnił krótko Bullock. – Wezwaliśmy też kilku nowych świadków. Jak powiedziałeś, zaskakiwanie przeciwnika w sądzie należy do przeszłości. Więc przyniosłem ci dokumenty. Zostałeś uprzedzony.

– Na całe dwie minuty przed rozprawą. Jak to ładnie z twojej strony.

– Zawsze działam zgodnie z zasadami. Powinienem cię uprzedzić, więc uprzedzam.

– A propos, twoja mowa nie wypadła zbyt dobrze.

Bullock przekrzywił głowę.

– Prawda kłuje w oczy, co?

– To, co mówiłeś, nie miało nic wspólnego z prawdą. Chodziło ci tylko o to, żeby źle nastawić do mnie przysięgłych.

– Czy to wbrew zasadom?

– Może nie, ale...

– Jeśli dowody potwierdzają winę oskarżonego, tak jak w tym przypadku, moim zadaniem jest się tym zająć. Na tym polega moja praca i ja wierzę w jej sens. Ty za to nie masz żadnych przekonań. Bo niby dlaczego? Ja służę większej sprawie. Dlatego nie waham się rozpychać łokciami. Nie łamię zasad, ale nie cofnę się przed niczym, co mieści się w granicach prawa, a co pomoże mi dopiąć swego. Zostałeś ostrzeżony.

Odwrócił się i odszedł.

Kilka minut później do sali wkroczył sędzia Hawkins. Woźny przypomniał przysięgłym o zasadach postępowania, a następnie sędzia dał Bullockowi znak ręką.

– Oskarżenie powołuje na świadka doktora Hikaru Koregai.

Ben omal się nie uśmiechnął. Uważał doktora za starego przyjaciela. Koregai pracował jako biegły sądowy od ponad dwudziestu pięciu lat; Ben spotykał się z nim przy okazji każdej sprawy o zabójstwo, jaką prowadził od dnia, kiedy sprowadził się do Tulsy. Słyszał z doskonałej znajomości fachu, umiejętności zachowania zimnej krwi w sądzie i nieulegania niczyjej presji. Jednym słowem, koroner z charakterem.

Po przedstawieniu biegłego Bullock poprosił go o przypomnienie sobie nocy, kiedy popełniono morderstwo. Koregai został wezwany na miejsce zbrodni przez sierżanta Tompkinsa zaraz po znalezieniu ciała.

– W jakim stanie znajdowała się Maria Alvarez, kiedy pan ją zobaczył?

– Nie żyła.

– Czy potwierdził pan to?

Koregai uniósł brwi. Nie lubił, kiedy podawano w wątpliwość jego słowa, nawet gdy czynił to znajomy.

– Tak. Nie znalazłem żadnych oznak życia. Ofiara nie żyła.

– Co spowodowało śmierć?

– Fachowo rzecz ujmując, zmarła z powodu odcięcia dopływu tlenu do mózgu, które z kolei zostało wywołane wykrwawieniem się i niewydolnością układu oddechowego.

– Jak do tego doszło?

– Ktoś wbił jej w szyję pęknięty kij golfowy. Rana okazała się śmiertelna.

– Czy śmierć nastąpiła natychmiast?

– Możliwe.

– Nie na pewno?

– Rana doprowadziła do śmierci ofiary – ciągnął Koregai – lecz niekoniecznie natychmiast. Być może, umarła natychmiast, a być może, żyła jeszcze przez jakiś czas, cierpiąc potworny ból.

– Rozumiem – powiedział głucho Bullock. Pokręcił głową i skierował spojrzenie na Leemana. Przysięgli uczynili to samo.

– Doktorze Koregai, chciałbym prosić pana o zidentyfikowanie kilku zdjęć.

– Sprzeciw – odezwał się Ben. – Pan Bullock przedstawił już dość makabrycznych szczegółów. Nie musimy oglądać zdjęć.

Prawnicy zbliżyli się do ławy sędziego. Bullock pokazał fotografie Hawkinsowi, a ten podał je Benowi.

Kolorowe zdjęcia pokazywały zakrwawione ciało ofiary przybite do ściany. Bullock wyraźnie zmierzał do tego, by wzbudzić niechęć przysięgłych do Leemana, podkreślając makabryczność zbrodni.

– Ponawiam sprzeciw – szepnął Ben do sędziego. – Te zdjęcia nie wnoszą do sprawy nic, czego wcześniej nie powiedział doktor Koregai. Nie mają żadnej wartości dowodowej, za to uprzedzają przysięgłych do oskarżonego. Werdykt powinien zostać wydany na podstawie analizy faktów, a nie emocji rozbudzonych pseudodowodami.

– Wysoki Sądzie – zaprotestował Bullock niewinnym tonem, – prawo nakazuje mi dokładnie zidentyfikować ofiarę.

Hawkins przyjrzał się ponownie zdjęciom. Były tak odrażające, że nawet on nie chciał na nie patrzeć.

– Czy nie ma pan fotografii, na której nie widać krwi leżącej się z szyi?

– Wysoki Sądzie, ofiara znajdowała się w takim stanie, gdy doktor Koregai przybył na miejsce zbrodni. On może zidentyfikować tylko to, co sam zobaczył. – Bullock zmrużył oczy. – Jeśli nie będę mógł wykorzystać tych zdjęć, mój materiał dowodowy znacznie straci na wartości. Może nawet będę zmuszony wycofać oskarżenie.

Hawkins skrzywił się.

– No dobrze. Oddalam sprzeciw.

– Panie sędzio, ja protestuję! – zawołał Ben.

– Pański sprzeciw został zaprotokołowany – odparł Hawkins z rozdrażnieniem. – Proszę kontynuować.

Ben zacisnął zęby i wrócił na miejsce. Jeśli do tej pory miał jeszcze jakieś wątpliwości co do swojego położenia, to w tej chwili się rozwiały. Hawkins był człowiekiem oskarżenia. Ben nie mógł liczyć na najmniejszą pomoc z jego strony.

Koregai rozpoznał zdjęcia, a woźny podał je przysięgłym, którzy z grymasem na twarzy oglądali każde po kolei i podawali następnym.

Nie trzeba było być jasnowidzem, żeby wiedzieć, co myśleli. Te zdjęcia pokazywały, że to morderstwo było czymś więcej niż zbrodnią: było bestialstwem, świętokradztwem. Przysięgli zapalali chęcią ukarania tego, kto to zrobił.

Po obejrzeniu zdjęć wszyscy przysięgli po kolei wbijali wzrok w Leemana.

Rozdział 51

Po lunchu Bullock wezwał następnego świadka. Ben spodziewał się, że po przesłuchaniu koronera Bullock zajmie się odtwarzaniem wypadków nocy, w której popełniono morderstwo. Prokurator zaś powołał osobę, której nazwiska Ben nigdy nie słyszał.

– Oskarżenie powołuje na świadka panią Ramonę de Vries.

Kto to taki? Ben odwrócił się i spojrział na Christinę, która gorączkowo przeglądała akta. Widząc pytający wzrok Bena, wzruszyła tylko ramionami.

Ben przerzucił szybko swoje notatki w poszukiwaniu nazwiska Ramony de Vries. Jego wzrok padł w końcu na tekturowe pudło przyniesione rano przez Bullocka.

Na samym wierzchu leżał teczka z napisem „Ramona de Vries”. Zauważył nazwisko już wcześniej, ale nic mu nie mówiło, więc nie zwrócił uwagi.

Bullock znów postawił na swoim. Gdyby Ben zgłosił sprzeciw wobec powołania nowego świadka, Bullock mógł twierdzić, że uprzedził o wszystkim obronę. Ben nie zgłosił więc sprzeciwu a póki w protokole nie było nic, co dawałoby powód do apelacji, Hawkins mógł pozwalać Bullockowi na wszystko.

A przysięgli i tak uważali Bena za krętacza.

Ramona de Vries miała stalowoszare włosy, twarz o twardych rysach i mocnym podbródku. Nie wyglądała na uradowaną z faktu, że tu jest. Ale czy był ktoś, kto by się z tego cieszył?

Podczas gdy Bullock przedstawiał świadka, Ben przeglądał akta, próbując dowiedzieć się, kto to jest i jaki ma związek ze sprawą. Ramona de Vries była zamożną kobietą z towarzystwa. Zameżna, bogata ponad wszelką miarę, większość czasu spędzała w klubie golfowym Utica Greens. Ale nawet po pięciu minutach przesłuchania Ben nie wiedział, dlaczego została powołana.

– Pani de Vries – mówił Bullock. – Czy była pani w klubie Utica Greens po południu dwudziestego piątego sierpnia?

– Mój Boże, minęło tyle czasu – odparła kobieta machając ręką znużonym ruchem. – Chyba byłam.

– Co pani robiła o drugiej po południu?

– Opalałam się przy basenie.

– Czy była pani sama?

– Nie miałam towarzystwa. Ktoś jeszcze się opalał. Jakaś blondynka, o ile pamiętam. Może ktoś jeszcze. Ale nie jestem pewna.

Bullock zbliżył się do świadka.

– Pani de Vries, pokażę pani fotografię kobiety, która nazywała się Maria Alvarez.

Podał zdjęcie sędziemu, a potem Benowi. Fotografia wyglądała, jakby wyjęto ją z paszportu.

– Myślałem, że nie masz żadnych zdjęć bez krwi – szepnął Ben.

– Pewnie to mi się gdzieś zapodziało – odparł szeptem Bullock. – Czy widziała pani kiedyś tę kobietę?

– Tak, widziałam ją tego dnia w klubie.

– Naprawdę? – spytał Bullock z udawanym zaskoczeniem. – Co tam robiła?

– Nie mam pojęcia – odparła Ramona de Vries unosząc brwi. – To znaczy, nie powinna tam być. Na pewno nie należała do klubu. Nie wiem, jak przeszła przez furtkę.

– Co robiła, kiedy ją pani widziała?

– Rozmawiała z członkami klubu, a w każdym razie próbowała. Nikt nie chciał mieć z nią do czynienia, co jest raczej zrozumiałe.

– Czy pani wiedziała, o co jej chodzi?

– Nie, dopóki do mnie nie podeszła. Opalałam się koło basenu, a ona zbliżyła się nagle i zaczęła trajkotać. Może pan to sobie wyobrazić? Byłam zdumiona. Zasłoniłam oczy kapeluszem i udałam, że jej nie widzę. Miałam nadzieję, że sobie pójdzie, ale ani myślała. Coś podobnego!

– O co panią prosiła?

– No właśnie. Skąd mogłam wiedzieć? Mówiła w jakimś obcym języku, chyba po hiszpańsku. Nic nie rozumiałam. Jeśli ci ludzie przyjeżdżają do naszego kraju, mogliby chociaż mieć dość przyzwoitości, żeby nauczyć się naszego języka.

– Czy może pani powiedzieć, czego chciała ta kobieta?

Bullock wyraźnie czegoś oczekiwał od pani de Vries. Nie manipulował nią, ale był tego bardzo bliski.

– Może się myliłam, ale zdawało mi się, że kogoś szuka. Nie wiedziałam kogo. Wątpię, czy znała kogoś z klubu, a jeśli nie znała, to po co tam przyszła? Może chodziło jej o kogoś z personelu, nie wiem.

Bullock zbliżył się do świadka.

– Co się stało, kiedy powiedziała pani tej kobiecie, że nie może jej pomóc?

– Nie uwierzyłby pan. Zaczęła krzyczeć, jęczeć i zawodzić. Zalała się łzami. Po

prostu okropność. W końcu poszła sobie, pewnie po to by zadrzeć jakiś inny bezbronny członek klubu. Biegała po klubie i wszystkich zaczepiała, nikomu nie dawała spokoju. Kto mógł wiedzieć, co chce zrobić. – Pani de Vries skrzyżowała ręce na piersi. – Już miałam zawołać ochronę.

– Czy widziała pani, co zrobiła potem pani Alvarez?

– Jakże mogłam nie widzieć?

– Czy była pani jedyną osobą, która to widziała?

– Nie. Ktoś jeszcze obserwował ją bardzo uważnie.

– Kto to był? – spytał Bullock, jak gdyby nie wiedział.

– On. – Pani de Vries wskazała palcem Leemana. – Tragarz.

– Proszę zapisać w protokole, że świadek zidentyfikowała oskarżonego – zwrócił się Bullock do sędziego. Hawkins skinął głową. – Skąd pani wie, że obserwował panią Alvarez?

– Przecież widziałam. Nie sposób go było nie zauważyć.

– Czy był blisko pani?

– Ciągle się włóczył koło basenu. Zamiast być na polu, gdzie jego miejsce, przychodził nad basen.

– Czy to pani przeszkadzało?

– Ależ oczywiście a jak pan myśli, po co ludzie zapisują się do klubu? Żeby być z dala od... – Powstrzymała się. Nawet Ramona de Vries zrozumiała, że posunęła się za daleko. – Przecież kazaliśmy zbudować ten magazyn po to, żeby tam siedzieli. On też nie powinien z niego wychodzić.

– Dlaczego Leeman obserwował panią Alvarez?

– Sprzeciw! – zawołał Ben. – Prokurator namawia świadka do snucia spekulacji.

Sędzia wzruszył ramionami.

– Oddalam sprzeciw. Proszę odpowiedzieć.

– Myślę, że mu się spodobała...

– Spodobała mu się?

– Tak. Nie spuszczał z niej oczu i ten wyraz twarzy. – Uniosła brwi. – Patrzył na nią jak pies na kawałek mięsa.

– Sprzeciw! – krzyknął Ben.

– Na jakiej podstawie? – spytał Hawkins.

Ben zawahał się. Niestosowna metafora? Właściwie nie miał żadnych podstaw do zgłoszenia sprzeciwu, ale nie mógł siedzieć beczynnym i patrzeć, jak Bullock wykorzystuje Ramonę do rozwinięcia swojej perwersyjnej teorii.

– Wysoki Sądzie... to po prostu nie w porządku.

– Wydaje mi się, że w kodeksie nie ma takiego określenia. Proszę kontynuować.

Bullock skinął głową.

- Kiedy po raz ostatni tego dnia widziała pani oskarżonego?
- Kiedy wychodził z basenu.
- Dlaczego wychodził?
- Szedł za tą kobietą.
- Czy wie pani dlaczego?
- Wie pan, oni lubią... takie śniade kobiety...
- Sprzeciw – powiedział Ben. – Świadek spekuluje.
Hawkins skinął głową.

– A więc zna pan jednak kodeks postępowania procesowego. Bardzo mnie to cieszy. Podtrzymuję sprzeciw.

– To wszystko. – Bullock wrócił na miejsce. Pokazał przysięgłym to, o co mu chodziło.

- Czy obrona ma jakieś pytania do świadka? – spytał Hawkins.
- A jakże.

Ben ustawił się na wprost pani de Vries. Nie zamierzał się z nią cackać. Odmalowała Leemana jako zboczeńca w podsumowaniu Bullock mógłby to przedstawić jako motyw zbrodni. Ben musiał zrehabilitować Leemana.

– Czy to nie przypadek, że Leeman znalazł się koło basenu dokładnie wtedy, gdy przyszła ta nieznajoma?

– Nie. Jak powiedziałam, ciągle tam przychodził.

– Czy wolno mu było pływać?

Kobieta wzdrygnęła się odruchowo.

– Oczywiście, że nie.

– Więc dlaczego Leeman przyszedł na basen?

– Czy muszę wszystko tłumaczyć? Kobiety opalały się w kostiumach kąpielowych. Ja też miałam na sobie skąpy dwuczęściowy kostium. Miałam nadzieję, że będę mogła się opalać w spokoju. Gdybym chciała, żeby ktoś mnie podglądał, poszłabym na publiczny basen.

– Dlaczego pani sądzi, że Leeman patrzył na panią?

– Kobieta wie takie rzeczy.

Kątem oka Ben spostrzegł z przerażeniem, że jedna z przysięgłych skinęła głową.

– Wszyscy wiedzą, jacy oni są. Zzerają ich żądze.

– Ich? – powtórzył Ben. – Kogo pani ma na myśli? Czarnych czy upośledzonych umysłowo?

– Sprzeciw! – zawołał Bullock.

– Podtrzymuję – zgodził się pośpiesznie sędzia.

– Czy zawiadomiła pani ochronę o obecności tej nieznajomej?

– Nie zdążyłam, bo on ją wcześniej zabił.
– Wysoki Sądzie!
– Świadek powinien powstrzymać się do spekulacji. Proszę przysięgłych, aby nie brali ostatniej wypowiedzi świadka pod uwagę.
– Jak się pani dowiedziała, że kobieta nie żyje?
– Moja masażystka mi powiedziała następnego dnia w klubie.
– Czy zmartwiło to panią?
– Oczywiście, że mnie zmartwiło w końcu to się stało tam w klubie! – Zawahała się przez moment. – Chociaż z drugiej strony trochę mi to ulżyło. Gdyby nie było tej kobiety, to on na pewno dopadłby kogoś innego.

Ben mógł zapomnieć o zrehabilitowaniu Leemana. Musiał czym prędzej przerwać to przesłuchanie.

– To wszystko.
– Czy prokurator chce zadać świadkowi jakieś pytania?
– Nie widzę powodu – powiedział Bullock pewnym tonem. Ben w najmniejszym stopniu nie osłabił wymowy zeznania pani de Vries, więc prokurator nie musiał o nic więcej pytać.

Ben doskonale to rozumiał. Jak dotąd, nie udało mu się zrobić ani jednej rysy na oskarżeniu. Jeśli sprawy szybko nie przybiorą lepszego obrotu, Leeman nie będzie miał żadnych szans.

Rozdział 52

– Oskarżenie powołuje na świadka sierżanta Wilforda Tompkinsa.

Tompkins zjawił się w sądzie w pełnym umundurowaniu. Przysięgli lubią mundury; świadkowie wydają się w nich tacy ważni i oficjalni. Tompkins był wysokim mężczyzną o chłopięcej urodzie, krótko obciętych włosach i twarzy emanującej uczciwością. Bullock nie mógł sobie wymarzyć lepszego świadka.

Zaczął od pytań o życie osobiste i doświadczenie zawodowe. Tompkins, żonaty mężczyzna, służył w policji od dwunastu lat. Był na służbie tej nocy, kiedy zamordowano Marię Alvarez.

– Kto zawiadomił policję o morderstwie? – spytał Bullock.

– Nadal tego nie wiemy – odparł Tompkins rzeczowym, typowym dla policjanta tonem. – Zadzwoił do nas ktoś z okolicy klubu golfowego, ale się nie przedstawił.

– Czy policja nie nagrywa wszystkich telefonów?

– Tak, ale nagranie jest tak słabej jakości, że nie można nawet rozróżnić, czy to był mężczyzna, czy kobieta.

– Proszę opowiedzieć, co się stało tamtej nocy.

– Po przybyciu na miejsce udałem się od razu do magazynu. W środku paliło się światło. Wszedłem i zobaczyłem... zwłoki.

Bullock kazał świadkowi zidentyfikować ciało Marii Alvarez. Dzięki temu mógł po raz kolejny wykorzystać makabryczne zdjęcia.

Tompkins opisał zwłoki. Powtórzył dokładnie to, co wcześniej powiedział doktor Koregai.

– Czy w magazynie był ktoś jeszcze?

– Tak, oskarżony Leeman Hayes.

Ben zerknął na Leemana, który siedział ciągle z tym samym nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Co robił pan Hayes?

– Kiedy wszedłem do magazynu, zaczął uciekać. Kazałem mu się zatrzymać, ale on nadal uciekał.

– Co było później?

– Zgodnie z przepisami ruszyłem w pościg. Na szczęście oskarżony nie umiał

szybko biegać, więc ująłem go bez wyciągania broni.

– Czy się opierał?

– Bardzo mocno. Szarpał się i bronił. Nawet ugryzł mnie w rękę. Przez cały czas głośno zawodził. Jak ranny pies.

– Czy próbował pan przesłuchać oskarżonego?

– Próbowałem, ale nie mogłem się z nim porozumieć. Przykułem go kajdankami do drzwi. Zabezpieczyłem miejsce zbrodni, wezwałem pomoc, skontaktowałem się z wydziałem zabójstw i kontynuowałem wstępne oględziny.

– Dlaczego zadzwonił pan do wydziału zabójstw?

– To normalna procedura postępowania i prawdę mówiąc, nie wiedziałem, co dalej robić.

– Czy miał pan kiedyś do czynienia z morderstwem?

– O tak. Ale nigdy z takim jak to. Było o wiele gorsze.

– Czym się różniło?

– Na przykład... Przepisy nakazują, żeby niczego nie dotykać na miejscu zbrodni, ale ja nie byłem pewien, czy powinienem zostawić ciało tej kobiety wiszące na ścianie. To było nieludzkie.

– Jestem pewien, że przysięgli rozumieją, że była to dla pana trudna decyzja. Czy zbadał pan miejsce zbrodni?

– Tak. Obejrzałem dokładnie cały magazyn, zanim przyjechali detektywi z wydziału zabójstw.

– Czy znalazł pan coś godnego uwagi?

– Tak. Rząd szafek, w których tragarze trzymali swoje rzeczy osobiste.

– I co w nich było?

– W szafce oskarżonego znalazłem małą torbę golfową na sześć kijów w środku znajdowało się pięć.

– Tylko pięć?

– Tak. – Tompkins wziął głęboki oddech. – Szósty był narzędziem zbrodni. Pochodził z tego samego zestawu.

Głowy przysięgłych zafalowały. To był prawdopodobnie najbardziej obciążający dowód przedstawiony do tej pory.

– Czy w innych szafkach też znajdowały się kije?

– Tak, w większości z nich. Przypuszczam, że tragarze lubią sami pograć czasem w golfa. Ale tylko w szafce oskarżonego były kije z tego zestawu. Bardzo różniły się od innych.

– Czy wie pan, skąd pochodził ów zestaw?

– Później się dowiedziałem, że został skradziony z klubowego sklepiku.

– Czy w szafce było coś jeszcze? – spytał Bullock.

– Tak. Naszyjnik.

Bullock pokazał foliową torebkę.

– Czy to ten naszyjnik?

Tompkins przyjrzał się uważnie.

– To ja włożyłem go do tej torebki.

Bullock poprosił o zarejestrowanie przedmiotu jako dowodu rzeczowego.

– Czy wie pan, do kogo należał naszyjnik?

– Uważamy, że do ofiary morderstwa, Marii Alvarez. Pasuje do bransoletki, którą nosiła.

– To dziwne, że nie znaleźliście bransoletki w szafce pana Hayesa.

– Bransoletka była zasłonięta rękawem sukienki ofiary a naszyjnik nie.

Bullock wręczył torebkę woźnemu, który podał ją przysięgłym.

– Zauważyłem, że naszyjnik jest pęknięty. Dlaczego?

– Został uszkodzony narzędziem zbrodni.

– W jaki sposób?

– Kij golfowy przebił naszyjnik, nie wspominając o szyi ofiary.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

– Może pan zacząć przesłuchanie, panie Kincaid – powiedział sędzia.

Ben obmyślał strategię. Nie było sensu naciskać świadka. Przysięgli byli mu przychylni – zazwyczaj ufali policjantom – i najprawdopodobniej uważali, że mówi prawdę. Ben też zresztą tak uważał. Musiał jednak wykazać, że zeznanie Tompkinsa nie dowodzi winy Leemana.

– Wyjaśnijmy przede wszystkim jedną rzecz, panie sierżancie – zaczął Ben. – Nie widział pan, że Leeman Hayes zabija Marię Alvarez, prawda?

– Nie.

– I nie znalazł pan żadnego naocznego świadka zbrodni?

– Nie.

– I nie słyszał pan, aby Leeman przyznał się do popełnienia morderstwa, prawda?

– Nie. On nie chciał ze mną rozmawiać.

– Nie chciał czy nie mógł?

– Słucham?

– Zakłada pan niechęć do współpracy, a przecież wie pan tylko tyle, że nie odpowiedział na pańskie pytania.

– To prawda.

– Dziękuję. Czy ustalił pan, dlaczego Leeman był w magazynie tak późno w nocy?

– Zakładałem, że przyszedł za tą kobietą.

– Panie sierżancie, gdyby chciał pan kogoś zabić, czy zrobiłby pan to w magazynie klubu golfowego?

Tompkins zawahał się.

– Ja nikogo bym nie zabił.

– Oczywiście. Ale to nie jest idealne miejsce na popełnienie morderstwa, prawda? Na pewno szybko by je odkryto.

Tompkins zerknął w stronę ławy przysięgłych.

– Nigdy nie uważałem, że oskarżony jest przebiegły.

Niektórzy przysięgli roześmiali się. Ben nie dawał za wygraną.

– Czy wziął pan pod uwagę jakiś inny powód, dla którego Leeman Hayes mógł przebywać w magazynie o tak późnej porze?

– Na przykład?

Ben spojrzał na Erniego Hayesa, który siedział na widowni.

– Czy Leeman Hayes miał w magazynie poduszkę?

Tompkins poruszył się na krześle.

– W szafce nie było poduszki.

– Szafka nie jest najwygodniejszym miejscem do snu, prawda? – Przysięgli znów parsknęli śmiechem, ale tym razem był to śmiech przyjazny Benowi. – Czy Leeman Hayes miał w magazynie śpiwór?

Tompkins zmarszczył brwi.

– Przed przyjściem do sądu przejrzałem listę dowodów rzeczowych i rzeczywiście jest na niej niebieski śpiwór.

Ben rozłożył szeroko ramiona.

– Czy zatem zdziwiłby się pan, gdyby się dowiedział, że Leeman spał w magazynie?

Tompkins rzeczywiście się zdziwił.

– Nikt o tym nie wspominał...

– Mógł więc tam być, nawet gdyby nie miał nic wspólnego z morderstwem, prawda?

Tompkins przekrzywił głowę.

– Albo właśnie dlatego tam je popełnił.

– Słucham?

– Może sprowadził tę kobietę do swojego posłania, a kiedy nie chciała się zgodzić...

– Proszę odpowiadać na pytania.

Ben zajrzał do notesu. Kiedy się wreszcie nauczy zadawać proste pytania, by nie dawać świadkowi możliwości snucia przypuszczeń?

– Panie sierżancie, wie pan pewnie, że Leeman ma wrodzoną wadę rozwojową?

- Nie wiedziałem o tym tamtej nocy, ale później się dowiedziałem.
- Powiedział pan wcześniej, że Leeman się bronił i opierał. Czy to możliwe, że nie zrozumiał, kim pan jest i co robi?
- Powiedziałem głośno i wyraźnie, że jestem policjantem.
- To może być jasne dla pana i dla mnie, ale nie dla człowieka, który prawie nie mówi. Wpadł pan do jego sypialni, pobiegł za nim, założył kajdanki i zaczął wykrzykiwać pytania. Czy on rozumiał, co się dzieje? Czy nie mógł być śmiertelnie przerażony?
- Sprzeciw – odezwał się Bullock. – I kto oczekuje od świadka spekulowania?
- Podtrzymuję – powiedział Hawkins.
- Powiedział pan, że znalazł w szafce Leemana kije golfowe.
- Zgadza się.
- A czy zauważył pan, że szafka Leemana nie miała zamka?
- Tompkins zmarszczył czoło.
- Wszystkie szafki były bez zamków.
- Czy widział pan, aby Leeman otwierał szafkę?
- Tompkins zastanowił się przez chwilę.
- Nie, nie widziałem.
- Czy widział pan, że Leeman wkłada coś do szafki?
- Nie.
- I nie był pan w magazynie przed morderstwem?
- Nie byłem.
- Więc każdy mógł włożyć do szafki tę torbę, prawda?
- To jest możliwe.
- W gruncie rzeczy nie ma żadnych dowodów, że Leeman dotykał przedmiotów znalezionych w szafce.
- To była jego szafka.
- Proszę odpowiedzieć na pytanie.
- Nie ma dowodów.
- I nie wie pan, jak te przedmioty znalazły się w środku?
- Nie widziałem tego.
- I nie wie pan, dlaczego Leeman był tej nocy w magazynie?
- Nie wiem.
- Ben zbliżył się do świadka.
- Właściwie aresztował go pan tylko dlatego, że nikogo innego tam nie było...
Prawda?
- Był tam jedyną żywą osobą.
- Na jakiej podstawie go pan aresztował?

Bullock zerwał się na równe nogi.

– Co to znowu za sztuczki, Kincaid?

Ben wbił w niego spojrzenie.

– Wysoki Sądzie, czy możemy podejść?

– Proszę.

Zbliżyli się do ławy sędziego.

– Wysoki Sądzie – szepnął Ben. – Mamy do czynienia z poważnym problemem natury proceduralnej. Jeśli aresztowania dokonano niezgodnie z prawem, wówczas wszystkie dowody zebrane po aresztowaniu, łącznie z nagraniem wideo, nie powinny być dopuszczone do procesu.

– A więc o to ci chodzi – warknął Bullock. – Panie sędzio, widzi pan, jak próbuje oszukać sprawiedliwość.

– Policjant nie miał podstaw, by aresztować Leemana Hayesa! – przekonywał Ben. – Nie można aresztować kogoś tylko dlatego, że znalazł się akurat na miejscu zbrodni.

– A kije i biżuteria w szafce?

– Tompkins znalazł je dopiero po aresztowaniu Leemana.

– A próba ucieczki?

– Ucieczki? Nie był jeszcze wtedy aresztowany. Wolno mu było robić, co chce.

– Wysoki Sądzie, to niepoważne – protestował Bullock. – Pan Kincaid zrobi wszystko, żeby uchronić klienta przed odpowiedzialnością.

– To poważna sprawa – dowodził Ben – zwłaszcza w przypadku osoby upośledzonej umysłowo. Na jego przykładzie widać doskonale, dlaczego Konstytucja gwarantuje pewne prawa. Stanowi ona między innymi, iż nie wolno człowieka aresztować tylko dlatego, że był akurat w miejscu, gdzie popełniono morderstwo.

Bullock wyprostował się.

– Proszę mi dać szansę. Udowodnię, że sierżant Tompkins miał podstawy, by aresztować Hayesa.

– Jeśli tego nie zrobi, ponowię wniosek – ostrzegł Ben.

– Nie wątpię – powiedział sędzia głosem pełnym znużenia. – Proszę, panie Bullock.

Bullock stanął koło ławy przysięgłych.

– Panie sierżancie, powstała wątpliwość, czy miał pan wystarczające powody, by aresztować oskarżonego. Był na miejscu zbrodni, to już wiemy. Czy przypomina pan sobie inne szczegóły wskazujące, że oskarżony popełnił morderstwo?

Dreszcz przebiegł po plecach Bena. Wiedział już, do czego zmierza Bullock.

– Sprzeciw. Prokurator próbuje wprowadzić nowe dowody przy powtórnym

przesłuchaniu.

Hawkins rzucił pióro na blat biurka.

– O co panu chodzi, Kincaid? Nie podoba się panu, kiedy prokurator nie przedstawia dowodów, i protestuje pan, kiedy je przedstawia?

– Wysoki Sądzie, nie wolno podnosić nowych kwestii przy powtórny przesłuchaniu.

– Prokurator odpowiada na pański sprzeciw.

– Zgoda. Ale to nie jest usprawiedliwienie dla łamania zasad...

– Już postanowiłem, panie Kincaid – przerwał sędzia, nadymając zaczerwienione policzki. – Proszę siadać.

Ben opadł na krzesło.

– Czy przypomina pan sobie jakieś inne szczegóły, pani sierżancie?

– Tylko jeden – odparł Tompkins. Sędziowie przysięgli pochyliłi się, żeby lepiej słyszeć.

– Jaki mianowicie?

– Miał ręce umazane we krwi.

Ben zerknął na panią Alexander siedzącą w pierwszej ławie sędziowskiej. Patrzyła na policjanta z szeroko otwartymi ustami.

No to koniec.

– Ręce?

– Tak. Od góry do dołu. Właściwie był cały we krwi.

– Mówi pan o oskarżonym?

– Tak. – Tompkins wskazał palcem Leemana. – Na całym ciele miał krew ofiary.

Nagle Leeman zerwał się na równe nogi. Patrzył na Tompkinsa szeroko otwartymi oczami, z przerażeniem na twarzy. Nagle wyprostował ręce i zaczął je wycierać zapamiętałe. Przypominał lady Makbet, która nie mogła zmyć krwi ze swoich dłoni.

Ben posadził Leemana z powrotem i schował jego dłonie pod ławę, ale było za późno. Przysięgli zdążyli wszystko zobaczyć.

Kiedy nieoczekiwane przedstawienie dobiegło końca, Bullock pochylił głowę z powagą.

– Zobaczywszy, że oskarżony jest umazany krwią ofiary, aresztował go pan?

– Oczywiście. A pan by tego nie zrobił?

– Tak właśnie bym zrobił. Nie mam więcej pytań.

– Czy obrona chce jeszcze przesłuchać świadka? – spytał Hawkins.

Lepiej to zostawić.

– Nie – odparł Ben.

– W takim razie ogłaszam przerwę. Wznowimy rozprawę jutro o dziewiątej rano.

Po wyjściu sędziego w sali zapanowało istne piekło. Błysnęły flesze, dziennikarze przekrzykiwali się pytaniami.

Ben nie zwracał na to wszystko uwagi z przerażeniem spostrzegł, że Leeman nadal wyciera pod stołem ręce. Jak oszalały Poncjusz Piłat.

Pierwszy dzień przesłuchań dobiegł końca i Ben nie musiał nawet pytać Christiny o wynik. Bullock wygrywał na wszystkich frontach, zdobył wszystkie ważne pozycje.

Ben rozumiał teraz, o co w tym wszystkim chodzi. Prawda się nie liczyła. Bullock musiał wygrać, nie dlatego że Leeman był winny, lecz dlatego że rozumiał, jak działa system sprawiedliwości, znał upodobania sędziów i przysięgłych. Spędził na tym polu bitwy dwadzieścia lat miał nad Benem olbrzymią przewagę doświadczenia.

Już w szkole powtarzano, że doświadczenie jest najważniejsze, ale dopiero teraz naprawdę w to uwierzył.

Nie fakty i dowody wygrywają sprawy, lecz prawnicy.

Bullock wygra sprawę, nie dlatego że stoi po stronie prawdy, ale dlatego że jest lepszym prawnikiem.

Jeszcze kilka takich dni i prawda nie będzie miała żadnego znaczenia. Przysięgli nie będą mieli najmniejszych wątpliwości co do winy Leemana. Jego los zostanie przesądzony.

Nie będzie nawet miał szansy spróbować życia.

Rozdział 53

– Mam! – krzyknął mężczyzna.

Royce oderwał wzrok od nowego aparatu. Jego przyjaciel zostawił stary w opuszczonym budynku, więc Royce musiał kupić nowy i od godziny próbował go rozpracować. Aparaty najwyższej klasy były coraz bardziej skomplikowane. Jeszcze trochę i tylko komputery będą umiały je obsługiwać.

– Co masz?

– Plan.

– Plan czego?

– Jak dostać chłopca.

Oczywiście. Cóż by innego? Od tamtej ucieczki przyjaciel Royce'a nie myślał o niczym innym. Obsesja przybierała na sile. Royce nie chciał myśleć, jaki los czeka tego chłopaka, kiedy przyjaciel dostanie go w swoje ręce.

– Policja nie wpadła na twój ślad – powiedział Royce. – Nie sądzisz, że najbezpieczniej byłoby trzymać się od niego z daleka?

– Nie, idioto. Nie rozumiesz, że szuka mnie każdy głupi policjant w tym mieście?

– I co z tego? Przecież cię nie znaleźli, prawda?

– Ale znajdą. Muszę się postarać, żeby nie mogli mnie wtedy zidentyfikować.

Royce poczuł chłód na skórze.

– Jeśli masz pewność, że gliny cię dopadną, to dlaczego się nie przeprowadzisz?

– Żeby żyć w strachu i ciągle oglądać się przez ramię? i bać się, że przez jakiegoś głupiego szczeniaka mogę stracić życie? Nigdy!

Royce zrozumiał, że ten człowiek zwariował. Stał się szaleńcem niebezpiecznym dla otoczenia.

– Obserwowałeś proces Leemana Hayesa?

– Słyszałem, co mówili w telewizji.

– Odbywa się w budynku sądu stanowego przy skrzyżowaniu Piątej Alei i ulicy Denver, na szóstym piętrze.

– Po co mi to mówisz?

– Chcę, żebyś tam jutro poszedł.

– Jutro? Mam sesję zdjęciową w szkole...

– Odwołaj.

– Nie mogę.

– Uczniowie nie tracą do przyszłego tygodnia swoich fałszywych uśmiechów.

Chcę, żebyś poszedł do sądu.

Royce wzruszył ramionami.

– Co mam zrobić?

– Nic szczególnego. Ja też tam pójde, ale będziesz udawał, że mnie nie znasz.

– Więc po co...

– Pójdiesz tam. Dalsze instrukcje otrzymasz na miejscu.

– Ale jak...

– Masz tam być!

Twarz przyjaciela nabiegła krwią, jego głowa drżała.

Royce przyklęknął i położył mu ręce na kolanach.

– Zrobię, jak chcesz.

– Dobrze. – Przyjaciel przeszedł się po pokoju i spojrzał w ozdobne wiszące lustro. – To nie w porządku. Byłem dla niego taki miły. Chciałem go kochać, opiekować się nim i jak mi odpłacił?

Zerwał lustro ze ściany i cisnął z całych sił. Royce schylił się w ostatniej chwili. Lustro trzasnęło o ścianę i z brzękiem rozprysło się na kawałki.

Royce wyczołgał się z za kanapy. Następnym razem trzeba będzie usunąć stąd wszystkie szklane przedmioty.

Przyjaciel opadł na krzesło.

– Zranił mnie, bardzo mnie zranił, a teraz stał się zagrożeniem. Właściwie był. Pójdiesz do kozy, Abie Rutheford, i nie wyjdiesz, póki nie poniesiesz kary. Zostaniesz ukarany!

Royce patrzył ze zdumieniem, jak jego przyjaciel płacze.

– Właśnie tak – mówił cicho. – Będzie płakał z bólu, będzie błagał o litość, ale litości nie będzie.

Spuścił głowę. Po jego twarzy spływały łzy.

– To sprawiedliwość – łkał. – To tylko sprawiedliwość.

Royce przesuwał się powoli do drzwi.

– Ale kto ukarze mnie? Kto mnie ukarze?

Wymykając się, Royce słyszał płacz i krzyk przyjaciela.

– Mamo! Tato! Powiedzcie, co mam zrobić! Kto mnie ukarze?

Rozdział 54

Po drodze z sądu Ben zatrzymał się w biurze. W holu spacerował nieznajomy z teczką.

– Niech zgadnę – powiedział Ben. – Pan jest z firmy produkującej urządzenia do klimatyzacji.

– Zgadza się – odparł młody człowiek po chwili wahania. – I nie wyjdę stąd, dopóki nie zapłaci pan całego rachunku.

– Mam nadzieję, że pańskie buty są wygodne – mruknął Ben. Podszedł do biurka Jonesa. – Masz wolną chwilkę?

Jones wyglądał na zapracowanego. Siedział przed włączonym komputerem z słuchawkami telefonicznymi przy obu uszach, a drukarka wypluwała kartki papieru.

Krzyknął kilka słów do słuchawek i cisnął je na widełki.

– Nienawidzę dziennikarzy!

– Uspokój się. Po prostu wykonują swoją pracę.

– W tej chwili ich praca polega na wtrącaniu się w prywatne sprawy mniej ważnych istot ludzkich.

– Kto dzwonił?

– Bo ja wiem? Wszyscy w mieście chcą z tobą gadać, a właściwie wszyscy w całym stanie. Kanał szósty telewizji chce z tobą przeprowadzić wywiad dla wiadomości o dziesiątej wieczorem.

– Powiedz, że się nie zgadzam.

– Jesteś pewny, szefie? Bullock tam będzie.

– Jasne. Posunie się do wszystkiego, żeby wygrać tę sprawę.

– Czy przysięgli zostali pouczeni, żeby nie oglądać wiadomości dotyczących procesu?

– Zostali pouczeni. Ale kto sprawdzi, co robią w domu?

– Jeśli się nie pokażesz, Bullock zdobędzie wszystkie punkty.

Ben przejrzał stos poczty.

– Sędziowie nie patrzą przychylnie na prawników, którzy wykorzystują media w czasie procesu. Kodeks etyki zawodowej również to odradza.

– Jeśli nie chcesz mówić o sprawie, w porządku. Ale to może być doskonała okazja, żeby przyciągnąć potencjalnych świadków.

Ben zastanowił się.

– To też nie jest standardowy tryb postępowania.

– Bo to nie jest standardowa sprawa. Nie miał pan czasu na przygotowania, a znalezienie świadków wydarzeń sprzed dziesięciu lat jest praktycznie niemożliwe.

– Chyba masz trochę racji – przyznał Ben. – Kto będzie przeprowadzał ten wywiad? Clayton Vaughn?

– Nie, ta ładna reporterka. Ma na imię Beth.

– A co z Karen Larsen? Dzwoniła?

– Ona pracuje dla kanału ósmego.

– Wiem. Oglądam ją czasem w sobotę rano, kiedy jemy z Gizelą śniadanie.

– Ja też. Ślicznotka z niej.

– Jones, ty seksistowski świniaku. To znakomita dziennikarka.

– Co jest, szefie? Masz na nią chrapkę, co? – Jones uśmiechnął się od ucha do ucha. – Patrzcie, jak się zarumienił! Ty naprawdę czujesz do niej miętę!

– Nie bądź śmieszny.

– Coś podobnego! Szef zadurzył się w dziennikarce.

– Nieprawda. – Ben odwrócił spojrzenie. – Więc jak, dzwoniła?

– Nie, szefie. Zadzwoń do niej? Spytałem, czy ma wolny wieczór.

– Przestań się wygłupiać.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Jonesa.

– Co tam jeszcze ukrywasz, szefie?

Ben rzucił Jonesowi pocztę w twarz.

– Idę się przygotować do jutrzejszej rozprawy.

– Jak idzie w sądzie?

– Nie pytaj. Jeśli dowiesz się czegoś nowego, dzwoń.

– Dobra. Tu masz numer do telewizji. Musisz zadzwonić i powiedzieć, czy się zgadzasz.

– Pomyślę o tym.

– Szefie...

– Tak?

– Nie ma się czego wstydzić. Kiedy byłem dzieckiem, zabijałem się w Marcii. Wiesz, tej z serialu „Brady Bunch”.

– Do widzenia, Jones. Miłego dnia.

Rozdział 55

Carlee Crane siedziała w łóżku z torbą wielkich pudrowanych pączków. Oglądała wiadomości o dziesiątej, czego nigdy wcześniej nie robiła. Nie interesowały jej. Teraz jednak wszystko się zmieniło.

Dave odradzał żonie oglądanie wiadomości. Mówił, że będzie się denerwować.

Miał rację.

Proces Leemana Hayesa już się zaczął. Bez niej. Nie zgłosiła się. Dave ją przekonał i nigdy więcej nie wspomniał o sprawie. Wolał nie ryzykować. Mądry mężczyzna po zwycięstwie zamyka usta.

Szpakowaty prezenter podsumował wydarzenia dnia. Stwierdził, że oskarżenie „zgromadziło trudny do podważenia materiał dowodowy”. Obrona nie miała jeszcze możliwości przedstawienia swoich dowodów, ale wydawało się wątpliwe, czy zdoła osłabić wymowę dowodów prokuratora.

Na ekranie ukazała się reporterka, która miała przeprowadzić wywiad z prawnikami biorącymi udział w sprawie. Prokurator zaczął od stwierdzenia, że zrobi wszystko co w jego mocy, aby mieszkańcy Tulsy mogli spać spokojnie i żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Do sypialni wszedł Dave. Wreszcie udało mu się położyć spać Ethana i Gavina. Carlee wiedziała, dlaczego marszczy brwi. Przecież prosił żonę, aby nie oglądała wiadomości. Carlee nie chciała denerwować męża, ale nie mogła się powstrzymać. Musiała wiedzieć, co się dzieje.

Reporterka podsunęła mikrofon obrońcy oskarżonego. Carlee rozpoznała adwokata, którego zdjęcie widziała w prasie. Był znacznie młodszy od Bullocka; wyglądał na trzydzieści kilka lat. Nie zachowywał się przed kamerą tak pewnie jak prokurator. Prawdę mówiąc, wyglądał na bardzo zdenerwowanego, nawet się jąkał.

– Panie Kincaid, czy zgadza się pan z tym, co powiedział pan Bullock? – spytała dziennikarka.

– Nie, nie zgadzam się – odparł z naciskiem Ben.

– Dlaczego?

– Nie będę dyskutował o faktach przed kamerami, o tym powinno się rozmawiać tylko na sali sądowej.

– Nie chce mówić, bo nie ma co powiedzieć – wtrącił Bullock.

– Te słowa są mniej więcej tak samo prawdziwe jak wszystko, co powiedział do tej pory prokurator.

– Jeśli nie chce pan rozmawiać o procesie, to dlaczego zgodził się pan na ten wywiad?

– Chcę powiedzieć coś do widzów. – Odwrócił się prosto do kamery. Carlee poczuła, jakby patrzył właśnie na nią. – Największą dla mnie trudnością w tej sprawie jest to, że morderstwo wydarzyło się dziesięć lat temu. Wiem, że muszą być ludzie, którzy wiedzą coś o tej zbrodni, ale po tylu latach bardzo trudno do nich dotrzeć.

– To rzeczywiście nie jest łatwe – wtrąciła dziennikarka.

– Jeśli ktoś z widzów wie cokolwiek na temat morderstwa – powtórzę jeszcze raz, cokolwiek – proszę, by się zgłosił. Można zadzwonić do mojego biura; numer znajduje się w książce telefonicznej. Proszę. Od tego zależy życie niewinnego człowieka.

Reporterka zadała jeszcze jedno pytanie, ale Carlee już go nie usłyszała. Dave stanął przed telewizorem. Spoglądał z góry na żonę.

– Będziesz zeznawać, prawda?

Carlee spojrzała w bok.

– Przecież słyszałeś, co on powiedział.

– Kochanie, ludzie cię wyśmieją! Twoja historia jest niewiarygodna. Gorzej niż niewiarygodna. Jest po prostu śmieszna!

– Nie mogę zrezygnować tylko dlatego, że ktoś będzie się ze mnie śmiał.

– A dzieci?

– Przeżyją to.

– A co z moją pracą?

– Nie wierzę, że stracisz pracę z tego powodu.

– Po co ryzykować? Pamiętasz, co się stało, kiedy żona Craiga Bannera wniosła przeciwko swojemu szefowi pozew o molestowanie seksualne? Przez kilka tygodni jej nazwisko nie zniknęło z pierwszych stron gazet. Dwa tygodnie później Craig stracił pracę.

– Myślę, że musimy zaryzykować.

– Nawet jeśli to grozi rozpadem rodziny?

Carlee zacisnęła palce na torebce z pączkami.

– Nawet jeśli to grozi rozpadem naszej rodziny.

Dave przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Potem, ku zaskoczeniu Carlee, objął żonę.

– Masz rację, oczywiście.

– Nie jesteś zły?

Dave uśmiechnął się.

– Nie jestem zachwycony. Ale zależy mi na tobie bardziej niż na pracy, domu i wszystkim innym. Wiem, że ta sprawa nie dawała ci spokoju. Nie spałaś całe noce, a w dzień nie wiedziałaś, co ze sobą począć i pożerałaś łapczywie hamburgery, jakby miały wyjść z mody.

– Chyba przybrałam na wadze parę kilo.

– Nieważne. Denerwowałaś się. Nie powinienem był próbować cię powstrzymać. Zapomniałem o czymś bardzo ważnym.

– O czym?

Dave przytulił żonę.

– Zapomniałem, że jesteś dobrym, naprawdę dobrym człowiekiem. Nie możesz siedzieć z założonymi rękami, jeśli jest szansa, że pomożesz niewinnemu człowiekowi. Po prostu nie możesz stać z boku. Bez względu na cenę, zrobisz to, co do ciebie należy. – Pocałował Carlee w policzek. – O tym właśnie zapomniałem.

– Pójdę do tego adwokata jutro rano. – Przytuliła się do męża i pociągnęła go na łóżko. – Dave, tak cię kocham.

Uśmiechnął się, rozpinając guzik jej koszuli.

Rozdział 56

Ben zaparkował samochód za mercedesem matki. Trudno go było przeoczyć: błyszczał jak diament w błocie. Cud, że jeszcze nie ukradli kołpaków. Statystycznie ujmując, Tulsa jest stolicą kraju pod względem liczby ukradzonych samochodów. Większość mieszkańców tej ulicy albo parkowała w garażach, albo zadowalała się bezwartościowymi gratami, takimi jak honda Bena.

Ben zbliżał się do domu ostrożnie. Nie było tu bezpiecznie, zwłaszcza nocą. Starał się wracać przed wieczorem, ale czasami, kiedy prowadził sprawę w sądzie, to się nie udawało. Tym bardziej dzisiaj, kiedy udzielał wywiadu dla telewizji o dziewiątej wieczorem.

Zgodnie z przewidywaniami, prokurator wykorzystał okazję, żeby wpłynąć na werdykt. Ben wprost nie mógł uwierzyć własnym uszom. Bullock zachowywał się tak, jak gdyby gotów był zrobić wszystko, żeby...

– Psst!

Ben znieruchomiał. Rozejrzał się, ale nic nie zauważył. Doszedł już prawie do schodów, gdy...

– Psst.

Rozejrzał się jeszcze raz. Panowała kompletna ciemność.

Ostrożnie zbliżył się do szczytu budynku. Światła uliczne tutaj nie docierały.

Ben szedł wzdłuż ściany. Wiedział, że podwórko kamienicy to niewielki czworokąt zarośnięty trawą i chwastami. Przez jakiś czas parkował tu samochód, dopóki ktoś nie wrzucił do środka zwłok. Posprzątawszy samochód, Ben postanowił zostawiać samochód na ulicy. Czy ktoś mógł zrobić mu coś jeszcze gorszego?

Zmrużył oczy, starając się uchwycić jakiś refleks światła. Na próżno. Brnął jednak przed siebie powoli, trzymając się ściany.

Nagle usłyszał trzask. Aż podskoczył.

Pojemniki na śmieci. Ben podszedł i pozatrząskiwał kłapy. Nie mógł już liczyć na to, że zaskoczy intruza, jeśli tu jest.

Poczuł czyjeś ręce na ramionach. Odwrócił się z bijącym sercem.

Na tle ciemnego nieba majaczyła sylwetka wysokiego człowieka.

– Chciałeś się ze mną widzieć? – w głosie nieznajomego brzmiała groźba.

– Naprawdę? Nazywam się Ben Kincaid. Jestem adwokatem...

– Wiem, kim jesteś. Masz do mnie jakiś interes?

W głowie Bena zapaliła się jakaś lampka. To był Booker, chłopak Joni, a więc jednak zorganizowała spotkanie.

– Jeśli chcesz mówić, to mów – powiedział Booker rozkazującym tonem. – Nie powinienem tu być. Gdyby pewni ludzie się o tym dowiedzieli, wydłubaliby mi oczy i tobie też.

– Więc dlaczego przyszedłeś?

– Bo moja Joni mnie poprosiła, nie ty.

Ben postanowił nie tracić czasu.

—Wiesz, kim jest Leeman Hayes?

– Widziałem cię w domu jego ojca i ty też mnie widziałeś.

– Więc wiesz, że Leeman jest oskarżony o morderstwo, a ja go bronię?

– Leeman nikogo nie zabił. On nie umiałby tego zrobić.

– Zgadzam się z tobą. Niestety, trzeba to jeszcze udowodnić. Dlatego chciałem z tobą pogadać.

– Ja nic nie wiem o tym morderstwie.

– Pewnie nie – zgodził się Ben. – Ale myślę, że wiesz to i owo o klubie Utica Greens.

– Skąd ta pewność?

– Widziałem ciebie i chłopców z gangu w biurze kapitana Pearsona.

– Nie jesteśmy żadnym gangiem.

– Dobrze. Jesteście grupą młodzieżową. Nazwij to, jak chcesz. Widziałem cię w kurtce, więc nie wypieraj się.

Ben wiedział, że ryzykuje mówiąc w ten sposób do chłopaka. Czuł jednak, że tylko w ten sposób zdobędzie jego szacunek.

– O co ci chodzi?

– Chcę wiedzieć, jaki jest związek między gangiem i klubem.

Booker wyprostował się.

– Wiesz, co by ze mną zrobili koledzy, gdyby się dowiedzieli, że z tobą rozmawiałem?

– Tak, słyszałem. Oczy. Odpowiedz mi więc na pytanie. Co was łączy z klubem?

– Prowadzimy wspólny interes.

– Jaki interes?

Booker skrzyżował ręce na piersi.

– Nie powiem.

– Booker, od tego może zależeć życie Leemana. Zastanów się. Czy Leeman zasługuje na to, żeby umrzeć? Albo spędzić w więzieniu resztę życia? Za

morderstwo, którego nie popełnił? Podczas gdy prawdziwy zbrodniarz hasa sobie spokojnie na wolności?

Cisza.

– Jak byś się czuł, gdyby Leeman należał do waszego gangu? Gdyby był twoim bratem? Czy pozwoliłbyś mu umrzeć?

Po chwili wahania Booker odpowiedział.

– Odbieramy i dostarczamy przesyłki dla Pearsona.

– Jakie przesyłki?

– Wartościowych rzeczy.

– To znaczy narkotyków?

Booker skinął powoli głową.

– Kokainy?

– Też.

– Kto jest odbiorcą?

– Nie wiem. Odbieramy paczki w imieniu Pearsona, żeby nie musiał narażać swojego białego karku, a on nam za to płaci. Część w gotówce, a resztę w towarze. Nie wiem, co robi ze swoją działką.

– Skąd dostajecie towar?

– Z Peru – odparł Booker. – Pearson wszystko organizuje. Ma tam wielu znajomych.

– Jak długo to trwa?

– Nie mam pojęcia. Diabły już się tym zajmowały, kiedy do nich przystąpiłem.

– Kiedy to było?

– Jakieś trzy miesiące temu.

– Czy Diabły planują atak na Kobry lub odwrotnie?

– Co to ma wspólnego z Leemanem?

– Pewnie nic. Ale jeśli tak, to będzie można zdrowo oberwać należąc do Diabłów.

Wysoki chłopak zbliżył się do Bena, który widział tylko czarny cień rosnący na tle nieba i poczuł ciepło jego ciała.

– Joni mówi, że jeśli ci pomogę, nie powiesz o nas jej rodzicom.

– Nigdy tego nie obiecywałem.

Booker znów położył swoje olbrzymie ręce na ramionach Bena.

– A więc teraz obiecaj.

Ben próbował spojrzeć chłopakowi w oczy, co było trudne, ponieważ nie widział nawet jego twarzy.

– Nie zamierzam niczego mówić, ale nie możecie trzymać swojego romansu w tajemnicy, w końcu ktoś się dowie. Prędzej czy później rodzice Joni o tobie

usłyszą.

– Joni nie chce, żeby to się stało teraz. Kiedy nadejdzie czas, sam do nich pójde.

– Słuchaj, ty obiecasz, że odejdziesz od Demonów, a ja obiecuję trzymać buzię na kłódkę.

– Nie wiesz, o co prosisz.

– Wiem, że Demony pakują się w poważne tarapaty. Nie chcę, żebyście ty i Joni oberwali z tego powodu.

– Nie zależy ci na mnie.

– Zależy mi na Joni. Nie sądzę, żeby była szczęśliwa, widując swojego chłopaka dwa razy w miesiącu przez kratki. Wierz mi, Booker, nie potrzebujesz gangu. Możesz żyć bez nich.

– Diabły zaopiekowały się mną, kiedy nikt inny tego nie zrobił.

– Być może, ale teraz Joni chce się tobą opiekować. Więc jak będzie?

Booker powoli zdjął ręce z ramion Bena.

– Nie wiesz, o co prosisz.

– Wiem, jak trudno wyjść z gangu. Ale musisz to zrobić i to szybko.

Cień cofnął się o krok.

– Pomyślę o tym.

– Dobrze. Aha, jeszcze jedno. Na twoim miejscu nie czekałbym, aż rodzice Joni dowiedzą się przez przypadek albo od pani Marmelstein. Sam bym im powiedział. Może by im się to nie spodobało, ale na pewno doceniłoby twoją uczciwość.

Cień skinął głową.

– Dzięki jeszcze raz i powodzenia.

Ben wszedł na paluszkach po schodach i cichutko przekręcił klucz. Miał nadzieję, że mama nie martwi się o niego, jak to mają matki w zwyczaju.

Jak gdyby nie miał dość kłopotów, to jeszcze przepytowała go, marszczyła brwi i delikatnie sugerowała, że wszystko w jego życiu jest drugiego gatunku. Tego akurat najmniej potrzebował. Zakładał, że mama wyjedzie po kilku dniach, a teraz wszystko wskazywał na to, że pobyt u syna potraktowała jak długie wakacje.

Ben wśliznął się do saloniku. Mama spała na kanapie, a mały Joey na jej kolanach.

Podszedł bliżej. Powietrze świszcząco wpadając jej do ust cichutko, rytmicznie. Kiedy mama spała, spadała z niej ta nieprzenikniona fasada. Z zamkniętymi oczami wydawała się taka bezbronna siedząc. Taka stara i krucha.

Na stole w kuchni stał talerz z jedzeniem. Kurczak z czymś tam. Ben spróbował. Niezłe, mimo że zimne. Pochłoniął wszystko. Mama zdecydowanie odzyskiwała swoje talenty kulinarne.

Wrócił po cichu do saloniku. Mama spała tak spokojnie, że nie miał serca jej

budzić. Wziął Joeya z jej ramion i ostrożnie ułożył w prowizorycznym łóżeczku. Potem wszedł z powrotem do saloniku, przykrył matkę kocem.

I wtedy przypomniał sobie. Miał trzy, może cztery lata; byli w domu, nie w willi w Nichols Hills, ale w jakimś mniejszym, bliższym sercu domu, gdzie mieszkali wcześniej. Ben bawił się w łóżku... Nie, leżał, bo był chory. Miał wysoką gorączkę, jakieś wirusowe zapalenie, i nie mógł zasnąć. Mama siedziała przy łóżeczku, coś czytała, ale w końcu zasnęła.

Ben widział tę scenę wyraźnie, mimo że nie wspominał tego wydarzenia przez wiele lat. Mały Ben ściągnął z siebie ciężki koc i otulił nim mamę. Pamiętał to tak dokładnie, jak gdyby zrobił to przed chwilą.

Pamiętał nawet, dlaczego to zrobił. Nie dlatego że czuł się winny albo że mama będzie się gniewać.

Uczynił to, bo ją kochał.

Delikatnie pocałował matkę w policzek i na paluszkach wymknął się z pokoju.

Może nie będzie źle, jeśli mama zostanie trochę dłużej w końcu świetnie zajmuje się Joeyem, a poza tym robi doskonałego kurczaka z czymś tam.

Teraz jednak należało czym prędzej zabrać z ulicy jej mercedesa.

Rozdział 57

Istny koszmar. W środku nocy zadzwonił telefon. Macając w ciemnościach po stoliku, Ben zrzucił telefon na kota. Gizela podskoczyła i wylądowała prosto na twarzy Bena.

Krzyk Bena zbudził Joeya, który rozplakał się w sąsiednim pokoju.

Ben znalazł w końcu słuchawkę.

– Chwileczkę – szepnął.

Słyszał szuranie pantofli matki, która pośpieszyła do dziecka.

Zmienię ją, jak tylko pozbędę się tego barbarzyńcy, pomyślał Ben.

– Kto to? – warknął Ben.

– O mój Boże, ale z ciebie gbur. Czyżbym przerwał erotyczny sen?

– Mike, to ty? w głowie ci się pomieszało? Czy wiesz, że jest dwadzieścia pięć po trzeciej?

– Wiem, która godzina. Masz temperaturę?

– Możesz sobie czytać na głos Szekspira przez całą noc, ale...

– Jestem na miejscu zbrodni, Ben.

– Co?

– Na miejscu zbrodni. To takie miejsce, gdzie znajdują się ciała zabitych.

– Czy to ma związek z porwaniem Abiego Rutheforda?

– Na to wygląda. Ale ma też związek z twoją sprawą.

– Jak to? – Ben potrząsnął energicznie głową.

– Myślę, że możesz skreślić jedną osobę z listy podejrzanych.

– Dlaczego?

– Bo nie żyje – odpowiedział po dłuższej chwili Mike.

Zanim Ben dotarł do willi w Utica Hills, zwłoki zostały stamtąd zabrane. Ben nie czuł się rozczarowany.

Przerzucił fotografie zwłok, które wręczył mu Mike.

– Nie mogę w to uwierzyć – powtarzał Ben.

– Ale musisz. Żyjemy w dziwnym świecie.

– To jest więcej niż dziwne. To jest... groteskowe.

W wyprostowanej ręce trzymał fotografię przedstawiającą blondyna w wieku około czterdziestu lat. Był w damskich pończochach z podwiązkami i poza tym nagi. Miał jabłko w ustach, a na głowie torebkę foliową.

– Co robił, na miłość boską?

– Znaczący określał to mianem asfiksj autoerotycznej – wyjaśnił Mike.

– Co takiego?

– Od pewnego czasu wiadomo, że orgazm jest silniejszy, jeśli jest się na granicy uduszenia. Niedobór tlenu zwalnia pracę mózgu, co redukuje zahamowania i wzmacnia doznania seksualne. To bardzo pociąga osoby ze skłonnościami masochistycznymi. Ten pajac najwyraźniej próbował wywołać u siebie taki stan.

– I co?

– Trochę za bardzo się rozochocił, przesadził i udusił się. Wystarczy nacisk kilku kilogramów, żeby zatrzymać przepływ krwi w tętnicy szyjnej. Po paru sekundach człowiek traci przytomność. – Mike wzruszył ramionami. – Dlatego nazywają to niebezpiecznym seksem.

Ben rzucił zdjęcia.

– Co oni jeszcze wymyślą?

– To nic nowego. Sprawa znana jest od wieków, pewnie od dnia, kiedy ktoś zauważył, że wisielcy mają erekcję na szubienicy. Markiz de Sade opisał dokładnie to zjawisko w „Justynie”. Wspomina o nim też Beckett w „Czekając na Godota”. Około pięćdziesięciu ludzi rocznie umiera z tego powodu.

Ben patrzył ze zdumieniem na przyjaciela.

– Mike, dlaczego ty to wszystko wiesz?

– Specyfika zawodu.

– Może jakieś świrusy to robią, ale dlaczego Chris Bentley? To nie trzyma się kupy.

– Bo ja wiem. Przecież sam mi mówiłeś, że on słynie z upodobań do eksperymentów seksualnych.

– Tak, ale z kobietami.

– Nie wspominał ci, że ma kłopoty z następnym podbojem?

– Tak, ale...

– Połącz ze sobą te fakty, Ben.

– Ale Bentley był przystojny, bogaty...

– A ty myślisz, że tylko biedni mają skłonności do dziwacznych praktyk seksualnych? Obudź się, Ben. Bogaci też dostają świra na tym punkcie. Mają czas i pieniądze, więc stać ich na wszystko, co im przyjdzie do głowy.

– A wy uważacie, że to Bentley mordował te dzieci.

– Tak oficjalnie stwierdził komisarz Blackwell. Znaleźliśmy jeszcze to.

Mike założył rękawiczkę i wyjął z papierowej torebki czerwoną czapkę baseballową.

– Należała do tego chłopca, który został przejechany przez samochód?

– Tak. Rozpoznali ją rodzice chłopca. Jego imię wyszyte jest na wnętrzu czapki.

– Są jakieś inne dowody?

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale zaraz sprawdzę. Hubbell!

Po chwili zjawił się policjant w mundurze.

– Tak jest.

– Mów, co znaleźliście – warknął Mike. – Oprócz czapki i ciała.

– Jak dotąd nie znaleźliśmy nic godnego uwagi, poruczniku.

– Co! – wrzasnął Mike zaciskając pięści. – Chcesz mi powiedzieć, że szukacie od dwóch godzin i niczego nie znaleźliście?

Hubbell przełknął ślinę.

– Szukamy bardzo dokładnie. Moi ludzie sprawdzili cały dom. To duży dom i...

– Więc szukajcie jeszcze raz – rozkazał Mike. – a potem jeszcze raz, jeśli będzie trzeba. – Mike stanął twarzą w twarz z Hubbellem. – i mam nadzieję, że coś znajdziecie. Dobrze ci radzę. Odmaszerować!

Hubbell zniknął w mgnieniu oka. Twarz i zachowanie Mike'a natychmiast wróciły do normy.

– Przepraszam, że musiałeś na to patrzeć, Ben.

– Nie ma za co. Uwielbiam obserwować twardych gliniarzy. Powinieneś dostać nominację do Oscara.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Mike przesunął wykałaczkę w kącik ust. – Wiem za to, że jeśli są tu jeszcze jakieś dowody, to Hubbell je znajdzie.

– A jeśli nic nie ma? Na razie niczego nie znaleźli.

Mike wstał zza marmurowego stołu.

– Tego właśnie się boję.

– Jak to?

Mike mówił teraz wolno, starannie dobierając słowa.

– Blackwell traktuje sprawę zabójstw dzieci za zamkniętą. Zaczął już odwoływać z niej moich ludzi. Mam pilnować Abiego Rutheforda jeszcze tylko przez dobę.

– I to cię martwi?

– Bardzo mnie to martwi.

– Myślisz, że Blackwell się myli?

– Blackwell jest politykiem. Musi rozmawiać z prasą. Jeśli ma prawdopodobnego podejrzanego w znanej sprawie, to na pewno go wykorzysta. – Mike odwrócił się twarzą do Bena. – A jeśli się myli?

– Czy to możliwe? – mruknął Ben. – Jeśli to nie był Bentley, to skąd wziął

czapkę?

– Nie wiem – odparł cicho Mike. – Ale coś mi tu nie pasuje. To zbyt łatwe, zbyt dla nas wygodne.

– Nie rozumiem.

– Ścigam tego mordercę od miesiący, przestudiowałem wszystkie hipotetyczne charakterystyki. Bentley do nich nie pasuje.

– Sam mówiłeś, że charakterystyki przestępców bywają zwodnicze.

– Ale nie do tego stopnia. Musisz zrozumieć. Pedofile płoną z pożądania. Podporządkowują mu całe swoje życie. Gdzie dowody, że molestowanie dzieci odgrywało jakąkolwiek rolę w życiu Chrisa Bentleya? Gdzie są świńskie magazyny, gdzie są zabawki?

– Może trzymał je dla bezpieczeństwa gdzie indziej. Przecież zaprowadził Abiego aż do północnej dzielnicy. Tylko głupi trzymałby wszystko w domu.

– Może – mruknął Mike pocierając palcami zapałkę. – Może.

– Popatrz na te zdjęcia, Mike. Musisz przyznać, że ten facet był trochę zboczony.

– Trochę zboczony – tak, ale nie w taki sposób. Nie każdy, kto uprawia eksperymenty seksualne, musi być od razu pedofilem.

Ben położył dłoń na ramieniu Mike'a.

– Może jesteś po prostu rozczarowany, bo go nie złapałeś? Poświęciłeś tej sprawie dużo czasu.

– Chyba rzeczywiście masz rację. Muszę się z tym oswoić. – Uśmiechnął się lekko. – Stary zawsze mi powtarzał: „Mike, ty nie cierpisz pracy, ale jeszcze bardziej nie cierpisz, kiedy ktoś wykona ją za ciebie”.

Teraz Ben z kolei się uśmiechnął. Gdyby połowa historii o ojcu Mike'a była prawdziwa, znaczyłoby to, że Mike jest niezwykłym facetem.

– Mike... Czy ty lubiłeś swojego ojca?

Mike uniósł brwi.

– Starego? Jasne. On był super.

– Naprawdę?

– Tak. Graliśmy razem w kosza, uprawialiśmy zapasy. Jeździliśmy na biwaki, na ryby i nie były to tylko typowo męskie zabawy. On pierwszy czytał mi Szekspira a najlepsze było to, że nawet jeśli miał bardzo dużo zajęć, co się często zdarzało, zawsze znajdował dla mnie chwilę czasu.

– Twój stary musiał być niezwykłym ojcem.

– Tak, w dzieciństwie uważałem go za swojego bohatera. Później zresztą też a kiedy zacząłem interesować się kryminalistyką, czytać Sherlocka Holmesa, nie próbował mnie od tego odstręczyć, jak to się zdarza niektórym ojcom. Zabrał mnie na policję, przedstawił, pomógł zostać gliną.

– Więc ojciec pochwalał twój wybór zawodu?

– Tak. Czy to dziwnego?

Dla mnie tak, ale jestem pewnie wyjątkiem, pomyślał Ben.

– Chyba nie oswoiłem się z myślą, że ojcowie decydują o życiu synów.

– Wszyscy tak robią – powiedział z uśmiechem Mike. – w taki czy inny sposób.

Rozdział 58

Sędzia zaskoczył wszystkich, pojawiając się w sali bardzo wcześnie. Ben trochę się spóźnił, bo zasnął (przykra konsekwencja odwiedzania w środku nocy miejsc zbrodni). Zdążył tylko złapać teczkę i dobiec do sądu. Na szczęście przygotował się dzień wcześniej.

– No to do roboty – powiedział Hawkins. Wydawało się, że jest jeszcze bardziej gburowaty niż zazwyczaj. – Panie mecenasie – dodał zwracając się do Bena – niektóre wczorajsze przesłuchania odbywały się, moim skromnym zdaniem, nieco zbyt powoli. Proponuję trochę przyspieszyć tempo, dobrze?

Ben patrzył na Hawkinsa bez uśmiechu. Wczoraj przesłuchali trzech świadków. Hawkinsowi chodziło o to, by postraszyć trochę Bena i zniechęcić do przesłuchiwania świadków oskarżenia. Ben nie miał jednak zamiaru zaniedbywać obrony Leemana dla wygody sędziego.

– Oskarżenie powołuje na świadka doktora Martina Paglino.

Jeszcze jeden biegły? Ben sądził, że prokurator wyczerpał już aspekt medyczny sprawy. Przysięgli byli już gotowi przejść do konkretów, a zwłaszcza obejrzeć zapowiedziane nagranie wideo.

Paglino był szczupły, niski, lekko przygarbiony. Pracował na nocną zmianę w laboratorium komendy głównej, dlatego właśnie jemu przypadło wykonanie rutynowych badań dowodów zebranych na miejscu zbrodni dziesięć lat temu.

– Doktorze Paglino – zaczął Bullock po przedstawieniu świadka. – Czy zbadał pan plamy krwi na ubraniu oskarżonego?

– Tak.

– I co się okazało?

– Krew pochodziła z ciała ofiary, Marii Alvarez. Zgadzała się zarówno grupa, jak i struktura DNA.

– Na ile wiarygodne są badania DNA?

– Moim zdaniem? Na sto procent.

Bullock przemaszerował przed ławą przysięgłych, dając im czas na przyswojenie tej informacji.

– A czy na skórze oskarżonego znalazł pan jego własną krew?

- Nie.
- Czy zauważył pan jakieś zranienia na jego ciele?
- Nie.
- Nie było więc śladów obrony własnej ani nawet walki.
- Nie.

Daleko idąca opinia, ale jako biegły Paglino miał prawo ją wyrazić. Nie było sensu zgłaszać sprzeciwu, bo istotnie nic nie wskazywało na to, że przed morderstwem doszło do jakiegokolwiek walki.

- Czy szukał pan odcisków palców na miejscu zbrodni? – pytał dalej Bullock.
 - Nie ja sam – odparł pośpiesznie doktor, jakby zaskoczony sugestią, że sam miałby się zajmować zbieraniem dowodów. – Tym zajmuje się kto inny.
 - Oczywiście. Czy zbadał pan odciski, które panu dostarczono?
 - Tak.
 - Czy znalazł pan odciski należące do oskarżonego?
 - Tak. Były wszędzie.
 - Sprzeciw! – zawołał Ben. – Musiały być wszędzie, bo Leeman tam spał. Hawkins skierował wzrok na Bena.
 - Nie widzę tu podstaw do sprzeciwu.
- Ben też nie widział, ale musiał zwrócić na to uwagę przysięgłych.
- Przepraszam, Wysoki Sądzie.
 - Na czym dokładnie znalazł pan odciski palców oskarżonego? – ciągnął Bullock.

- Na jego szafce.
- A na torbie, która znajdowała się w szafce?
- Tak, na niej też.
- To chyba nic dziwnego. Wszak był tragarzem.
- Tak, ale ten komplet kijów był całkiem nowy. Nie znalazłem na nim odcisków żadnego innego tragarza.

Z ławy przysięgłych dały się słyszeć szepty.

- Gdzie jeszcze znalazł pan odciski palców oskarżonego?
- Na chwilę zapadła cisza. Ben wiedział już, że jest to zapowiedź obciążającego zeznania.
- W wielu miejscach na ubraniu ofiary.
 - Na ubraniu Marii Alvarez?
 - Tak.
 - Na której części ciała?
 - Na talii, szyi, tułowiu.
 - Tam gdzie narzędzie zbrodni przeszło jej ciało.

Doktor Paglino spojrział w stronę ławy przysięgłych.

– Dokładnie.

– Nie mam więcej pytań.

Ben wstał, nie czekając na zaproszenie Hawkinsa.

– Doktorze Paglino, zacznijmy od tego, co pan pominął. Później zajmiemy się tym, co pan powiedział.

Świadek skinął głową.

– Jak pan sobie życzy.

– Nie wspomniał pan na przykład o naszyjniku znalezionym ponoć w szafce Leemana. Czy były na nim jego odciski palców?

– Na kamieniach połączonych sznurkiem niewiele jest miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać oleisty osad...

– Proszę odpowiedzieć na pytanie, doktorze.

– Próbuję wyjaśnić, dlaczego niekoniecznie oznacza to, że...

– Proszę zostawić argumenty prawnikom, doktorze. Czy znalazł pan odciski palców na naszyjniku?

Doktor Paglino wypuścił głośno powietrze.

– Nie.

– A szukał ich pan tam przecież, prawda?

– Oczywiście.

– Szukał ich pan bardzo dokładnie. Prokurator Bullock pewnie kazał panu sprawdzać to dziesięć razy a pan i tak nic nie znalazł.

– Nie.

Ben wiedział, że nie może na tym poprzestać. Zdobył punkt u przysięgłych, nieważne jak mały, i chciał smakować dalej tę chwilę.

– A kij, narzędzie zbrodni?

– Co mianowicie?

– Jestem pewien, że na nim też szukał pan odcisków palców.

Doktor Paglino wyraźnie się zafrasował.

– Nie myli się pan.

– Czy znalazł je pan?

– Tak.

– Gdzie dokładnie?

– A gdzie by się pan ich spodziewał? Na uchwycie.

– Więc nie wyklucza to możliwości, że Leeman próbował usunąć kij z ciała ofiary?

– Sprzeciw! – zawołał Bullock. – To spekulacje.

– Ależ skąd – powiedział Ben, zanim Hawkins zdążył się odezwać. Wiedział, że

to nastąpi, dlatego bardzo starannie dobierał słowa. – Pytałem, czy dowód wyklucza pewną hipotetyczną możliwość. To dopuszczalne przy przesłuchaniu biegłego.

Hawkins musiał z niechęcią oddalić sprzeciw.

– Świadek odpowie na pytanie.

– Powtórzę. Czy odciski palców na uchwycie kija wykluczają możliwość, że Leeman próbował usunąć kij z ciała ofiary?

– Odciski potwierdzają hipotezę, że oskarżony trzymał kij za uchwyt wbijając go w szyję ofiary.

– Nie o to pytałem – powiedział spokojnie Ben. – Proszę przestać kłaść przysięgłym do głowy teorie prokuratora. Niech pan mówi o dowodach.

– Znaleźliśmy odciski na uchwycie kija. Oskarżony musiał go mocno trzymać.

– Ale na podstawie odcisków nie potrafi pan stwierdzić, w jakim celu trzymał kij.

– To prawda.

– Dziękuję, doktorze. Powiedział pan, że znalazł odciski palców Leemana na całej górnej części ciała ofiary.

– To prawda. Trudno byłoby wbić kij nie dotykając ciała.

– Doktorze, czy te odciski nie mogły powstać w wyniku zwykłego uścisku?

Paglino zawahał się.

– Czy widział pan zdjęcia wykonane na miejscu zbrodni? – spytał.

– Tak. Wszyscy je widzieliśmy.

Paglino skinął głową.

– Nie objąłbym ciała, które znajduje się w takim stanie. Chyba nikt by tego nie zrobił.

– Może to się stało przed śmiercią ofiary?

– Rzeczywiście. Może ofierze się to nie spodobało, a on nie chciał przestać i dlatego ją zabił.

Niech to diabli. Ben był o krok od podważenia wymowy dowodu oskarżenia i właśnie w tym momencie wdepnął w forsowaną przez Bullocka teorię napaści seksualnej.

– Ale nie wie pan tego na pewno, prawda, doktorze?

– Oczywiście, że nie.

– Czemu więc po raz kolejny wmawia pan przysięgłym coś, czego nie potwierdzają dowody?

– Ja tylko odpowiadam na pańskie pytania.

– Nie. Powtarza pan dokładnie to, co kazał panu mówić szef. Prawda, doktorze?

– Sprzeciw! – krzyknął Bullock. – To obraza!

– Podtrzymuję. Ostrzegam pana, panie mecenasie. Jeszcze jeden taki wybryk

i odpowie pan za obrazę sądu. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania do świadka?

– Nie – odparł cicho Ben. Możesz mnie straszyć, Hawkins. Zrobiłem swoje. Przynajmniej niektórzy przysięgli mnie słuchali. – To wszystko.

– Czy oskarżenie wezwie jeszcze jakiegoś świadka? – spytał sędziego.

– Tylko jednego. Tego, na którego wszyscy czekamy. Oskarżenie powołuje na świadka detektywa Teodora Bickleya, który przyniesie taśmę wideo.

Rozdział 59

Świadek zajął miejsce, a woźny tymczasem ustawił telewizor i magnetowid naprzeciwko ławy przysięgłych.

Porucznik Bickley mógłby być bratem doktora Paglino – tym, który nie dostał się na medycynę. Był niski, umięśniony i agresywny. Mike twierdził, że to z powodu kompleksów. Mike nigdy nie mówił źle o kolegach policjantach, ale Ben miał wrażenie, że Bickley nie należy do jego ulubieńców.

Przedstawivszy świadka, Bullock poprosił Bickleya o przypomnienie sobie nocy, w której popełniono morderstwo.

– Dlaczego pojechał pan na miejsce zbrodni, poruczniku?

– Sierżant Tompkins zadzwonił i powiedział, że dokonano morderstwa. Ja pracowałem w wydziale zabójstwo i miałem wtedy dyżur.

– Co pan zrobił po przybyciu na miejsce?

– Najpierw skontaktowałem się z obecnymi tam policjantami, Tompkinsem, Sandstromem i Morellim. Potem dokonałem oględzin miejsca zbrodni. Starannie przeszukałem budynek i teren.

– Przesłuchał pan Leemana Hayesa.

– Próbowałem. Kiedy przyjechałem, stał przykuty kajdankami do drzwi. Powiedziałem, jakie prawa mu przysługują, a potem spytałem, co się stało. Nie odpowiadał.

– Co pan wtedy zrobił?

– Zrozumiałem, że ten przypadek wymaga szczególnego postępowania, dokończyłem więc oględzin miejsca zbrodni, a przesłuchanie odłożyłem na później. Wiedziałem, że trzeba się będzie skontaktować ze specjalistami od... trudnych świadków.

– Kiedy podjął pan przesłuchanie na nowo?

– Następnego dnia, około dwunastu godzin później.

– Czy istnieje zapis tego przesłuchania?

– Tak. Kasetę wideo.

– Czy dziesięć lat temu często wykorzystywano do tego celu sprzęt wideo?

– Nie. Dostaliśmy magnetowid kilka tygodni wcześniej. Pomyślałem, że można

by wykorzystać sprzęt w tym przypadku, bo oskarżony nie odpowiadał werbalnie na pytania, ale czasami... odgrywał odpowiedzi.

– To znaczy, posługiwał się językiem migowym, tak?

– On nie znał języka migowego. To było raczej jak... pantomima.

– Chce pan powiedzieć, że oskarżony jest mimem?

Ben zmarszczył brwi. Tani chwyt, Bullock.

– Trudno to wyjaśnić – powiedział Bickley. – Mogę to zrobić tylko pokazując nagranie.

– Czy kasetka pomoże panu w złożeniu zeznania?

– Nie mam co do tego wątpliwości.

Bullock poprosił Bickleya o zidentyfikowanie taśmy, a następnie poprosił o umieszczenie jej na liście dowodów. Ben ponownie zgłosił sprzeciw wobec wykorzystania kasetki, a Hawkins go odrzucił. Bullock zgłosił wniosek o odtworzenie kasetki w obecności przysięgłych. Sędzia wydał zgodę.

Benowi nie udało się zapobiec pokazaniu filmu, doprowadził jednak do odtworzenia jej w całości, bez wycinania. Ben chciał pokazać, że Leeman nie odegrał pantomimy od razu, ale w wyniku długiego, męczącego przesłuchania.

Miał też drugi powód, o którym jednak nie powiedział. Pantomima rozpoczęła się po półgodzinie bezowocnego przesłuchania. Ben liczył na to, że po takim męczącym wstępie przysięgli słabiej zareagują na to, co nastąpi później.

Niestety, przeliczył się. Przysięgli patrzyli w ekran z uwagą od początku do końca. Pewnie poczuli się, jak gdyby obserwowali kulisy pracy policji. Kulminacyjny moment nastąpił wtedy, gdy Leeman odegrał zamordowanie Marii Alvarez. Ben widział nagranie wiele razy, a mimo to wrażenie było mroźące krew w żyłach.

Przysięgli zobaczyli potworną scenę oczami Leemana. Patrzyli, jak Leeman podbiega do kobiety i popycha ją na ścianę, widzieli jej krzyk. Widzieli, jak kij golfowy spada na jej głowę, a potem przebija szyję a co najgorsze, zobaczyli wściekłość Leemana, wyraz jego twarzy – wyraz twarzy człowieka zdolnego zamordować.

Ben zastanawiał się tymczasem, czy ktokolwiek zauważył, jak Leeman kładzie dłoń nad oczami. „Widziałem”.

Wątpliwe. Sam zauważył ten gest dopiero za trzecim razem.

Bullock zakończył przesłuchanie. Ben szybko wyszedł na środek.

– Detektywie Bickley, jak długo przesłuchiwał pan Leemana przed rozpoczęciem nagrania?

– Nie jestem pewien.

– A w przybliżeniu?

– Więc zanim rozpoczęło się ta – jak pan to określił – pantomima, Leeman był już przesłuchiwany prawie przez trzy godziny.

– Można tak powiedzieć.

– I nie było to pierwsze przesłuchanie, prawda?

– Nie. To była sesja popołudniowa. Rano też przesłuchiwaliśmy go przez około dwie i pół godziny.

– Zgodzi się pan chyba, że to musiał być dla niego bardzo męczący dzień.

– Wszystko odbywało się zgodnie z przepisami. Był obecny jego adwokat, a nawet ojciec.

– To nie zmienia faktu, że przez ponad pięć godzin bombardował go pan pytaniami. Przyzna pan, że to męczące?

– Dla niego czy dla mnie? To ja mówiłem, a on milczał jak zakłęty.

Ben podszedł do ławy oskarżonego. Tym razem chciał, żeby przysięgli patrzyli na Leemana.

– Panie poruczniku, wie pan o tym, że Leeman cierpi na wrodzoną wadę rozwojową, prawda?

– Tak mi powiedziano.

– Czy ma pan jakieś podstawy, by w to wątpić?

– Zawsze budzą się we mnie podejrzenia, kiedy adwokaci znajdują wymówki dla podejrzanych. – Bickley puścił oczko do przysięgłych. – Większość z nich zamienia się w świrusów dopiero wtedy, kiedy dostaną się w ręce adwokatów.

– Czy jest pan psychiatrą, panie poruczniku?

– Nie.

– Specjalistą od wad rozwojowych?

– Nie.

– Lekarzem medycyny?

– Jasne, że nie.

– W takim razie proszę zachować swoje opinie ignoranta dla siebie. – Czasem ostre słowo odnosi lepszy skutek niż sprzeciw. – Czy przyszło panu do głowy wezwać na przesłuchanie psychiatrę?

– Nie przypominam sobie.

– A czy rozważył pan możliwość wezwania specjalisty od wad rozwojowych?

– Budżet policji jest ograniczony...

– Proszę bez wymówek, poruczniku. Czy zrobił pan to?

– Nie. – Bickley pochylił się. – Naszym obowiązkiem nie jest troska o to, żeby świadek czuł się spokojnie i bezpiecznie. My mamy go skłonić do mówienia i żeby to osiągnąć, robimy wszystko, co trzeba. – Zerknął na sędziego. – w granicach prawa, oczywiście.

– Innymi słowy, nie miał pan zamiaru zapewnić Leemanowi odpowiednich warunków.

– Miałem zamiar postępować zgodnie z literą prawa. Koniec, kropka.

Ben podszedł do magnetowidu, wziął pilota i cofnął taśmę do miejsca tuż przed podniesieniem przez Leemana ręki do oczu. „Widziałem”.

Odtworzył fragment trzy razy, tak aby wszyscy zobaczyli.

– Poruczniku, jakie jest znaczenie tego gestu, który Leeman wykonał przed rozpoczęciem pantomimy?

– Znaczenie? Pewnie zasłaniał oczy przed słońcem.

– Przed słońcem? Przesłuchanie odbywało się w zamkniętym pomieszczeniu. Bez okien.

– No to przed światłem i co z tego?

– Chce pan zeznać, że światło świeciło Leemanowi w oczy przez dwie sekundy, tuż przed odegraniem pantomimy, a potem już nie. Co pan chce wmówić przysięgłym?

– Sprzeciw – warknął Bullock.

– Podtrzymuję – powiedział Hawkins. – Przypominam obrońcy o moim ostrzeżeniu. Nie żartowałem.

Ben postanowił spróbować z drugiej strony.

– Panie poruczniku, stwierdził pan wcześniej, że Leeman próbował porozumiewać się za pomocą gestów, prawda?

– Tak powiedziałem.

– I pańskie zeznanie oparte jest na interpretacji niektórych z jego gestów, prawda?

– Tak.

– Czy wobec tego nie powinniśmy interpretować wszystkich gestów Leemana?

– Jak już powiedziałem...

– Czy nie powinniśmy spróbować ustalić, co oznaczało umieszczenie ręki nad oczami?

Bickley uśmiechnął się złośliwie.

– Mnie bardziej interesują późniejsze gesty, kiedy pokazywał, jak walił tę kobietę kijem po głowie.

– To pańska interpretacja – powiedział spokojnie Ben. – Ale dość wybiórcza, nie uważa pan? Zinterpretowanie gestu, na który zwróciłem uwagę, psuje całą pańską teorię przyznania się do winy, prawda?

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparł Bickley. Spoglądając mu w oczy, Ben wiedział, że kłamie. Policjant zrozumiał gest Leemana i na pewno powiedział o tym Bullockowi. Obaj wiedzieli. Od samego początku.

– Kładąc w ten sposób dłoń nad oczami – ciągnął Ben – pokazujemy, że patrzymy, że coś widzimy. Czy Leeman nie próbował powiedzieć w ten sposób, że widział?

– Nie sędzę.

– Dlatego że pan nie zauważył tej możliwości, czy dlatego że nie chce pan osłabić dowodów prokuratora Bullocka?

– Sprzeciw! – krzyknął Bullock. Był wściekły, a przynajmniej udawał wściekłość.

– Podtrzymuję. Panie mecenasie, nie pójdzie pan do teraz do więzienia tylko dlatego, że nie chcę uprzedzać przysięgłych do pańskiego klienta w środku procesu.

Akurat, pomyślał Ben.

– Po procesie mogę nie być tak pobłażliwy. Jeśli pan się nie uspokoi, każę przerwać to przesłuchanie.

Ben nie spuszczał wzroku ze świadka. Hawkins nie groziłby, gdyby Ben nie zbliżył się do odkrycia czegoś ważnego. Nie mógł teraz zrezygnować.

– Czy nie to chciał powiedzieć Leeman? Czy nie chciał pokazać tego, co zobaczył?

Bickley zaczął się wiercić niespokojnie.

– Skąd mam wiedzieć, co on chciał pokazać?

– Gdyby zadał pan sobie trud skonsultowania się ze specjalistami, może by się pan dowiedział.

– Sprzeciw! – powtórzył Bullock.

Ben nie zwracał na niego uwagi.

– Czy nie zaniedbał pan zaproszenia specjalisty na przesłuchanie z tego samego powodu, dla którego nie skontaktował się z nikim takim później? Obawiał się pan, że niepasująca do pańskiej teorii interpretacja może zniszczyć oskarżenie!

– To stek...

– Sprzeciw! – powtórzył po raz kolejny Bullock.

– Panie mecenasie... – odezwał się sędzia.

– Czy nie o to panu chodziło, panie poruczniku?

– To niedorzeczność, ja...

– Czy to prawda?

– Wszyscy widzieliśmy, co widzieliśmy. – Bickley prawie krzyczał. – Taśma mówi sama za siebie!

– Nie mówi! – krzyknął Ben. – Nie mówi, ponieważ Leeman nie może mówić w swoim imieniu. Nie może się obronić przeciwko takim jak pan, którzy szukają winnych, a nie prawdy!

Hawkins uderzył młotkiem w ławę.

– Proszę siadać, panie mecenasie! w tej chwili! Koniec przesłuchania!

– To niesprawiedliwość, Wysoki Sądzie! Oni wykorzystują tę kasetę, żeby nieuczciwie obciążyć Leemana!

Sędzia ponownie grzmotnął młotkiem w stół.

– Nakazuję panu usiąść!

– To nie jest poszukiwanie prawdy! To parodia sprawiedliwości!

Sędzia skinął głową na uzbrojonego sierżanta.

– Dobrze, dobrze – powiedział Ben machając ręką. – Już siadam.

Hawkins odetchnął głęboko, a potem zwrócił się do przysięgłych surowym tonem.

– Proszę nie brać pod uwagę ani jednego słowa wypowiedzianego przez obrońcę w czasie jego wybuchu złości. Powiem więcej: proszę nie brać pod uwagę całego przesłuchania. Nakazuję usunąć je z protokołu. Panie Kincaid, porozmawiamy o tym po zakończeniu procesu. Przrzekam.

Ben nie miał co do tego wątpliwości. Musiał jednak spróbować zburzyć mur, którym Bullock i Hawkins wspólnym wysiłkiem odgradzali Leemana od przysięgłych i od prawdy. Pewnie nic nie działał, ale może do któregoś z przysięgłych dotarło to, co chciał powiedzieć. Przynajmniej udało mu się zwrócić uwagę na niejednoznaczność wymowy nagrania. Przy odrobinie szczęścia może udało się zatrzymać maszynę Bullocka. Albo chociaż zwolnić jej bieg.

– Czy ma pan jeszcze jakieś pytania do świadka, panie Bullock?

– Tak.

Bullock podniósł się wolno. Ben odniósł wrażenie, że prokurator nie ma nic w zanadrzu, tylko nie chce, żeby przysięgli odeszli z pełnymi pasjami słowami Bena w głowie.

– Co się stało, kiedy oskarżony odegrał scenę morderstwa?

Bickley poruszył szyją i poprawił krawat.

– Widział pan to na kasecie. Uciekł w kąt i skulił się.

– Czy zadawał pan jeszcze jakieś pytania?

– Nie było po co.

– Czy słyszał pan, aby oskarżony coś mówił?

– On w ogóle nic nie mówił. Ale widziałem, jak patrzy.

Ben podniósł rękę. To brzmiało raczej jak własna opinia świadka, a nie poświadczenie faktu. Jednak w tej sytuacji nie było sensu protestować.

– Jak by pan opisał spojrzenie oskarżonego? Czy był przestraszony?

– Przestraszony? Na pewno nie. Pracuję w policji od osiemnastu lat i znam to spojrzenie. To nie był strach, tylko wstyd.

– To wszystko – powiedział Bullock siadając.

Hawkins nie zapytał Bena, czy chce kontynuować przesłuchanie.

– Świadek jest wolny. Czy oskarżenie będzie wzywać kolejnych świadków?

– Nie, Wysoki Sądzie. Oskarżenie zakończyło przesłuchania.

– Wobec tego odkładam rozprawę do jutra o dziewiątej rano zaczniemy przesłuchania świadków obrony. Jeśli chcą panowie złożyć jakieś wnioski, proszę zgłosić się do mojego gabinetu.

Ben mógł złożyć wniosek o bezpośredni werdykt, ale na nic by się to nie zdało. Hawkins był stronnicy, a nawet gdyby nie był, to prokurator wykazał zasadność oskarżenia. Udowodnił, że morderstwo zostało popełnione, i dostarczył aż nadto wystarczających przesłanek do wyciągnięcia wniosku, że mordercą był Leeman Hayes. Co gorsza, przysięgli mu uwierzyli: Ben widział to w ich oczach. Musi przedstawić dowody, które skłoniłyby sędziów przysięgłych do zmiany tego przekonania; coś, co zasiałoby w ich głowach uzasadnione wątpliwości.

Bullock skierował się do drzwi.

– Chwileczkę – powiedział Ben. – Chcę złożyć wniosek do sędziego.

– Jestem pewien, że Myrna może się tym zająć – odparł Bullock z pewnym siebie uśmiechem. Nie odwrócił się.

Bullock tak bardzo był pewien swojej przewagi, że mógł zostawić asystentce daremne wnioski Bena, a sam oddać się czarowaniu dziennikarzy. Innymi słowy, uważał, że ma werdykt w kieszeni.

A co najgorsze, tak właśnie było.

Część czwarta

Teraz na ciebie kara

Rozdział 60

Ben wrócił do biura i przepchnął się obok poborcy opłat z firmy klimatyzacyjnej. Zamierzał obmyślić plan obrony, bo jak dotąd niczego takiego nie miał. Nie znalazł żadnych dowodów, które mogłyby osłabić materiał oskarżenia.

Kilka razy przejrzał wszystko, co przygotował Jones. Jones wykonał dobrą robotę, ale dowodów niestety nie znalazł. Dziesięć lat temu Leeman miał niewiele na swoją obronę, dlatego jego adwokat dążył do odłożenia procesu a zebranie dowodów teraz, dziesięć lat po morderstwie, graniczyło z niemożliwością. Kto jeszcze pamiętał, co się wtedy stało? Kto mieszkał tak długo w jednym mieście? Jeśli istnieli kiedykolwiek pomocni świadkowie, na pewno już dawno się wyprowadzili.

Christina weszła do biura ubrana w różową szyfonową spódnicę, purpurowy sweter i pantofle, które wyglądały na jednorazowe.

– Coś pięknego – powiedział Ben.

– Dzięki. Lubię się ubrać do sądu. Nie uważasz, że wyglądam bosko?

– Myślałem, że byłaś na zakupach z moją mamą.

– Chciałabym, ale byłam cały czas zajęta przygotowaniem do rozprawy. Zapomniałeś?

– Przykro mi.

– Nie szkodzi. Przyzwyczyłam się.

Ben wyprostował się na krześle.

– I jak to wygląda z zewnątrz?

Christina odwróciła wzrok.

– Kiedy wprowadzisz swoich świadków, na pewno sytuacja ulegnie zmianie. Fakty nie świadczyły na korzyść obrony, ale przesłuchiwałeś z dużym wigorem. Jesteś coraz lepszy w sądzie, wiesz?

– W porównaniu z czym?

Na ustach Christiny błąkał się podstępny uśmiezek.

– W porównaniu z tym, co robiłeś kiedyś.

To zawsze niebezpieczne pracować z kimś, kto obserwował cię od samego początku.

– Chcesz powiedzieć, że byłem wtedy niekompetentny?

– Nie, tylko naiwny. Niedoświadczony, czasem żaloszny. Ale nie niekompetentny.

– Miło słyszeć, że się poprawiłem.

– Twój klienci też.

Ben przesunął stos papierów związanych ze sprawą, który piętrzył się na biurku.

– To nie zmienia faktu, że nadal nie mam nic, na czym mógłbym zbudować obronę Leemana Hayesa. On zasługuje na lepszego adwokata ode mnie.

– Jestem pewna, że coś wymyślisz. Jak zawsze.

Schyliła się, pocałowała go w czubek głowy i wyszła.

Próbował zabrać się do pracy, ale po chwili w drzwiach stanął Jones.

– Mam nowe informacje, szefie.

– O czym?

– O Peru.

Ben uniósł brwi.

– Coś ciekawego?

– Być może. Zacząłem od archiwów policyjnych, ale nie znalazłem niczego o Marii Alvarez. Najwyraźniej nigdy nie weszła w kolizję z prawem. Uderzyłem więc do centralnego archiwum cywilnego. Mieli tam metrykę urodzenia, ale to nic mi nie dało. Pomyślałem o szpitalach, w szpitalach zazwyczaj trzymają stare dokumenty. Znalazłem ją po dwóch dniach.

– Była w szpitalu?

– Tak – odparł Jones z uśmiechem. – Tuż przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. Czy to nie cudowny zbieg okoliczności?

– Nie wiem. Co mnie obchodzi, czy była w szpitalu?

– Szefie, ja chcę panu pomóc...

– Chcesz powiedzieć, że szukałeś przez cały czas i dowiedziałeś się tylko tyle, że Maria Alvarez leżała w szpitalu?

– Nie rozumiesz, szefie. To klucz do całej sprawy.

W drzwiach pojawiła się znów Christina.

– Jakaś kobieta chce się z tobą widzieć, Ben. Czeka w holu.

– Niech się zapisze i przyjdzie kiedy indziej.

– Ona chce z tobą rozmawiać od razu.

– Przygotowuję się do rozprawy.

– No właśnie. Ta pani mówi, że ma informacje, które mogą pomóc Leemanowi Hayesowi. Usłyszała wczoraj w wiadomościach twój apel do świadków, więc się zgłosiła.

To ciekawe.

– Niech poczeka chwilę. Jones, co miałeś na myśli...

– Ona nie może czekać – wtrąciła Christina. – Musi odebrać dzieci ze szkoły. Każda minuta spóźnienia kosztuje dolara.

– Jones, czy mógłbyś chwilę poczekać?

– Jak sobie życzysz – powiedział obrażony Jones. – Przecież ja się tu nie liczę.

– Dzięki. Może zabiorę cię później na lody. Przyrowadź tę panią.

Kobieta była młoda, jeszcze przed trzydziestką. Miała blond włosy sięgające do ramion i jasne, niebieskie oczy. Ubrana była w dżinsy i bluzkę z krótkim rękawem. Nazywała się Carlee Crane.

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną widzieć – powiedziała. – Na pewno jest pan bardzo zajęty.

– Moja asystentka powiedziała, że wie pani coś o morderstwie Marii Alvarez.

– To prawda...

– A więc, co może mi pani powiedzieć?

Przełknęła ślinę.

– Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale... Ja to widziałam.

Ben wytrzeszczył oczy.

– Widziała pani morderstwo?

– Tak, widziałam. Tego wieczora pracowałam do późna w klubie golfowym, żeby zarobić trochę dodatkowych pieniędzy. Obiecywali, że awansują mnie na kelnerkę, ale maître d'hôtel robił mi propozycje, a ja nie chciałam o tym słyszeć, więc zostałam w kuchni. Robota była kiepska, ale ja nie miałam pieniędzy, a chciałam zaoszczędzić na samochód...

Ben z trudem utrzymywał nerwy na wodzy.

– Przepraszam, ale czy moglibyśmy mówić o morderstwie? Proszę powtórzyć, bo chyba nie bardzo zrozumiałem. Naprawdę widziała pani morderstwo? Na własne oczy?

– Tak.

– Dlaczego nie powiedziała pani tego wcześniej? Na przykład dziesięć lat temu?

– To właśnie jest dziwne, panie Kincaid. Ja o wszystkim zapomniałam.

– Zapomniała pani?!

– Wiem, jak to brzmi, ale taka jest prawda. – Podeszła do okna. – To był tak potworny szok, że chyba wyparłam wszystko z pamięci.

– Ale jak?

– Nie potrafię tego sensownie wyjaśnić. Wiem tylko, że nie pamiętałam. Moja pamięć igrała sobie ze mną. Czy może pan to sobie wyobrazić?

Ben bezwiednie wyciągnął z kieszeni fotografię, na której ojciec łaskocze trzyletniego malucha, śmiejącego się całą buzią.

– Postaram się – obiecał cicho Ben. – Proszę usiąść i opowiedzieć wszystko od

samego początku.

Rozdział 61

Mike na ciemnej uliczce północnej dzielnicy Tulsy udawał twardziela. Szedł rozkołysanym krokiem, z wykałaczką w zębach. Nie próbujcie ze mną zadzierać, zdawał się mówić swoją postawą władcom nocnych ulic (wiedział, że tam są). Jestem groźny, bardzo groźny. Trzymajcie się z dala.

Wykałaczką może nie pasowała zbyt dobrze do tego obrazu, lecz Mike od prawie dwóch tygodni nie palił i nie miał zamiaru znów zacząć. Osobiście nie uważał, żeby palenie fajki mogło kogoś razić; miało to nawet swój czar, jakąś aurę ciepła. Wiedział jednak, że nikt nie podziela już tego zdania. Mike miał dość siedzenia samotnie na przyjęciach. Od miesięcy nie był na randce...

Od miesięcy? Po prawdzie, nie był na randce od dnia, kiedy widział ostatnio Julię, a tego spotkania też raczej nie można uznać za randkę w końcu to była jego eks-małżonka, a poza tym wtedy nie rozwiodła się jeszcze z drugim mężem.

Dopiero później. Mike nigdy nie zrozumie tej kobiety, choćby żył sto lat. Gdyby tylko mógł zapomnieć. Wspomnienia zachowują się dziwnie. Niektóre znikają następnego dnia, ale inne są jak albatros, wiszą w górze nieruchomo, rzucając cień na myśli, odbierając im swobodę.

Tak właśnie było ze wspomnieniem Julii.

Mike udoskonalił krok twardziela (taką miał w każdym razie nadzieję), kiedy pracował jako tajniak tu, w północnej dzielnicy. To była po prostu technika przetrwania.

Gdyby komisarz Blackwell dowiedział się, co teraz robi Mike, byłby to koniec. Na porannej konferencji prasowej Blackwell ogłosił szumnie, że pedofil-morderca nie żyje. Wiadomość ukazała się natychmiast we wszystkich gazetach. Czy zresztą można się temu dziwić? Przystojny, bogaty, zaangażowany w działalność dobroczynną człowiek z wyższych sfer zabija się przypadkowo podczas oddawania się w samotności niebezpiecznym praktykom seksualnym. Czy można wymyślić lepszą wiadomość?

Tak więc mieszkańcy Tulsy uważali, że wreszcie mają koszmar za sobą. Rodzice odetchnęli z ulgą. Ktoś zastąpił już Mike'a w roli ochrony Abiego, która miała zresztą dobiec końca jutro o dziewiątej rano.

A jeśli to pomyłka?

To pytanie nie dawało Mike'owi spokoju.

Był tylko jeden sposób, żeby się upewnić: znaleźć mieszkanie, do którego zboczeniec zaprowadził Abiego. Gdyby Bentley nie planował śmierci, nie usunąłby stamtąd sprzętu z pewnością znajdując się tam dowody, które powiedzą, kim był pedofil.

Trzeba tylko znaleźć ten dom.

Poszukiwania mogły potrwać kilka dni i nocy, ale Mike chciał, żeby ktoś pilnował Abiego po zakończeniu pracy policyjnej ochrony. Nie mógł zajmować się jednym i drugim. Zwłaszcza jeśli nie chciał wzbudzać podejrzeń Blackwella a to oznaczało, że nie może posłać do Abiego żadnego z kolegów.

Przynajmniej do dziewiątej rano nie trzeba się martwić o Abiego. Na razie musi znaleźć to cholerne mieszkanie.

Abie twierdził, że widział samoloty na niebie. Prawdziwe samoloty, wysoko.

Zakładając, że nie były to halucynacje – czego nie można wykluczyć, bo pedofil podał mu narkotyk – Abie musiał przechodzić w pobliżu lotniska międzynarodowego w Tulsie, które znajdowało się w północnej części miasta między Sheridan a Memorial. Sęk w tym, że wokół lotniska znajdowały się firmy i osiedla mieszkaniowe pełne budynków wszelkiego rodzaju i wielkości. Opis podany przez Abiego nie pozwalał niczego wyeliminować.

Ale gdyby praca policjanta była łatwa, każdy mógłby ją wykonywać, prawda? Mike wykreślił na mapie Tulsy kilka coraz większych okręgów. Systematycznie przemierzał teren zgodnie z wykresem, oddalając się od lotniska w końcu musi trafić do miejsca, gdzie zboczeniec zaprowadził Abiego.

Mike miał tylko nadzieję, że je rozpozna.

Skreślił za rogiem i natychmiast wpadł w oko niesłychanie szczupłej młodej kobiecie w zielonym topie, skąpych szortach i powłóczystym białym szalu. Było gorąco, to fakt, ale to odzienie wyglądało kuso nawet jak na sierpniową noc.

– Chcesz się zabawić? – Zbliżyła się do Mike bardziej niż to jest przyjęte w dobrym towarzystwie.

– Nie, dzięki.

– Nie pożałujesz.

– Na pewno.

– Będzie wesoło.

– Naprawdę mnie to nie interesuje.

– Założę się, że zmienisz zdanie. – Zrzuciła Mike'owi szal na szyję i przyciągnęła go do siebie. – No co, przystojniaku?

Rzecz jasna, Mike mógł się uwolnić od towarzystwa wypowiadając dwa słowa:

Jestem gliną. Ale to z pewnością by ją wystraszyło, a pewnie też alfonsa, który czaił się gdzieś w pobliżu. Nie bez powodu takie pary pracowały zawsze razem. Poza tym, gdyby się zdemaskował, musiałyby aresztować dziewczynę. Nie powinno się roznieść, że policja stosuje taryfę ulgową dla prostytutek. Mike nie mógł sobie pozwolić na taką stratę czasu; miał co innego na głowie.

– Jestem pewien, że byłby to raj na ziemi, ale jestem zajęty. – Odsunął ją delikatnie.

– Popełniasz wielki błąd.

– Wiem. Często tu pracujesz?

– Każdej nocy, kochasiu.

– Nie widziałaś przypadkiem...

– No mów, przystojniaku.

– Czy widziałaś w tej okolicy jakieś trolle?

Dziewczyna zmierzyła go uważnym spojrzeniem.

– Trolle?

Mike czuł, że się rumieni.

– Takie małe śliczne ludziki...

– Mój Eduardo ma metr pięćdziesiąt. Nazywamy go Mały. Ale nie z powodu wzrostu.

– Chodzi mi o prawdziwe trolle. Takie jak w baśni.

– Wierzysz w baśnie, przystojniaku?

– Może widziałaś zdjęcia trolli albo plakaty, rysunki?

– Niestety, nie. – Uśmiechnęła się. – A może miałbyś jednak ochotę na szybki numer? Chyba jesteś trochę roztrzęsiony, co?

– Nie, dzięki.

Mike poszedł dalej. Biedna dziewczyna pewnie uciekła z domu albo ćpała. Ostatnio razem z Benem prowadzili kilka spraw związanych z nieletnimi prostytutkami. Mike nigdy więcej nie chciałby mieć z tym do czynienia. Wystarczyło mu na całe życie.

Spróbował zapomnieć o spotkaniu; nie mógł sobie pozwolić rozpraszać się. Musiał szukać aż do skutku.

Aż upewni się, że Abie jest bezpieczny.

Trudno jest być czyimś bohaterem. Nie wolno się wtedy mylić.

Rozdział 62

Tego dnia Ben wrócił do domu późno, ale nie miał nic przeciwko temu. Trafiłby do swojego pokoju z zamkniętymi oczami. Wystarczyło iść za zapachem.

– Co to jest? – spytał, kiedy matka postawiła przed nim talerz.

– Suflet szpinakowy, oczywiście.

– Kolejna ulubiona potrawa mojego dzieciństwa?

Pani Kincaid nałożyła sobie znacznie mniejszą porcję i usiadła po przeciwnej stronie stołu.

– Obawiam się, że nie. Nigdy nie mogliśmy cię zmusić do jedzenia warzyw. Prawdę mówiąc, nie mogliśmy cię zmusić do zjedzenia niczego zielonego. Mam nadzieję, że zmądrzałeś od tego czasu.

Ben przyglądał się zawartości talerza.

– Hm...

– Tylko nie kłam. Sprawdziłam, co trzymasz w kuchennych szafkach.

– Zaglądałaś...?

– Jako matka mam do tego prawo.

Ben spróbował sufletu. Całkiem smaczny. Wcale nie czuć szpinaku.

– Chyba coś się zmieniło – powiedział Ben.

– W suflecie?

– Nie. W mieszkaniu.

Pani Kincaid popatrzyła niewinnie na syna.

– Co na przykład?

– Nie jestem pewien. Trudno to uchwycić.

Pani Kincaid wzruszyła ramionami.

– Jak ci idzie w sądzie?

Ben potrząsnął głową.

– Lepiej nie pytaj.

– Benjaminie, gdybym nie chciała wiedzieć, nie pytałabym.

Ben odetchnął głęboko. Tak to bywa z matkami.

– Od jutra zaczynają się przesłuchania moich świadków.

– Jakich masz świadków?

– Mam naocznego świadka, który na dziesięć lat zapomniał o tym, że widział morderstwo. Zeznanie tej kobiety mogłoby zmienić przebieg procesu, ale żeby je uwiarygodnić, będę musiał wezwać specjalistę, który wyjaśni przysięgłym zjawisko utraty pamięci. Jones próbuje kogoś takiego znaleźć. Jeśli to nie poskutkuje, powołam kogoś z zarządu klubu golfowego, ale żaden z nich nie jest skłonny mi pomóc.

Pani Kincaid połknęła kęs sufletu.

– Może ja ci pomogę.

Ben uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nie sędzę.

– Czemu nie? Pół życia obracałam się wśród śmietanki towarzyskiej. Do jakiej kategorii ci się zaliczają?

– Nie wiedziałem, że są różne kategorie.

– Oczywiście, że są. Można ich podzielić na tych, którzy dorobili się własną ciężką pracą, i tych, którzy odziedziczyli pieniądze a więc, do której należą członkowie klubu?

– Do tej drugiej z jednym wyjątkiem, ale ten już nie żyje. Co to za różnica?

– Olbrzymia różnica, jeśli zamierzasz wyciągnąć od nich coś, czego nie chcą powiedzieć. Bo przecież tym się zajmują prawnicy, prawda?

– Nie określiłbym tego w taki sposób...

– Ci ludzie są prawdopodobnie dobrze wykształceni, prawda?

– Niewątpliwie.

– A więc ich nie przechytrzysz. Nie ma się o co obrażać. – Uniosła dłoń. – Musisz sprawić, że sami będą chcieli mówić.

– Jak mogę to zrobić?

– Przede wszystkim powinieneś pojąć, że ludzie dziedziczący fortuny cierpią na dotkliwy brak poczucia bezpieczeństwa. Jeśli się zarobiło wielkie pieniądze, to zupełnie co innego. Człowiek dobrze się z tym czuje, bo to daje satysfakcję z osobistego osiągnięcia. Ten, kto dostał wszystko za darmo, musi cierpieć z powodu kompleksów. Przejmuje się tym, co myślą o nim inni. – Pani Kincaid przerwała na chwilę. – Marzy o tym, żeby się czymś pochwalić.

– Jak to wykorzystać w sądzie?

– Zastanów się, Benjaminie. Jeśli dasz takiemu sposobność do przechwałek, może palnąć coś, czego trzeźwo myślący człowiek by nie powiedział. Rozumiesz?

Ben postukał widelcem w talerz.

– Hm. Muszę o tym pomyśleć.

Pani Kincaid promieniała.

– No i co? Może twoja stara matka przyda się jeszcze do czegoś?

– Nadal uważam, że coś w moim mieszkaniu jest nie tak. – i to niejedno.
– Wiem! – Ben strzelił palcami. – Nie pocę się!
– Bardzo się cieszę, Benjaminie.
– Chciałem powiedzieć, że nie pocę się po raz pierwszy od tygodni!
Pani Kincaid wyglądała na nieco zakłopotaną.
– Doprawdy...
– Temperatura nie spadła... – Ben zajął do saloniku. Odpowiedź znajdowała się przy oknie. – Klimatyzacja! Ktoś założył klimatyzację.
– Czyżby? Coś podobnego...
– Ty to kazałaś zamontować system.
– Było okropnie gorąco...
– Jak mogłaś!
– Benjaminie, tu było nie do wytrzymania. Pomyśl o dziecku...
– Jeśli chciałaś klimatyzacji, trzeba mi było powiedzieć. Kupiłbym.
– Wiem, że finansowo nie wiedzie ci się ostatnio najlepiej...
– To bez znaczenia.
– A ja mam więcej pieniędzy, niż...
– Mówiłem ci wiele razy, że nie chcę pieniędzy ojca!
– To moje pieniądze...
– Jego pieniądze! – Ben wyciągnął z kieszeni zdjęcie i rzucił na stół. – Jego!
Gdyby chciał mi je dać, jego testament wyglądałby nieco inaczej!
– W testamencie było tylko zapisane, że...
– Nie chcę o tym mówić!
Ben zauważył, że krzyczy. Nie miał powodu, by wrzeszczeć na matkę, ale nie mógł się powstrzymać.
– Benjaminie, zachowujesz się irracjonalnie w końcu to tylko klimatyzacja.
– Tu nie chodzi o klimatyzację. Chodzi o to, czy panuję nad swoim życiem!
– Benjaminie... – powiedziała pani Kincaid zduszonym głosem. – To takie... niemądre.
– Tak. Teraz zaczniesz mnie wpędzać w poczucie winy, tak jak to robiliście z ojcem zawsze!
Pani Kincaid wyprostowała ramiona.
– Każę rozmontować klimatyzację.
– Dobrze.
– I wyjadę.
Ben zawahał się.
– Wiesz...
Za późno. Pani Kincaid wyszła.

– Mamo...

Ben osunął się na krzesło. Nie chciał na nią krzyczeć. Naprawdę nie chciał. Miała rację, a on naprawdę zachował się głupio. Irracjonalnie. Nie wiadomo dlaczego...

Niech to licha.

Ugryzł kawałek sufletu, ale smak gdzieś się rozpułynał.

Rozdział 63

Następnego dnia wcześniej rano Ben zajrzał do biura z Joeyem w ramionach, żeby sprawdzić, co działali współpracownicy w drzwiach omal nie wpadł na inkasenta z firmy produkującej urządzenia klimatyzacyjne.

– Jeszcze pan tu jest?

– Mówiłem panu, że nie wyjdę, dopóki ten rachunek nie będzie zapłacony. To moja praca.

– O co panu chodzi? Przecież przyznałem, że jestem wam winien pieniądze. Zapłacę, jak tylko będę miał. Jeśli to wam nie odpowiada, złożcie pozew w sądzie.

– Dziękuję za dobre rady. Nic z tego. Odejdę, kiedy pan zapłaci.

– Posłuchaj pan. Prowadzę właśnie sprawę o morderstwo, i co gorsza, przegrywam. Nie mogę znaleźć biegłego, którego bardzo potrzebuję, matka się na mnie obraziła, siostra zostawiła mi swoje dziecko, a kot podrzuca do łóżka martwe zwierzęta. Tej nocy nie zmrużyłem oka i mam tego wszystkiego dość. Więc wynoś się pan stąd!

Przemowa Bena zbudziła Joeya, który otworzył oczy i zaczął kwilić.

Christina wyszła na korytarz, wzięła dziecko z ramion Bena.

– Popatrz, co narobiłeś.

– Jeszcze przed chwilą smacznie spał.

– Tak, ale ty musiałeś się pokłócić z inkasentem. – Machnęła ręką w stronę krzesła. – Siadaj i weź się w garść.

– Nie potrzebuję.

– Akurat.

Ben pozwolił się zaciągnąć do krzeselka. Christina nalala mleka do butelki i wsadziła Joeyowi smoczek do buzi. Dziecko się uspokoilo.

– Zrobić ci masaż? – spytała.

– Znowu chcesz kręcić mi palcami kółka na skroniach i szeptać do ucha tajemnice wszechświata? Nie, dzięki.

– Masz rację. Przydałaby ci się końska dawka środków uspokajających, ale ja mogę zaproponować tylko masaż. – Wolną ręką zaczęła masować głowę Bena. – Czemu przyszedłeś z Joeyem? Za godzinę masz być w sądzie.

- Mama wyjechała.
 - Dokąd?
 - Nie wiem. Nie było jej, kiedy wstałem.
 - Nie wierzę, że zostawiła cię z dzieckiem w takiej chwili... – Popatrzyła na Bena podejrzliwie. – Zrobiłeś coś głupiego?
 - Nie zrobiłem.
 - Tak po prostu spakowała się i powiedziała *au revoir*? Bez żadnej prowokacji z twojej strony?
 - Nie powiedziałem, że...
 - Ben, jak mogłeś!
 - Co jak mogłem?
 - Jak mogłeś tak się zachować wobec swojej matki!
 - Nie zrobiłem nic takiego...
 - Zrobiłeś. Wrzeszczałeś na nią i powiedziałeś coś głupiego, prawda?
 - No...
 - Tak właśnie myślałam. Czy powiedziała, że wyjeżdża?
 - Tak, ale sądziłem, że zabierze ze sobą dziecko.
- Christina przestała masować skronie Bena.
- Kiedy to wreszcie do ciebie dotrze?
 - Co?
 - Pod tym względem zachowujesz się jak ślepiec a w głębi serca jesteś kochany, ale w stosunku do rodziny potrafisz być beznadziejny.
 - Chyba nie masz...
 - A najgorsze, że nie udało mi się pójść z nią na zakupy!
- Ben też bardzo tego żałował.
- Przykro mi, Christina, ale musisz się zająć Joeyem, kiedy będę w sądzie.
 - Nie ma mowy!
 - A co mam zrobić?
 - Są przedszkola, płatne opiekunki. Masz wiele możliwości.
 - Nie żartuj. Nie mam czasu szukać teraz opiekunki. Powiedziałaś, że dobrze sobie radzisz z Joeyem...
 - Ben, musisz wreszcie przestać liczyć na to, że inni będą wykonywać za ciebie ciężką robotę. Zaczynaj się zachowywać jak odpowiedzialny rodzic.
 - Nie jestem odpowiedzialnym rodzicem...
 - Otóż to.
 - Bo w ogóle nie jestem rodzicem. To przejściowa sytuacja.
 - No pewnie. – Christina smoczek butelkę w buzi Joeya i podała dziecko Benowi. Zajrzała do torby z pieluszkami. – Znowu mam robić za niańkę. Coś

takiego! i to w czasie ważnego procesu. Ja, zawodowy prawnik.

– Może zabierzesz go z powrotem do mnie? On dobrze się tam czuje. Kazałem zainstalować klimatyzację... a gdyby mama wróciła, zostawisz Joeya i przyjedziesz do sądu.

– Nie wiem, czy...

– Przepraszam – rozległo się za ich plecami.

Odwrócili się. W drzwiach stał mężczyzna w średnim wieku, ubrany w marynarkę w jodełkę.

– Pan Ben Kincaid?

– Tak. Czym mogę służyć?

– Powiedziano mi, że mogę panu pomóc...

– Mnie?

– Jestem lekarzem. Ależ ze mnie głupiec. – Poklepał się po marynarce i zaczął gorączkowo przeszukiwać kieszenie. Wyjął paczkę chusteczek higienicznych, okulary i zegarek. – Oto moja wizytówka. Nazywam się Emil Allyn.

– W jaki sposób może mi pan...

– Jestem psychiatrą.

Ben spojrzał na Christinę.

– Czy to jakiś żart?

– Nie, nie – wyjaśnił Allyn. – Miałem na myśli to, że jestem specjalistą w dziedzinie leczenia utraty pamięci.

Ben klepnął przybysza po ramieniu.

– Jones pana znalazł! Będzie pan moim biegłym.

Allyn wyglądał na nieco zakłopotanego.

– Jeśli pan sobie tego życzy...

– O tak. Proszę mi wierzyć.

– Więc dobrze. Przepraszam, ale zdaje się, że wylewa pan mleko na mój garnitur.

Rozdział 64

Przepychając się wśród tłumu Ben czuł żar panujący w sądzie. Sala była wypełniona po brzegi. Widzowie siedzieli na ławkach, a część stała pod ścianami. Tłok jak w puszcze śledzi.

Byli wszyscy, których Ben widział wczoraj. Ernest Hayes tym razem przyprowadził kilkoro ze swych dzieci. Co chwila oglądał się na dwóch młodych czarnych chłopaków stojących z tyłu. Wprawdzie nie mieli na sobie czarnych kurtek, ale Ben był pewien, że należą do Demonów.

Zjawili się całe towarzystwo z klubu łącznie z Ruthefordami. Dzisiaj siedzieli razem mimo to, Ben wyczuwał, że dzieląca ich przepaść emocjonalna jeszcze się powiększyła.

Ben ze zdumieniem spostrzegł Mike'a z Abiem trzymającym się blisko opiekuna.

Zatrzymał ich Harold Rutheford.

– Abie, nie spodziewałem się ciebie tutaj!

Chłopiec nie odpowiedział.

– Abie nie powinien tu przychodzić.

– Wstąpiliśmy tylko na chwilę. Zamienię słowo z adwokatem i pójdziemy – odparł Mike.

– Podobno sprawa ma się dzisiaj zakończyć – powiedział Rutheford. – Abie, pójdziemy gdzieś potem?

Abie wbił wzrok w podłogę.

– Możemy pójść do wesołego miasteczka, jeśli chcesz – zaproponował Rutheford. Zerknął na żonę. – Albo po prostu na spacer.

Abie ścisnął Mike'a za rękę i spróbował odciągnąć.

– Przyprowadzę Abiego do domu po południu – powiedział Mike. – Będziecie mieli trochę czasu.

Rutheford skinął głową.

Mike przecisnął się z chłopcem do ławy oskarżonego.

– Świetnie do siebie pasujecie – rzucił Ben, klepiąc przyjaciela po ramieniu.

– Gadanie – zjeżył się Mike. – Nigdy do nikogo świetnie nie pasowałem.

– A teraz pasujesz. Wygląda na to, że znalazłeś swoje powołanie.

– Cha, cha.

– Może powinieneś dać sobie spokój z policją i otworzyć przedszkole.

Mike położył palec na piersi Bena.

– Przestań.

Ben roześmiał się.

– Przepraszam. Nie chciałem przez to powiedzieć, że jesteś wrażliwy. – Pochylił się do Mike'a. – Dlaczego go nadal pilnujesz? Myślałem, że Blackwell cię odwołał – szepnął.

– Odwołał, ale Ruthefordowie o tym nie wiedzą. Nie zostawię dziecka bez ochrony, dopóki się nie upewnię, że nic mu nie grozi.

– Rozumiem. Co cię sprowadza do sądu?

Mike zerknął na Abiego. Chłopiec rozglądał się z ciekawością dookoła.

– Musisz mi pomóc.

– Jeśli będę mógł. O co chodzi?

– Zetknąłeś się już z tym problemem. Potrzebuję opiekunki.

– Mike...

– Posłuchaj. Nie mogę zwrócić się do nikogo z policji. Nawet ja nie powinienem już pilnować chłopca. Gdyby Blackwell dowiedział się, że nie uznałem tej sprawy za zamkniętą, wkurzyłby się aż miło.

– Może lepiej dać sobie z tym spokój w końcu znaleźli tę czapeczkę.

Mike przysunął się do kolegi.

– Przez kilka ostatnich nocy po służbie krążyłem w okolicy, gdzie pedofil zabrał Abiego. Obszedłem prawie połowę miasta, przecznica po przecznicy...

– A kiedy spałeś?

– Wiele nie spałem od trzech dni, ale to nieważne.

– Mike...

– Słuchaj, wydaje mi się, że jestem już blisko, naprawdę. Nie umiem tego wyjaśnić, ale czuję, że znajdę ten dom. Wtedy dowiem się, kim naprawdę jest ten zboczeniec. Lub kim był. Jeśli to Bentley, w porządku, możemy spać spokojnie. Ale jeśli nie, to Abie nadal jest w niebezpieczeństwie. Chcę skończyć dzisiaj poszukiwanie, zanim Blackwell wywącha, co robię a nie dam rady z... – Ruchem głowy wskazał Abiego.

– Mike, jestem w samym środku procesu!

– A Christina?

– Jest u mnie. Pilnuje Joeya.

– Świetnie! Jeśli zajmuje się jednym dzieckiem, to drugie w niczym jej nie przeszkodzi.

– Hm... Możesz ją zapytać.

– Doskonale. Pojadę tam z chłopcem a przy okazji... – Mike ponownie zniżył głos. – Mam wieści, że Bullock przygotował dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę. Coś jeszcze gorszego niż przedtem. Miej się na baczności.

No to pięknie.

– Postaram się.

– Wiem. – Mike klepnął Bena po plecach. – Mam nadzieję, że mu dokopiesz. Ja nic nie mówiłem.

– A ja nic nie słyszałem.

– Połamania.

Kilka minut po wyjściu Mike'a strażnicy wprowadzili do sali Leemana Hayesa. Woźny zapowiedział sędziego.

– Widzę, że wszyscy dotarli dziś do sądu na czas – powiedział Hawkins. – Panie Kincaid, piłeczka znajduje się po pańskiej stronie. Co pan dla nas ma?

Ben wstał powoli.

– Obrona powołuje na świadka panią Carlee Crane.

Rozdział 65

Kiedy Carlee zmierzała do miejsca dla świadka, Ben rozejrzał się. Wszyscy wyglądali na zdziwionych; przysięgli także. Kim jest ta kobieta? – zadawali sobie pytanie. Bullock zastanawiał się pewnie, jak Benowi udało się tak długo zachować w tajemnicy tożsamość świadka. Ben zaś wcale nie musiał niczego ukrywać, bo sam poznał Carlee dopiero wczoraj.

Carlee zajęła miejsce i zerknęła niepewnie na przysięgłych. Była wyraźnie zdenerwowana. Ben wiedział jednak, że wszyscy świadkowie się denerwują, nie tylko nieuczciwi. Miał nadzieję, że przysięgli też o tym wiedzą.

Ben ustalił tożsamość świadka, a potem przeszedł do sedna sprawy.

– Co pani robiła dziesięć lat temu dwudziestego piątego sierpnia?

Carlee popatrzyła na widownię, szukając pewnie wsparcia ze strony męża.

– Pracowałam w klubie golfowym Utica Greens.

– Co pani tam robiła?

– Pracowałam w kuchni.

– Jako kucharka?

– Raczej jako pomoc. Wykonywałam fizyczne prace.

– Czy pamięta pani, co robiła w nocy dwudziestego piątego sierpnia?

– Tak, wydaje mi się, że tak. Kuchnię zamykano o jedenastej wieczorem, ale ja zgodziłam się zostać dłużej, żeby pozmywać. Trwało to zazwyczaj ponad godzinę. Nie lubiłam tego robić, ale potrzebowałam pieniędzy. Poza tym szef, pan Franklin, powtarzał, że jeśli uzbiera mi się odpowiednia liczba godzin nadliczbowych, awansuje mnie na kelnerkę. To lepiej płatna praca, w dodatku nie trzeba zostawać do późna w nocy i zmywać brudnych talerzy. Ale kiedy już miałam na koncie dosyć dużo godzin, pan Franklin spytał, czy lubię Mantovaniego, czy chciałabym obejrzeć jego kolekcję filmów erotycznych i jakiego koloru jest moja bielizna...

– Wolałbym, żeby mówiła pani o klubie – przerwał Ben.

– Oczywiście. A więc tego wieczora zostałam po godzinach.

– Kiedy pani skończyła?

– Około północy.

– Co pani robiła później?

– Wyszłam z głównego budynku, w którym znajduje się jadalnia i kuchnia, i skierowałam się do domu. Nie miałam samochodu, musiałam więc chodzić pieszo, nawet jeśli była późna noc. Odkryłam, że najkrótsza droga prowadzi przez pole golfowe między pierwszym a ósmym dołkiem.

– Czy przechodziła pani w pobliżu magazynu?

– Tak. Zazwyczaj nawet go nie zauważałam, ale tej nocy usłyszałam w środku głośne krzyki.

– Podeszła pani bliżej?

– Tak. Nie jestem wścibska, ale to było dziwne. Nie sądziłam, że o tej porze w nocy ktoś może tam być.

– Co pani zrobiła?

Carlee spuściła wzrok w jej głosie dało się słyszeć wahanie.

– Podeszłam do najbliższej ściany budynku, tej od północy, i zajrzałam przez okno. Było otwarte.

– Co pani zobaczyła?

Carlee zwilżyła językiem usta.

– Ujrzałam... – Westchnęła głęboko. – Ciemnowłosą kobietę w rogu pomieszczenia.

Ben pokazał jej zdjęcie Marii Alvarez.

– Czy to była ta kobieta?

Carlee zerknęła na zdjęcie.

– Tak, to ona.

– Jest pani pewna?

– Całkowicie.

– Dlaczego stała w rogu?

Carlee spojrzała z obawą na przysięgłych.

– Popchnął ją tam mężczyzna.

– Czy ten mężczyzna miał jakąś broń? – spytał Ben.

– Tak. Kij golfowy.

– Czy używał go?

Carlee zamknęła oczy, jakby sobie przypominając.

– Rozmawiali przez chwilę... Nie słyszałam, co mówili. Potem mężczyzna podniósł kij. Kobieta otworzyła szeroko oczy i krzyknęła.

– A potem?

– Uderzył ją w głowę. Podniósł kij jeszcze raz, ale tym razem uderzył w ramię. Kobieta krzyczała ciągle, ale się nie przewróciła.

– Ile razy ją uderzył?

– Nie jestem pewna. Dwa albo trzy razy. Nagle kij się złamał. To rozwścieczyło

napastnika. Podniósł pęknięty kij i... wbił go w szyję kobiety.

Ben odczekał chwilę.

– Skąd pani wie, co zrobił ten mężczyzna?

– Widziałam to, widziałam na własne oczy. Kobieta krzyczała, ale kiedy kij wbił się w jej gardło, głos zamilkł w tej samej chwili. To było jeszcze straszniejsze. Krew tryskała z jej szyi na wszystkie strony... i poczułam ten zapach. Słodkawy zapach krwi. – Rozpłakała się. – Nie wyobraża pan sobie, jakie to było straszne... Miałam wtedy siedemnaście lat. Nigdy czegoś takiego nie widziałam...

Ben podał Carlee chusteczkę i poczekał, aż otrze łzy.

– Co pani wtedy zrobiła?

– Nie wiem. Byłam w szoku. Następną rzeczą, jaką pamiętam, było to, że leżałam w łóżku.

– Rozumiem. Carlee, zadam pani bardzo ważne pytanie. – Ben widział, jak przysięgli nadstawiają ucha z ciekawością. Wiedzieli, o co chce zapytać. – Kim był człowiek, którego widziała pani w magazynie?

– O to właśnie chodzi, że... nie wiem. Stał tyłem do mnie.

Ben musiał śpieszyć się z zadaniem kolejnego pytania, nim ciekawość przysięgłych zmieni się w irytację.

– Czy może go pani opisać?

– Był wysoki. Miał około metr osiemdziesiąt wzrostu albo i więcej. Średniej budowy ciała. – Carlee ponownie zaczerpnęła tchu. – I był biały.

– Czy jest pani tego pewna?

– Tak. Stałam w odległości trzech metrów od niego.

– Czy to możliwe, że pomyliła pani kolor jego skóry z powodu światła?

– Nie. To był biały mężczyzna.

– Dziękuję. – Teraz należało przejść do trudniejszej części zadania. Ben przeczuwał, że lepiej będzie odsłonić słaby punkt świadka samemu, niż pozwolić na to Bullockowi, który nie omieszkałby wykorzystać go do maksimum.

– Na własne oczy widziała pani morderstwo. Dlaczego nie zgłosiła się pani wcześniej na policję.

Carlee zwróciła się twarzą do przysięgłych i spojrzała na nich z całą szczerością, na jaką umiała się zdobyć.

– Nie pamiętałam o tym... Dopiero niedawno sobie przypomniałam.

– Zapomniała pani? Jak to możliwe?

– Może nie tyle zapomniałam, co... wyparłam to wspomnienie z pamięci.

Ben zerknął na przysięgłych. Na niektórych twarzach malowało się niedowierzanie. Mogło być gorzej.

– Co sprawiło, że sobie pani przypomniała?

– Trudno to wyjaśnić. Pojechaliśmy z mężem i dziećmi na kemping. Usłyszałam w radiu o tej sprawie... Później mąż skaleczył się, kiedy pokazywał chłopcom, jak prawidłowo posługiwać się nożem. To było niewielkie zacięcie, ale rana strasznie krwawiła. Krew zalała mu ubranie i w powietrzu rozszedł się ten zapach...

Carlee spuściła wzrok, jak gdyby szukała czegoś w pamięci.

– I wtedy sobie przypomniałam. Tylko na chwilę. Mignął mi przed oczami obraz tej krzyczącej kobiety skąpanej we krwi. Tak jakbym przez chwilę znów się tam znalazła.

– Wiedziała pani, że ujrzała wspomnienie, które wyparła z pamięci?

– Nie od razu. Ale następnego dnia zobaczyłam, jak mąż rąbie drewno z tyłu wyglądał jak tamten mężczyzna. Podniósł toporek i uderzył... i wtedy zrozumiałam. Zobaczyłam wszystko od początku, jak na taśmie filmowej. Tylko że to się działo naprawdę. Ja tam byłam.

Dobrze. To powinno dać przysięgłym do myślenia, zasiać wątpliwość, która przy odrobinie szczęścia może zaowocować.

– Dziękuję, pani Crane. Na razie to wszystko.

Spojrzenia wszystkich skierowały się teraz na Bullocka, który siedział i drapał się po brodzie. Wyglądał zaskakująco spokojnie.

Po chwili wstał.

– Nie mam pytań, Wysoki Sądzie.

Sędzia nie krył zdziwienia.

– Nie mam pan do niej żadnych pytań?

– Nie, Wysoki Sądzie. Obrona może powołać następnego świadka.

Co to ma znaczyć...? Ben patrzył na przeciwnika jak osłupiały. Co on wyprawia? Rezygnuje z przesłuchania? To szaleństwo! Czyżby chciał się poddać?

Ben wiedział jednak, że nie o to chodzi. Bullock nigdy się nie podda. Nie chciał przesłuchiwać Carlee Crane tylko dlatego, że... uznał to za zbędne.

To było niepokojące. Niestety, Ben nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

– Proszę wezwać następnego świadka.

– Oczywiście.

Ben odprowadził Carlee na miejsce i poprosił, żeby jeszcze została.

– Obrona powołuje na świadka doktora Emila Allyna.

Rozdział 66

Pierwsze pół godziny przesłuchania biegłego trzeba zawsze poświęcić na ustalenie jego tożsamości i potwierdzenie kwalifikacji zawodowych. Ben robił to może nawet za długo, ale nie mógł ryzykować. Wcześniej pokrótce przedstawił lekarzowi przebieg przesłuchania, ale nie miał czasu wdawać się w szczegóły.

Doktor Allyn przyjemnie zaskoczył Bena. Zachowywał się wzorowo, odpowiadał jasno i precyzyjnie. Sprawiał wrażenie przekonanego o słuszności tego, co mówi, ale niezadufanego a wybitne kwalifikacje zawodowe i liczba publikacji wykluczały możliwość zakwestionowania jego wiedzy. Nawet przez Bullocka.

Ben mógł więc przejść do sedna sprawy. Autorytet naukowy uwiarygodni zeznanie Carlee Crane.

– Doktorze Allyn, czy mógłby pan wyjaśnić przysięgłym termin „amnezja psychogenna?”

Psychiatra skierował wzrok na ławę przysięgłych.

– Amnezja psychogenna następuje wtedy, gdy człowiek uczestniczy bądź jest świadkiem zdarzenia tak przerażającego, że stara się wyprzeć je z pamięci, aby go więcej nie przeżywać.

– Jakie wydarzenie może doprowadzić do takiej reakcji?

– Każde traumatyczne doświadczenie. Jednym z bardziej typowych jest wykorzystywanie seksualne dziecka. Istnieje coraz więcej dowodów, że zjawisko molestowania seksualnego dzieci jest powszechniejsze, niż się przypuszcza, gdyż wiele ofiar wypiera to później z pamięci.

– A gdyby siedemnastoletnia dziewczyna zobaczyła potworne, okrutne morderstwo? Czy to mogłoby wywołać u niej amnezję psychogenną?

– W odpowiednich warunkach mogłoby się tak zdarzyć.

– Proszę to wyjaśnić.

– Po pierwsze, należy pamiętać, że traumatyczne doświadczenia zachodzą w odmiennym od zwykłego stanie świadomości, wówczas prawa rządzące pamięcią zostają niejako zawieszane. Zasłona niepamięci może spaść na owe okropne doświadczenia, zwłaszcza gdy dzieje się to w umyśle osoby młodej. Pamięć pozostaje w ukryciu, dopóki doświadczenia osoby już dorosłej nie rozproszą mgły.

– Czy to uwalniające doświadczenie osoby dorosłej musi być równie dramatyczne?

– Zazwyczaj nie. W większości przypadków bywa to całkiem zwyczajne przeżycie, które w jakiś sposób otwiera zatrzaśnięte drzwi.

– Na przykład widok czegoś, co przypomina zbrodnię?

– Tak, tylko że zjawisko odzyskania pamięci nie ogranicza się do bodźców wizualnych w końcu mamy pięć zmysłów, a nie jeden. Jak pan pewnie wie, naszym najsilniejszym zmysłem, a zarazem najmocniej związanym z pamięcią, jest węch. Zapach może przywołać w pamięci dawne wydarzenie łatwiej niż jakiegokolwiek inne wrażenie zmysłowe.

– Panie doktorze, czy zna pan Carlee Crane?

– Tak. Miałem z nią prywatną konsultację dzisiaj rano. No i oczywiście słyszałem jej zeznanie.

– Carlee Crane zeznała, że widziała morderstwo, wyparła to wspomnienie z pamięci, a później przypomniała sobie po kilku wydarzeniach, które miały miejsce podczas wakacji z rodziną. Nie był pan tej nocy w magazynie klubu golfowego i nie może pan stwierdzić z całą pewnością, co widziała Carlee Crane. Ale proszę powiedzieć, czy to co powiedziała, jest możliwe?

– Jej relacja doskonale się zgadza ze stanem wiedzy w tej dziedzinie.

– Zatem w jej umyśle mogło dojść do wyparcia z pamięci wspomnienia morderstwa?

– Jest to zgodne z opinią psychiatrów.

– A czy widok krwi na dłoni męża podczas biwaku w Turner Falls mógł obudzić wyparte wspomnienie?

– Bardziej niż widok krwi przyczynił się do tego zapach. Proszę nie zapominać, że mówiła o słodkawym zapachu krwi. Jest to osobliwa, intensywna woń, której mogła nie doświadczyć z taką siłą przez dziesięć lat, jakie upłynęły od morderstwa. To mogło wystarczyć do odblokowania pamięci.

Mimo braku odpowiedniego przygotowania, przesłuchanie przebiegało nadspodziewanie dobrze.

– Czy zjawisko wyparcia z pamięci może być wykorzystywane w procesach sądowych?

– O tak. W 1988 roku w dwudziestu trzech stanach wprowadzono ustawodawstwo pozwalające na pociągnięcie do odpowiedzialności cywilnej i karnej na podstawie zeznań osób, które odzyskały pamięć.

– Czy obywatele korzystają z tej możliwości?

– Wiem o ponad trzystu toczących się sprawach tego rodzaju.

Ben gwizdnął.

– A więc jest ich niemało.

Odwrócił kartkę w notesie. Miał nadzieję, że słowa świadka dotarły do przysięgłych.

– Nie są to przypadki codzienne, ale jest coraz więcej dowodów, że mają miejsce częściej, niż nam się wydaje.

– Czy zdarza się, że osoba, która wyparła jakieś zdarzenie z pamięci, próbuje wyprzeć je ponownie?

– Owszem, lecz nie jest to typowe zjawisko. Znacznie lepiej jest, jeśli ktoś taki ujawni to, co wie. Aby się oczyścić, że użyję takiego sformułowania. Leczenie może się rozpocząć dopiero wówczas, gdy pacjent odzyskał kontakt ze wspomnieniem i zintegrował je w świadomości. Wtedy rozpoczyna życie jakby na nowo.

– Dziękuję, doktorze. Nie mam więcej pytań.

Ben siadał z uczuciem ulgi. Poszło jak z płatka. Carlee złożyła zeznanie, a biegły psychiatra potwierdził wiarygodność jej słów.

Poklepał Leemana po ramieniu. Sprawy przybrały lepszy obrót.

– Panie Kincaid, proszę powołać następnego świadka...

– Przepraszam – wtrącił Bullock. – Chciałbym zadać świadkowi kilka pytań.

– Oczywiście... – Hawkins wyglądał na nieco zakłopotanego. Zakładał, tak samo jak Ben, że skoro prokurator nie zadawał pytań naocznemu świadkowi, nie będzie też przesłuchiwać biegłego. Obaj się mylili.

– To nie potrwa długo – obiecał Bullock. Podszedł swobodnie do świadka. – Doktorze, stwierdził pan, że coraz więcej psychiatrów zaczyna wierzyć, iż niektóre wspomnienia mogą zostać na długo wyparte z pamięci.

– Tak powiedziałem.

– Czy to jedyna istniejąca teoria na ten temat?

Doktor potrząsnął głową.

– Ależ skąd. Wielu moich kolegów uznaje amnezję psychogenną za największą pomyłkę naukową od czasów Człowieka z Piltdown.

– Doprawdy? – rzekł Bullock ze zdziwieniem, które zabrzmiało dla Bena podejrzenie. – A czemu to?

Doktor Allyn zdjął okulary.

– Sęk w tym, że w żadnym eksperymencie nie udało się potwierdzić istnienia tego syndromu. Jest więc tylko teorią, a nie faktem. Wszystkie dowody pochodzą wyłącznie od psychiatrów, którzy wcześniej założyli istnienie wspomnianego zjawiska.

– Dlaczego?

– To naturalne u freudystów. Teoria wyparcia z pamięci wyrasta z freudowskiego modelu świadomości i podświadomości, którego istotnym

elementem jest właśnie wypieranie z pamięci tego, czemu nie potrafimy stawić czoła. Dzisiaj wiadomo już jednak, że doktor Freud, skądinąd wybitny umysł, posługiwał się w swoich badaniach osobliwymi metodami naukowymi. Bardzo nieliczne z jego odkryć zachowały swoją wartość.

– Chce pan powiedzieć, że nie każdy facet marzy o tym, żeby przespać się z matką? – Bullock uśmiechnął się do przysięgłych, z których większość była płci męskiej.

– Coś w tym rodzaju.

– Jeśli wyparcie z pamięci nie istnieje, to jak pan wytłumaczy zachowanie ludzi, którzy twierdzą, że coś takiego im się przytrafiło?

– Jeśli teoria jest fałszywa, to wspomnienia również muszą być nieprawdziwe.

– To znaczy, że ci ludzie kłamią?

– Niekoniecznie. Fantazjują, padają ofiarą halucynacji, marzeń.

– Ale nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością?

Doktor Allyn przełknął ślinę i skierował wzrok w stronę ławy przysięgłych.

– Właśnie. Nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością.

Ben podniósł się lekko na krześle. Co to ma znaczyć? Czyj to właściwie biegły? Bullock prowadził Allyną prosto w przepaść, a lekarz podążał za nim ślepo. Może nawet... z ochotą.

– Doświadczony psychiatra z pewnością potrafi odróżnić prawdziwe wspomnienie od fałszywego.

– Nie jest to tak proste, jak mogłoby się wydawać. Trzeba pamiętać, że nawet w przypadku zwykłych wspomnień przywoływanie ich nie prostą reprodukcją. Jest to w zasadzie odtworzenie. Kiedy człowiek coś sobie przypomina, puste miejsca same wypełniają się szczegółami. Czasem ten proces dokonuje się w sposób naturalny, a czasem nie. Wspomnienia mogą się zmieniać podczas wyciągania ich z gigantycznej szafy zwanej mózgiem.

– Czy owe puste miejsca w pamięci mogą się zmienić pod wpływem sugestii ze strony innych ludzi?

– Tak. Zdarza się to bardzo często.

– A więc jeśli osoba z... powiedzmy, zaburzoną pamięcią skontaktowała się z kimś – Bullock zerknął na Bena – kto podsunąłby jej szczegóły wydarzenia w sposób, w jaki chciałby pokazać je innym ludziom, osoba ta mogłaby przypomnieć sobie to wydarzenie takim, jak zostało opisane?

Bullock przeszedł od omawiania przeszłości do teraźniejszości. Jednak Allyn odpowiadał z równą gotowością.

– Tak jest.

– Doktorze Allyn, powiedział pan, że rozmawiał z Carlee Crane.

– Tak. Przeprowadziłem z nią wywiad na temat przypadku, o którym mówiła.

– I do jakich wniosków pan doszedł?

Ben poczuł ból w piersi.

– Ta młoda szczerą osobą kieruje się jak najlepszymi intencjami...

Ben odetchnął.

– ...Ale jest w błędzie.

Ben otworzył usta.

– W błędzie? Czy to znaczy, że nie mówi prawdy?

– Nie, nie sędzę.

Widownia zafalowała.

– Ona wierzy w to, co mówi – ciągnął Allyn – ale to wcale nie znaczy, że wydarzenie, o którym opowiedziała, kiedykolwiek miało miejsce.

Coś tu się nie zgadza. Żaden biegły by czegoś takiego nie zrobił. Żaden biegły, który zeznaje za pieniądze, nie zmieniłby zdania w taki sposób. Chyba że...

Chyba że zamierzał uczynić to od samego początku.

– Jak powiedziałem, pani Crane jest osobą szczerą o silnym instynkcie macierzyńskim. Powiedziała mi, że czytała o procesie w gazecie, a później widziała relację w telewizji. Myślę, że pod wpływem mediów obudziło się w niej współczucie dla oskarżonego. Chciała mu pomóc, ale nie miała jak. Więc podświadomość podsunęła jej nieistniejące wspomnienie.

– Wspomnienie, które uwolniłoby oskarżonego z zarzutów.

– Tak.

– Mimo że nigdy nie widziała tego morderstwa.

– Tak uważam. Wymyśliła całe to zdarzenie.

Ben odwrócił się. Carlee ukryła twarz w dłoniach. Mąż próbował ją pocieszać, ale bez większego powodzenia. Serce się krajało na widok jej wyrazu twarzy. Spełniły się najgorsze obawy. Została publicznie upokorzona. Wstała i wybiegła z sali, a Dave podążył za nią.

Odwrócił się i spojrzał na Bena. Jego oczy mówiły wszystko.

To twoja wina.

Nie powinieneś do tego dopuścić.

– Czy pani Crane byłaby pierwszą osobą, która wymyśliła sobie wspomnienia? – spytał Bullock.

– Ależ skąd. Wielokrotnie informowano mnie o przypadkach molestowania seksualnego dzieci, a później okazywało się, że dziecko nawet nie mieszkało z rzekomo winnym rodzicem w czasie, w którym miało ponoć dojść do tego wydarzenia. Ostatnio zjawiała się u mnie kobieta, która twierdziła, że została zapłodniona przez istoty pozaziemskie.

Bullock powoli zmierzał do stolika.

– Doktorze Allyn, czy wierzy pan, że Carlee Crane widziała na własne oczy morderstwo Marii Alvarez?

– Nie, nie wierzę. Jestem pewien, że chce dobrze, ale wierzę jej tak samo jak tej pacjentce w ciąży z Marsjaninem. – Allyn parsknął śmiechem.

Przysięgli także się uśmiechnęli.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

– Obrona?

Ben wiedział, że biegły jest człowiekiem prokuratora. Przesłuchanie mogłoby tylko przysporzyć jeszcze więcej kłopotów.

A niech tam. Musiał spróbować. Dla Leemana i dla Carlee.

– Panie Allyn, czy przed dzisiejszą rozprawą kontaktował się pan kiedykolwiek z panem prokuratorem Bullockiem?

Doktor zawahał się.

– Nie. Dlaczego pan pyta?

Albo kłamie, albo zdrada została przygotowana z pomocą osób trzecich. Ben poruszał się po omacku.

– Czy rozmawiał pan z kimś o swoim zeznaniu?

– Jak panu mówiłem, dopiero dzisiaj rano dowiedziałem się, że mam zeznawać.

– Czy zawarł pan umowę z prokuratorem?

– Umowę? o czym pan gada?

– Dlaczego zmienił pan swoje zeznanie?

– Zmieniłem? Dopiero tutaj je składałem.

To nie miało sensu. Ben wiedział, że padł ofiarą spisku, ale nie miał dość informacji, żeby to udowodnić.

– Nie mam więcej pytań.

Wracając na miejsce zerknął na twarze przysięgłych. Nie miał wątpliwości. Bullock dopiął swego. Przedstawił Carlee Crane jako wariatkę o dobrych intencjach.

Leeman Hayes znów był bezbronny.

Skąd Bullock wiedział o Carlee? Skąd wziął pewność, że biegły złoży zeznanie korzystne dla oskarżenia?

Kiedy doktor wychodził z sali, Ben zauważył, jak Bullock puszcza oczko do kogoś, kto siedzi gdzieś na widowni w tłumie mignęła twarz, która wydawała się znajoma.

Ben wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć. Dopiero po dłuższej chwili odszukał tego człowieka. I wtedy zrozumiał.

Ten sam, który od kilku dni przesiadywał w biurze Bena.

Bullock uśmiechał się szeroko.

Wszystko stało się jasne.

Inkasent był szpiegiem Bullocka. To dzięki niemu prokurator wiedział, że Ben przygotowuje świadka, który odzyskał pamięć. Pewnie podsunęli Jonesowi biegłego, który był już odpowiednio przygotowany.

Nic dziwnego, że Bullock nie chciał przesłuchiwać Carlee. Wiedział, że nie musi.

Sędzia walił młotkiem w stół, próbując zwrócić na siebie uwagę Bena.

– Panie Kincaid, czy to był pański ostatni świadek?

O Boże, nie. Nie teraz. Nawet gdyby nie miał nic do powiedzenia, nie może zostawić przysięgłych z takim wrażeniem.

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Proszę powołać następnego świadka.

– Obrona powołuje na świadka...

Ben musiał myśleć błyskawicznie. Co mu jeszcze zostało?

Spojrzał na Bullocka, który siedział rozparty wygodnie, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Jego pewność siebie była nie do zniesienia.

Nie można tego tak zostawić. Choćby miał się zawalić świat.

Ben zaczerpnął głęboko powietrza.

– Obrona powołuje na świadka Ronalda Pearsona. To znaczy, kapitana Pearsona.

Rozdział 67

Porucznik Mike Morelli minął skrzyżowanie Trzeciej Alei i ulicy Nowheresville. Szedł po wytyczonej na planie spirali, której centrum stanowiło międzynarodowe lotnisko w Tulsie. Spocił się, na stopach zrobiły mu się odciski. Postanowił nie zwracać na to wszystko uwagi. Nie zatrzyma się, dopóki nie znajdzie tego, czego szuka.

Mike byłby bardziej skłonny zrezygnować, gdyby działał na rozkaz przełożonego; ale ponieważ sam narzucił sobie to zadanie, wiedząc przy tym, że jego zakończenie przez Blackwella jest tylko kwestią czasu, nie mógł się poddać. Głupio mu było, że musiał obarczyć Christinę opieką nad Abiem, tym bardziej że miała już na głowie dziecko Julii. Jednak Abie był bardzo miłym chłopcem. Trudno gderać na kogoś, kto podziwia w tobie wszystko, łącznie ze starym płaszczem.

Porucznik czuł się w obowiązku zapewnić Abiemu bezpieczeństwo, nie tylko chwilowe a to mogło się udać tylko wówczas, gdy człowiek, który go porwał, zostanie złapany. Lub zabity.

Mike przeczuwał, że jest coraz bliżej. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale tym się nie przejmował. Im dłużej pracował w policji, tym silniej zdawał sobie sprawę, że analiza danych ma znacznie mniejsze znaczenie niż instynkt. Może się łudzi, może podświadomie wmawia sobie, że zbliża się do celu, bo stopy bolą go tak, jakby trzykrotnie przemierzył miasto. A może podświadomość krąży wokół czegoś, czego świadomość jeszcze nie odkryła. Nieważne. Tak czy siak czuł, że jest już blisko.

Mike skręcił i otarł się barkiem o rosnącego nastolatka w dżinsowej kurtce z obciętymi rękawami. Chłopak trzymał w ręku pojemnik z farbą w sprayu.

– Przepraszam – powiedział Mike.

Tamten odwrócił się i warknął na Mike'a niskim głosem.

Mike zerknął na emblemat na plecach. Wąż owinięty wokół pistoletu. Znak gangu Kobr.

Mike nienawidził Kobr. Zajmowali się sprzedażą narkotyków i zabijali.

Porucznik mógł uznać warknięcie za obrazę funkcjonariusza i przyłożyć bezczelnemu szczeniakowi (w obronie własnej, rzecz jasna). Uczyniłby to z prawdziwą rozkoszą. Jednak rozwaga wzięła górę. Najpierw obowiązek, potem

przyjemność. Teraz musiał złapać pedofila.

Puścił Kobrę.

Ruszył dalej. Po chwili stanął przed znakiem stopu na rogu ulicy.

Rysunek (znak stopu z napisami)

Niewątpliwie dzieło chłopaka, którego przed chwilą spotkał. Pożałował teraz, że go nie zatrzymał. Członek gangu oznaczył tu swoje terytorium i obwieścił mordercze zamiary. Mike wiedział już, że graffiti gangów ulicznych to nie są przypadkowe, nic nieznaczące bazgroły. Trzeba tylko umieć je odczytać. CB u góry to znak gangu. King to ksywka sprayowca. MD oznacza Mordercę Demonów, Boba zaś to pewnie przydomek członka Demonów, którego Kobry wzięły na cel. Co chcieli z nim zrobić?

To oczywiste. 187 to w kodeksie karnym numer paragrafu oznaczającego morderstwo.

Po spełnieniu groźby King narysuje chmurę wokół przydomka ofiary albo dopisze litery R.I.P.

A więc miał rację. Kobry przygotowują się do zadania ciosu rywalizującej sieci sprzedaży narkotyków, czyli Demonom. Jeśli ktoś nie położy temu szybko kresu, będzie za późno dla Boby i nie tylko dla niego.

Mike włączył podświetlacz zegarka. Upłynęło sześć godzin od rozpoczęcia poszukiwań a przecież spędził w ten sposób trzy poprzednie noce, chodząc po siedem godzin... Lepiej się nad tym nie zastanawiać. Trochę to trwało a jak dotąd jedyną nagrodą były odparzone palce stóp.

Oraz możliwość ponownego zapoznania się z najgorszymi dzielnicami północnej Tulsy. Ubóstwo, przestępczość, beznadziejność. Podejrzane knajpy, opuszczone fabryki...

Zaraz. Jakaś niejasna myśl nie dawała mu spokoju. Co to było?

Firma przewozowa ABC. Otóż to.

Mike przeszedł na drugą stronę ulicy. Ściana frontowa budynku zawaliła się, wyblakłe litery nazwy ledwie majaczyły. Drzwi i okna były pozamykane. Firma nie działała od lat.

Droga pod ścianą budynku tonęła w półmroku, mimo że słońce stało wysoko na niebie. Leżały tam sterty śmieci, odpadów, butelek, zepsutej żywności.

Mike zauważył szary worek, który wyglądał, jak gdyby ktoś używał go w charakterze okrycia. Pewnie jakiś bezdomny wybrał sobie to miejsce na schronienie.

W połowie długości ściany Mike zauważył otwór. Duży, wielkości drzwi.

„... A potem przeszliśmy przez ścianę”.

W tej chwili nikogo tu nie było. Oczywiście a czego się spodziewałeś? – pomyślał Mike. Tutaj nic mu nie groziło.

Wszedł w otwór. Nie widać było żadnych znaków życia, ale stało tu mnóstwo starych taksówek. Stały na blokach, bo koła zostały dawno usunięte.

Mike zajrzał pod maskę. Nic. Wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, dawno zniknęło. Było tu jednak coś, co...

Strzelił palcami. Jasne. Patrzył na to ze złej perspektywy, z perspektywy dorosłego a Abie ma zaledwie dziesięć lat i widzi wszystko inaczej.

Mike przykucnął i rozejrzał się z wysokości około stu trzydziestu centymetrów. Całkiem inaczej. Teraz wzrok nie skupiał się na samochodach, bo nie patrzyło się na nie z góry. Widać było tylko drzwi.

Żółte drzwi z numerami.

Mike ruszył przed siebie. Numery przesuwwały się obok. 54-28X, 54-76X, 64-99C.

Abie tu był.

Spojrzał na drugą ścianę i rzeczywiście, był tam otwór, jeszcze większy niż pierwszy. Pedofil przeprowadził tu chłopca na skróty.

Mike przeszedł przez otwór. Czuł coraz większe podniecenie. Jeśli jeszcze przed chwilą miał jakieś wątpliwości, teraz się rozwiały. Naprawdę zbliżał się do celu.

Znalazł się na wąskiej uliczce. Po drugiej stronie zauważył szereg niepozornych domków.

Dlaczego pedofil wybrał tę drogę?

Mike zerknął na plan. Opuszczony budynek w Rockville, gdzie znalazł Abiego, znajdował się dokładnie na północ od tego miejsca. Można było tam dotrzeć w ciągu pół godziny, omijając główne ulice. Ale zboczenie nie wybrałby tej drogi, gdyby nie nadchodził z...

Patrząc na południe, Mike spostrzegł podwórko białego domu. Wisiał tam sznur z bielizną. Ściana na pierwszym piętrze budynku była nieco wysunięta.

Dodatkowy pokój z osobnymi schodami.

To jest to. Dlatego nie mogli go znaleźć. Szukali całych mieszkań. Patrząc na ten dom od frontu, chyba nikt nie był w stanie zgadnąć, że budynek ma dodatkowe mieszkanie. Patrol pewnie się tu nawet nie zatrzymał.

Mike przeskoczył przez płot. Na szczęście nie było tu psa. Dzięki schodom lokator tego pokoju mógł wchodzić i wychodzić swobodnie, bez wiedzy mieszkańców domu. Doskonałe lokum dla pedofila. Nikt nie mógł mu przeszkodzić.

Komplikacje mogły się pojawić tylko wówczas, gdy sprowadzał chłopca do domu i przewidywał, że ofiara może... krzyczeć. Wtedy korzystał z opuszczonego

budynku w Rockville. Wolał iść pieszo, żeby nikt nie zauważył samochodu a tam chłopiec mógł krzyczeć na cały głos...

I tak nikt go nie słyszał.

Mike zerknął na ogródek przed klatką schodową. Eureka!

Stały tam dwie figurki trolli.

Wbiegł szybko po schodach i przyłożył ucho do drzwi. Po chwili usłyszał cichy głos.

Wyjął pistolet. Zgodnie z prawem, powinien pójść po nakaz rewizji, a potem grzecznie zapukać...

Do diabła z tym. Jeśli w pokoju jest drugie wyjście, zboczeniec ucieknie i szukaj wiatru w polu.

Więc dzisiaj nie będzie głośnego ostrzeżenia. Mike wiedział, że łamie około trzynaście orzeczeń Sądu Najwyższego, ale musiał to zrobić. Trudno.

Mike cofnął się i uderzył całym ciałem w drzwi. Pękły jak stara dykta. Wpadł do środka i potoczył się po podłodze. Zerwał się natychmiast, trzymając broń oburącz.

– Nie ruszać się!

Rozejrzał się w jedną stronę, w drugą, a potem obrócił.

Cisza.

Obok była mała kuchnia. Mike wszedł powoli, z bronią gotową do strzału...

Tu też nikogo nie znalazł. Pokój nie miał drugiego wyjścia, ale Mike był pewien, że słyszał głos. Czyżby miał halucynacje?

Wrócił do większego pokoju i zrozumiał. Radio.

Sukinsyn zostawił włączone radio.

Był to odbiornik z budzikiem. Urządzenie włączyło się pewnie, kiedy lokatora nie było w domu.

Gdzie on jest?

Mike przyciskał wszystkie guziki, ale radio nadal grało. Wreszcie cisnął nim o ścianę.

To podziałało. Po włamaniu i wejściu bez uprzedzenia Mike wzbogacił swoją listę wykroczeń o zniszczenie własności.

Odetchnął głęboko. Trzeba wziąć się w garść. To poszukiwanie, ta sprawa naprawdę nim wstrząsnęła. Mali, niewinni chłopcy, którzy nawet nie rozumieli, co się z nimi dzieje. Byli zupełnie bezbronni i samotni. Jak to napisał Olive Schreiner? „Ostrzem cierpienia małego dziecka jest przejmująca samotność i niewiedza”.

Przeszukał pokój i łazienkę, ale nic tam nie znalazł. Wszedł do sypialni.

Panowała tu ciemność. Zasłony były zaciągnięte, a światło nie działało. Dlatego Mike zauważył to dopiero po chwili. Jęknął z wrażenia.

Czytał o tym, że pedofile uwielbiają oglądać zdjęcia. Lubili zbierać pamiątki.

Abie wspominał, że zboczeniec miał dużo fotografii. Ale Mike nie spodziewał się ujrzeć coś takiego.

Zdjęcia małych chłopców pokrywały całą ścianę od góry do dołu niczym tapeta.

Nie różnili się od siebie zbyt. Wszyscy mieli po osiem, dziesięć lat, ciemne włosy, ciemne oczy i byli śliczni. Niektóre fotografie pochodziły z reklam w kolorowych magazynach.

Ale większość stanowiły zdjęcia. Doskonała, profesjonalna robota. Uśmiechy od ucha do ucha na pastelowym tle.

Większość została zrobiona w szkole. Albo pedofil znał zawodowego fotografa, albo sam nim był.

Trzeba to sprawdzić. Mike otwierał po kolei wszystkie szuflady z czwartej wysypał się stos fotografii.

Wziął je w rękę i poczuł, jak gdyby ktoś ścisnął go szczypcami za serce. Dopiero po dłuższej chwili zauważył, że płacze.

Rozpoznał chłopców od razu. To były ofiary zboczeńca. Andy Harden, Jimmy Whalen, Mickey Connell.

Wszystkie zrobiono polaroidem w budynku w Rockville, gdzie pedofil trzymał materac. Chłopcy byli nadzy lub tylko w majteczkach. Ustawiał ich w najróżniejszych obscenicznym pozach. Ale nie to było najgorsze.

Zdjęcia zostały pomazane krwią. Wszystkie oprócz fotografii Mickeya Connella. Mike nie miał wątpliwości, że była to krew ofiar rozsmarowana ręką mordercy.

Na zdjęciu Connella nie było krwi, bo samochód zabił chłopca, zanim zboczeniec miał szansę zabić go własnymi rękami.

Mike sięgnął w głąb szuflady. Jedno zdjęcie zostało podarte na kawałeczki.

Nie musiał ich składać, żeby rozpoznać chłopca. To był Abie.

Zatrzasnął szufladę i ją przetrząsał pokój. Musiał coś znaleźć. Cokolwiek! Chris Bentley na pewno nie mieszkał w tej norze. To był ktoś inny!

Mike otarł oczy i zmusił się do myślenia. Trzeba się skupić. Ten sukinsyn jest na wolności i ma gotowy plan. Podarte zdjęcie nie zostawiało co do tego najmniejszych wątpliwości. Mike musiał się dowiedzieć, kim on jest, nim dopadnie Abiego.

Tak jak innych, których zdjęcia pomazał krwią.

Przez pół godziny przeszukiwał każdy centymetr mieszkania. Obmacując wszystko w sypialni, niechcący potrącił pudełko po butach, które spadło na podłogę. Ze środka wyleciały dwie pary skarpetek, kilka drobnych monet i dwa klucze.

Mike wziął je w rękę i przyjrzał się dokładnie. Na kawałku taśmy przeklejonym do jednego z kluczy widniały litery C-D-Y-S-K.

Do łańcuszka przyczepiony był breloczek z królewskim lwem i napisem: KLUB GOLFOWY UTICA GREENS.

A więc morderca związany jest z klubem.

Mike wcisnął klucze do kieszeni i rzucił się do drzwi. Wiedział, że mimo piekącego bólu palców będzie biegł aż do samochodu. Stamtąd wezwie przez radio Tomlinsona i poprosi o załatwienie nakazu rewizji. Tomlinson będzie mógł przyjechać na miejsce z grupą ludzi, dokonać rewizji i przy okazji zatrzeć ślady pobytu Mike'a. Na pewno znajdą dowody pozwalające zidentyfikować pedofila.

Jeśli nie, poczekają, aż zboczeniec wróci do domu. Ale nie można wykluczyć, że nie wróci. Być może, zdąży się zorientować, że jego kryjówka została odkryta.

Albo już o tym wie.

Mike tymczasem pojedzie do sądu. Pamiętał, że Ben wspominał coś o znaczeniu kluczy do magazynu klubu. Ben wyjaśni, co miał na myśli. Dowiedzą się, kim jest morderca.

Mike musiał to wiedzieć. Musiał wiedzieć, kogo szukali, zanim będzie za późno. Zanim Abie stanie się jeszcze jedną krwawą fotografią.

Rozdział 68

Kapitan Pearson wyglądał tak, jak gdyby dostał pięścią w twarz. Ben zaskoczył wszystkich, nie wyłączając – prawdę mówiąc – samego siebie. Nie wiedział dokładnie, dlaczego wybrał akurat Pearsona. Ale klamka zapadła. Teraz trzeba coś z tym zrobić.

Pearson wstał, ale nie ruszył się z miejsca.

– Czy muszę zeznawać? – krzyknął w stronę sędziego.

Hawkins nie bardzo wiedział, co się dzieje.

– Czy nie został pan uprzedzony przez mecenasa Kincaida, że będzie zeznawał?

– A skąd!

Hawkins zmierzył Bena długim spojrzeniem.

– Czy to prawda?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Nic mu pan nie powiedział?

– To nie jest mój świadek. – Ben zerknął na przysięgłych. Powinni zrozumieć, co chce przez to powiedzieć. – Ale posiada bardzo istotne informacje.

– Dobrze, lecz będę pana obserwował bardzo uważnie, więc radzę się zachowywać spokojnie. Nie pozwolę panu znęcać się nad świadkiem, który nie wiedział, że będzie musiał zeznawać.

– Będę uważał.

Aż się zdziwisz!

Hawkins dał znak ręką i Pearson wyszedł na środek.

– Dzień dobry – powiedział Ben.

Pearson mruknął coś w odpowiedzi.

– Czy mam się do pana zwracać „kapitanie Pearson”?

– Wystarczy „panie Pearson”.

Ben ustalił tożsamość świadka; wyjaśnił, że Pearson od wielu lat przewodniczy zarządowi klubu golfowego i z tego powodu każe się tytuować kapitanem, i że kieruje działaniem klubu.

– Panie Pearson, sprawował pan tę samą funkcję dziesięć lat temu, kiedy zamordowano Marię Alvarez, prawda?

– Co pan insynuuje? Że zabiłem tę kobietę? To bzdura!
– Proszę odpowiedzieć na pytanie – pouczył sędziego Hawkins.
– Tak – mruknął Pearson. – Zajmowałem to stanowisko dziesięć lat temu. Ale z całym tym zamieszaniem nie miałem nic wspólnego.
– Czy był pan w klubie tej nocy, kiedy popełniono morderstwo?
– Oczywiście, że nie!
– Co pan wtedy robił?
– Spałem spokojnie w domu, razem z żoną.
– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – powiedział Bullock. – Obrona szuka po omacku. To do niczego nie prowadzi.

Ben szukał odpowiedzi, ale musiał przyznać, że Bullock tym razem ma rację.
– Czy mamy tu siedzieć i przyglądać się, jak pan Kincaid próbuje wyciągać zeznania od wszystkich członków klubu po kolei?
– Proszę przejść do sedna sprawy, panie Kincaid. Jeśli coś takiego istnieje.
Ben skinął głową. Trzeba spróbować.
– Panie Pearson, czy to prawda, że od lat zaopatruje pan członków klubu w narkotyki?

Poruszenie w sali zaskoczyło nawet Bena. Widzowie zerwali się z miejsc, niektórzy dziennikarze rzucili się do drzwi. Hawkins uderzył młotkiem w stół.

– To poważne oskarżenie! – krzyknął Bullock. – Pan Kincaid będzie musiał przedstawić dowody.

– To nie ulega wątpliwości – zgodził się sędzia. Był wściekły. – Panie Kincaid?
– Czekam na odpowiedź świadka.
– Nie! – wrzasnął Pearson. – To kłamstwo!
– Proszę o pozwolenie traktowania świadka jako przeciwnika.
– Trudno uznać, że łączą was przyjacielskie stosunki. Zezwalam.
– Kapitanie Pearson, czy to prawda, że pański kolega z klubu, Dick Crenshaw, jest uzależniony od kokainy?

Pearson zerknął na widownię. Crenshaw przypatrywał mu się bardzo uważnie.
– Nie wtykam nosa w cudze sprawy.
– Tego dnia, kiedy graliśmy razem w golfa, był naćpany. Później zachowywał się, jakby poziom narkotyku we krwi stał się za niski. Zgadza się? Był pan tam przecież.

– To nie znaczy, że dostał narkotyk w klubie.
Ben zauważył, że niektórzy przysięgli skinęli głową. Zrozumieli, że Pearson odpowiedział twierdząco na pytanie.
– A gdzie indziej mógł dostać?
– Skąd mam wiedzieć? Jeśli chodzi panu o Crenshawa, spytaj pan jego samego.

Ja nie wiem, skąd bierze narkotyki.

– Myślę, że jednak pan wie. Wydaje mi się, że zaopatruje go pan od wielu lat. Wydał go pan, przyznał, że Crenshaw jest narkomanem. Ciekawe, czy odpłaci tą samą monetą, jeśli powołam go na świadka.

Pearson podniósł się.

– Nie pozwolę się nazywać handlarzem narkotykami!

Ben zerknął ponownie na przysięgłych. Nie wiedzieli jeszcze, co o tym sądzić, ale sprawa wyraźnie ich zaintrygowała.

– A czego nie uda się panu sprzedać w klubie, rozprowadza pan za pośrednictwem dealerów – ciągnął Ben. – To oni odbierają narkotyki od peruwiańskich kurierów i nadstawiają karku. Demony.

– Kto?

– Niech pan nie udaje, że nie wie, o kim mowa. Widziałem ich w pańskim biurze.

– Kłamie pan!

– Nie kłamię. Kapitanie Pearson, w zeszłym tygodniu po zakończeniu gry wróciliśmy do budynku klubu, prawda?

– Tak, ale...

– W pańskim biurze znajdowało się czterech czarnych nastolatków w kurtkach z emblematami Demonów, największego młodzieżowego gangu z północnej dzielnicy.

– To nie...

– Nie byłem jedyną osobą obecną tego dnia w klubie. Czy mam powołać na świadków któregoś z pańskich pracowników?

Pearson założył ręce na piersi.

– Ci młodzi ludzie przyszli do mnie w sprawie zatrudnienia. Wspomniałem panu, że poszukuję kogoś do pracy. Kiedy był pan u mnie po raz pierwszy, rozmawiałem przez telefon z biurem zatrudnienia. Chciałem dać tym chłopcom pracę w ramach mojego nowego programu równych szans.

– Wątpię. – To przesłuchanie bardziej przypominało walkę bokserską. Ben musiał jednak wyciągnąć od Pearsona to, czego chciał. – Nigdy nie pozwoliliby pan pracować im w swojej restauracji. Jest pan rasistą.

– Jeszcze jedno kłamstwo!

– W głównym budynku klubu nie pracuje ani jeden przedstawiciel mniejszości narodowych, prawda?

– Zatrudnialiśmy czarnych tragarzy.

– O tak. Był pan dla nich bardzo łaskaw. Ja jednak pytam o etatowych pracowników. To zupełnie co innego, prawda?

– Właśnie dlatego rozpocząłem realizację programu równych szans.

– Nieprawda. Słyszałem pańską rozmowę telefoniczną z biurem zatrudnienia. Powiedział pan, że interesują pana wyłącznie biali.

– Nic takiego nie mówiłem.

– Nie tymi słowami, ale jednak. Zabrzmiało mi to podejrzenie, więc zrobiłem notatki, a później spytałem znajomego, który zajmuje się problemami równouprawnienia. Dowiedziałem się, że użyte przez pana sformułowania oznaczają zakodowane preferencje rasowe.

Pearson odwrócił spojrzenie.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Ben zejrzał do notesu.

– Powiedział pan: „Chcę mówić z Mary. Nie, nie Marią, i nie Rochelle”. Znaczy to, że chodziło panu wyłącznie o białe kobiety. Ani czarne, ani pochodzące z Ameryki Południowej a potem dodał pan: „Kategoria od piętnastu do dwudziestu pięciu”. To zaś oznacza, że szukał pan kobiet w tym przedziale wieku, od piętnastu do dwudziestu pięciu lat.

– Mężczyźni lubią patrzeć na młode ładne dziewczyny. Po całym dniu ciężkiej pracy.

– Przy dołkach?

Pearson zacisnął szczęki.

– Nie ma nic złego w zatrudnianiu atrakcyjnych młodych kelnerek. Wszyscy to robią.

– A co pan powie o dyskryminacji rasowej?

– To prywatny klub. Możemy robić, co nam się żywnie podoba.

– Ale bez wątpienia nie miał pan najmniejszego zamiaru przyjąć do pracy w charakterze kelnerów kilku czarnoskórych, potężnie zbudowanych nastolatków. Przyszli do pana, bo zajmują się rozprowadzaniem narkotyków.

– Nigdy pan tego nie udowodni! – Głos Pearsona zagrzmiał w sali.

Może i nie, pomyślał Ben, ale przysięgli słuchają. Uznał, że czas zmienić temat.

– Często podróżuje pan do Peru, prawda?

Pearson drgnął, zaskoczony.

– Powiedzmy.

– Z Peru przemyca się mnóstwo narkotyków.

– A to dowodzi, że jestem narkotykowym baronem?

– Czy Maria Alvarez także pochodziła z Peru?

– Możliwe... i co z tego?

No właśnie. Ben nie wiedział jeszcze, co to znaczy, lecz był to dość niezwykły zbieg okoliczności.

– Znał ją pan?

– Ależ skąd.

– Nigdy jej pan nie spotkał?

– Zobaczyłem tę kobietę dopiero na policyjnych zdjęciach z miejsca zbrodni.

To do niczego nie prowadziło. Ben musiał zmienić taktykę. Co powiedziała mama? Pozwól im się chwalić. Hm...

– Jakie interesy prowadzi pan w Peru?

– Różne, bardzo różne.

– Musi pan być niesłychanie przedsiębiorczy, skoro udało się panu rozwinąć dochodową działalność w kraju trzeciego świata.

Pearson nieco się odprężył.

– Owszem, odniosłem pewne sukcesy.

– O ile zdołałem się zorientować, nawet duże sukcesy. Co pana zainspirowało do takiego właśnie wyboru? Mało komu przyszłoby do głowy otworzyć firmę w Peru.

Pearson usiadł wygodniej.

– Korzyści nie rzucają się może w oczy, ale dzięki ciężkiej pracy i mozolnemu badaniu rynku zrozumiałem, że można tam zarobić pieniądze. Siła robocza jest tania, a rząd nie wtrąca się do wszystkiego tak jak tutaj.

– Rozumiem. Czy mógłby pan opisać pokrótce swoje imperium?

Pearson zwrócił się w stronę ławy przysięgłych. Teraz mógł mówić o tym, co naprawdę lubi.

– Moja działalność koncentruje się głównie w sektorze paliwowym. Zainwestowałem w wydobycie ropy, kupiłem kilka pól naftowych, przez jakiś czas zarządzałem fabryką przetwarzania gazu.

– Coś jeszcze?

– Kupowałem i sprzedawałem mniejsze firmy. Kupowałem konie, posiadłości ziemskie. Byłem też po trosze maklerem. Inwestowałem pieniądze swoje i znajomych.

To zaintrygowało Bena. Właśnie tego słowa użyła Rachela Rutheford, kiedy opowiadała o kochanku, który pomógł jej w potrzebie.

– Czym pan handlował jako makler?

– Bo ja wiem... Ziemią, akcjami, obligacjami.

– A dziećmi?

Zapadła cisza. Wydawało się, że czas stanął w miejscu.

– Proszę nie kłamać – blefował Ben. Stawiał wszystko na jedną kartę. – Ona sama mi o tym powiedziała.

– Owszem, raz się coś takiego zdarzyło – przyznał cicho Pearson.

A więc to naprawdę on.

- Jak do tego doszło?
- Poprosiła mnie o to... bliska przyjaciółka.
- Kochanka?
- Czy to ma jakieś znaczenie?

Ben uznał, że nie warto rozwijać tego wątku.

- Dlaczego szukał pan dziecka w Peru?

– Pewnie wie pan, jak trudno jest adoptować dziecko w Ameryce – wyjaśnił Pearson. – Liczba narodzin spada, przeprowadza się coraz więcej aborcji. Na każde dziecko przeznaczone do adopcji czekają w kolejce cztery małżeństwa. To chyba jasne, że wiele z nich musi odejść z kwitkiem.

- A więc pomyślał pan, żeby rozejrzeć się za granicą?

– Właśnie. Dziesięć lat temu rynek dzieci za granicą dopiero się otwierał. Dzisiaj jest to stałe źródło zaopatrzenia. Podobno każdego dnia dwadzieścia Amerykańskich małżeństwo dokonuje dziennie adopcji za granicą.

- Jak zabrał się pan za ten... interes?

– Skontaktowałem się z Santa Clara International Adoption Agency w Houston. Wypełniłem formularze, przebrnąłem cały ten biurokratyczny gąszcz. W końcu okazało się, że nie mogą znaleźć dziecka dla moich klientów z tego samego powodu, co amerykańskie agencje. Ojciec był ponoć za stary, za mało doświadczony. Ale zaprzyjaźniłem się z jednym z pracowników, sypnąłem trochę gotówką, postawiłem kilka tequili i dostałem informację, której potrzebowałem.

- Informację o czym?

Pearson westchnął głęboko, jak ktoś, kto musi opowiadać o czymś, co wolałby pominąć milczeniem.

- La Flavita.

- Co to takiego?

– Hotel w jednej z najgorszych części Peru. Nigdy bym tam nie pojechał, gdybym nie musiał.

- Co znajdowało się w tym hotelu?

- Farma dzieci.

Bullock zerwał się z krzesła.

– Wysoki Sądzie! Ta historia jest okropna – specjalność pana Kincaida – ale nie ma nic wspólnego ze sprawą. Wysoki Sąd okazał wiele cierpliwości, ale tego już za wiele.

- Panie sędzio, zaraz wykażę związek ze sprawą Leemana Hayesa.

Hawkins zmrużył oczy.

- Nie bardzo widzę możliwość.

- Wysoki Sądzie, chodzi o życie mojego klienta. Proszę o trochę

wyrozumiałości.

Hawkins zerknął na reporterów.

– Proszę kontynuować.

Ben stanął na wprost Pearsona.

– Pojechał pan tam?

– Oczywiście. To było okropne miejsce, niech mi pan wierzy. Były tam nie tylko peruwiańskie dzieci. Trzymali tam znajdy z całego świata. Dzieci, których nikt nie chciał. Odrzutki.

– Czy musiał pan wypełniać jakieś formularze?

– Nie. Wystarczyło tylko otworzyć portfel.

– Czy uzyskał pan zgodę rodziców dziecka?

– Powiedziano mi, że wszystko jest już załatwione. Proszę pamiętać, że to trzeci świat. Przez zgodę rodziców rozumie się tam zupełnie co innego niż u nas. Biedak z szóstką dzieci łatwo zgodzi się sprzedać siódme, jeśli za te pieniądze może utrzymać pozostałe przez kilka tygodni. Może mu się to nie podobać, ale zrobi to.

– Bo nie ma wyboru.

Pearson skinął głową.

– Zgadza się. To nie moja wina, że świat jest taki, jaki jest...

– Więc kupił pan to dziecko? – przerwał mu Ben.

– W końcu kupiłem. Spieraliśmy się trochę o cenę. Oni są twardzi, bo wiedzą, że mają do czynienia z ludźmi zdesperowanymi i zaangażowanymi emocjonalnie. – Pearson oparł się na łokciu. – Ale ja też umiem się targować w końcu dobiliśmy targu i przywiozłem piękne dziecko.

– Kim byli biologicznie rodzice dziecka?

– Nie mam pojęcia. Nawet o to nie pytałem.

– Czy otrzymał pan później jakąś wiadomość z La Flavita?

– Tak. Pół roku później. Mieli kłopoty.

– Jakiego rodzaju?

– Z matką. Twierdziła, że nie wyraziła zgody, albo wyraziła ją pod narkozą czy coś w tym rodzaju. Jakoś tak. Nie pamiętam szczegółów w każdym razie próbowali odszukać dziecko.

– Co pan odpowiedział?

– Spytałem moją klientkę, co mam zrobić.

– I co pan zrobił?

– To, co mi kazała.

– A co panu kazała?

Pearson zerknął w stronę widowni.

– Wyrzuciłem telegram. Zawiadomiłem nadawcę, że rodzice wyprowadzili się

do innego stanu i nie mam z nimi kontaktu. Napisałem, że nie znam nawet ich nazwisk.

– Czy La Flavita odezwała się potem do pana?

Pearson wbił wzrok w podłogę.

– Nie.

Ben zaczerpnął powietrza.

– Panie Pearson, kim była pańska klientka?

Pearson ponownie spojrzął na galerię.

– Panie Pearson, czekam na odpowiedź.

– Nie rozumiem, jaki to ma związek...

– Nie jest pan sędzią. Proszę odpowiedzieć.

Pearson zerknął na sędziego. Ben nabrał podejrzeń, że gdyby Hawkins zwrócił się w tej chwili o przyjęcie do klubu, wniosek zostałby rozpatrzony pozytywnie.

– Świadek odpowie na pytanie – rzekł sędzia.

– To poufna wiadomość. Przyrzekłem, że jej nie wyjawię.

– Ale zrobi pan to. Proszę odpowiedzieć.

– Sprzeciw – powiedział Bullock. – Nie możemy zmuszać świadka do złamania tajemnicy.

– Dlaczego? – spytał Ben.

– To tak jak stosunek adwokat-klient, tylko że...

– W tym wypadku dotyczy handlu dziećmi? – dokończył Ben.

– Odrzucam sprzeciw – powiedział niechętnie sędzia. Zwrócił się w stronę Pearsona. – Proszę odpowiedzieć.

– Rachela Rutheford.

Rozdział 69

Ben musiał przekrzykiwać szum, który powstał na sali.

– To wszystko, Wysoki Sądzie?

– Czy ma pan jakieś pytania do świadka, panie Bullock?

Prokurator wstał powoli.

– Nie, Wysoki Sądzie. Pan Pearson powiedział kilka ciekawych rzeczy, ale w żaden sposób nie widzę związku ze sprawą morderstwa.

– Podzielim pańskie wątpliwości, lecz jestem pewien, że pan Kincaid wnet je wyjaśni. – Sędzia Hawkins zerknął na zegarek, a potem na Bena. – Daję panu dziesięć minut.

Zwolnił Pearsona, który nie spuszczał oczu z obrońcy.

Ben odwrócił się i zauważył, że Rachela przesuwa się do drzwi.

– Obrona powołuje na świadka Rachelę Rutheford – powiedział szybko obrońca.

Stanęła. Obejrzała się, a potem znów ruszyła w stronę wyjścia.

– Wysoki Sądzie, to ona.

Sędzia dał znak ręką woźnemu, a ten zastąpił Racheli drogę. Na jej twarzy malowała się rezygnacja.

– Niech zgadnę – rzekł sędzia. – Nie powiadomiono pani o tym, że zostanie powołana na świadka. To typowe dla pana Kincaida – westchnął. – Proszę podejść.

Rachela się zawahała, ale widząc, że nie ma wyjścia, wystąpiła na środek sali.

Ben przyglądał się jej, kiedy zmierzała na miejsce świadka. Podziwiał jej figurę wtedy w łaźni. Rachela była wysoka, postawna, miała szerokie ramiona i krótkie włosy. Patrząc z tyłu można było wziąć ją za mężczyznę.

– Psst!

Ben odwrócił głowę. Mitch Dryer wychylił się przez barierkę, starając się zwrócić uwagę Bena.

– Mam papiery, o które ci chodziło – syknął.

– Co? Jakie papiery?

– Dokumenty kontaktów członków zarządu zagranicą, pamiętasz? To był twój pomysł! Pracowałem nad tym całą noc. Nie uwierzyłbyś, ile tego jest.

– Świetnie. Na pewno będą potrzebne. Ale nie mogę ich teraz obejrzeć. Czy

mógłbyś poczekać do końca rozprawy?

– Jest tego mnóstwo. Na nic ci się nie przydadzą, jeśli ich nie uporządkujesz.

– Cholera! Nie mogę się tym teraz zajmować. Słuchaj, nie chciałbym cię wykorzystywać, ale czy mógłbyś dostarczyć te dokumenty mojej asystentce?

– Jest gdzieś tutaj?

– Nie, u mnie w domu. Opiekuję się małym dzieckiem i jeszcze pewnym chłopcem. Na pewno się ucieszy, że będzie miała coś innego do roboty.

– Dobra. Gdzie to jest?

Ben podał Mitchowi adres.

– Powiedz jej, żeby od razu się za to zabrała.

– Jak chcesz. Nie wkurzy się na mnie?

– Nie. Ale może cię poprosić o zaśpiewanie piosenki z „Jaskiniowców”.

Mitch spojrzał na Bena podejrzliwie, wziął teczkę i wyszedł.

Rachela została tymczasem zaprzysiężona.

– Czy mogłaby się pani przedstawić?

– Nazywam się Rachela Rutheford.

Widać było, że czuje się bardzo źle w tym miejscu.

Ben ustalił, że jest żoną Harolda Rutheforda, członka zarządu klubu Utica Greens, i że sama bywa często w klubie.

– Ma pani syna, prawda?

– Wie pan o tym – odparła cicho.

– Jak ma na imię?

– Abraham Martin. Nazywamy go Abie.

– Czy mogłaby pani opisać Abiego?

– Opisać go?

Ben skinął głową. Starał się postępować bardzo łagodnie. Wiedział, że Rachela w każdej chwili może się załamać.

– Tak, poproszę.

Wzruszyła ramionami.

– Około stu dwudziestu centymetrów wzrostu, może trochę więcej... Nie wiem...

– Ma czarne włosy, prawda?

Rachela przesunęła dłonią po swoich jasnych włosach.

– Śniadą cerę?

– Tak.

– Wydatny nos.

– Tak.

– Wysoki Sądzie – odezwał się Bullock. – o co tu chodzi?

– Proszę pozwolić zadać mi jeszcze jedno pytanie – powiedział Ben. Nie czekał

na odpowiedź. – Abie nie jest do pani podobny, prawda?

Rachela ściągnęła usta.

– Nie.

– Ani do męża, prawda?

– Jeśli chce pan udowodnić, że został adoptowany, to mogę panu pomóc. Tak, adoptowaliśmy go. Sama panu o tym powiedziałam.

– Nie o to mi chodziło, proszę pani. Chciałem powiedzieć, że rysy twarzy Abiego wskazują, że pochodzi z... Ameryki Południowej.

Przelotny błosk w jej oczach powiedział Benowi, że się nie pomylił.

– Pani Rutheford, czy kapitan Pearson jest tą osobą, która znalazła Abiego?

Cisza.

– Proszę, pani Rutheford. To bardzo ważne. Czy pan Pearson kupił Abiego na farmie dziecięcej w Peru?

Starannie utrzymywana zasłona opanowania opadła. Rachela ukryła twarz w dłoniach. Spomiędzy palców płynęły łzy.

– Musi pan zrozumieć... – szlochała. – Musi pan to zrozumieć...

– Co, pani Rutheford?

– Jak bardzo byłem zdesperowana. Potrzebowałam dziecka. Moje ciało tego pragnęło, rozumie pan? Pragnęło aż do bólu. Ale to ciało nie mogło mi go dać. Próbowaliśmy wszystkich rodzajów kuracji. Nic nie pomagało.

– Więc postanowiliście państwo adoptować dziecko.

– Tak.

Rachela opowiedziała o pięciu latach cierpień z powodu starań o adopcję. Wszystkie amerykańskie agencje odrzucały wnioski, bo mąż Racheli był za stary. Jakiś adwokat obiecał, że znajdzie dziecko, ale wyłudził pieniądze i zniknął. Na koniec Rachela powiedziała o swoich próbach samobójczych.

– I właśnie wtedy zwróciła się pani do Ronalda Pearsona? – spytał Ben.

– Nie wiedziałam, co robić, a Ronnie zawsze wydawał się taki zaradny, sprytny. Wszystko potrafił załatwić. Więc poprosiłam go o przysługę i spełnił moją prośbę.

– Dlaczego zadał sobie tyle trudu, żeby pani pomóc?

Rachela spuściła wzrok.

– Chciałabym myśleć, że zrobił to, bo mnie kochał.

Ben skinął głową.

– Czy wiedziała pani, w jaki sposób pan Pearson zdobył dziecko?

– Aż do dzisiaj nic nie wiedziałam. Tylko tyle, że komuś zapłacił. Wiedziałam też, że wykorzystał swoje kontakty w Ameryce Południowej. Musi pan zrozumieć. Zwróciłam się do niego, kiedy odechciało mi się żyć. Wcześniej dwa razy próbowałam się zabić i spróbowałabym znowu. Nie wiedziałam, że kupił dziecko,

ale...

Spuściła głowę.

– Nawet gdybym wiedziała, nic by to nie zmieniło – dodała cicho.

Ben patrzył na umęczoną kobietę.

– Tak bardzo pragnęła pani dziecka.

– Musiałam je mieć. Umarłabym, wiem o tym.

– A kiedy już je pani zdobyła?

Rachela podniosła głowę.

– Zrobiłabym wszystko, żeby je zatrzymać.

Rozdział 70

Bullock podjął próbę rozproszenia uwagi przysięgłych.

– Wysoki Sądzie, ponawiam sprzeciw. To zeznanie nie ma żadnego związku ze sprawą.

– Związek zaczyna się uwidaczniać – odparł Ben.

– Jaki związek? – nalegał Bullock. – Co Kincaid chce udowodnić? Że ta kobieta zamordowała Marię Alvarez? Nawet jego rzekomy świadek twierdził, że to był mężczyzna!

– Wysoki Sądzie, proszę pozwolić mi zadać jeszcze kilka pytań.

– Poprzednio też tak mówił. Panie sędzio, to trwa za długo.

Hawkins skinął głową.

– Oddalam sprzeciw. Proszę kontynuować.

Ben zbliżył się do Racheli i delikatnie położył dłoń na barierce.

– Pani Rutheford, to pani była blondynką opalającą się koło basenu, o której mówiła Ramona de Vries, prawda? Tego dnia, kiedy Maria Alvarez zjawiała się w klubie.

Rachela skinęła nieznacznie głową.

– Czy mogłaby pani powtórzyć, co mówiła?

– Powtórzyłabym, gdybym mogła. Ona mówiła po hiszpańsku. Miałam hiszpański w szkole, ale to było dawno. Ona była taka zdenerwowana, taka podniecona. Krzyczała *niño, niño*, to znaczy „dziecko, dziecko”. – Rachela przerwała. – To wystarczyło, żeby mnie przestraszyć.

– Co pani jej powiedziała?

Sekundy ciągnęły się jak dni. Rachel zwlekała z odpowiedzią, ale wiedziała, że to na nic.

– Poradziłam jej, żeby zwróciła się do mojego męża – rzekła wreszcie Rachela.

– Wysoki Sądzie – powiedział szybko Ben. – Jeśli oskarżenie zrezygnuje z przesłuchania świadka, powołam Harolda Rutheforda.

– Panie prokuratorze?

Bullock machnął ręką. Zdawał już sobie sprawę, że sprawa wymyka mu się z rąk.

Sędzia wezwał świadka. Harold i Rachela spotkali się przy barierce oddziałającej galerię dla widzów od sali rozpraw. Spojrzeli sobie głęboko w oczy. Ben wiele by dał, żeby się dowiedzieć, jaka treść kryje się w tym spojrzeniu.

Woźny zaprzysiął Rutheforda, który usiadł i z kamienną twarzą popatrzył na Bena.

Po ustaleniu tożsamości Ben mógł zacząć przesłuchanie.

– Panie Rutheford, wszyscy obecni na sali zadają sobie jedno pytanie, więc pozwoli pan, że od razu przejdę do rzeczy.

– Jak pan sobie życzy.

– Czy to prawda, że Maria Alvarez była matką pana przybranego syna Abiego?

– To nieprawda. To znaczy... – Głos Rutheforda lekko zadrżał. – Skąd miałem wiedzieć? Nie wiedziałem nic o tej kobiecie.

– Panie Rutheford, mój asystent przez wiele dni przeszukiwał banki danych w Peru, łącznie z metrykami urodzenia. Także kartoteki. Dowiedział się, że na krótko przed złożeniem wniosku o amerykańską wizę Maria Alvarez urodziła dziecko. Chłopca.

Rutheford zacisnął usta.

– Jeśli pan tak mówi.

– Chciałby pan zobaczyć metrykę urodzenia? – Ben pokazał papiery. – Lub kartę zdrowia ze szpitala?

Rutheford machnął ręką.

– Co to za różnica? Ja adoptowałem chłopca. Oni nigdy nie mówią, kim byli naturalni rodzice. Skąd miałem wiedzieć?

– Czy Maria Alvarez powiedziała panu, że jest matką Abiego, kiedy przyszła do klubu?

Rutheford zawahał się. Nie mógł zaprzeczyć, że rozmawiał z Marią, bo oskarżyłby żonę o kłamstwo.

– Przypominam sobie tę kobietę – przyznał w końcu. – Ale nie pamiętam, co mówiła z pewnością nie miało to nic wspólnego z moim synem. Pewnie chciała pracy. Albo jałmużny.

Ben zbliżył się do świadka.

– Panie Rutheford, Maria Alvarez powiedziała panu, że jest matką Abiego, prawda?

– Nie.

– Czy nie umówił się pan z nią na spotkanie wieczorem? W magazynie?

– Nie.

Ben zwrócił się do sędziego.

– Wysoki Sądzie, proszę o wprowadzenie na salę Carlee Crane.

Sędzia skinął głową na woźnego.

– I proszę jej niczego nie mówić – dodał Ben.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Rutheford zachował spokój.

Kiedy woźny otworzył drzwi, w sali panowała tak cisza, że skrzyknięcie rozległo się jak grzmot. Carlee Crane szła tuż za plecami woźnego.

Ben dał jej znak, żeby podeszła, ale Carlee zatrzymała się w pół drogi.

– O Boże! – szepnęła. Słowa dotarły jednak do najdalszych zakątków sali. Zdumienie na twarzy Carlee zmieniło się w niedowierzanie, a potem w przerażenie.

Widzowie jeden po drugim podążali za linią jej wzroku. Carlee patrzyła na Rutheforda.

Wskazała go ręką.

– To on. To jego widziałam w magazynie!

– Wysoki Sądzie, protestuję! – zawołał ze złością Bullock. – To niedopuszczalne!

Hawkins grzotnął młotkiem w stół.

– Nie przypuszczałem, że pan Kincaid zamierza...

– Przysięgli mogą się zasugerować tą nieuprawnioną identyfikacją! Wnoszę o unieważnienie procesu.

– Na jakiej podstawie? – spytał Ben.

– Ta kobieta zeznaje nie będąc świadkiem.

– Dobrze. Odwołam pana Rutheforda, powołam Carlee i poproszę o powtórzenie tego, co i tak już wszyscy słyszeli.

– Sprzeciw. Ona już zeznawała i nie umiała zidentyfikować mordercy. Nie może teraz zmienić zeznania.

– Jak to? Carlee zobaczyła go dopiero teraz. Dlaczego chcesz jej odmówić prawa do złożenia zeznań? – Ben podszedł do Bullocka. – Chyba że bardziej zależy ci na wygraniu sprawy niż na sprawiedliwości.

Bullock patrzył na Bena w milczeniu.

– Oddalam sprzeciw – powiedział gniewnie Hawkins. – Proszę kontynuować przesłuchanie świadka.

Ben podszedł bardzo blisko, tak że spoglądał z góry na Rutheforda.

– Może pan oszczędzić wszystkim bardzo dużo kłopotów, wyznając teraz prawdę.

Rutheford spoglądał to na Carlee, to na Bena, to na przysięgłych.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Carlee po raz drugi przerwała ciszę.

– Na Boga, czy nie słyszeliście, co powiedziałam? To on ją zabił! Widziałam go!

– Wysoki Sądzie, proszę zabrać stąd tę kobietę! – krzyknął Bullock.

Sędzia skinął głową na woźnego. Przysięgli spojrzeli na Carlee, a potem na Rutheforda.

– Czy to prawda?

– Oczywiście, że nie.

– Nie ma sensu dalej kłamać. Czy spotkał się pan tej nocy w magazynie z Marią Alvarez?

– Nie.

– Czy chciał się pan z nią spotkać, bo liczył na to, że będzie sama?

– Nie!

– Czy to prawda, że złapał pan kij golfowy, uderzył kilka razy w głowę, a później zabił?

– Nie, nie, nie!

– On kłamie! – krzyknęła Carlee wyrywając się woźnemu. – Nie rozumiecie? Widziałam go!

Rutheford zerwał się z krzesła.

– Zamknij się...!

– Panie Rutheford, chyba zdaje pan sobie sprawę, że jeśli się nie przyzna, podejrzenie padnie na pańską żonę. Czy tego pan chce? Żeby trafiła do więzienia, po tym wszystkim, co pan zrobił, żeby ją ochronić?

Rutheford ścisnął mocno barierkę, jakby chciał ją złamać.

– To koniec, panie Rutheford – powiedział cicho Ben. – Proszę powiedzieć, co się tam zdarzyło.

Szeroka pierś Rutheforda zadrżała. Drżenie przeniosło się na rękę, a potem na całe ciało. Wreszcie świadek opadł na krzesło bez sił.

– Musi pan zrozumieć – powiedział słabym głosem. – Musi pan to zrozumieć...

– Co muszę zrozumieć?

Rutheford ukrył twarz w dłoniach.

– Jak bardzo Rachela pragnęła dziecka i jak bardzo chciałem, żeby była szczęśliwa. Potrzebowaliśmy dziecka.

– Powiedziała, że tylko to pragnienie trzymało ją przy życiu.

– Nie przesadzała. Rachela nie jest... silna. Jest dobra, kochająca, ale nie silna. Kiedy się okazało, że nie może mieć dzieci... odczuła to tak, jakby straciła rękę.

Zaczerpnął powietrza.

– Nie mogła funkcjonować, nie mogła żyć. Próbowwała się zabić. Dwa razy. Omal jej się nie udało. Chciała zniszczyć swoje ciało. Może pan to sobie wyobrazić? – Rutheford spojrzął na swoje ręce. – Przeżyła, ale nie żyła już naprawdę. Tak jak powiedziała, próbowaliśmy wszystkiego. Nic nie pomagało a najgorsze było to, że cierpiała z powodu zawiedzionych nadziei. Już myślała, że ma dziecko, a potem się

okazywało, że je odebrano. Nie przeżyłaby kolejnego rozczarowania. Byłem tego pewien. Po prostu by tego nie przeżyła.

– Maria Alvarez chciała odebrać swoje dziecko, prawda? – spytał cicho Ben.

Rutheford skinął głową.

– Mój hiszpański jest dość słaby, ale zrozumiałem, czego chce. Zmieniła zdanie. Postanowiła odebrać Abiego. Nie jestem pewien, czy w ogóle zgodziła się na odebranie jej syna, przynajmniej wtedy, kiedy była całkiem świadoma. Jak tylko wyszła ze szpitala, od razu zaczęła się starać o odzyskanie dziecka. Ale wtedy Abiego mieli już w swoich rękach handlarze z La Flavita. Zanim ich wytropiła, chłopiec został już sprzedany Pearsonowi i zabrany do Stanów. Przyjechała więc, żeby odebrać syna. Naszego syna... i miała duże szanse to osiągnąć. Sposób, w jaki Pearson przeprowadził adopcję, nie był całkiem legalny. Gdyby złożyła skargę w ambasadzie lub zwykły pozew, odzyskałaby dziecko. Sądy zawsze faworyzują naturalne matki, przekonałem się o tym. – Spojrzał na żonę siedzącą na widowni. – i wiedziałem, co to będzie oznaczać dla Racheli.

– Więc umówił się pan z Marią w nocy w magazynie.

Rutheford potwierdził skinieniem głowy.

– Miałem klucze do magazynu. Wszyscy członkowie zarządu je wtedy mieli. Myślałem, że nikogo tam nie będzie. Że będę bezpieczny. – Pochylił się. – Nie poszedłem tam po to, żeby ją zabić. Chciałem jej wytłumaczyć. Mówiłem o tym, że Rachela bardzo przywiązała się do Abiego. Nie obchodziło jej to. Próbowałem zapłacić, ale w ogóle nie chciała o tym słyszeć.

– I co wtedy?

– Zaczęła krzyczeć, grozić zaskarżeniem o kradzież syna. Powiedziała, że w tej chwili idzie odebrać nam dziecko!

Rutheford zakrył wilgotne oczy rękami.

– Nie rozumie pan? To zabiłoby Rachelę? Po prostu by ją zabiło! Bronilem siebie i żony!

– Mordując Marię Alvarez.

Rutheford potrząsnął głową.

– Sam nie wiem, co się ze mną stało. Wiedziałem, co ta kobieta zamierza i jak to się skończy dla mojej żony. Nie mogłem pozwolić, żeby wyrwano jej z rąk kolejne dziecko. Tym bardziej że spędziła z nim tyle czasu.

Rutheford wyprostował się i przeniósł wzrok na sufit.

– Straciłem panowanie nad sobą. Złapałem to, co było pod ręką. Kij z torby. Podniosłem go i...

Otworzył usta, ale słowa uwięzły mu w gardle.

– Nie byłem świadomy, co robię – wykrztusił wreszcie. – Dopiero później

i przeraziłem się.

Ben skinął głową.

– I pomyślał pan o zatarciu śladów.

– Nawet nie zdążyłem. Zobaczyłem... jego. – Skinął głową w stronę Leemana. – Siedział pod półką i obserwował mnie przez cały czas. Tak w każdym razie myślałem. Może w ogóle nie widział mojej twarzy, nie wiem. Próbowałem go wyciągnąć, ale przeczołgał się pod półką i wybiegł z magazynu. Popędziłem za nim. Przebiegłem całe pole golfowe, lecz go nie znalazłem. Po kilku minutach wróciłem do magazynu.

– Ico?

– Był w środku. Nie wiem, gdzie się schował. Nie widział, jak wchodzę. Stał i patrzył na ciało tej kobiety i chyba próbował zrozumieć, co się jej stało. Obejmował ją. Ubrudził się krwią. Ciągnął za kij, ale nie mógł go wyrwać. Potem znowu wybiegł z magazynu. Zobaczyłem szansę.

– Żeby chłopaka zrobić.

Rutheford zagryzł wargę.

– Nie znałem go za dobrze... Wiedziałem tylko, że ma nie całkiem po kolei w głowie. Pomyślałem, że sąd obejdzie się z nim o wiele łagodniej niż ze mną. Włożyłem torbę do jego szafki, a potem naszyjnik. Wziąłem kije ze sklepu po południu. Jak zwykle chciałem je wypróbować przed kupnem. Leeman nosił mi torbę, dlatego na torbie były jego odciski palców. Wytarłem swoje odciski i wyszedłem. Żyłem w strachu przez kilka następnych dni. Bałem się, że mnie zidentyfikuje... Ale nie zrobił tego.

– Nie mógł – powiedział Ben. – Może wcale nie widział pańskiej twarzy a nawet gdyby ją zobaczył, nie umiałby o tym powiedzieć.

– Czułem się okropnie, kiedy go aresztowali. Naprawdę. Ale myślałem, że nie stanie przed sądem, bo jest, wie pan... Byłem pewien, że pošlą go do jakiegoś domu, gdzie mu będzie dobrze. Nie miałem pojęcia, że koszmar zacznie się od nowa po dziesięciu latach.

– A pańska żona?

– Rachel a o niczym nie wiedziała, przysięgam. Może coś podejrzewała, ale nie wiedziała.

– Wysoki Sądzie – powiedział cicho Ben. – Wnoszę o oddalenie oskarżenia przeciwko Leemanowi Hayesowi.

– Proszę podejść – rzekł sędzia. Ben i Bullock zbliżyli się do stołu sędziowskiego. – Wydaje mi się, że wniosek jest całkowicie uzasadniony. Czy chce pan zgłosić sprzeciw, panie Bullock?

– I to niejeden. Kincaid mógł przekupić tego człowieka...

Hawkins nie pozwolił mu skończyć.

– Zapłacił członkowi klubu Utica Greens, żeby przyznał się do morderstwa?
Proszę się obudzić, Bullock.

Bullock zająknął się, ale nie miał nic do powiedzenia.

– Zgadzam się – wykrztusił wreszcie.

Sędzia Hawkins uderzył młotkiem w stół.

– Zamykam sprawę. Panie Rutheford, w imieniu prokuratora proszę, żeby nie wyjeżdżał pan w najbliższym czasie z miasta. Panie Hayes... – Sędzia spojrzał na Leemana. – Nie mogę w żaden sposób zwrócić panu tych lat, które pan stracił. Mogę tylko prosić o wybaczenie. – Stuknął młotkiem po raz drugi. – Jest pan wolny.

W sali zawrzało. Ernie Hayes podskoczył z radości i rzucił się do syna, a dzieci za nim. Ben przyglądał się temu, kiedy nagle poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw.

Był to Bullock.

– Znów ci się udało, co, Ben? Musisz być z siebie bardzo dumny.

– Jack... Leeman był niewinny.

– To nie tłumaczy twoich wybryków. Jeśli wiedziałeś, że jest niewinny, to dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Powtarzałem ci to od pierwszego dnia, ale nie chciałeś słuchać. Ja też nie wiedziałem aż do dzisiaj, co się wtedy stało.

– Masz mnie za durnia?

– Jack... – Ben wyciągnął rękę. – Myślałem, że teraz możemy się pogodzić... Kiedyś byliśmy tak blisko... Pracowaliśmy razem. Chciałbym, żeby znów tak było.

– Niemożliwe. Jesteśmy po przeciwnych stronach barykady.

– Mylisz się – powiedział Ben. – Jesteśmy po tej samej stronie. Dążymy do tego samego celu. Siedzimy tylko przy innych stolikach.

– Niestety, Ben z przykrością muszę powiedzieć, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Kiedyś byłeś dla mnie jak ojciec, pomyślał Ben.

A teraz i ciebie straciłem.

Ben próbował dostać się do Leemana, ale Ernie ścisnął syna i klepał go po plecach, a pozostałe dzieci otaczały ich ciasnym kręgiem.

Nie zwracali uwagi na Bena, który wcale się temu nie dziwił. W czasie procesu adwokat jest gwiazdą. Później wszyscy o nim zapominają. Teraz liczyła się tylko rodzina.

Właściwie zawsze liczy się tylko rodzina.

Rozdział 71

Ben ze zdumieniem patrzył na Mike'a przepychającego się przez tłum publiczności i reporterów w końcu dotarł do Bena.

– Koniec! – zawołał.

– Tak. Sprawa zamknięta...

– Znalazłem mieszkanie.

Ben nie musiał pytać, jakie mieszkanie.

– Świetnie! Zawiadomiłeś Blackwella?

– Nie. Najpierw musiałem się widzieć z tobą.

– Ze mną? Po co?

– Żeby ci to pokazać. – Mike podsunął Benowi pod nos klucz z Utica Greens. – Znalazłem też mnóstwo innych rzeczy. Potworne. Pedofil żyje, nie ma co do tego wątpliwości. Żyje i przygotowuje zamach na Abiego. Na jednym z kluczy są litery C-D-Y-S-K. Mówiłeś, że tylko członkowie zarządu klubu mają klucze do magazynu, prawda?

– Tak było dziesięć lat temu – odparł Ben. – Po morderstwie zmienili reguły. Teraz jedyną osobą, która ma klucze, jest... – Ben pobladł nagle – kierownik klubu.

– Kto?

– Mitch. Mitch Dryer.

Mike złapał go za ramię.

– A więc jego szukamy. Wiesz, gdzie on jest?

Ben nie mógł wydusić słowa.

– Słyszałeś, co powiedziałem? To ważne!

– Kilka minut temu podałem mu swój adres. Pojechał tam – wykrztusił wreszcie Ben.

– Do Abiego?

– Do Abiego i Christiny, i Joeya.

Cudownie. Jak gdyby nie miała co robić. Christina wcisnęła sobie butelkę pod brodę i objęła dziecko. Abie układał puzzle w drugim pokoju. Wstała i otworzyła drzwi.

– Tak?

– Pani mnie nie zna – powiedział sympatycznie wyglądający młody człowiek. – Jestem znajomym pani przyjaciela, Bena Kincaida. Nazywam się Mitch Dryer. Mam coś dla pani i nie tylko dla pani.

Rozdział 72

– Proszę do środka.

Mitch podniósł kartonowe pudło pełne papierów i wszedł do mieszkania.

– Przychodzi pan w samą porę – powiedziała Christina. – Zna pan taką wyliczankę „Raz, dwa, trzy, wychodź ty?”

– Słucham?

– No wie pan, „Raz, dwa, trzy, wychodź ty”. Nie pamiętam początku.

– Dawno się nie bawiłem...

– Ja też. Pan nie pracuje przypadkiem w klubie golfowym?

– Tak. Skąd pani wie?

– Widziałam pana nazwisko w notesie Bena. Co pana sprowadza?

– Ben poprosił mnie, żebym przejrzał klubowe papiery w poszukiwaniu dokumentów świadczących o kontaktach członków klubu z zagranicą, zwłaszcza z Peru. Ale kiedy przyniosłem te materiały, był zbyt zajęty i kazał je przywieźć pani.

– Cały Ben. Proszę położyć pudło pod ścianą. Zajmę się tym, jak tylko uspię dziecko. Jeśli mi się to uda.

– To niełatwe, co? Może ja spróbuję?

– Proszę.

Christina podała mu dziecko. Jakiś dreszcz przebiegł jej po plecach. To dziwne, pomyślała. Patrzyła, jak Mitch kołysze Joeya w ramionach. Był w porządku. Dlaczego więc czuła niepokój?

Postanowiła się tym nie przejmować. Pewnie jakieś niekontrolowane wahania instynktu macierzyńskiego. Przywiązała się do dziecka, więc bała się je oddawać w obce ręce.

– Mówił pan, że przyniósł coś jeszcze.

– A, tak. – Mitch sięgnął do tylnej kieszeni. – Smoczek.

Smoczek był zaopatrzony w sumiaste wąsy, więc kiedy Mitch włożył go dziecku do buzi...

– Czy to pomysł Bena? – spytała Christina.

– Tak. Skąd pani wie?

– Tylko on zdolny jest do tego, żeby stroić sobie żarty z dziecka.

Mitch roześmiał się.

– A, mam też coś dla Abiego. Gdzie on właściwie jest?

Christina znów poczuła ten dreszcz na plecach. On wie o Abiem? To dziwne.

– To proporczyk – wyjaśnił Mitch. – Do powieszenia na ścianie. Abie jest fanem Drillersów.

Christinie włosy zjeżyły się na głowie. On nie powinien tego wiedzieć.

– Słyszałem, że stracił ostatnio czapkę, więc przyszło mi do głowy, żeby mu coś kupić. Może się spodoba.

– Na pewno – potwierdziła Christina zmuszając się do uśmiechu o tym też nie powinien wiedzieć.

Jest ktoś, kto może wiedzieć.

– To dziwne, że Ben powiedział panu o Abiem... Ktoś może go szukać.

– Ten zboczeniec? Pedofil. Boże, jak ja go nienawidzę.

– Zna go pan?

– Nie, ale wystarczy to sobie wyobrazić... Wykorzystywanie dzieci, tortury. Zmuszanie do robienia takich rzeczy...

Christina zerknęła do sypialni. Abiego nie było stąd widać.

– Ten człowiek był ponoć bardzo miły wobec swoich więźniów.

– O tak. Kupował im lody, zabierał do wesołego miasteczka a potem zdierał ubranie i zadręczał.

No właśnie. Nikt nie mógł wiedzieć o wesołym miasteczku. Tej wiadomości specjalnie nie podano dziennikarzom.

To on.

– Proszę mi oddać Joeya.

Mitch się odsunął.

– Jemu tu dobrze.

– Nie. – Christina położyła ręce na dziecku. – Proszę. On już prawie usnął. – Wyjęła smoczek z ust Joeya i wzięła dziecko w ramiona. – *Merci*.

– A więc... gdzie jest Abie?

– Akurat w tej chwili go tu nie ma. – Christina z trudem panowała nad sobą. „Boże, niech on nie wychodzi z sypialni”.

– Nie ma go? Ale Ben mówił...

– Był, ale przyjechała matka i go zabrała.

– Matka? – Mitch przechylił głowę. – Widziałem ją w sądzie.

– Naprawdę? – Christina roześmiała się nerwowo. – Wie pan, jakie są te bogate kobiety. Pewnie zostawiła go ze szwedzką opiekunką.

– Jakoś nie chce mi się w to wierzyć – powiedział powoli Mitch.

– Co to ma znaczyć? Zarzuca mi pan kłamstwo?

– Oczywiście, że nie. Ale nie wierzę, że nawet ta bogata suka zostawiłaby Abiego z nieznaną, kiedy szuka go jakiś maniak. Później pewnie zamknie go w szafie.

– Słucham?

– Zamknie go w szafie, bo był niegrzeczny. Bardzo niegrzeczny. Chłopiec będzie płakał i prosił, żeby go wypuściła. Ale ona nie otworzy drzwi.

– Nie rozumiem...

– On będzie krzychał, „Mamo! Wypuść mnie, proszę!” – Mitch przypominał teraz małego przerażonego chłopca. – „Przepraszam, że byłem niegrzeczny! Już nie będę!” Wtedy ojciec powie, „Możliwe, synu. Ale najpierw musisz ponieść karę”.

Christina starała się zachować spokój.

– Położę dziecko spać. Przepraszam...

– Co? – Mitch wrócił do rzeczywistości. – Przepraszam, nie wiem, o czym myślałem. Pójdę już.

Christina uśmiechnęła się z ulgą.

– Powiem Benowi, że pan był...

I wtedy w drzwiach sypialni stanął Abie.

– Pomożesz mi? – spytał. – Nie mogę znaleźć miejsca dla tego kawałka.

Mitch zmienił się na twarzy.

– Przecież...

Abie spojrzał najpierw na Christinę, potem na Mitcha. Patrzył na niego długo. Christina wiedziała, co się dzieje w jego głowie. Ruda peruka, okulary...

Abie krzyknął.

Christina skoczyła i zasłoniła go przed Mitchem drogę. Przewróciła przy tym stolik z telefonem. Słuchawka spadła na podłogę.

Mitch rzucił się naprzód, ale przeszkodził mu przewrócony stolik. Christina, popychając Abiego przed sobą, wpadła do sypialni i zatrzasnęła drzwi...

Za późno. Mitch zdążył wcisnąć stopę obok framugi.

– Okłamałaś mnie – powiedział z wściekłością. – Ty dziwko! Jesteś taka sama jak wszystkie kłamliwe dziwki na świecie!

Uderzył pięścią w drzwi.

Christina zapierała się z całej siły, ale wiedziała, że nie wytrzyma długo. Napastnik był o wiele silniejszy i cięższy.

– Nie wpuszczaj go! – łkał Abie. – On mi zrobi krzywdę!

Christina z całej siły uderzyła obcasem w stopę przy framudze. Mitch wrzasnął i cofnął nogę. Christina zatrzasnęła drzwi i zamknęła na klucz.

Po chwili Mitch rzucił się całym ciałem na drzwi. Cienka sklejka ugięła się, ale nie pękła.

– Myślisz, że to mnie powstrzyma? Ty brudna dziwko! Jesteś taka sama jak inne. Usłyszała, że wyjmuję coś z kieszeni. Po chwili sklejkę przebiło stalowe ostrze noża.

– Poniesiesz karę! – wrzeszczał Mitch. – Wszyscy poniesiecie karę! Ten niegrzeczny chłopiec Abie i ten mały chłopiec też i ty, głupia dziwko! Latasz po mieszkaniu w kusej spódnicy i włazisz mu w oczy przy każdej okazji.

Christina słyszała sapanie Mitcha, który po raz drugi wbił nóż w sklejkę.

– Wszystkich ukarzę.

Rozdział 73

– Szybciej! – krzyknął Ben. – Czy ten grat nie może jechać szybciej?

– Robię, co mogę – mruknął Mike. – Zawsze narzekałeś, że jeżdżę za szybko.

Wspiął się Trans Amem po ślimakowym podejździe i wjechał na autostradę z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Wprowadził samochód na najszybszy pas, przez okno wystawił koguta na dach. Po chwili zawyła syrena i samochody umykały z drogi.

– Powinienem był to przewidzieć – mówił Ben. – Przecież miałem wskazówki. Mitch sam mi powiedział, że prosił o pozwolenie pilnowania magazynu. Tak jak mówiłeś, zboczeńcy zawsze znajdują prace, które ułatwiają kontakty z dziećmi. Przyznał się też, że nienawidzi Rutheforda. Pewnie przynajmniej częściowo dlatego wybrał Abiego.

– Podaj mi mikrofon – polecił Mike.

Po chwili odezwał się ktoś po drugiej stronie.

– Komenda.

– Marty? Tu Mike. Potrzebuję natychmiast dwóch grup. Przydałoby się więcej. – Podał adres Bena. – Jak długo to potrwa?

– Nie wiem, Mike. Wszystkie patrole w tej okolicy pojechały do kawiarni Trasa 66.

– To pilne!

Po drugiej stronie rozległy się trzaski.

– Powiem wszystkim.

– Jak długo? – Na chwilę zapadła cisza. – Cholera! – Mike cisnął mikrofon, omal nie trafiając Bena w głowę. – Dojedziemy tam przed nimi.

Ben podniósł słuchawkę przenośnego telefonu Mike'a. Nie umiał się nim posługiwać.

– Połącz mnie z miastem.

Mike wystukał kod, a Ben swój numer domowy.

– Zajęte? – Spojrzał na przyjaciela. – Christina rozmawia? Niemożliwe. Pewnie słuchawka spadła z widełek.

Mike zacisnął ręce na kierownicy. Ben poczuł, że wóz jeszcze bardziej

przyśpieszył.

Mknęli autostradą, mijając samochody zjeżdżające na bok. To potrwa jeszcze kilkanaście minut. Nie wiadomo, jak długo Mitch już tam jest.

Ben wystukał inny numer.

– Halo?

– Mówi Ben. Jami?

– Blisko. Joni. Booker mi wszystko opowiedział. Dzięki...

– Nie mam teraz czasu. Christina jest w moim mieszkaniu.

– Wiem, ty szczwany lisie.

– Czy wpuszczała kogoś?

– Dziesięć minut temu grałam w karty na schodach i widziałam jakiegoś dryblasza, który szedł do twojego mieszkania.

– Wysoki? Ciemne włosy, szare oczy?

– To ten.

A więc Mitch tam jest.

– Czy coś nie tak? – spytała Joni. – Mam tam zajrzeć?

– Nie, nie. Tylko trzeba Christinie przekazać wiadomość. Grozi jej wielkie niebezpieczeństwo.

A może jest za późno?

– Chwila. – Po drugiej stronie zapadła cisza. – Booker mówi, że pójdzie.

– Booker tam jest? Z twoimi rodzicami?

Odchrząknęła.

– Reszta rodziny poszła do kina... Nieważne, Booker pójdzie.

– To może być ryzykowne.

– Christina będzie na pewno bezpieczniejsza z Bookerem niż sama. Co to za wiadomość?

Ben zacisnął zęby. Bał się to zrobić, ale Joni miała rację. Christina w pojedynkę nie ma szans.

– Trzeba jej powiedzieć, że to on i nie wolno zdradzić się przed tym facetem. Może zacząć strzelać. – Jeśli jeszcze tego nie zrobił. – Niech jej powie, żeby zabrała stamtąd dzieci. Sama też ma zniknąć.

– Jasne.

– Nie wolno zaalarmować tego faceta.

– Nie ma obawy. Booker to mistrz subtelności.

– Joni, tak czy inaczej, to jest...

Za późno. Odłożyła słuchawkę.

– I co?

Ben spojrzał na autostradę.

– Gaz do dechy – mruknał.

Rozdział 74

– Pogarszasz swoją sytuację! – krzyknął Mitch przez zamknięte drzwi. – Jeśli się skaleczę, zapłacisz mi za to.

Christina popchnęła Abiego w najdalszy kąt.

– Słyszałaś? – w głosie Mitcha brzmiała pogarda. – Mam nóż. Wypatroszę cię. Wbiję ci go w brzuch i zacznę nim kręcić. Będziesz umierać powoli.

Zamilkł. Christina wiedziała, że za chwilę usłyszy kolejne groźby.

– Słyszałaś? Ukarzę cię! Zacznę od dzieci. Popatrzysz sobie. Słyszysz?

Abie patrzył na nią, śmiertelnie przerażony. Płakał, ciekło mu z nosa. Cały się trząsał. Objął Christinę w pasie.

– Nie, nie, nie... – powtarzał cicho.

Christina dała znak, żeby się uciszył.

– Słyszałaś? Umażę ci nos w ich krwi, ty kurwo!

Złapała Abiego za rękę.

– Sama tego chciałaś. Wchodzę.

Christina wstrzymała oddech. Słyszała kroki Mitcha. Nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Nastąpiła chwila ciszy, zaraz dzwonek zadzwonił znowu.

– Uważaj – szepnął Mitch przez zamknięte drzwi. – Zobaczę, kto to jest. Pamiętaj, że mam nóż. Spróbuj tylko pisnąć, a rozplątam gościa na pół.

Roześmiał się histerycznie.

Christina zerknęła przez szparę między drzwiami i futryną, która rozszerzyła się, prawdopodobnie od uderzenia Mitcha. Nie obejmowała wzrokiem całego pokoju, ale widziała drzwi wejściowe.

Mitch podszedł i otworzył. W drzwiach stanął wysoki czarny chłopak.

– Tak?

– Przeszedłem do Christiny. Jest tutaj?

Christina chciała krzyknąć, ale się powstrzymała. Wiedziała, że Mitch nie zawaha się spełnić groźby.

– Christina? Nie ma jej. Wyszła... po zakupy.

Chłopak zmierzył Mitcha lodowatym spojrzeniem.

– Joni powiedziała, że Christina tu jest.

– Joni? To na pewno ta urocza dziewczyna, którą minąłem na schodach. Moje uznanie. Prawdziwa ślicznotka.

– Zajęta – mruknął chłopak.

– Oczywiście. – Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. – Kiedy Christina wróci, powiem jej...

– Czy to nie jest jej portmonetka? – Chłopak odepchnął Mitcha i wszedł do mieszkania.

– Nie. To moja portmonetka.

– Twoja? – Booker stanął na środku pokoju. Zauważył przewrócony stół, torebkę na pieluszki i słuchawkę na podłodze. – Co to...

Christina spostrzegła, że Mitch wyciąga nóż. Krzyknęła. Booker odwrócił się, ale ułamek sekundy za późno. Mitch wbił mu nóż w pierś, tuż pod lewym ramieniem. Trysnęła krew, z ust Bookera wydobyło się bulgotanie.

Mitch wyciągnął nóż. Bookerem wstrząsnęły drgawki. Upadł, krew toczyła się z rany na podłogę.

Mitch stanął nad Bookerem z podniesionym nożem...

– Nie! – krzyknęła Christina. – Pomocy!

Mitch spojrzał w jej stronę.

– Ty głupia kurwo! Podglądałaś.

Ruszył do drzwi. Christina uciekła pod przeciwną ścianę pokoju.

– To już koniec!!! – wrzasnął Mitch. – Teraz zostaniesz ukarana.

Na chwilę zapadła cisza, a potem drzwi trzasnęły. Sklejka pękła, ale nie do końca.

Jeszcze nie.

Christina wiedziała, że za chwilę Mitch wedrze się do sypialni. Popchnęła Abiego w stronę garderoby.

– Musimy się rozłączyć – powiedziała.

– Nie! – zawodził Abie. – Nie zostawiaj mnie samego. On mnie zabije.

– Przestań, Abie. – Potrząsnęła chłopcem. – Nie mamy czasu. Ja go zatrzymam, a ty zaopiekujesz się dzieckiem.

Abie rozwarł szeroko oczy.

– Ja?

– Tak. – Stała na półce i odsunęła panel zasłaniający wyjście na dach, gdzie oddawała się medytacji. – Wejdiesz tam?

– Chyba tak.

Rozległ się kolejny trzask. Drzwi pękały już pośrodku.

– Wejdę – powiedział Abie.

Stanął na szafie, przewracając stos książek.

Christina podsadzała go najwyżej jak mogła. Sięgnął w końcu klapy i podciągnął się.

– Weź Joeya.

Christina podała dziecko, które natychmiast zaczęło płakać.

Wyjęła z kieszeni smoczek z wąsami.

– Włóż mu to do buzi i bądźcie cicho!

Zamknęła wyjście, podbiegła do okna i otworzyła je.

W samą porę. Mitch uderzył całym ciałem w drzwi, które tym razem nie wytrzymały. Rozwalił pięścią popękaną sklejkę.

Christina rozglądała się rozpaczliwie po sypialni w poszukiwaniu jakiejś broni. Grzechotka? Koc? Odtwarzacz kompaktowy Bena? To beznadziejne.

Poza tym było za późno.

– Obiecałem, że przyjdę. Mitch przeciskał się przez otwór z nożem w ręku. – No i jestem.

Rozdział 75

Gdzie się podział chłopiec? Na tym polega problem z małymi chłopcami. Zawsze się chowają, próbując uniknąć kary. To nie w porządku. Tak nie powinno być.

– Gdzie on jest? – warknął.

Ta suka, ta dziwka – jak jej było na imię? Christina? – przeskoczyła na drugą stronę łóżka. Długie rude włosy powiewały za nią.

Matka Mitcha też miała rude włosy. Tak mu się przynajmniej wydawało. W szafie wszystko było zawsze czarne.

„...Mamo, pomóż mi! Proszę!”

– Gdzie on jest? – Mitch wskoczył na łóżko. – Tutaj?

Zaczął skakać jak na trampolinie. Gdyby Abie był pod łóżkiem, zostałby zmiażdżony.

– Co zrobiłaś z moim chłopcem?! – zawył Mitch.

– Nie znajdziesz go – powiedziała Christina. Brakowało jej tchu. – Poszedł sobie.

Mitch zbliżał się do niej powoli.

– Znowu kłamiesz. Widziałem go. Którędy wyszedł?

– Przez okno. Jak małpka. Teraz jest pewnie o kilometr stąd.

Mitch zeskoczył z łóżka i podbiegł do okna. Christina rzuciła się w przeciwny kąt pokoju.

– To niemożliwe – powiedział Mitch wyglądając przez okno. – Kłamiesz.

– Nie kłamię. Wszedł.

– Zabiłby się, skacząc stąd.

– On nie skakał. Zszedł.

– Po czym?

– Po prześcieradle...

Mitch zawahał się.

– Gdzie ono jest?

– Zabrał je ze sobą. Kazałam mu...

– Zamknij się. – Mitch machnął nożem. – Nienawidzę kłamców. Kłamstwo to

grzech. Trzeba karać kłamców.

– Ale dlaczego?

– Nieładnie jest kłamać. Nieładnie zdradzać sekrety. Nie wolno zdradzać rodzinnych sekretów. Za to trzeba ponieść karę.

– Nie wiem, o czym mówisz. Ty chyba nie jesteś złym człowiekiem. Potrzebujesz pomocy. Odłóż ten nóż, a obiecuję ci...

– Nic mi nie jest! – wrzasnął Mitch. – Musisz ponieść karę.

Rzucił się na nią z nożem. Christina skoczyła w bok, unikając ciosu o centymetry, i pomknęła do drzwi. Mitch potoczył się po łóżku, złapał Christinę za rękę.

Uderzyła twarzą o ścianę i upadła bezwładnie na podłogę.

Nie poruszyła się.

Mitch kopnął ją w bok. Wydawało się, że jest nieprzytomna. Co najmniej.

Będzie musiała umrzeć, ale w swoim czasie. Gdzie jest ten szczeniak? Nie mógł wyjść przez okno. Ale jeśli nie tam, to...?

Zauważył otwarte drzwi garderby.

Szafa. Nie mógł wybrać odpowiedniejszego miejsca.

Mitch podbiegł i odsunął wiszące ubrania.

– Mam cię!

Nikogo tam nie było. Jak to możliwe? Gdzie jest Abie i dziecko?

Zauważył książki na podłodze. To dziwne. Wszędzie panował porządek, jak gdyby ktoś tu niedawno posprzątał. Co to znaczy?

I wtedy usłyszał płacz. Płacz dziecka.

Dochodził gdzieś z góry.

Z dachu.

Mitch uśmiechnął się. Stał na półce szafy i odsunął klapę.

– Hop, hop!

Rozdział 76

– A kuku! – Mitch wysunął głowę przez otwór. – Widzę cię.

Abie krzyknął. Z dzieckiem w ramionach przesunął się na skraj dachu. Niestety, nie było tu gdzie się ukryć.

– Byłeś niegrzeczny, Abie.

– Nie! – Po twarzy chłopca płynęły łzy. – To ty jesteś niedobry. Namawiałeś mnie do... brzydkich rzeczy.

– To nieprawda, Abie. Ja cię kochałem.

– Nie kochałeś.

– Zawsze chciałem dla ciebie jak najlepiej. Dla nas obu.

– Wynoś się!

– Tak się nie mówi, Abie. Pamiętasz, jak świetnie się bawiliśmy w wesołym miasteczku? Moglibyśmy znów się tak bawić. Ale ty wolałeś być niegrzeczny. Niedobry, niegrzeczny chłopiec. – Mitch ścisnął szczęki. – Na pewno moczysz się w nocy.

– Nie!

– I na pewno lubisz patrzeć, jak matka paraduje po mieszkaniu w bieliźnie. Lubisz, jak cię pieści... Na pewno wkładasz sobie rękę do majtek, kiedy nikt nie widzi.

– Kłamiesz!

– Nie musisz być nieczysty, Abie. Jeszcze nie jest za późno. Mogę cię... oczyścić.

– Wynoś się! – Abie kopnął dłoń Mitcha. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Jesteś... chory! Tak powiedział tata. Jesteś zbrodźcą.

Mitch przymknął oczy.

– A więc zostaniesz ukarany. Oddasz mi dziecko, czy wolisz, żeby umarło w twoich ramionach?

Abie przycisnął Joeya do piersi.

– Zostaw nas! Ratunku! Ratunku!

– Za późno – mruknął Mitch. – Idę po was.

Mitch przełożył przez otwór drugie ramię, podciągnął się...

I wrzasnął z bólu.

Christina raz i drugi grzmotnęła go książką w krocze. Nie było nic lepszego pod ręką. Miała guz na czole, w którym czuła pulsowanie. Leżała oszołomiona, prawie nieprzytomna, ale słysząc krzyk Abiego wstała. Trzymała się na nogach chyba tylko siłą woli.

Mitch zerknął w dół.

– Co za...

Uderzyła jeszcze raz. Znow wrzasnął.

– Ty suko!

Skoczył w dół. Spadł prosto na Christinę, przygwoździł ją do podłogi. Nóż potoczył się po podłodze.

Christina zdołała się wyczołgać, ale złapał ją za włosy i pociągnął.

– Nie potrzebuję noża, żeby cię ukarać – warknął.

Kopnęła go w nogę i sięgnęła palcami do oczu. Mitch cofnął głowę, lecz paznokcie Christiny skaleczyły go w policzek z wściekłością machnął ręką, ale chybił.

– Ratunku! – krzyknęła Christina. – Ratunku...!

Mitch zacisnął jej dłoń na ustach. Ugryzła go. Wrzasnął, a Christina wbiła zęby jeszcze mocniej. Złapał ją wolną ręką za gardło. Wpadli razem na ścianę.

Mitch uwolnił dłoń, na której czerwieniły się krople krwi. Spojrzał na ranę i pobladł. Grzmotnął głową Christiny o ścianę.

Uderzenie ją osłabiło. Zachwiała się na nogach. Mitch owinął sobie jej włosy wokół dłoni i uderzył ją mocno w twarz. Próbowwała się uchylić, ale na próżno.

– Proszę... – jęknęła.

– Zamknij się. – Uderzył znowu dłonią na płask. – Nie trzeba mi było wchodzić w drogę, ruda dziwko.

– Nie mogłam ci pozwolić skrzywdzić dzieci – szepnęła Christina niewyraźnie. Traciła przytomność.

– Wszystkie jesteście takie same! —Mitch splunął. – Udajecie troskę, a nic was nie obchodzi. Pozwalacie tatusiom robić, co chcą. Udajecie, że nie słyszycie, kiedy dziecko płacze. Pozwalacie, żeby tatuś je ukarał. Teraz ty poniesiesz karę.

Cofnął dłoń, tym razem zaciśniętą w pięść, i uderzył. Christina upadła.

– Brudna dziwka – mruknął. Podniósł nóż. – Teraz pożałujesz, że byłaś niegrzeczna. Będziesz żałować, że się urodziłaś.

Stanął nad nią okrakiem, chwycił za gardło i podniósł nóż.

Rozległ się strzał. Nie trafił, ale odwrócił uwagę Mitcha.

– Co...

– Rzuć broń! – krzyknął ktoś z drugiego pokoju.

– Nie!

Nóż zaczął opadać.

Drugi pocisk trafił prosto w pierś. Mitcha upadł na Christinę i stoczył się na podłogę.

Mike wbiegł do sypialni z pistoletem w wyprostowanych rękach, a Ben za nim.

– Christina! – krzyknął Ben. – O Boże! Żyjesz...?

Christina poruszyła głową z jej pękniętej dolnej wargi lała się krew.

– Nic mi nie będzie. Idźcie po dzieci.

– Dzieci! Gdzie...

– Porucznik Morelli! – Abie szybko schodził z dachu z dzieckiem w ramionach. – Wiedziałem, że pan nas uratuje! Wiedziałem!

– Abie!

Chłopiec podbiegł i chciał rzucić się Mike'owi na szyję, ale przypomniał sobie o Joeyu. Podał go swojemu wybawcy. Mike wziął w ramiona płaczące zawiniątko.

– O rety... Co to?

Abie objął go za nogi.

– Wiedziałem, że pan przyjdzie – powtarzał Abie szlochając. – Wiedziałem.

Na twarzy Mike'a malowała się ulga i zakłopotanie.

– Przepraszam, że tak późno.

Poklepał chłopca po głowie i przytulił Joeya.

Ben z Christiną spojrzeli na siebie znacząco.

Nie można było nie zauważyć podobieństwa tych dwóch twarzy.

Część piąta

Twarz ojca

Rozdział 77

Ben spoglądał przez okno sypialni na tonącą w światłach nocną panoramę Tulsy. Przez kilka lat, jakie tu spędził, nauczył się kochać to miasto. Szalone miasto. Polubił jego kulturę, kowbojów i hałaśliwe sekty. Nawet północną dzielnicę. Może nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, ale jednak w tej chwili czuł się tak dobrze, że wszystko mu się podobało.

Christina szybko wracała do zdrowia, podobnie jak Booker, narzeczony Joni. Przez pewien czas będzie miał sztywną rękę, ale to przejdzie a co najważniejsze, Leeman Hayes jest znów wolny. Wreszcie, po dziesięciu latach.

Ben poprawiał właśnie krawat, który założył do pożyczonego garnituru, kiedy matka wsadziła głowę w roztrzaskane drzwi sypialni.

– Ktoś podjechał samochodem.

Trzymała w ramionach Joeya. Wróciła kilka godzin po napaści Mitcha. Okazało się, że nie pojechała do domu, tylko na zakupy. Ben podejrzewał, że chce mu dać nauczkę, pokazać, jak wyrozumiałą jest matką.

– To pewnie Christina – powiedziała pani Kincaid.

Ben jęknął.

– To nieładnie, Benjaminie.

– Łatwo ci mówić, bo nie ty masz iść na doroczny bankiet Stowarzyszenia Wyznawców Reinkarnacji.

– Jeśli nie chcesz iść, dlaczego się zgodziłeś?

– Nie zgodziłem się. Jones dał się na to nabrać.

– Więc dlaczego ty idziesz?

– Powiedziałem, że jestem jego dłużnikiem, kiedy zgodził się zająć Joeyem pierwszego dnia.

– I co?

– No i spłacam dług.

– Jeśli o mnie chodzi, cieszę się, że idziesz z Christiną.

– Mamo, ty nadal wyobrazasz sobie nie wiadomo co.

Pani Kincaid odwróciła się z uśmiechem.

Ktoś zapukał do drzwi. Ku zaskoczeniu Bena, nie była to Christina, lecz Ernie

Hayes, z Leemanem.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy – powiedział Ernie. – Zadzwońbym, ale nie znam numeru.

– W porządku. Czy coś się stało?

– Ależ skąd. Przyszliśmy podziękować. Nie wiem, jak mam się panu odwdziaczyć za to, co pan zrobił dla Leemana.

– Udało się panu przekonać mnie, żebym przyjął tę sprawę.

Na ustach Erniego błąkał się szelmowski uśmieszek.

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie Kincaid.

– Aha. Czy podać coś do picia...?

– Nie, dziękujemy. Wpadliśmy tylko na chwilę. To był zresztą pomysł Leemana. Popchnął lekko syna.

Leeman wyciągnął rękę. Trzymał w nich płytę.

– Ty – powiedział.

– Ja? To znaczy... dla mnie? – Ben spojrzał na zniszczoną okładkę albumu. Piąta Symfonia Beethovena w wykonaniu filharmoników wiedeńskich. Nagranie z 1966 roku.

– O nie – zaprotestował Ben. – Nie mogę tego przyjąć.

Leeman wcisnął płytę w rękę Bena.

– Ty.

– Ale... to wyjątkowo cenna płyta. Jedyna w swoim rodzaju. Nigdzie nie kupisz drugiej.

Leeman uśmiechnął się od ucha do ucha. Ben nigdy nie widział go tak szczęśliwego.

– Dla... ciebie – powiedział.

Ben poczuł pieczenie w oczach.

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Leeman skinął głową. Wyszli.

Ben wszedł do sypialni i położył album na półce a może... Właściwie, czemu by nie? Zanim wyjdzie, zdąży wysłuchać pierwszych taktów.

Kilka minut później matka stanęła w drzwiach.

– Czas na randkę.

– Mamo! – Wszedł do saloniku. – Mówiłem ci przecież, że...

Otworzył usta ze zdumienia.

Christina stała na środku pokoju w czarnej sukni bez ramiączek, obszytej koralikami. Na rękach miała długie białe rękawiczki, a na szyi sznur połyskujących pereł. Buty pasowały nienagannie, podobnie jak kolczyki, a nawet torebka. Włosy miała elegancko upięte.

– Christina – wykrztusił Ben. – Jesteś piękna...

Zatrzepotała rzęsami.

– A już myślałam, że nigdy tego nie zauważysz.

– Ale... twoje ubranie...

Skinęła głową.

– W końcu udało nam się pójść na zakupy. – Wygładziła zmarszczkę na sukni. – Twoja mama ma taki doskonały gust. Powinieneś pozwolić jej się ubierać. Uczesła mnie i zrobiła makijaż. Podoba ci się?

Ben zerknął na jej rozpromienioną twarz. Siniaki prawie zniknęły.

– O rany! Chyba już pójdziemy, mamó.

– Oczywiście. – Pani Kincaid otworzyła drzwi. – Bawcie się dobrze, dzieci. Ale nie wracajcie zbyt późno, nie pijcie za dużo i nie rozmawiajcie z obcymi.

Po powrocie wieczorem do domu Ben zastał matkę przy pakowaniu.

– Wyjeżdżasz?

Pieczołowicie złożyła sukienkę i umieściła w walizce.

– Pomyślałam, że tak będziesz wolał.

– Co?

– W czasie procesu potrzebna ci była pomoc, ale teraz będę ci tylko przeszkadzać.

Ben pomógł zapiąć wypchaną torbę.

– Aresztowali już tego Rutheforda? – spytała matka.

– Jeszcze nie, ale na pewno to zrobią w końcu przyznał się do zabójstwa, i to w obecności sędziego.

– A co z kolegami z klubu? Przecież musieli wiedzieć.

– Możliwe. Pearson na pewno domyślał się prawdy w końcu to on pomógł w adopcji i widział Marię Alvarez w klubie. Ale trzymał język za zębami. Bentley też pewnie wiedział. To dlatego przeszukał szafkę Mitcha i zabrał z niej dowód w postaci czapeczki baseballowej. Do diabła z ofiarami, trzeba chronić klub i jego członków.

– Tak – potwierdziła pani Kincaid układając kosmetyki w walizce. Było ich całe mnóstwo. – Oni zawsze osłaniają podobnych sobie.

– Dlatego zatrudnili Mitcha. Powiedział mi, że dostał tę pracę wkrótce po morderstwie. Potrzebowali kogoś, kto zajmie się policją i dziennikarzami. Kogoś, kto zatrze ślady.

– Zatarcie śladów pierwszej zbrodni pociągnęło za sobą następne.

– No właśnie. Przecież gdyby Mitch nie znalazł pracy w klubie, nigdy nie poznałby Ruthefordów.

– Ludzie płacą często olbrzymią cenę za drobne błędy. To nie jest sprawiedliwe, ale tak się właśnie dzieje.

Pani Kincaid zamknęła torby i ułożyła na podłodze.

– Gotowe.

– Zabierzesz ze sobą Joeya? – spytał Ben.

Uśmiechnęła się blado.

– Pomyślałam, że będziesz tego chciał. Przyślę kogoś po niego. – Westchnęła. – Niełatwo, opiekować się małym dzieckiem po tylu latach. Ale ktoś musi to zrobić.

Zawahała się.

– Pamiętam, że wolisz trzymać się z dala od rodziny.

Prawda, ale mimo to słowa matki zabolą Bena. Zawsze umiała zranić w samo serce pozornie niewinną uwagą.

– Myślisz, że Mike wie? – spytała.

– Jestem pewien, że nie. Mike to bardzo bystry facet, ale we wszystkim, co wiąże się z Julią, jest ślepcem. Dotyczy to chyba również dziecka.

– Powiesz mu?

– Nie wiem...

– Mężczyzna ma prawo wiedzieć, że jest ojcem.

– Nie teraz. Może trochę później.

Pani Kincaid skinęła głową.

– Ojcostwo to poważny obowiązek.

Tak, to prawda. Jak to właściwie jest? Ojcowie i synowie. Dlaczego robią to, co robią? Ernie Hayes gotów był na każdą sztuczkę, żeby pomóc synowi. Harold Rutheford chciał być dobrym ojcem, ale nie umiał. No i ojciec Mitcha, który zgotował synowi piekło...

I ojciec Bena. Albo raczej ojcowie, jeśli liczyć Bullocka. To już nie miało znaczenia.

– Chcę ci coś zostawić. – Matka weszła do saloniku i podniosła kopertę leżącą na pianinie. – To zdjęcie ojca z tobą. Rzuciłeś je, kiedy... Nieważne. Pomyślałam, że może zechcesz je zatrzymać.

Ben wziął fotografię z drżącej dłoni matki. Popatrzył na silnego ojca i małego chłopca, który go tak kochał. Ben nie znał ani jednego, ani drugiego. Byli obcymi ludźmi.

Matka stała w holu.

– Benjaminie, może ci się to nie spodoba, ale... – Przystąpiła z nogi na nogę. – Mieszkałam w tym... Znosiłam to dzielnie, ale... co za dużo, to niezdrowo. – Wyjęła z torebki kopertę. – Wypisałam ci czek i chcę, żebyś go przyjął.

– Nie.

– Benjaminie, bądź rozsądny!
– Gdyby ojciec chciał, żebym...
– Ben, nie wiesz, co mówisz! – Potrząsnęła głową, jakby zaskoczona gwałtownością swojego wybuchu.
– Przepraszam, mamó. – Ben spuścił wzrok i odsunął pieniądze. – Nie.
Westchnęła ciężko. Ben po raz pierwszy dostrzegł na jej twarzy ślad sześćdziesięciu sześciu lat życia.
– Jeśli nie chcesz tego przyjąć, nie mogę już nic dla ciebie zrobić.
Podniosła bagaż i skierowała się do wyjścia.
Zatrzymała się.
Ben wyciągnął rękę.
– Jest coś, co możesz dla mnie zrobić.
– Naprawdę?
– Tak. – Ben położył bagaże na podłodze, ujął matkę pod ramię i posadził na fotelu. – Opowiedz mi o ojcu.

Podziękowania

Przy pisaniu tej powieści po raz kolejny mogłem skorzystać z wiedzy i doświadczenia innych ludzi. Pragnę podziękować Lindzie Barry za to, że podzieliła się ze mną wiedzą nabytą podczas lat pracy z dziećmi upośledzonymi; sędziemu Thomasowi S. Crewsonowi za to, że opowiedział mi o prawdziwym Leemanie Hayesie; Walterowi Bookerowi Juniorowi, specjalście od gangów ulicznych z komendy policji w Midwest City za to, że umożliwił mi kontakt z gangami młodzieżowymi z Oklahomy; oraz Arlene Joplin z biura prokuratora okręgowego za cenne wskazówki z dziedziny kodeksu karnego.

Przy pisaniu tej powieści korzystałem z dwóch prac historycznych: *The Court Martial of Johnson C. Whittaker* i *The Blacks in Oklahoma* napisanych przez Burkharda Bilgera, a opublikowanych w doskonałym magazynie regionalnym „Oklahoma Today”, redagowanym przez nieocenioną Jeanne Devlin, i książki Scotta Ellswortha *Promised Land* opublikowanej przez Louisiana State University Press.

Dziękuję Cecilowi Adamsowi, autorowi książki *The Straight Dope* za to, że zwrócił moją uwagę na zjawisko asfiksji autoerotycznej w jakiej błogiej nieświadomości żyłem przez tyle lat.

Dziękuję też Michaelowi Stipe’owi z grupy R.E.M, który nawiasem mówiąc urodził się tego samego dnia i tego samego roku co ja. Historyczna data.

Pragnę podziękować Gail Benedict za pomoc przy pisaniu, Kathy Redwood za jej wspaniałe zdolności organizacyjne, oraz Drew Grahamowi i Esther Perkins za przeczytanie tekstu i jego ocenę. I wreszcie chcę podziękować mojej rodzinie: Kirsten, Harry’emu i Alice za cierpliwe znoszenie nieobecności tatusia w dzień oraz jego nocnych posiedzeń przed komputerem, a także za przygotowywanie posiłków o trzeciej nad ranem.

A propos, Christina naprawdę wykupiła Benowi cegiełkę w zoo. Możecie sprawdzić.

William Bernhardt